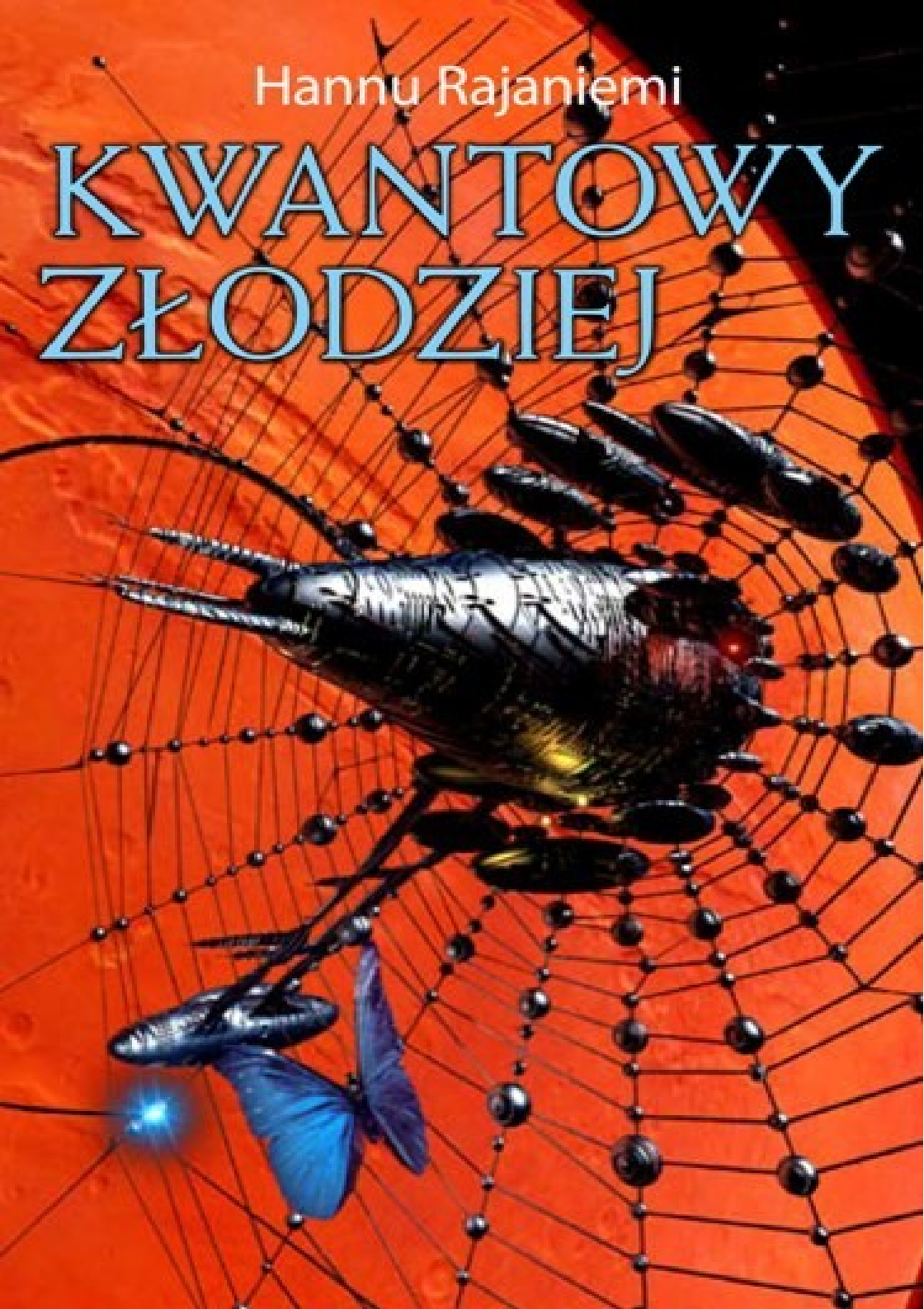


Hannu Rajaniemi

KWANTOWY ZŁODZIEJ



Rajaniemi Hannu

Kwantowy złodziej

Przekład:
Wojciech Szypuła

Wydawnictwo
MAG

„Przychodzi taki moment, w którym w natłoku zmian przestajesz rozpoznawać samego siebie. To bardzo smutna chwila. Czuję się teraz tak, jak musi czuć się człowiek, który zgubił własny cień...”.

Maurice Leblanc,
Ucieczka Arsene 'a Lupin

ROZDZIAŁ 1

ZŁODZIEJ I DYLEMAT WIĘZNI

Jak zawsze, zanim z wojmózgiem strzelimy do siebie nawzajem, próbuję do niego zagadać:

- Wszystkie więzienia są takie same, nie uważasz?

Nawet nie wiem, czy mnie słyszy. Nie ma żadnych widocznych organów słuchowych, tylko oczy, całe setki ludzkich oczu umieszczonych na końcach sterczących z ciała wypustek. Przypomina egzotyczny owoc. Unosi się w powietrzu w sąsiedniej celi, po drugiej stronie rozdzielającej nas świecącej linii. Olbrzymi srebrny colt wyglądałby niedorzecznie w uścisku jego gałązkowatych manipulatorów - gdyby nie fakt, że zastrzelił mnie z niego już czternaście tysięcy razy.

- Przypominają dawne lotniska na Ziemi - mówię dalej. - Nikt nie chce w nich przebywać, nikt tak naprawdę w nich nie mieszka. Jesteśmy tu przejazdem.

Dzisiaj ściany więzienia są szklane, przezroczyste. Wysoko w górze świeci słońce, niemal jak prawdziwe, ale nie do końca: jest słabsze. Miliony cel o ścianach i posadzkach ze szkła ciągną się w nieskończoność wszędzie wokół mnie. Rozszczepione przez nie światło kładzie się barwami tęczy na podłodze. Nie licząc tych kolorów, moja cela jest pusta, a ja nagi jak po urodzeniu. Mam tylko broń. Czasem, kiedy wygrywasz, pozwalają ci wprowadzić jakieś drobne zmiany. Wojmózgowi się udało. W jego celi pływają przystosowane do nieważkości kwiaty - czerwone, fioletowe i zielone bańki wyrastające z bąbli wody, jak rysunkowe wersje prawdziwych kwiatów. Cholerny narcyz.

- Gdybyśmy mieli tu toalety, ich drzwi otwierałyby się do wewnątrz. Nic się nie zmienia.

No dobrze, zaczyna mi brakować pomysłów.

Wojmózg powoli unosi colta. Gąszcz opatrzonych oczami wypustek faluje. Szkoda, że nie ma twarzy, spojrzenie tego lasu wilgotnych ślepi działa mi na nerwy. Nie przejmuj się, powtarzam sobie w duchu. Tym razem się uda.

Minimalnie poruszam rewolwerem; drgnienie nadgarstka i język ciała sugerują ruch, jaki powinienem wykonać, gdybym naprawdę chciał w niego wycelować. Każdym mięśniem krzyczę „współpraca!”.

No, daj się przekonać. Serio. Tym razem zostaniemy przyjaciółmi...

Ognisty błysk - to czarna źrenica colta rozbłyśnie światłem. Mój zaciśnięty na spuście palec drga odruchowo. Podwójny grzmot. I pocisk w mojej głowie.

Nie sposób przyzwyczać się do wrażenia, jakie wywołuje rozpalona metalowa kula wbijająca się w czoło i wychodząca potylicą. Symulacja jest cudownie szczegółowa. Ognisty pociąg wjeżdżający w czaszkę, ciepły rozbryzg krwi i mózgu na plecach i ramionach, gwałtowny chłód, i na koniec czerń, kiedy wszystko się zatrzymuje. Archontowie więzienia Dylemat chcą, żeby więźniowie dobrze to czuli. To kształcące doświadczenie.

A więzienie edukacją stoi. Oraz teorią gier, czyli matematyką podejmowania racjonalnych decyzji. Nieśmiertelne umysły, a takimi są archontowie, mają czas na różne obsesje. I bardzo to pasuje do Sbornosti - kolektywu rządzącego Wewnętrznym Układem Słonecznym - żeby właśnie im powierzyć nadzór nad więzieniami.

Gramy wciąż w tę samą archetypiczną grę, ukochaną grę ekonomistów i matematyków, która tylko przybiera różne formy. Czasem bawimy się w cykora: znajdujemy się na nieskończonej autostradzie, pędzimy naprzeciw siebie z ogromną prędkością i podejmujemy decyzję, czy w ostatniej chwili stchórzyć i skrócić, czy zostać na kursie kolizyjnym. Czasem jesteśmy żołnierzami w okopach i patrzymy na siebie ponad pasem ziemi niczyjej. A czasem maksymalnie upraszczają sprawę i robią z nas więźniów - zwykłych, staroświeckich więźniów, przesłuchiwanym przez ludzi o nieprzeniknionych twarzach - którzy muszą wybierać między

zdradą i kodeksem milczenia. Dzisiaj dla urozmaicenia dali nam pistolety. Wcale nie jestem ciekaw, co wymyślą jutro.

Wracam do życia ostro, z trzaskiem, jak wańka-wstańka na gumce. Mrugam powiekami. Mam przerwę w umyśle. Chropowatą krawędź. Po każdym powrocie archontowie minimalnie zmieniają układ neuronów w mózgu. Twierdzą, że darwinowska szlifierka prędzej czy później zmieni każdego więźnia w zrehabilitowanego, skłonnego do współpracy obywatela.

Jeśli przeciwnik strzeli, a ja nie, mam przechlapane; jeśli strzelimy obaj, trochę zaboli; jeśli pójdziemy na współpracę, będziemy mogli świętować - tyle tylko, że zawsze jest bodziec, który każe pociągnąć za spust. Teoria mówi, że odpowiednio duża liczba spotkań wykształci w nas skłonność do współpracy.

Jeszcze kilka milionów takich rund i zostanę harcerzem.

Rewelacja.

Wynik ostatniego starcia to ból w kościach. Obaj z wojmózgiem zdradziliśmy. W tej rundzie będą jeszcze dwie próby. Za mało. Niech to szlag.

Pokonując sąsiadów, zdobywa się terytorium. Kto na koniec rundy ma najwięcej punktów, ten wygrywa. W nagrodę dostaje duplikaty samego siebie, które usuwają i zastępują otaczających go przegranych. Dzisiaj idzie mi słabo: dwie podwójne zdrady, obie z wojmózgiem. Jeśli nie przeważę szali na swoją korzyść, czeka mnie prawdziwa nicość.

Ważę w myślach możliwości. W dwóch z otaczających mnie sześcianów (po lewej i z tyłu) znajdują się klony wojmózga. Po prawej widzę jakąś kobietę. Kiedy odwracam się w jej stronę, szklana ściana między nami znika i dzieli nas już tylko niebieska linia śmierci.

Tamta cela jest tak samo pusta jak moja. Ubrana w podobny do togi czarny strój kobieta siedzi na środku pomieszczenia i obejmuje kolana rękoma. Przyglądam się jej ciekawie. Widzę ją pierwszy raz. Ma przypominającą kształtem migdał twarz Azjatki i krępe, silne ciało. Jej mocno opalona skóra przywodzi mi na myśl Oort. Uśmiecham się do niej i macham ręką. Nie zwraca na mnie uwagi, ale więzienie najwyraźniej postanawia

potraktować tę interakcję jako współpracę. Punktuję; odczuwam to jako ciepło, jak po łyku whisky. Od kobiety znów dzieli mnie szklana ściana.

To było łatwe, myślę sobie. Ale na wojmózga nie wystarczy.

W czwartej, ostatniej celi siedzi drugi ja. Ma na sobie białą koszulkę tenisową, szorty i za duże okulary przeciwsłoneczne. Wyleguje się na leżaku nad basenem. Czyta książkę: *Kryształowy korek*. Jedna z moich ulubionych.

- Znowu cię dopadł - mówi, nie podnosząc wzroku. - Znowu. Który to raz? Trzeci z rzędu? Powinieneś się już zorientować, że u niego zawsze jest wet za wet.

- Tym razem prawie mi się udało.

- Cała ta koncepcja fałszywych wspomnień ze współpracy jest nawet niegłupia. Tylko że w jego wypadku nie zadziała. Wojmózgi mają niestandardowy płat potyliczny i niesekwencyjny grzbietowy kanał wizualny. Nie oszuka się ich złudzeniem optycznym. Szkoda, że archontowie nie przyznają punktów za starania.

- Zaraz... Jak to możliwe, że ty o tym wiesz, a ja nie?

- A co, myślałeś, że nie ma tu innych le Flambeurów? Ja siedzę tu już dłuższy czas. Zresztą nieważne: żeby pokonać wojmózga, potrzebujesz dziesięciu punktów. Chodź do mnie. Pomogę ci.

- Całuj mnie w nos, dupku.

Podchodzę do niebieskiej linii. Pierwszy raz podczas tej rundy oddycham z ulgą. Tamten wstaje. Wyciąga spod książki lśniący pistolet. Celuję w niego wyprostowanym palcem.

- Bum, bum - mówię. - Chcę współpracować.

- Bardzo śmieszne - odpowiada i szczerząc zęby, celuje do mnie z pistoletu. Moje podwójne odbicie w jego okularach jest małe i nagie.

- Ej, chwila, przecież razem w tym tkwimy. To ma być moje poczucie humoru?

- Obaj lubimy grać ostro i o wysokie stawki, nie? - pytam.

Nagle coś do mnie dociera. Zniewalający uśmiech i luksusowa cela miały uspić moją czujność. Facet mnie przypomina, ale coś jest nie tak...

- Ożeż kurwa...

Każde więzienie ma swoje plotki i mityczne potwory. Tę historię opowiedział mi zokijski renegat, z którym przez krótki czas współpracowałem. To legendarna anomalia. Wszeczdrajca. Stwór, który nigdy nie współpracuje i zawsze uchodzi mu to na sucho. Znalazł lukę w systemie i zawsze przyjmuje twoją postać - a jeśli nie możesz zaufać sobie, to komu?

- No właśnie - mówi wszeczdrajca i pociąga za spust.

Przynajmniej to nie wojmózg, zdążam jeszcze pomyśleć, zanim uderzy we mnie świetlisty grzmot.

A potem wszystko traci sens.

We śnie Mielli jest na Wenus i je brzoskwinie. Miąsz jest słodki, soczysty, z odrobiną goryczki. W cudowny sposób łączy się ze smakiem Sydan.

- Ty łachudro... - chrypi Mielli.

Znajdują się w kwantopunktowej bańce czternaście kilometrów ponad Kraterem Kleopatry - maleńkim bąbłu człowieczeństwa, potu i seksu na jednym z urwisk Gór Maxwella. Na zewnątrz hula wiatr niosący kwas siarkowy. Bursztynowa poświata chmur przesącza się przez błyszczącą skorupę pseudomaterii, nadając skórze Sydan miedziany odcień. Wnętrze jej dłoni idealnie pasuje do wzgórk łonowego Mielli; palce opierają się tuż powyżej wciąż wilgotnej szparki. Mięciutkie skrzydełka leniwie trzepoczą jej w brzuchu.

- Co ja takiego zrobiłam?

- Mnóstwo rzeczy. Tego was uczą w guberni?

Sydan posyła jej ten swój uśmiech skrzata. W kącikach jej oczu tworzą się kurze łapki.

- To był kawał czasu, prawdę mówiąc.

- Pocałuj mnie w tyłek.

- Czego od niego chcesz? Jest bardzo ładny.

Palcami wolnej ręki Sydan wodzi po srebrzystych konturach wytatuowanego na piersi Mielli motyla.

- Nie rób tego - mówi Mielli, którą nagle przenika chłód.

Sydan przesuwa dłoń i dotyka jej policzka.

- Co się dzieje?

Miąsz owocu się skończył, została tylko pestka. Mielli przytrzymuje ją w ustach, zamiast od razu wypluć: mała szorstka grudka o powierzchni rzeźbionej wspomnieniem.

- Tak naprawdę wcale cię tu nie ma. Nie jesteś prawdziwa. Pomagasz mi tylko nie zwariować w więzieniu.

- Skutecznie?

Mielli przyciąga Sydan do siebie i całuje w szyję. Czuje smak potu.

- Niezbyt. Nie chcę stąd wychodzić.

- Zawsze byłaś tą silną. - Sydan głaszcze ją po włosach. - Już prawie czas.

Mielli wtula się w jej dobrze znajome ciało. Wysadzany klejnotami wężyk na nodze Sydan odgniała się na jej skórze. *Mielli.*

Głos pellegrini w jej głowie przywodzi na myśl zimny wiatr.

- Jeszcze chwilkę... *Mielli!*

Przejście jest ostre i bolesne, jak przygryzienie pestki brzoskwini; od nacisku na twarde jądro rzeczywistości prawie pękają jej zęby.

Więzienna cela. Fałszywe, blade słońce. Szklana ściana. A za nią dwaj rozmawiający złodzieje.

Misja. Długie miesiące przygotowań i ćwiczeń.

Mielli się otrząsa. Nagle cały plan jasno i wyraźnie staje jej przed oczami. *Niepotrzebnie dałam ci to wspomnienie, mówi w jej głowie pellegrini. Omal się nie spóźniłaś. A teraz mnie wypuść. Tutaj robi się ciasno.*

Mielli pluje pestką w szklaną ścianę, która rozpada się na drobne kawałeczki jak lód.

Czas zwalnia bieg.

Kulę, która wbija mi się w czaszkę, odczuwam jak miękki, łagodny ból głowy. Przewracam się i jednocześnie stoję, trwam w zawieszaniu. Wszechzdrajca staje się zamrożonym posągami po drugiej stronie niebieskiej linii. Wciąż trzyma w ręce

pistolet.

Ściana po mojej prawej stronie rozpada się na kawałki. Odłamki szybują wokół mnie, lśnią w słońcu jak galaktyka ze szkła.

Kobieta z sąsiedniej celi podchodzi do mnie szybkim krokiem. W jej ruchach dostrzegam determinację, jakby długo ćwiczyła tę rolę, a teraz zareagowała na jakiś bodziec jak aktor na wskazówkę reżysera.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Ma krótkie ciemne włosy i jasnozielone oczy. Jej lewy policzek przecina blizna - czarna krecha na ciemnej opaleniznie, precyzyjna jak wzór geometryczny.

- To twój szczęśliwy dzień - mówi. - Musisz coś ukraść. Podaje mi rękę.

Ból spowodowany przez pocisk w czaszce narasta. Otaczająca nas szklana galaktyka układa się w jakiś wzór, jakby znajomą twarz... Uśmiecham się.

No jasne. To dogorywający sen. Jakaś niedoskonałość systemu powoduje, że śmierć musi chwilę potrwać. Rozbite więzienie. Drzwi toalet. Nic się nie zmienia.

- Nie - mówię.

Kobieta ze snu jest zdziwiona.

- Jestem Jean le Flambeur - dodaję. - Kradnę to, co chcę i kiedy chcę. To miejsce również opuszczę wtedy, gdy będę tego chciał, i ani sekundy wcześniej. Prawdę mówiąc, nawet mi się tu podoba...

Ból rozlewa się bielą na cały świat. Nic nie widzę. Zaczynam się śmiać. W moim śnie ktoś śmieje się razem ze mną.

- Mój Jean - rozbrzmiewa jakiś inny głos, do bólu znajomy. - O tak. Zabieramy go. Czyjaś szklana dłoń muska mój policzek. W tej samej chwili mój symulowany mózg wreszcie postanawia umrzeć.

Mielli trzyma w ramionach martwego złodzieja, który nic nie waży. Pellegrini przepływa z pestki do wnętrza więzienia jak rozedrgane od gorąca powietrze i materializuje się w postaci

wysokiej kobiety w białej sukience i brylantowym naszyjniku. Włosy ma starannie ufryzowane w kasztanowe fale. Wygląda jednocześnie młodo i staro.

Od razu mi lepiej, mówi. W twojej głowie jest za mało miejsca. Przeciąga się z rozkoszą. No, ale teraz musimy cię stąd wyciągnąć, zanim moi bratankowie się zorientują. Czeka mnie sporo pracy.

Mielli czuje, jak przepelnia ją zapożyczona siła. Wybija się i wyskakuje do góry. Wznoszą się coraz wyżej, powietrze opływa ich ze świstem, i przez chwilę czuje się tak, jakby zamieszkała w domu babki Brihane i znów miała skrzydła. Wkrótce więzienie staje się kratownicą maleńkich kwadracików daleko w dole. Kwadraciki zmieniają kolory jak piksele na ekranie, tworzą nieskończenie złożone wzory współpracy i zdrad, tworzą obrazy...

Tuż przed tym, jak Mielli ze złodziejem przebija niebo, więzienie odwzorowuje uśmiechniętą twarz pellegrini.

Śmierć jest jak marsz przez pustynię i rozmyślanie o kradzieży. Chłopiec leży na brzuchu na rozpalonym piasku, słońce praży go w plecy, a on obserwuje robota na skraju pola paneli słonecznych. Robot wygląda jak krab w barwach maskujących, jak plastikowa zabawka, ale w środku ma wiele cennych rzeczy, za które Jednooki Ijja dobrze zapłaci. I może, może Tafalkayt znów nazwie go swoim synem, jeśli tylko zachowa się jak mężczyzna...

Nigdy nie chciałem umrzeć w więzieniu - w brudzie, wśród betonu, metalu, bicia i gorzkiej woni stęchlizny. Rozcięta warga młodego mężczyzny boli. Mężczyzna czyta książkę o człowieku, który jest jak bóg; o człowieku, który robi, co chce, wykrada tajemnice królów i cesarzy, śmieje się z prawa, umie dowolnie zmieniać swoją twarz, a wszystkie brylanty i kobiety ma na wyciągnięcie ręki. Ten człowiek nosi imię kwiatu.

Nie cierpię tych chwil, gdy dajesz się złapać.

szarpnięciem podnoszą go z ziemi. Jeden żołnierz policzkuje

go na odlew, pozostali wycelowują karabiny...

to wcale nie jest takie zabawne jak

kradzież z diamentowego umysłu. Bóg złodziei kryje się w ziarenkach rozumnego pyłu nanizanych na nić kwantowych więzów. Okłamuje diamentowy umysł tak długo, aż ten uwierzy, że bóg złodziei jest jedną z jego myśli, i wpuści go do środka...

do góry...

Ludzie, których jest wielu, tworzą lśniące, połyskliwe światy, jakby specjalnie dla niego; wystarczy, że wyciągnie rękę i je zgarnie...

To jest jak umieranie. A ucieczka przypomina

klucz obraca się w zamku. Kraty się rozsuwają. Bogini wchodzi do celi i mówi mu, że jest wolny.

narodziny.

Odwracają się stronicie książki.

Głęboki wdech. Wszystko boli. Skala obrazu jest niewłaściwa. Zastłaniam oczy wielgachnymi dłońmi. Ich dotyk przypomina uderzenie pioruna. Mięśnie jak sieć stalowych lin. Śluz w nosie. Dziura w żołądku, paląca, wzburzona.

Skup się.

Przetwarzam sensoryczny zgiełk w kamień, taki jak te zalegające Argyre Planitia - duży, nieporęczny, gładki. W moim umyśle kładę się na siatce o drobnych oczkach, kruszę się, zmieniam w czerwony piasek i przeciskam się przez nią, przesypuję. Kamień za mną nie podąży.

I nagle znów robi się cicho. Wsłuchuję się w swój puls, który jest niewiarygodnie regularny: każde uderzenie jak cykl pracy doskonałego mechanizmu.

Słaby zapach kwiatów. Lekki powiew porusza włoskami na moich przedramionach - i nie tylko: wciąż jestem nagi. Nieważkość. Niesłyszalna, lecz namacalna obecność otaczającej mnie intelmaterii. Inna ludzka istota, gdzieś niedaleko.

Coś łaskocze mnie w nos. Ogamiam się ręką i otwieram oczy. Biały motyl odfruwa w powodzi jasnego światła.

Mrużę powieki. Jestem na pokładzie statku - oortyjskiego pająkostatku, sądząc po wyglądzie - w cylindrycznym wnętrzu o długości dziesięciu i średnicy pięciu metrów. Ściany są przezroczyste i przybrudzone, jak kometarny lód. Tkwią w nich dziwaczne plemiennne rzeźby, trochę przypominające znaki runiczne. Kuliste *bonsai* i kanciaste meble nieważkościowe szybują blisko osi cylindra.

Za ścianami rozpościera się gwiazdzista ciemność. Wszędzie fruwały małe białe motyle.

Moja wybawicielka unosi się w powietrzu obok mnie. Uśmiecham się do niej.

- Młoda damo... - mówię. - Jesteś chyba najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Wydaje się, że głos dobiega z daleka, ale z pewnością należy do mnie. Zastanawiam się, czy umieli właściwie odtworzyć także moją twarz.

Widziana z bliska wydaje się naprawdę okropnie młoda. W jej zielonych oczach nie ma nawet śladu zblazowania. Jest ubrana w ten sam zwyczajny strój co wcześniej w więzieniu. Przyjęła zwodniczo zrelaksowaną pozę, gładkie, odsłonięte nogi trzyma wyprostowane, ale widać, że jest gotowa do działania. Jak mistrzyni sztuk walki. Łańcuszek wielokolorowych klejnotów oplata jej lewą kostkę i wspina się po nodze.

- Moje gratulacje, złodzieju - mówi. Jej głos jest cichy i opanowany, zdradza jednak odrobinę pogardy. - Uciekłeś.

- Mam nadzieję, bo na razie równie dobrze mogłem się znaleźć w kolejnym wariacie Dylematu. Dotychczas archontowie byli raczej konsekwentni, ale nie można mówić o paranoi po tym, jak naprawdę przesiedziało się szmat czasu w wirtualnym piekle.

Coś drga mi między nogami i rozprasza przynajmniej część moich wątpliwości.

- Przepraszam, minęło trochę czasu... - wyjaśniam, obojętnie przyglądając się swojej erekcji.

- Widzę.

Kobieta marszczy brwi. Jej twarz przybiera dziwny wyraz, niesmak miesza się na niej z podnieceniem. Uświadamiam

sobie, że wsłuchuje się w bioodczyty z mojego ciała i częściowo czuje to, co ja.

- Uwierz mi, naprawdę jesteś wolny. Sporo nas to kosztowało. Oczywiście, miliony twoich kopii nadal przebywają w więzieniu, więc możesz się uważać za szczęściarza.

Łapię jeden z umieszczonych na osi cylindra uchwytów, podciągam się i chowam za jednym z *bonsai*, ukrywając swoją nagość jak Adam. Chmara motyli schowanych dotąd w listowiu drzewka wzbija się do lotu. Dziwnie się czuję z tym pierwszym wysiłkiem; mięśnie mojego nowego ciała jeszcze się nie obudziły.

- Młoda damo, ja mam nazwisko.

Podaję jej rękę poprzez koronę *bonsai*. Przyjmuje ją z wahaniem. Ściskam z całej siły. Wyraz jej twarzy nie zmienia się ani na jotę.

- Jean le Flambeur, do usług - mówię. - Poza tym ma pani całkowitą rację. - Pokazuję jej trzymany w dłoni łańcuszek, który jeszcze przed chwilą miała na kostce. Wije się w mojej ręce jak żywy wąż z klejnotów. - Rzeczywiście jestem złodziejem.

Wytrzeszcza oczy. Blizna na jej policzku czernieje. I nagle łąduję w piekle.

Jestem bezcielesnym punktem zawieszonym w czerni, niezdolnym uformować choćby jedną spójną myśl. Imadło ściska mój umysł, w ogóle coś zaciska się wokół mnie ze wszystkich stron - nie mogę myśleć, wspominać, czuć. Uczucie jest tysiąc razy gorsze od pobytu w więzieniu. I trwa wieczność.

I już jestem z powrotem. Dyszę ciężko, żołądek co rusz podchodzi mi do gardła, wymiotuję żółcią, która frunie kulistymi grudami w powietrzu - ale i tak jestem nieskończenie wdzięczny za każde z tych doznań.

- Więcej tego nie zrobisz - mówi kobieta. - Twoje ciało i umysł zostały ci tylko wypożyczone; kiedy ukradniesz to, czego się od ciebie oczekuje, może będziesz mógł je zachować.

Łańcuszek znów oplata jej kostkę. Mięśnie policzków drgają nerwowo. Wyostrzony w więzieniu instynkt podpowiada mi, żebym zamknął dziób i przestał rzygać, ale człowiek-kwiat we

mnie musi przemówić, a ja nie umiem go powstrzymać.

- Za późno... - stękam.

- Co?

Jest coś prześlicznego w zmarszczce, która nagle przecina jej czoło jak ślad pędzla.

- Zostałem zresocjalizowany. Za późno mnie uwolniliście. Jestem teraz świadomym altruistą, stworzeniem przepelnionym życzliwością i miłością braterską. Nie śmiem śnić o uczestnictwie w jakimkolwiek nielegalnym przedsięwzięciu, nawet jeśli tego właśnie domaga się moja uroczą wybawczyni.

Patrzy na mnie obojętnie.

- Dobrze - mówi.

- Dobrze?

- Jeśli mam nie mieć z ciebie żadnego pożytku, wrócę po innego. *Perhonen*, proszę, zabierz go stąd i wyrzuc.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Czuję się głupio. Za dużo czasu spędziłem w pociągu zdrad i współpracy, czas z niego wysiąść. Pierwszy odwracam wzrok.

- Zaczekaj - mówię z namysłem. - Kiedy cię słucham, dochodzę do wniosku, że może jednak ocalały we mnie jakieś egoistyczne impulsy. Tak, wyraźnie czuję, jak do mnie wracają, kiedy rozmawiamy.

- Spodziewałam się tego. Przecież jesteś podobno niereformowalny.

- Co teraz?

- Dowiesz się. Ja jestem Mielli, a to *Perhonen*, mój statek. - Mielli wykonuje zamaszty gest ręką. - Dopóki tu jesteś, jesteście dla ciebie bogami.

- Jak Kuutar i Ilmatar? - pytam, wymieniając imiona oortyjskich bóstw.

- Na przykład. Albo, jeśli wolisz, jak Mroczny Człowiek.

Uśmiecha się. Kiedy przypomnę sobie miejsce, do którego wcześniej mnie wtrąciła, faktycznie dostrzegam w niej podobieństwo do oortyjskiego boga mroku i pustki.

- *Perhonen* wskaże ci drogę do kabiny.

Po wyjściu złodzieja Mielli kładzie się w kołysce pilota. Czuje się wyczerpana, mimo że z bioodczytów jej ciała (które od miesiący czekało na nią na *Perhonen*) wynika, że jest całkowicie wypoczęta. Gorszy jest jednak dysonans poznawczy.

Czy to ja byłam w więzieniu? Czy ktoś inny?

Wspomina długie tygodnie przygotowań, dni subiektywnego spowolnienia czasu w szybkombinezonie, planowanie przestępstwa tylko po to, żeby dać się archontom złapać i wtrącić do więzienia. A potem wieczność w celi, z umysłem otulonym starymi wspomnieniami. Gwałtowną ucieczkę, wystrzelenie przez pellegrini pod niebo i przebicie firmamentu na wylot. I przebudzenie w nowym ciele, obolałym i roztrzęsionym.

Wszystko dla tego złodzieja.

A teraz ta kwantowa pępowina łącząca ją z ciałem, które pellegrini dla niego stworzyła, i ciągnąca przytępiona świadomość jego myśli - jakby spała w jednym łóżku z obcym człowiekiem i czuła, jak się porusza i wierci przez sen. Mogła liczyć na boginię Sbornosti, że każe jej zrobić coś, co doprowadzi ją do szaleństwa.

On dotknął klejnotu Sydan!

Złość trochę pomaga.

Poza tym, tu nie chodzi tylko o niego, lecz także o nią.

- Odstawiłam złodzieja na miejsce - odzywa się *Perhonen*.

Przynajmniej jej ciepły głos rozbrzmiewający w jej głowie należy tylko do niej; więzienie go nie skaziło. Chwyta jeden z małych białych awatarów *Perhonen* i zamyka go w dłoni. Awatar trzepocze skrzydłami, łaskocze ją jak puls pod skórą.

- Naszło cię na amory? - pyta żartobliwie statek.

- Nie. Po prostu stęskniłam się za tobą.

- Ja za tobą też. - Motyl podrywa się do lotu i zaczyna krążyć wokół głowy Mielli. - To było okropne, tak na ciebie czekać w samotności.

- Wiem. Przepraszam.

Nagle Mielli odczuwa pulsowanie pod czaszką. Wyczuwa jakąś spoinę w głowie, w umyśle, jakby coś z niego wycięto i wklejono coś innego. Czy na pewno się nie zmieniłam?

Wie, że mogłaby się porozumieć ze swoją wyprodukowaną w Sbornosti metakorą mózgową, poprosić o wyizolowanie tego uczucia, bezpieczne zapakowanie i odłożenie na bok. Ale oortyjska wojowniczką by się tak nie zachowała.

- Źle się czujesz - mówi *Perhonen*. - Nie należało cię tam puszczać, to ci zaszkodziło. A ona nie powinna była cię do tego zmuszać.

- Ciii, bo cię usłyszysz - ucisza go Mielli. Za późno.

Mały stateczku, rozlega się głos pellegrini. Powinieneś wiedzieć, że zawsze troszczę się o swoje dzieci. Już jest z nimi. Stoi nad Mielli. Niegrzeczna dziewczynka, źle wykorzystuje moje dary. Niech no spojrzę...

Siada z wdziękiem, jak w normalnym ziemskim ciężeniu, i krzyżuje nogi. Dotyka twarzy Mielli, głębokimi piwnymi oczami szuka jej oczu. Dotyk jej palców jest ciepły, poza zimną krechą jednego z pierścionków, która wypada dokładnie na bliźnie na policzku. Mielli wdycha woń jej perfum. Coś się obraca, kręcą się trybiki, zapadka wskakuje na miejsce - i nagle umysł Mielli staje się gładki jak jedwab.

No i proszę, czy tak nie jest lepiej? Pewnego dnia zrozumiesz, że nasz sposób jest skuteczny: nie martw się o to, kto jest kim, i uświadom sobie, że wszyscy są tobą.

Pozbycie się dysonansu działa jak zimny prysznic na oparzoną skórę: ulga jest tak gwałtowna, tak ostra, że niewiele brakuje, by Mielli wybuchnęła płaczem. Nie może sobie jednak na to pozwolić w jej obecności. Dlatego tylko otwiera oczy i czeka, gotowa posłusznie wypełnić rozkaz.

Nie podziękujesz mi? - dziwi się pellegrini. *Jak chcesz.* Wyjmuje z torebki cienki biały walec i wkłada go do ust. Jego drugi koniec zapala się i emituje paskudną woń. *W takim razie powiedz mi, jak ci się podoba mój złodziej?*

- Moją rolą nie jest wypowiadanie sądów, lecz służba.

Dobra odpowiedź, choć trochę nudna. Nie jest przystojny? Bądź ze mną szczerą. Czy naprawdę możesz tęsknić za swoją utraconą miłością, mając pod ręką kogoś takiego jak on?

- Czy naprawdę jest nam niezbędny? Sama sobie poradzę. Będę ci służyć, tak jak służyłam przedtem...

Pellegrini się uśmiecha; jej uróżowane usta są doskonale jak wiśnie.

Nie tym razem. Jesteś może nie najpotężniejszą z moich sług, ale z pewnością najwierniejszą. Bądź mi posłuszna, a nagroda cię nie minie.

Pellegrini znika i Mielli zostaje w kołysce sama. Motyle kołują jej nad głową.

Moja kabina jest niewiele większa od schowka na miotły. Próbuję przełknąć mleczny koktajl proteinowy z wbudowanego w ścianę fabrykatora, ale moje nowe ciało niechętnie przyjmuje pokarm. Muszę spędzić trochę czasu na kosmosraczyku: małym samobieżnym worku, który wysuwa się ze ściany i przykleja człowiekowi do tyłka. Oortyjskie statki nie należą do najbardziej komfortowych.

Jedna z zakrzywionych ścian ma lustrzaną powierzchnię. Oglądam w niej swoją twarz podczas załatwiania niegodnych, lecz koniecznych potrzeb naturalnych. Twarz wygląda jakoś niewłaściwie. Na pozór wszystko jest w najlepszym porządku: usta; oczy Petera Lorre'a (jak wieki temu powiedziała mi jedna z kochanek); dołeczki na skroniach; rzędzące i lekko posiwiałe włosy ostrzyżone krótko, tak jak lubię; chude, przeciętne ciało, w niezłej kondycji, z kępą włosów na piersi - ale kiedy na nie patrzę, muszę wciąż mrużyć oczy, jakby obraz był stale nieostry.

Najgorsze jednak jest to, że podobne uczucie dręczy mnie także w głowie. Cokolwiek próbuję sobie przypomnieć, czuję się, jakbym szturchał językiem ruszający się ząb. Jakby mi coś skradziono. Ha.

Dla rozrywki podziwiam widoki. Ściany dają takie powiększenie, że w oddali widzę więzienie Dylemat: brylantowy torus o średnicy blisko tysiąca kilometrów z tej perspektywy wygląda jak błyszczące wśród gwiazd i wpatrzone we mnie oko o wąskiej pionowej źrenicy. Z wysiłkiem przełykam ślinę i przestaję na nie patrzeć.

- Cieszysz się z wolności? - pyta mnie statek.

Ma kobiecy głos, trochę podobny do głosu Mielli, tylko młodszy. W innych, szczęśliwszych okolicznościach chętnie poznałbym jego właścicielkę.

- Nawet sobie nie wyobrażasz... - Wzdycham. - Więzienie to naprawdę niefajne miejsce i jestem dozgonnie wdzięczny twojej pani kapitan, nawet jeśli chwilowo jest rozdrażniona.

- Nie masz pojęcia, przez co przeszła, żeby cię stamtąd wyciągnąć - wyjaśnia *Perhonen*. - Mam cię mieć na oku.

To ciekawe stwierdzenie; odkładam je na bok, do późniejszej analizy. Jak właściwie mnie wyciągnęła? I dla kogo pracuje?

Na razie jednak za wcześnie na takie pytania, więc tylko się uśmiecham.

- Nie wiem, co dla mnie planuje, ale na pewno będzie to lepsze niż strzelanie sobie co godzinę w łeb. Jesteś pewna, że twoja szefowa nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy sobie pogadali? No wiesz, jestem przecież przestępcą, mistrzem manipulacji i tak dalej.

- Myślę, że dam sobie z tobą radę. Poza tym... ściśle rzecz biorąc, ona wcale nie jest moją szefową.

- Aha. Może jestem staroświecki, ale kiedy byłem młodszy, kwestia seksualności w układach człowiek-gogol zawsze mnie intrygowała. Nielatwo wykorzenić stare nawyki.

- To nie tak! - zaperzył się statek. - My się tylko przyjaźnimy! Poza tym, to ona mnie stworzyła. To znaczy, nie mnie, tylko statek. Bo wiesz, jestem starsza niż wyglądam.

Zastanawiam się, czy ten akcent jest prawdziwy, czy udawany.

- Muszę ci powiedzieć, że słyszałam o tobie - mówi dalej. - Dawno temu. Przed Upadkiem.

- No popatrz, a ja nie dałbym ci więcej niż trzysta lat... Byłaś moją fanką?

- Podobała mi się kradzież sunliftera. To był numer z klasą.

- Klasa... Zawsze mi na niej zależało. Nawiasem mówiąc, nie dałbym ci więcej niż trzysta lat.

- Naprawdę?

- Mhm. Przynajmniej sądząc po tym, co na razie wiem.

- Chcesz, żebym cię oprowadziła? Mielli nie będzie miała nic

przeciwno temu, zresztą jest zajęta.

- Z przyjemnością - odpowiadam.

Kobieta... Może jednak ocaliłem z więzienia jakiś cień mojego uroku osobistego. Nagle odczuwam silną potrzebę ubrania się: rozmawiając z istotą płci żeńskiej w sytuacji, kiedy nie mam nawet listka figowego, czuję się bezbronny.

- Wygląda na to, że będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby się lepiej poznać. Załatwisz mi jakieś ciuchy?

Na początek *Perhonen* fabrykuje dla mnie ubranie. Tkanina jest zbyt gładka w dotyku, w ogóle nie cierpię ubrań z intelmaterii, ale kiedy widzę się w białej koszuli, czarnych spodniach i ciemnofioletowej marynarce, czuję się trochę bardziej sobą.

Potem pokazuje mi wirtprzestrzeń. Nagle świat zyskuje nowy wymiar. Wkraczam w niego, wychodzę z ciała i przenoszę swój punkt widzenia w kosmos, żeby obejrzeć statek z zewnątrz.

Miałem rację: *Perhonen* faktycznie jest oortyjским pająkostatkiem, złożonym z połączonych nanowłóknami modułów. Kabiny mieszkalne wirują wokół centralnie biegnącej osi jak krzeselka karuzeli, co zapewnia w nich namiastkę grawitacji. W sieci nanowięzów moduły mogą się poruszać jak pająki w pajęczynie. Kwantopunktowe żagle - koncentryczne pierścienie, zrobione ze sztucznie wytworzonych atomów i cienkie jak bańka mydlana, rozpościerające się na kilometry wokół statku, równie skutecznie łowiące światło słońca, mezocząstki Autostrady i podczerwień - prezentują się imponująco.

Przy okazji zerkam dyskretnie na swoje ciało - i to dopiero jest naprawdę imponujący widok. Obraz widoczny w wirtprzestrzeni tętni szczegółami. Sieć kwantopunktów pod skórą, proteomiczny komputer w każdej komórce, gęste komputronium w kościach. Coś takiego mogło powstać tylko w którymś ze światów guberni, blisko słońca. Wygląda więc na to, że moi wybawcy pracują dla Sbornosti. Interesujące.

- Myślałam, że to mnie chcesz lepiej poznać - zauważa

urazona *Perhonen*.

- Ależ oczywiście. Chciałem się tylko upewnić, że wyglądam jak należy. W więzieniu rzadko mogłem się cieszyć towarzystwem kobiet.

- Za co właściwie tam trafiłeś?

Nagle sam się sobie dziwię, że od tak dawna o tym nie myślałem - do tego stopnia pochłaniały mnie pistolety, zdrady i współpraca. Dlaczego trafiłem do więzienia?

- Taka grzeczna dziewczynka nie powinna się tym interesować.

- Może masz rację. - *Perhonen* wzdycha. - Może w ogóle nie powinnam z tobą rozmawiać. Mielli nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała. Ale już strasznie dawno nie miałyśmy na pokładzie nikogo interesującego!

- Rzeczywiście, nie wygląda mi to na gęsto zaludnioną okolicę. - Pokazuję otaczającą nas wygwieżdżoną pustkę. - Gdzie jesteśmy?

- W pasie trojańskim Neptuna. Na zadupiu. Bardzo długo tu czekałam, kiedy Mielli po ciebie poleciała.

- Mało wiesz o tym, jakie to uczucie, być przestępcą. To straszna nuda, bezmiar nudy z rzadka przerywany chwilami grozy. Trochę to przypomina wojnę.

- Wojna była o wiele ciekawsza - odpowiada podekscytowana. - Brałyśmy udział w Wojnie Protokołu. Bardzo mi się podobało. Trzeba wtedy tak szybko myśleć. Czego myśmy nie robiły... Raz nawet ukradłyśmy jeden księżyc, wiesz? Metis, tuż przed Impulsem. To było niesamowite. Mielli zainstalowała bombę dziwnocząstkową, żeby wypchnąć go z orbity. Kiedy wybuchła, to było jak fajerwerki. Kto nie widział, nie uwierzy...

Nagle milknie. Ciekawe, czyżby uświadomiła sobie, że za dużo powiedziała? Nie, po prostu coś innego zwróciło jej uwagę.

Daleko, w pajęczynie żagli, wektorów wirtprzestrzennych i etykiet odległych habitatów, dostrzegam klejnocik złożony ze świetlistych punktów: sześcioramienną gwiazdę. Powiększam obraz. Ciemne statki, zębate, postrzępione, z wyrzeźbionym na dziobie skupiskiem siedmiu twarzy zdobiących wszystkie twory Sbornosti. To twarze Założycieli, królów-bogów mających

tryliony podwładnych.

Kiedyś chodziłem z nimi na piwo.

To nadlatują archontowie.

- Nie wiem, co zrobiłeś... - mówi *Perhonen*. - Ale najwyraźniej chcą cię odzyskać.

ROZDZIAŁ 2

ZŁODZIEJ I ARCHONTOWIE

Co źle zrobiłam?

Serce Mielli wali jak młotem, gdy kołyska pilota ciasno ją otula.

Coś poszło nie tak w więzieniu... Ale przecież wszystko rozegrało się identycznie jak w symulatorze. Dlaczego nas ścigają?

Przechodzi na autyzm bojowy, wbudowany w nią przez pellegrini, który opatula ją jak chłodny koc. Obraz świata się zmienia, wszędzie widzi wektory i studnie grawitacyjne. Jej umysł zespala się z umysłem *Perhonen*. Bieg myśli przyspiesza.

Obiekty:

Perhonen;

rój trojańskich asteroid skupionych wokół 2006RJ103, dwustukilogramowej bryły kamienia zamieszkaney przez wolno myślące formy syntezy;

więzienie - odległy o trzydzieści sekund świetlnych diamentowy pączek z dziurką, punkt początkowy bieżącego wektora *Perhonen*, gęsty, ciemny i zimny;

nożostatki archontów, pędzące z przyspieszeniem pół g , znacznie szybciej niż delikatnie popychana żaglem świetlnym *Perhonen*. Dysze napędzanych antymaterią silników plują ognistymi słupami rozpraszanych wstecznie mezonów i promieni gamma;

Autostrada - odległy o dwadzieścia sekund świetlnych następny punkt na trasie *Perhonen*; nieustający potok statków i jedna z nielicznych doskonale niezmiennych powierzchni w newtonowskim koszmarze, jakim jest Układ Słoneczny ze swoim multum ciał niebieskich; arteria grawitacyjna, po której podróżuje się szybko i łatwo przy minimalnym wysiłku

energetycznym. Bezpieczny azyl, w tej chwili zbyt odległy.

W porządku, myśli Mielli. Tryb bojowy.

Budzi się technika Sbornosti, ukryta dotąd pod szafirową powłoką oortyjskiego koralu. Pająkostatek zmienia konfigurację. Rozproszone moduły skracają więzy, skupiają się i spajają w twarde, lity stożek. Powierzchnia miniaturowych kwantopunktowych lotek przestaje być idealnie refleksyjna i zmienia się w twardą jak diament zaporę.

W samą porę: zaraz potem uderzają w nią nanopociski archontów.

Pierwsza salwa jest delikatna jak muśnięcia puchu ostów, niczego nie przebija. Jednakże następna seria zaadaptuje się, zostanie zoptymalizowana, tak samo kolejna i dalsze, w nieskończoność, aż software lub hardware zapory nie wytrzyma i zawiedzie. A wtedy...

Musimy się dostać na Autostradę.

Mechanizmy jej umysłu niczym piły o diamentowych ostrzach przycinają gałęzie drzew wyrosłych z teorii gier. Ścieżek prowadzących do ocalenia jest wiele, tak jak znaczeń w oortyjskiej pieśni, a ona musi znaleźć tę jedną właściwą...

Następna salwa, nieprzeliczone igielki światła w wirtprzestrzeni. Tym razem któryś pocisk przedziera się przez zaporę i jeden z modułów magazynowych rozkwita w zdeformowaną szafirową narośl. Mielli spokojnie go odstrzeliwuje i patrzy, jak się oddala. Moduł cały czas mutuje i zmienia się w zwolnionym tempie, jak złośliwy guz wypuszczający dziwne organy i ostrzeliwujący *Perhonen* mikroskopijnymi zarodnikami. Mielli zestrzeliwuje je z laserów przeciwmeteorowych.

- To bolało - skarży się *Perhonen*.

- Obawiam się, że będzie bolało znacznie bardziej.

Mielli uruchamia dopalacz, który w jednym wybuchu spala cały awaryjny zapas antymaterii i popycha statek w głąb płytkiej studni grawitacyjnej 2006RJ103. Całe ciało *Perhonen* jęczy, gdy antyprotony z magnetycznego pierścienia magazynującego zmieniają się w rozpalone strugi plazmy. Część mocy przeznaczają na wzmocnienie więzów

energetycznych wbudowanych w kadłub programowalnych prętów materii.

Archontowie bez wysiłku doganiają pajakostatek i strzelają kolejną salwą.

Perhonen krzyczy, ale zanurzona w autyzmie bojowym Mielli bez przeszkód koncentruje się na bieżących zadaniach. W myślach formuje kwantopunktowy pocisk wokół dziwnocząstki w maleńkim luku torpedowym *Perhonen* i strzela do asteroidy.

W wirtprzestrzeni widać krótki błysk - to struga promieni gamma i egzotycznych barionów - a potem kamienna gruda zmienia się w fontannę światła, błyskawicę bez końca. Wirtprzestrzeń desperacko usiłuje za nią nadążyć, ale tonie w białym szumie. Obraz gaśnie. Mielli leci na ślepo, rozpościera skrzydła *Perhonen*. Wywołany niezwykłą śmiercią asteroidy wiatr cząstek chwyta statek i ciska nim w stronę Autostrady. Wskutek przyspieszenia Mielli staje się nagle bardzo ciężka; szafirowa konstrukcja śpiewa wokół niej.

Dopiero po chwili wirtprzestrzeń włącza się, otrząsa, odfiltrowuje szum i szaleństwo. Mielli wstrzymuje oddech, ale z rozlewającej się za rufą *Perhonen* powodzi światła nie wynurzają się czarne, przypominające zęby statki: albo zostały pochłonięte przez subatomowy obłęd, albo w zamęcie zgubiły trop. Odrzuca autyzm i napawa się chwilą triumfu.

- Udało nam się - mówi.

- Mielli? Żle ze mną.

Na kadłubie statku rozprzestrzenia się czarna plama, w środku której tkwi maleńki czarny odłamek, zimny i ciemny. Nanopocisk archontów.

- Wyjmij go.

Po wyjściu z autyzmu bojowego strach i odraza smakują jak żółć, ostra i gorzka.

- Nie mogę. Nie mogę go dotknąć. Ma smak więzienia.

Mielli wykrzykuje w myślach modlitwę do tej części umysłu, której dotknęła bogini Sbornosti. Pellegrini nie odpowiada.

Wokół mnie statek umiera.

Nie wiem, co dokładnie zrobiła Mielli, ale sądząc po miniaturowej supernowej, która przed chwilą zapłonęła w próżni, stawia ostry opór. Widzę jednak, jak nici czarnej pajęczyny przenikają szafir ścian. Tak właśnie działają archontowie: wnikają w głąb człowieka i zmieniają go w więzienie. Czuję ostrą woń palonych trocin, gdy nanoboty rozprzestrzeniają się coraz szybciej, zwalczając układy odpornościowe statku. Słysząc też zgiełk i huk, jakby płonął las.

To było zbyt piękne, żeby mogło długo trwać. Zasłużyłem.

Próbuję sobie przypomnieć dreszcz emocji, jakiego dostarczyła mi kradzież klejnotu Mielli. Może mógłbym go zabrać ze sobą? A może to tylko jeszcze jeden umierający sen? Nigdy nie wyszedłem na wolność, cały czas jestem w więzieniu wewnątrz więzienia... Słyszę szyderczy głos pod czaszką:

No proszę, Jean le Flambeur kapituluje. Więzienie cię złamało. Zasługujesz na to, żeby do niego wrócić. Niczym się nie różnisz od zepsutych wojmózgów, obłąkanych zabawek Sbornosti i zapomnianych trupów. Nawet nie pamiętasz jego przygód i dokonań. Nie jesteś nim, jesteś tylko wspomnieniem, któremu się wydaje...

Nie, do licha. Zawsze jest jakieś wyjście. Naprawdę znajdziesz się w więzieniu dopiero wówczas, gdy uwierzysz, że w nim jesteś. Bogini mi tak powiedziała. I nagle wiem, dokładnie wiem, co muszę zrobić.

- Statku?

Cisza.

- Statku! Muszę porozmawiać z Mielli!

Wciąż nic.

W kabinie robi się coraz cieplej. Muszę stąd wyjść. Skrzydła *Perhonen* płoną w próżni jak spętana zorza polarna. Pędzi z takim przyśpieszeniem, że w środku wytwarza się wyczuwalne ciężenie, co najmniej pół *g*, ale kierunki kompletnie się nie zgadzają: „dół” jest w okolicy tylnej ściany centralnej komory. Gramolę się z kabiny, łapię za uchwyty na osi i zaczynam się przesuwać w stronę kołyski pilota.

Poraża mnie ognisty podmuch i oślepiające światło - cały duży segment cylindra odrywa się od reszty i koziółkuje w przestrzeń, a mnie od próżni oddziela tylko cienka jak bańka mydlana ściana z kwantopunktów, która natychmiast wyrasta na jego miejscu. Za późno, żeby wyciąć źródło zakażenia: rozpalone kawałki szafiru wirują w powietrzu wokół mnie; jeden z nich, ostry jak brzytwa, zostawia mi na przedramieniu bolesne krwawe maźnięcie.

Jest naprawdę gorąco, zapach trocin stał się wszechobecny. Pochłaniająca ściany czerń rozpełza się coraz dalej, cały statek płonie i się zmienia. Serce tak mi wali w piersi, jakby garbaty dzwonnik z Notre Dame osobiście wprawiał je w ruch. Wspinam się coraz wyżej.

Przez szafirową ścianę zaglądam w głąb kołyski pilota: przewalają się w niej kłęby mgły użytkowej, w której pławi się Mielli. Ma zamknięte oczy.

Walę pięścią w drzwi.

- Otwieraj!

Nie wiem, czy jej mózg nie został uszkodzony - równie dobrze może już znajdować się w więzieniu, ale jeśli jeszcze do tego nie doszło, muszę ją wyciągnąć. Zapieram się o pręt na osi statku i kopię piętą w drzwi, ale nic z tego nie będzie, dopóki albo on, albo sam statek nie rozkaże inteligentnemu szafirowi, żeby się przede mną rozstał.

Szafir... Przypominam sobie minę Mielli, kiedy obudziłem się z erekcją. Na pewno wciąż odbiera bioodczyty z mojego ciała, tylko w tej chwili je odfiltrowuje. Jeśli jednak istnieje jakaś progowa wartość...

Do diabła z tymi rozmyślaniami, takie dumanie tylko utrudnia sprawę. Łapię przelatujący obok mnie długi i ostry odłamek szafiru i z całej siły wbijam go sobie w wierzch lewej dłoni. Zgrzyta o kość, rozdziera ścięgna, przecina żyły. Czuję się, jakbym podał rękę szatanowi, ból jest czerwony, czarny, nieustępliwy. Nozdrza wypełnia mi zapach krwi, która tryska z rany, obryzguje mnie i dużymi bezkształtnymi kroplami skapuje w próżnię pod moimi nogami.

To pierwszy prawdziwy ból, jaki odczuwam od chwili

uwolnienia. Jest w nim coś cudownego. Spoglądam na sterczącą mi z ręki niebieską drzazgę i wybucham śmiechem. Śmieję się do czasu, gdy ból okazuje się zbyt silny i muszę zacząć krzyczeć.

Ktoś mnie policzkuje. Mocno.

- Co ty sobie wyobrażasz, do diabła?

Mielli stoi w drzwiach kołyski i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. No, przynajmniej poczuła.

Pasemka beczynnej mgły użytkowej wirują wokół nas, jej szare drobiny powiększają chaos. Przywodzi na myśl spadające z nieba płatki popiołu w płonącym mieście.

- Mam plan. - Uśmiecham się jak wariat. Krwawię. - Zaufaj mi.

- Daję ci dziesięć sekund.

- Mogę go wywabić. Oszukać. Wiem, jak to zrobić. Wiem, jak myśli. Byłem tam bardzo długo.

- Dlaczego miałabym ci zaufać?

Podnoszę zakrwawioną rękę i wyciągam szafirową drzazgę. Rozlega się mlaśnięcie, a mnie zalewa oślepiająca fala bólu.

- Dlatego że wolałbym to sobie wbić w oko, niż tam wrócić - cedzę przez zęby. Przez chwilę wytrzymuje moje spojrzenie, a potem się uśmiecha, naprawdę się uśmiecha.

- Czego potrzebujesz?

- Dostępu roota do tego ciała. Wiem, co potrafi, potrzebuję tylko mocy obliczeniowej, większej niż w zwykłym elementarnym ciele.

Mielli wzdycha.

- Dobrze. Wywal drania z mojego statku.

Zamyka oczy. Pstryk. Coś przeskakuje mi w głowie.

Jestem rootem, korzeniem, a to ciało jest drzewem-światem, Yggdrasilem. W jego kościach znajdują się diamentowe mechanizmy, w komórkach tkwią wytwory techniki proteomicznej, a mózg jest potężnym tworem Sbornosti, zdolnym zarządzać całym światami. Moja ludzka psychika jest przy nim jak jedna strona książki wobec biblioteki Babel. Jakaś

cząstka mnie, ta wiecznie uśmiechnięta, od razu zaczyna myśleć o ucieczce: dzięki tej cudownej maszynie mógłbym tę cząstkę wystrzelić daleko w kosmos i zostawić moich wybawicieli moim prześladowcom. Wtedy jednak inna cząstka zaskakuje mnie stanowczym sprzeciwem: Nie.

Przemierzam dogorywający statek, wypatrując nanopocisku. Nie jestem już nieporadną małą, płynę gładko w powietrzu, korzystając z własnego napędu, jak miniaturowy statek kosmiczny. Tam jest! - podpowiadają mi wyostrzone zmysły. Wgryza się w moduł fabrykatora na drugim końcu cylindra. To stamtąd rozprzestrzenia się materia więzienia.

W myślach jednym gestem kopiuję wirtprzestrzeń *Perhonen* i rozkazuję szafirowemu ciału, żeby się otworzyło. Zmienia się w miękki, wilgotny żel. Wciskam w niego rękę, głęboko, łapię pocisk i go wyrywam. Jest maleńki, niewiele większy niż komórka organizmu, ale ma kształt czarnego kła i ostre korzenie. Moje ciało chwyta go kwantowymi mackami. Unoszę go do oczu: takie maleństwo, a zawiera co najmniej jeden umysł archonta, nieustannie szukający obiektów, które mogłyby zamienić w więzienie.

Wkładam go do ust, mocno zgryzam i przełykam.

Archont jest szczęśliwy.

W pierwszej chwili, gdy posmakował złodzieja, wyczuł jakąś niedoskonałość, dysonans, jakby złodziei było dwóch, nie jeden.

Poza obrębem więzienia-matki świat bywa dziwny. Gry nie są czyste. Fizyka jest stara i brudna, a nie doskonała jak uprawiana przez archontów gra - perfekcyjna w swej prostocie, a zarazem wielością decyzji wyrażająca całą istotę matematyki. Dlatego zadaniem archonta jest przetwarzanie materii na kolejne więzienia, bo w ten sposób zwiększy się czystość wszechświata, którą archontowie ukochali za sprawą ojca, Inżyniera Dusz. Tak się naprawia świat.

Ten kąsek materii doskonale się nadaje na więzienie. Archontowi cieknie ślinka na myśl o wzorcach, jakie wytworzą

się w powtarzanych w nieskończoność Dylematach. Jego kopioojciec odkrył wzorzec zdrajcy, który smakuje jak lody pekanowe; rodzinę strategii replikacyjnych przypominającą generator szybowców w „Grze w życie”. Może i on znajdzie coś nowego tutaj, na swojej własnej małej planszy.

Z daleka, bardzo daleka dobiega przenoszony kwantolączem szept jego kopiobraci, którzy wciąż skarżą się na ból, jakiego przysporzyła im ucieczka złodzieja i wykrycie anomalii. Archont odpowiada im, że wszystko naprawi, znajdzie coś nowego i wkrótce wrócą do więzienia-matki.

Spogląda w dół, na kratownicę cel, w których zamieszkują malutcy złodzieje, motyle i oortyjskie kobiety, kiedy wyszuka ich w słodkiej materii. Wkrótce gra znów się rozpocznie. Lada chwila.

Archont spodziewa się, że będzie smakowała jak sorbet cytrynowy.

- To magia - wyjaśniam. - Wiesz, jak się robi sztuczki magiczne?

Znów jestem człowiekiem. Wspomnienie poszerzonych zmysłów i ogromnej mocy obliczeniowej słabnie, lecz nadal przypomina fantomowy ból amputowanej kończyny.

Poza tym, oczywiście, mam w sobie archonta, który pracuje bez wytchnienia, zamknięty w moich kościach jak w komputerowej zamrażarce.

Siedzimy w jednym z ciasnych modułów magazynowych, wirującym na uwięzi w celu zapewnienia ciężenia. *Perhonen* się naprawia. Ze wszystkich stron otacza nas lśniąca rzeka innych statków, rozproszonych na obszarze tysięcy kilometrów sześciennych, ale powiększonych, kiedy ogląda się je przez nasz kadłub: zokijskie statki pokoleniowe z podkreconymi silnikami siejące odpadami cieplnymi na wszystkie strony, dla których jeden dzień rejsu jest jak tysiącletnia podróż; wielorybowate cichosze z zamkniętymi w środku miniaturowymi zielonymi słońcami; myśłosmugi Sbornosti unoszące się wszędzie niczym świetliki.

- To naprawdę nic trudnego. Prosta neurobiologia. Kluczem jest odwrócenie uwagi.

Mielli udaje, że nie słyszy. Nakrywa stojący między nami stolik. Stawia na nim oortyjskie dania: dziwne przezroczyste sześciany fioletowej barwy, jakieś wijące się syntezycie, równo pokrojone wielokolorowe owoce (doskonale wyfabrykowane), dwa małe kieliszki. Jej ruchy są oficjalne i spokojne, jakby rytualne. Nadal nie zwracając na mnie uwagi, wyjmuje z szafki na ścianie butelkę.

- Co robisz? - pytam.

Spogląda na mnie z twarzą kompletnie bez wyrazu.

- Świętujemy.

- Słusznie. - Uśmiecham się szeroko. - Długo to trwało, zanim w końcu odkryłem, że w umysłach ze Sbornosti można zaindukować ślepotę na szczegóły. Podmieniłem archontowi wejściowe informacje sensoryczne: podłączyłem go do symulacji bazującej na wirtprzestrzeni *Perhonen*. Nadal wydaje mu się, że buduje więzienie. Bardzo, bardzo powoli.

- Rozumiem.

Mielli marszczy brwi i przygląda się butelce. Najwyraźniej nie wie, jak ją otworzyć. Jej brak zainteresowania moim genialnym planem zaczyna mnie irytować.

- Zobacz, to się robi tak. - Dotykam łyżki, chwytam ją delikatnie, wykonuję taki ruch, jakbym chciał ją zamknąć w dłoni, podczas gdy w rzeczywistości w tej samej chwili łyżka już ładuje mi na kolanach. Unoszę obie ręce. Są puste. - Widzisz? Zniknęła.

Zaskoczona Mielli otwiera usta. Zaciskam lewą pięść.

- Albo tylko zmieniła kształt - dodaje.

Otwieram dłoń, na której wije się znajoma bransoletka z kostki. Podaję ją Mielli, jakbym składał ofiarę. Widzę w jej oczach wściekły błysk, ale powoli wyciąga rękę i zabiera bransoletkę.

- Nie rób tego - mówi. - Nigdy więcej tego nie rób.

- Obiecuję - mówię i nie kłamię. - Od tej pory oboje jesteśmy zawodowcami. Umowa stoi?

- Stoi - przytakuje z napięciem Mielli. Biorę głęboki wdech.

- Statek mi powiedział, co zrobiłaś. Przeszłaś przez piekło, żeby mnie wydostać. Co to jest, na czym tak bardzo ci zależy?

Nie odpowiada. Zaciska dłoń na nakrętce i mocnym skrzętem nadgarstka otwiera butelkę.

- Przemyślałem twoją propozycję - ciągnę. - Nie wiem, co mam ukraść, ale ukradnę to. Obojętne dla kogo pracujesz. Co więcej, zrobię to po twojemu; jestem ci to winien. Powiedzmy, że to dług honorowy.

Nalewa wino. Żłoty trunek płynie wolno, więc trwa to dobrą chwilę. Czekam, aż skończy, i podnoszę kieliszek.

- Wypijemy za to?

Szczękają kieliszki; wznoszenie toastów przy zmniejszonym ciśnieniu to sztuka. Pijemy.

Thanisch-Erben Thanisch, rocznik 2343. Słaby aromat zapalczanego drewna, wciąż wyczuwalny w starszych butelkach. Bywa nazywane Thaddeusatem, Tchnieniem Thaddeusa. Skąd ja to wiem?

- To nie ciebie potrzebuję, złodzieju, lecz tego, kim byłeś - wyjaśnia Mielli. - I to jest pierwsza rzecz, jaką musimy ukraść.

Wytrzeszczam oczy, napawając się wonią Tchnienia Thaddeusa. Zapach przynosi wspomnienia, całe lata bycia innym człowiekiem, które wlewają się we mnie

jak wino do kieliszka.

- Średniego wzrostu, silny, umięśniony, z odrobiną zapachu - mówi on z uśmiechem, patrząc na nią przez kieliszek rieslinga, który wygląda jak płynne światło.

- Kogo nazywasz silnym i umięśnionym? - pyta ona i parska śmiechem.

Wydaje mu się, że już należy do niego, ale w rzeczywistości to on należy do niej, jest jej własnością na długie lata wypełnione miłością i winem, spędzone w Kazamatach.

To on ukrył to wspomnienie. To ja je ukryłem. Steganografia umysłowa. Efekt Prousta. Wspomnienie skojarzone, zamknięte w miejscu, do którego nie dotrą archontowie, i wyzwalone zapachem, na który nie można się napatoczyć przypadkiem w więzieniu, gdzie nie ma jedzenia ani picia.

- Jestem geniuszem - mówię.

Mielli się nie uśmiecha, ale delikatnie mruży oczy.

- W takim razie lecimy na Marsa - odpowiada. - Do Kazamat.

Przechodzi mnie dreszcz. Najwidoczniej w tym ciele - i umyślenie mogę liczyć na prywatność. Kolejne panoptikum. Kolejne więzienie - które jednak w kategorii więzień plasuje się znacznie wyżej od poprzedniego: piękna kobieta, tajemnice, smaczne jedzenie, morze statków unoszące nas ku przygodzie.

Uśmiecham się.

- Do miejsca zapomnienia. - Wznoszę toast. - Za nowe początki.

Mielli bez słowa pije ze mną. Żagle *Perhonen* są jak lśniące rozcięcia w przestrzeni, gdy wypełnione światłem niosą nas po Autostradzie.

ROZDZIAŁ 3

DETEKTYW I CZEKOLADOWA SUKIENKA

Isidore jest zaskoczony, że fabryka czekolady pachnie skórą. Konsze napełniają ją zgiełkiem, który odbija się echem od wysokich ceglanych ścian. Bulgocą kremowej barwy rurki. Walce poruszają się w przód i w tył w kadziach ze stali nierdzewnej, wydobywając miarowymi jak bicie serca mlaśnięciami aromat czekoladowej masy.

Na podłodze, w kałuży czekolady, leży martwy człowiek. Oświetla go blady promień porannego marsjańskiego światła, wpadający przez wysoko umieszczone okno. Trup wygląda jak czekoladowa personifikacja cierpienia; żyłasta postać z piety, z zapadniętymi skrońmi i rzadkim wąsem. Oczy ma otwarte, wręcz wybałuszone, bo widać białka, ale poza tym całe ciało jest pokryte warstwą lepkiego brązu i czerni, wylanego z kadzi, na krawędzi której wciąż zaciska palce, jakby próbował się w niej utopić. Biały fartuch i ubranie są jak czekoladowy test Rorschacha.

Isidore mignięciem podłącza się do egzopamięci Kazamat, co pozwala mu rozpoznać twarz mężczyzny, jakby należała do starego przyjaciela.

Marc Deveraux. Trzecie Szlachetne wcielenie. Cukiernik. Żonaty. Jedna córka.

Już ten pierwszy fakt przyprawia Isidore'a o mrowienie na kręgosłupie; jak zawsze u zarania tajemnicy, czuje się jak dziecko rozpakowujące prezent. Pod tą czekoladą i śmiercią kryje się coś, co ma głębszy sens.

- Makabra - rozlega się chrapliwy, dziwnie zwielokrotniony głos.

Isidore aż podskakuje. Przemówił, rzecz jasna, Dzentelmen, stojący po drugiej stronie zwłok i oparty na lasce. Gładkie

metaliczne jajo jego twarzy odbija światło słońca i ostro odcina się od cylindra i długiego płaszcza z czarnego aksamitu.

- Kiedy mnie pan wezwał, nie wiedziałem, że chodzi o kolejny przypadek piractwa gogolowego - mówi Isidore.

Stara się mówić niedbałym tonem, ale nieuprzejmie byłoby ukrywać emocje pod gevulotem, więc w jego głosie pobrzmiwa nutka entuzjazmu. Dopiero trzeci raz spotyka cadyka osobiście; współpraca z jednym z czcigodnych strażników Kazamat nadal jest dla niego urzeczywistnieniem dziecięcych snów. Nie spodziewał się, że Dzentelmen wezwie go do sprawy kradzieży umysłowej. Cadykowie przysięgają bronić czołowych umysłów Kazamat przed kopiowaniem przez agentów Sbornosti i innych organizacji.

- Przepraszam - mówi Dzentelmen. - Następnym razem postaram się o coś bardziej dziwaczного. Proszę przyjrzeć mu się z bliska.

Isidore wyjmuje lupę - zokijskie cacko, prezent od Pixil, gładki krążek intelmaterii na mosiężnej ręczce - i ogląda przez nią ciało. Nagle ze wszystkich stron otaczają go naczynia krwionośne, tkanka mózgowa i obrazy komórek, pławi się w archeologii martwego metabolizmu jak w morzu pełnym egzotycznych stworzeń. Znowu musi mignąć, tym razem na widok niezrozumiałych informacji medycznych, i krzywi się, gdy lekki ból głowy zapowiada okopywanie się faktów w pamięci krótkoterminowej.

- To rodzaj... infekcji wirusowej. - Marszczy brwi. - Retrowirus. W komórkach mózgu stwierdzono występowanie anormalnej sekwencji genetycznej, pochodzącej z jakiegoś archeonu. Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać?

Nigdy mu się nie śpieszy do przesłuchiwania wskrzeszonych ofiar zbrodni. Ich wspomnienia są poszatkwane, a niektórzy zabici nie chcą się wyzwolić z tradycyjnej w Kazamatatach obsesji na punkcie prywatności, nawet jeśli miałyby to służyć wytopieniu ich zabójcy albo rozwiązaniu sprawy piractwa gogolowego.

- Możliwe, że nigdy - odpowiada Dzentelmen.

- Jak to?

- To był optogenetyczny transfer czarnej skrzynki, bardzo toporna metoda; musiał okrutnie cierpieć. Stara sztuczka, sprzed Upadku. Testowali ją na szczurach. Zaraża się obiekt wirusem, który uwrażliwia neurony na żółte światło. Następnie całymi godzinami stymuluje się mózg laserem, śledzi wzorce wypalania komórek i programuje czarną skrzynkę w taki sposób, żeby je naśladowała. Stąd właśnie się biorą te dziurki w czaszce: tędy wchodzą światłowody. Macki transferowe. - Cadyk dłonią w rękawiczce delikatnie rozgarnia przerzedzone włosy cukiernika: na skórze widać maleńkie czarne punkciki rozmieszczone w kilkucentymetrowych odstępach. - Przy okazji powstaje masa zbędnych danych, ale można w ten sposób obejść gevulot. Następuje całkowite przemieszanie zawartości egzopamięci, czyli, w praktyce, śmierć. Przyczyną śmierci ciała była arytmia serca. Wskrzesiciele pracują nad jego następcą, ale szanse są niewielkie. Chyba że ustalimy, gdzie podziały się dane.

- Rozumiem. Rzeczywiście, miał pan rację: to bardzo interesujące, jak na przypadek piractwa gogolowego.

Isidore nie jest w stanie ukryć niesmaku w głosie, gdy wypowiada te słowa. Gogol - inaczej martwa dusza - to umysł ludzki w postaci cyfrowej, zniewolony i przymuszony do wykonywania wyznaczonych zadań. Przedmiot nienawiści każdego mieszkańca Kazamat.

Zazwyczaj piractwo gogolowe - transfer bez wiedzy ofiary, czyli po prostu kradzież osobowości - opiera się na inżynierii społecznej.

Piraci wkradają się w łaski nieszczęśnika, zyskują jego zaufanie i po trochu niszczą jego gevulot - do chwili, gdy mogą przypuścić brutalny, bezpardonowy, siłowy atak. Ale coś takiego...

- Węzeł gordyjski - powiedział. - Rozwiązanie proste i eleganckie.

- Nie użyłbym słowa „eleganckie”, mój chłopcze. - W głosie cadyka pobrzmiwa złość. - Chcesz zobaczyć, co mu się stało?

- Zobaczyć?

- Byłem już u niego. Wskrzesiciele nad nim pracują.

Paskudny widok.

- Aha... - Isidore z wysiłkiem przełyka ślinę. Śmierć jest o wiele mniej makabryczna niż to, co się dzieje później. Na myśl o tym dłonie zaczynają mu się pocić, ale jeśli chce w przyszłości być cadykiem, nie może się bać świata podziemnego. - Naturalnie. Jeżeli uważa pan, że to mi się przyda...

- Z pewnością.

Dzientelmen wyciąga przed siebie ręce i przesyła mu egzowspomnienie. Isidore je przyjmuje, mile połączony intymnością tego gestu - i nagle przypomina sobie odwiedzin wśród pracujących wskrzesicieli, w pokoju pod ziemią, gdzie przenoszą zachowane w egzopamięci umysły do świeżo wyfabrykowanych ciał. Odtworzony cukiernik leży w kadzi syntebiolologicznej, jakby brał kąpiel. Doktor Ferreira dotyka czoła nieruchomej postaci ozdobną karafką z brązu. Błysk białek oczu, wibrujący w powietrzu krzyk, młóćące ramiona, głuchy trzask wyłamanej z zawiasów szczęki...

Od zapachu skóry Isidore'owi zbiera się na mdłości.

- To... potworne.

- I, niestety, bardzo ludzkie. Jest jednak nadzieja. Jeżeli odzyskamy dane, doktor Ferreira uważa, że uda się usunąć z egzopamięci cały szum i odtworzyć ofiarę jak należy.

Isidore bierze głęboki wdech i czeka, aż gniew rozpułynie się w spokojnej kałuży tajemnicy.

- Domyślasz się, dlaczego tu jesteś?

Isidore wyęcza zmysł gevulotowy - wyostrzoną u każdego obywatela Kazamat świadomość ustawień prywatności w otaczającej go intelmaterii. Fabryka jest śliska. Poszukiwanie w egzopamięci wydarzeń, które tutaj zaszły, przypomina chwytnie powietrza.

- To był dla niego bezpieczny azyl - mówi na głos. - Miejsce prywatne. Przypuszczam, że nawet najbliższym nie udostępnił jego gevulotu.

Do pomieszczenia wchodzi trzy małe bioboty - przypominają ogromne, zwinne pająki, jaskrawozielone i fioletowe. Przystawiają dźwignie i pokręta konszy. Dudnienie przypominające bicie serca staje się odrobinę głośniejsze.

Jeden z biobotów odwraca się do Dzentelmena i chudymi odnóżami muska płaszcz, ale po szturchnięciu laską czmycha.

- Zgadza się - mówi cadyk. Robi krok i staje tak blisko Isidore'a, że ten widzi w jego srebrnej, owalnej twarzy swoje zniekształcone odbicie: ma potargane włosy i zaczerwienione policzki. - Jeżeli chcemy zrekonstruować przebieg wydarzeń, musimy to zrobić po staremu. Ja zaś z bólem muszę przyznać, że masz do tego talent.

Cadyka otacza dziwny, jakby korzenny zapach. Isidore ma wrażenie, że metaliczna maska promieniuje ciepłem. Cofa się i odkasłuje.

- Zrobię co w mojej mocy, naturalnie - zapewnia, udając, że spogląda na Zegarek: pozbawiony ozdób miedziany krążek na przegubie dłoni, z jedną wskazówką, odmierzający czas, jaki pozostał mu do Wyciszenia. - To nie potrwa długo - dodaje. Drżący głos nie brzmi tak nonszalancko, jak by tego chciał. - Wieczorem idę na przyjęcie.

Dzentelmen nic nie mówi. Isidore wyobraża sobie, że pod maską uśmiecha się cynicznie.

Następna maszyna ożywa z głośnym charkotem. Wygląda na znacznie bardziej skomplikowaną niż konsze. Ozdobne kształty i użyty do budowy mosiądz zdradzają konstrukcję z czasów Królestwa. Fabrykator. Tańczące mechaniczne ramię miarowymi pociągnięciami atomowego pędzla maluje na metalowej tacy równiuteńki rzędek makaroników. Roboty pakują słodycze do pudełek i wynoszą je z hali.

Isidore kręci z dezaprobatą głową - tradycyjny rzemieślnik z Kazamat nie powinien korzystać z wytworów zaawansowanej techniki. Jednakże widok urządzenia z czymś mu się kojarzy. Ogląda maszynę z bliska. Taca jest pokryta cieniutką warstwą czekoladowego osadu.

- Muszę mieć dostęp do wszystkiego, co udało się wam zdobyć i ustalić - mówi.

- Sprzedawczyni ze sklepu firmowego znalazła ciało.

Dyskretnym ruchem ręki w białej rękawiczce Dzentelmen przekazuje Isidore'owi następne egzowspomnienie: twarz i nazwisko.

Isidore zna ją z widzenia: Siv Lindstróm. Śniada skóra, śliczna buzia, włosy jak fale ciemnego kakao.

- Rodzina zgodziła się z nami porozmawiać... Co robisz?

Isidore wkłada do ust kawałek czekolady z tacy fabrykatora. Miga najszybciej jak umie i krzywi się z bólu, gdy głowę rozsadzają mu cudze wspomnienia. Rozpoznaje delikatną goryczkę żurawiny i niezwykle *terroir* gleby w Dolinie Nanedi. Coś jest nie tak z tą czekoladą, ta jej dziwna kruchość... Staje nad ciałem cukiernika i kosztuje czekolady z kadzi w rękach trupa - która, oczywiście, smakuje idealnie.

Historia cukiernika formuje się, nieproszona, w jego głowie, nakreślana kolejnymi pociągnięciami pędzla, jak przed chwilą makaroniki.

- Szukam prawdy - odpowiada Isidore. - Chciałbym porozmawiać z tą sprzedawczynią.

Wracając do miasta przechodzą z Dzentelmenem przez Żółwiowy Park.

Już sam ten fakt jest miarą sukcesu cukiernika. Fabryka czekolady - budynek z czerwonej cegły ozdobiony olbrzymim malowidłem przedstawiającym ziarna kakaowca - stoi w jednej z najlepszych dzielnic. Park - kawałek łagodnie pofalowanej zielonej przestrzeni, o przekątnej około trzystu metrów (podobnie jak wszystkie zazębiające się elementy Miasta) - porusza się na zrobotyzowanej platformie kroczącej. Połączeni jest upstrzona wysokimi, wdzięcznymi willami z epoki Królestwa, które młodzi i zasobni w czas mieszkańcy Kazamat restaurują i włączają w tkankę miejską. Isidore nigdy nie rozumiał, dlaczego niektórzy jego rówieśnicy odczuwają potrzebę przepuszczania czasu na dobra materialne i usługi; dlaczego tak im zależy na spędzeniu życia Szlachetnego w krótkotrwałym luksusie, zanim nadejdą długie lata mozołu w roli wyciszonych. Zwłaszcza kiedy nie brakuje tajemnic do rozwikłania.

Mimo że park jest ogólnodostępny, nie jest agorą, i spacerując po wysypanych piaskiem ścieżkach, mijają

kilkanaście osób okrytych gevolotami; otulająca ich mgiełka prywatności migocze jak poranny opar unoszący się nad okolicznymi trawnikami.

Jest zimno, Isidore wciąga ręce w rękawy. Chciałby побыć przez chwilę sam ze swoimi myślami, zatem przyśpiesza; ma długie nogi i zwykle udaje mu się utrzymać dystans do innych przechodniów, ale Dzentelmen bez wysiłku dotrzymuje mu kroku.

Nudzisz się, co?

Kwantoprzekaz od Pixil jest niespodziewany. Jej głosowi towarzyszy mętlik emocji, smak espresso, dziwna, nazbyt czysta woń zokijskiej kolonii.

Isidore pociera pierścień splątaniowy na palcu wskazującym prawej ręki - srebrną obrączkę z maleńkim niebieskim kamieniem, przemawiającą wprost do jego mózgu. Nie przyzwyczał się jeszcze do stosowanej przez zoku metody komunikacji: przesyłanie wiadomości bezpośrednio z mózgu do mózgu poprzez kwantowy kanał teleportacyjny to sposób brutalny i bardzo inwazyjny w porównaniu z popularnym w Kazamatach współpamiętaniem. Współpamiętanie jest subtelne: informacje wprowadza się do egzopamięci adresata, który następnie raczej je sobie przypomina niż odbiera. Jednakże - jak to zwykle bywa z Pixil i jej ludem - wszystko jest kwestią kompromisu.

Nie do wiary: wystarczy, że twój kumpel cadyk pstryknie palcami, i już mnie zostawiasz, żebym sama szykowała się na imprezę. A teraz w dodatku jesteś znudzony.

Nie jestem, protestuje, ale robi to zbyt pośpiesznie i natychmiast uświadamia sobie, że to zła odpowiedź.

Cieszę się, bo jeśli się spóźnisz, więcej się do ciebie nie odezwę. Przekazowi towarzyszy jednoznacznie erotyczne wrażenie dotyku gładkiego materiału, jak delikatna pieszczota. Zastanawiam się, w co się ubrać. Wkładam różne rzeczy, potem je zdejmuję... Mogłaby to być ciekawa gra, w której przydałaby mi się twoja pomoc. Ale nie, to nie. Twoja strata.

Ostatnia noc była jedną z najlepszych. Spędzili ją w mieszkanku Isidore'a w Labiryncie, tylko we dwoje, nic ich nie

rozpraszało. On gotował, a potem ona pokazała mu wymyśloną przez siebie nową zabawę sypialnianą, która okazała się niezwykle podniecająca - fizycznie i intelektualnie. Później jednak ona zasnęła, a on nie mógł spać. Trybiki jego mózgu kręciły się na jałowym biegu, szukając regularności w jej włosach rozsypanych na jasnej skórze pleców.

Zastanawia się nad właściwą odpowiedzią, ale na razie ugrzązł na dobre w nieżyjącym cukierniku.

To zwykli gogolowi piraci, nadaje w odpowiedzi. Nie zabawię długo. Ani się obejrzysz, jak wrócę.

Odpowiedzi towarzyszy westchnienie.

To. Bardzo. Ważne. Całe moje zoku tam będzie. Całe zoku, rozumiesz? Przyjdą, żeby zobaczyć mnie, buntowniczkę, i mojego głupiego, prymitywnego chłopaka z Kazamat. Masz dwie godziny.

Całkiem nieźle mi tu idzie...

Dwie. Godziny.

Pixil...

A wiesz, że mogłabym ci popsuć zabawę? Mogłabym ci powiedzieć, kim jest ten twój cadyk. Chciałbyś?

Isidore jest prawie pewien, że to blef. Zokijska technika kwantowa daje Pixil ogromne możliwości, dalece przekraczające potencjał starej techniki Kazamat, ale cadykowie dobrze strzegą sekretu swojej tożsamości. A jednak sama myśl o tym, że traci okazję odkrycia takiej tajemnicy i dopasowania ostatniego elementu układanki, napawa go lękiem. Zanim zdąży się powstrzymać, jego strach przepływa przez łącze jak impuls, jak uderzenie serca, szybki i gęsty.

Widzisz? Bo to właśnie o to chodzi. Baw się dobrze, draniu.
Pixil znika.

- Co słyhać u młodej Pixil? - pyta Dzentelmen. Isidore nie odpowiada. Usiłuje przyspieszyć kroku.

Sklep z czekoladą znajduje się przy jednym z handlowych zaułków odchodzących od Skraju, szerokiej alei biegnącej łagodnym łukiem wzdłuż południowej granicy miasta. Tutejsze

platformy są stosunkowo duże, a ich układ stabilny, dlatego istnieją mapy tych okolic i z tego też powodu wielu gości z innych planet przybywa właśnie tutaj, żeby posmakować atmosfery Kazamat. Restauracje i kawiarnie dopiero się otwierają; właściciele włączają grzejniki, żeby pierwszym klientom łatwiej było znieść marsjański chłód. Fioletowozielone bioboty skupiają się wokół grzejników, wyciągając ku nim patykowate odnóża.

Dżentelmen przystaje przed wąską witryną, w której wystawiono imponujące towary: kulę wielkości piłki nożnej ozdobioną wielokolorową posypką, która wygląda jak wierny model Deimosa z czasów Królestwa, oraz zwieszający się z sufitu ozdobny żyrandol - jedno i drugie jest zrobione z czekolady. Jednakże to inny przedmiot, większy, zwraca uwagę Isidore'a: suknia - surowa, z wysokim kołnierzem i powłóczystą spódnicą, przewiązana w pasie szarfą, zamrożona w czekoladzie jak na fotografii.

Kiedy cadyk otwiera drzwi, słychać dźwięk mosiężnego dzwoneczka.

- Jesteśmy na miejscu - mówi. - Twoja przyjaciółka powiedziała by pewnie, że gra się rozpoczęła. Będę w pobliżu, ale nie będę się odzywał. - I nagle znika, rozplywa się jak senna mara w mdłym słońcu poranka.

Sklep jest wąski, podłużny. Po lewej stronie ciągnie się długi kontuar z oszkloną gablotą, po prawej jasno oświetlone półki z towarem. W powietrzu unosi się przyjemny słodki zapach czekolady i karmelu, w niczym nieprzypominający wszechobecnej w fabryce woni skór. Ręcznie formowane pralinki lśnią w gablocie jak insekty z błyszczącymi skrzydełkami. Pokazowe eksponaty - ozdobne rzeźby z czekolady - stoją na półkach po prawej stronie. Jest wśród nich skrzydło motyla, wysokie jak dorosły mężczyzna i ozdobione wizerunkiem kobiecej twarzy, oraz coś, co wygląda niewiarygodnie - cienka maska pośmiertna wykonana z czekolady w terakotowym odcieniu.

Na moment uwagę Isidore'a przykuwają czekoladowe czerwone trzewiczki z długimi sznurówkami. Kataloguje je w

pamięci na później: jeśli nastrój Pixil się nie zmieni, może się okazać konieczna jakaś ofiara z jego strony.

- Szuka pan czegoś specjalnego?

Głos brzmi znajomo, Isidore kojarzy go z tym z egzopamięci. Siv Lindstróm. W egzowspomnieniu była mniej zmęczona, teraz jej śliczną buzię przecinają zmarszczki, ale błękitny uniform sklepowy jest idealnie wyprasowany, a włosy starannie ułożone. Zegarki obojga wymieniają standardowy gevulot zakupowy: ona dowiaduje się, że klient nie zna się na czekoladzie, ale ma dość czasu, żeby było go stać na ewentualny zakup, on zaś robi przegląd publicznych egzowspomnień na temat sklepu i jej samej. Jej gevulot z pewnością skrywa jakąś reakcję emocjonalną, ale wobec Isidore'a jest idealną sprzedawczynią.

- Mamy spory wybór makaroników - mówi Siv. - Świeżutkie, prosto z fabryki. Wskazuje ladę, przy której uwija się biobot - Isidore widział go już wcześniej - uzupełnia zapasy słodczy, układając je w schludnych rzędkach.

- Myślałem o czymś bardziej... konkretnym - mówi Isidore i pokazuje sukienkę na wystawie. - Czymś takim. Mógłbym ją obejrzeć?

Sprzedawczyni wychodzi zza lady i otwiera szklaną przegrodę oddzielającą witrynę od wnętrza sklepu. Chodzi w szarpanym rytmie, lekko szurając nogami, w sposób typowy dla starych Marsjan, którym brakuje ziemskiego ciężenia; jak pies, którego bito tak często, że odruchowo spodziewa się uderzenia, nawet kiedy doznaje pieśszoty.

Z bliska Isidore docenia detale sukienki, złudzenie powłóczystości materiału, intensywność kolorów.

Może jednak się myłę...

W tej samej chwili czuje drgnienie gevulotu sprzedawczyni. A może nie.

- No cóż, to z pewnością wyjątkowa rzecz - mówi Siv. Jej głos nawet nie drgnął. - Sukienka jest wzorowana na stroju arystokratki z Dworu Olimpijskiego i wykonana z czekolady Trudelle'a. Próbowaliśmy czterech różnych mieszanek, zanim udało się osiągnąć właściwy efekt; sześćset składników

aromatycznych, które trzeba zmieszać w idealnych proporcjach. Czekolada bywa kapryśna, trzeba się przy niej stale mieć na baczności.

- Interesujące...

Isidore próbuje naśladować ton zblazowanego młodzieńca, który ma aż nadto czasu na wszelkie zachcianki. Wyjmuje lupę i przygląda się rąbkowi sukni. Zamaszysty zawijas staje się krystaliczną siecią molekuł cukru i innych składników. Sięga do swoich świeżych czekoladowych wspomnień, ale wtedy interweniuje sklepowy gevulot, reagujący na niepożądane naruszenie prywatności. Obraz w lupie się rozmywa.

- Co pan robi? - pyta Lindström. Patrzy na niego takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zobaczyła go po raz pierwszy.

Isidore z marsem na czole obserwuje biały szum w szkle powiększającym.

- Niech to szlag, prawie się udało... - Posyła Lindström swój najlepszy uśmiech, o którym Pixil mówi, że starszym kobietom miękną od niego nogi. - Mogłaby jej pani spróbować? Tej sukienki...

Sprzedawczyni spogląda na niego z niedowierzaniem.

- Słucham?

- Najmocniej przepraszam, powinienem był uprzedzić... - mityguje się Isidore. - Prowadzę śledztwo w sprawie wypadku pani pracodawcy.

Uchyła gevulotu na tyle, żeby mogła sprawdzić jego nazwisko. Jej zielone oczy zasnuwają się na ułamek sekundy mgłą, gdy sprawdza go mignięciem i bierze głęboki wdech.

- Czyli to pan jest tym cudotwórcą, o którym wszyscy mówią. Ponoć widzi pan rzeczy niewidoczne dla cadyków. - Wraca za ladę. - Jeżeli nie zamierza pan niczego kupić, proszę, żeby pan wyszedł. Staram się, żeby sklep normalnie funkcjonował; on by tego chciał. Powiedziałam im już wszystko, co wiem. Dlaczego miałabym z panem rozmawiać?

- Bo inaczej pomyślą, że miała pani z tym coś wspólnego.

- Ale czemu? Dlatego że go znalazłam? Ledwie znałam jego nazwisko.

- Dlatego że wszystko pasuje. Jest pani z Pierwszego

Pokolenia, to widać po tym, jak się pani porusza. To znaczy, że przeżyła pani prawie sto lat w Wyciszeniu, a wtedy z człowiekiem dzieją się różne dziwne rzeczy. Niektórzy chcą potem znów stać się maszynami. I piraci gogolowi mogą do tego doprowadzić, za odpowiednią cenę. Gdyby, na przykład, wyświadczyła im pani przysługę, pomogła skraść umysł słynnego na całym świecie cukiernika...

Jej gevulot całkiem się zamyka i Siv staje się niewyraźnym szablonem człowieka w kokonie prywatności. Isidore uświadamia sobie, że stał się dla niej nikim, nie-bytem - ale trwa to tylko ułamek sekundy, bo zaraz znów ją widzi: stoi z pięściami przyciśniętymi do piersi, jakby próbowała coś w sobie zatrzymać. Zbielałe kostki kontrastują ze śniadą skórą.

- To nie tak było - mówi półgłosem.

- Nie tak - zgadza się Isidore. - Mielicie romans.

Jej Zegarek łaskocze jego umysł. Siv oferuje mu kontrakt gevulotowy, jak ostrożny uścisk dłoni. Isidore przyjmuje propozycję. Następne pięć minut rozmowy nie trafi do jego egzopamięci.

- Naprawdę jest pan inny niż tamci? Niż cadykowie?

- Tak - przytakuje Isidore. - Jestem inny.

Siv bierze do ręki pralinę.

- Ma pan pojęcie, jak trudna jest produkcja czekolady? Jak bardzo czasochłonna? On mi pokazał, że czekolada różni się od innych słodczy, że można przelać w nią część siebie, uformować ją własnymi rękami. Stworzyć coś prawdziwego. - Trzyma czekoladkę w stulonej dłoni jak talizman. - Wiele lat przeżyłam w Wyciszeniu. Pan jest jeszcze młody, nie wie pan jakie to uczucie: jesteś sobą, a zarazem nie jesteś. Ta część ciebie, która mówi, robi inne rzeczy, wykonuje mechaniczne czynności, aż po jakimś czasie ma się wrażenie, że tak już powinno być zawsze. Nie możesz się odnaleźć, dopóki ktoś ci nie pomoże. - Odkłada roztapiającą się powoli pralinę. - Wskrzesiciele mówią, że nie da się go przywrócić do życia.

- Wciąż jest nadzieja, panno Lindström. Ale musi mi pani pomóc.

Siv spogląda na czekoladową sukienkę.

- Razem ją zrobiliśmy. Kiedyś taką miałam, dawno temu, w Królestwie... - Przenosi wzrok w nieokreśloną dal. - Właściwie czemu nie? Spróbujmy, jak smakuje, przynajmniej w jego wspomnieniach.

Wyjmuje spod lady jakiś mały metalowy przyrząd i z wahaniem otwiera szklane drzwiczki. Z wielką ostrożnością odcina skrawek rąbka sukienki i wkłada go do ust. Przez dobrą minutę stoi zupełnie nieruchomo, z nieprzenikniętą twarzą.

- Coś tu nie gra - mówi w końcu i otwiera szeroko oczy. - I to bardzo. Niewłaściwa struktura krystaliczna. I ten smak... To nie jest nasza czekolada. Przypomina ją, ale nie do końca...

Drugi okrawek podaje Isidore'owi. Czekolada momentalnie roztapia mu się na języku, pozostawiając gorzkawy, lekko orzechowy posmak. Isidore się uśmiecha. Niewiele brakuje, żeby przepełniające go uczucie triumfu zatarło nieprzyjemne wspomnienie przekazów Pixil.

- Mogę zapytać, na czym polega różnica? Z technicznego punktu widzenia.

Siv oblizuje wargi, w jej oczach widać błysk.

- Chodzi o kryształ. W ostatniej fazie produkcji czekoladę na przemian podgrzewa się i schładza, wielokrotnie, aż do uzyskania produktu, który nie topi się w temperaturze pokojowej. Wskutek zmian temperatury w czekoladzie wytwarza się symetryczna struktura krystaliczna, która utrwała jej kształt. My zawsze staramy się uzyskać czekoladę typu V, w tej zaś wyczuwam nadmiar typu IV. Ma zupełnie inną fakturę. - Nagle nie wydaje się już krucha ani niepewna. - Skąd pan wiedział? I co się stało z moją sukienką?

- To nieistotne. Najważniejsze, żeby pani jej nie sprzedała. Proszę ją bezpiecznie schować i dać mi kawałeczek... O tak, w papierku. Proszę nie tracić nadziei: może jeszcze uda się go pani odzyskać.

Jej śmiech jest gorzki i mroczny.

- On nigdy nie był mój. Chociaż bardzo się starałam. Byłam miła dla jego żony, przyjaźniłam się z jego córką, ale nasza znajomość nie była prawdziwa. Powiem panu, że w pierwszej chwili pomyślałam nawet, że tak będzie łatwiej: tylko

wspomnienia i czekolada. - Na przemian zaciska i rozluźnia dłonie. Paznokcie ma pomalowane na biało. - Proszę go znaleźć.

- Postaram się.

Isidore z trudem przełyka. Czuje ulgę, że ta rozmowa nie została wryta w trwałej jak diament egzopamięci i pozostanie tylko w śmiertelnych neuronach jego mózgu.

- Nawiasem mówiąc, ja naprawdę potrzebuję czegoś specjalnego.

- Tak?

- Tak. Spóźnię się na przyjęcie.

Drzwi otwierają się nagle i w progu staje młody chłopak, blondyn, nieprzeciętnie przystojny, o regularnych słowiańskich rysach. Może mieć jakieś szesnaście lat.

- Cześć - mówi.

- Cześć, Sebastian - odpowiada mu Siv. - Mam klienta.

- Nic nie szkodzi, naprawdę - zapewnia ją Isidore i uprzejmie wyłącza w geulocie nasłuch rozmowy.

- Chciałem tylko zapytać, czy nie widziałeś Elodie? - Chłopak uśmiecha się promiennie. - Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

- Jest w domu, z matką. Ale lepiej jej teraz trochę odpuść. Okaż szacunek.

Sebastian kiwa z zapalem głową.

- Tak, oczywiście. Pomyślałem tylko, że mógłbym pomóc...

- Nie mógłbyś. Mogę już zająć się klientem? Tata Elodie na pewno tego by właśnie chciał.

Chłopak blednie lekko, odwraca się na pięcie i wychodzi.

- Kto to był? - pyta Isidore.

- Chłopak Elodie. Szumowina.

- Nie lubi go pani?

- Ja nie lubię nikogo i niczego. Poza czekoladą, ma się rozumieć. Co to za przyjęcie, na które się pan wybiera?

Po wyjściu ze sklepu Isidore nie widzi Dzentelmena nigdzie w pobliżu, kiedy jednak idzie Aleją Zegarową, słyszy jego kroki, przemykające z cienia do cienia, unikające promieni

słonecznych.

- Muszę przyznać, że ciekaw jestem, jak to się skończy - mówi cadyk. - Przyszło ci do głowy, że teoria, którą jej przedstawiłeś, może być prawdziwa? Że Siv Lindström może być odpowiedzialna za kradzież umysłu swojego przełożonego? Mam nadzieję, że to nie jej uroczy uśmiech kazał ci odrzucić tę możliwość.

- Nie. Chcę teraz porozmawiać z jego rodziną.

- Uwierz mi, to ona.

- Zobaczymy.

- Jak chcesz. Moi bracia podsunęli mi właśnie następny ciekawy trop: w pobliżu wykryto ślady działania wasiliewa. Pójdę to sprawdzić.

I cadyk znów znika.

Egzowspomnienie prowadzi Isidore'a do mieszkania cukiernika w jednym z wysokich białych budynków zwieszających się ze Skraju, skąd roztacza się wspaniały widok na łagodnie pofalowane, upstrzone zielonymi plamkami pustkowie Hellas Planitia. Wybiera jedno z wielu schodów i schodzi do zielonych drzwi wejściowych budynku. Ma lekkie zawroty głowy na widok nóg Miasta, osnutych chmurą kurzu, który wzbijają daleko w dole.

Chwilę czeka przed czerwonymi drzwiami mieszkania, aż w końcu otwiera mu drobna Chinka w szlafroku. Ma przeciętną twarz, z której trudno wyczytać wiek, i jedwabiste czarne włosy.

- Słucham?

Isidore podaje jej rękę na powitanie.

- Nazywam się Isidore Beautrelet - mówi i uchyla swojego gevulotu, żeby mogła potwierdzić jego tożsamość. - Pewnie się pani domyśla, co mnie sprowadza. Byłbym zobowiązany, gdyby znalazła dla mnie pani chwilę i zechciała odpowiedzieć na parę pytań.

Posyła mu dziwne, pełne nadziei spojrzenie, ale jej gevulot pozostaje zamknięty. Isidore nie może odczytać nawet jej imienia.

- Proszę wejść.

Mieszkanie jest małe, ale bardzo jasne. Fabrykator i kilka

unoszących się w powietrzu wyświetlaczy stanowią jedyne ustępstwa na rzecz nowoczesności. Wchodzą po schodach na piętro, kobieta prowadzi Isidore'a do przytulnego salonu i siada na drewnianym krześle - niedużym, jak dla dziecka - przy jednym z ogromnych okien. Sięga po xanthyjskie cygaro i zdejmuje zaślepkę z końcówki. Cygaro się zapala, w powietrzu unosi się gorzkawy zapach. Isidore przysiada na niskiej zielonej sofie, garbi się i czeka. W pokoju jest jeszcze trzecia osoba, ale osłania ją mgielka prywatności. Isidore domyśla się, że to córka.

- Powinnam chyba poczęstować pana jakąś... kawą - odzywa się w końcu gospodyni, ale nawet nie próbuje wstać z krzesła.

- Ja się tym zajmę - rozbrzmiewa trzeci głos.

Isidore wzdyga się, zaskoczony, kiedy dziewczyna nagle otwiera gevulot i materializuje się tuż obok sofy. Ma sześć, może siedem marsjańskich lat: blada, wiotka nastolatka o zaciekawionych piwnych oczach, w xanthyjskiej sukience, rurowatej, trochę kojarzącej się z zokijską modą.

- Nie, dziękuję - mówi Isidore. - Nie trzeba.

- Nawet nie musiałam pana migać - mówi dziewczyna. - Czytuję „Ares Herald”. Pan pomaga cadykom. Znalazł pan zaginione miasto. Zna pan Cichego?

Nie umie usiedzieć ani chwili spokojnie, ciągle podskakuje na wyłożonych na sofie poduszkach.

- Elodie! - wtrąca złowrogim tonem gospodyni. - Proszę nie zwracać uwagi na moją córkę. Nie potrafi się zachować.

- Ja tylko pytam!

- To ten miły młody człowiek ma tutaj zadawać pytania, nie ty.

- Nie wierz we wszystko, co przeczytasz, Elodie - mówi Isidore. Poważnieje. - Współczuję ci z powodu śmierci twojego ojca.

Elodie spuszcza wzrok.

- Odtworzą go, prawda?

- Mam nadzieję. Próbuję im pomóc.

Zona cukiernika posyła mu zmęczony uśmiech i odcina gevulotowi córki dostęp do swoich następnych słów:

- Tyle nas kosztowała... Niemądre dziecko. Ma pan dzieci?

- Nie.

- Więcej z nimi kłopotu niż są warte... Ale to jego wina, to on rozpieszczał Elodie. - Gospodyni przeczesuje włosy dłońmi. W jednej ręce nadal trzyma cygaro i Isidore zaczyna się bać, że gładkie włosy zajmą się ogniem. - Przepraszam, mówię o nim takie straszne rzeczy, a on jest... gdzie indziej. Nawet nie został wyciszony.

Isidore mierzy ją spokojnym wzrokiem. Zawsze fascynuje go obserwowanie ludzi, którym się wydaje, że mogą z nim swobodnie rozmawiać. Zastanawia się przez moment, czy jako cadyk straci tę możliwość - ale nawet jeśli tak, znajdzie inne sposoby dociekania prawdy.

- Czy pan Deveraux zawarł ostatnio jakieś nowe znajomości?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pan pyta?

Elodie spogląda na matkę z dezaprobatą.

- Oni tak właśnie działają, mamó. Piraci. Inżynieria społeczna. Zbierają fragmenty gevulotu, a potem odszyfrowują umysł.

- Ale czego mogliby od niego chcieć? Nie był nikim wyjątkowym, po prostu produkował czekoladę. Ja tam nawet nie lubię czekolady.

- Moim zdaniem, pani mąż, jako wybitny specjalista w swojej dziedzinie, był idealną ofiarą z punktu widzenia piratów gogolowych. Sborności jest wiecznie mało nowych modeli do badań, szczególnie w połączeniu z jej obsesją na punkcie funkcjonowania ludzkich zmysłów, zwłaszcza smaku i węchu. - Isidore pilnuje, by tym razem Elodie nie była wyłączona z rozmowy. - A jego czekolada jest z pewnością wyjątkowa. Sprzedawczyni w firmowym sklepie była tak uprzejma, że pozwoliła mi jej spróbować: uszczknąłem kawałeczek świeżutkiej sukienki, którą przywieźli z fabryki dziś rano. Coś niesamowitego.

Niesmak wykrzywia twarz Elodie w maskę, jakby odbiła się na niej śmierć ojca. Obraz dziewczyny rozmazuje się i znika za zaporą pełnej prywatności, a potem zrywa się i wbiega po schodach pośpiesznie, typowymi dla zmniejszonej grawitacji

skokami.

- Przepraszam - mówi Isidore. - Nie chciałem jej zasmuć.

- Proszę się nie martwić. Robi dobrą minę do złej gry, ale obu nam jest teraz ciężko. - Żona cukiernika gasi cygaro i ociera łzy z oczu. - Przypuszczam, że wymknie się na spotkanie ze swoim chłopakiem, a kiedy wróci, nie będzie się do mnie odzywać. Dzieci...

- Rozumiem. - Isidore wstaje. - Bardzo mi pani pomogła.

Kobieta jest rozczarowana.

- Myślałam, że... zada mi pan więcej pytań. Córka mówi, że zawsze pan tak robi: pyta pan o rzeczy, które cadykom nie przychodzą do głowy.

Na jej twarzy maluje się dziwny, niecodzienny zapal.

- Nie zawsze pytania są najważniejsze. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. - Isidore wydiera kartkę z notesu, składa na niej podpis i dołącza ko-wspomnienie. Podaje wszystko gospodyni. - Proszę to przekazać Elodie wraz z moimi przeprosinami, chociaż chyba nie jest już moją wielbicielek.

Wychodząc, odruchowo pogwizduje z zadowolenia. Zna już cały kształt tajemnicy. Kiedy w myślach wodzi po niej palcem, ona dźwięczy czysto, jak na wpół pełny kieliszek wina.

W restauracyjce na obrzeżach parku zjada lunch: risotto z mięsem ośmiornicy, której atrament zostawia ciekawy wzór na serwetce, gdy ociera nią usta. Przez pół godziny siedzi w parku i przygląda się ludziom, zapisując w notesie swoje spostrzeżenia, a potem wraca do fabryki czekolady, gdzie zastawił pułapkę.

Bioboty wpuszczają go do środka. W którymś momencie musieli się tu zjawić wskrzesiciele i zabrać ciało, ale jego obrys i plama czekolady zostały na podłodze - chociaż przesłania je mgiełka prywatności, upodabniając do zrzuconej przez liniejącego węża skóry utkanej ze światła.

Siada w kącie na rozchwierutonym metalowym krześle i czeka. Odgłosy maszyn brzmią dziwnie kojąco.

- Wiem, że tu jesteś - odzywa się po chwili.

Elodie wychodzi zza jednej z maszyn, wyraźnie widoczna, niechroniona gevelopem. Wydaje się starsza i prawdziwsza. Ma

zawzięte spojrzenie.

- Skąd pan wiedział?

- Ślady. - Isidore wskazuje czekoladowe plamy na posadzce. - Poprzednio byłaś uważniejsza. Poza tym się spóźniłaś.

- To ko-wspomnienie, które mi pan zostawił... To był szajs. Nie od razu się zorientowałam, czemu chce się pan tutaj spotkać.

- Myślałem, że interesuje cię śledztwo. Chociaż, przyznaję, pozory mogą mylić.

- Jeżeli znów chodzi o mojego ojca, to ja wychodzę. Umówiłam się z chłopakiem.

- Nie wątpię. Ale nie, nie chodzi o twojego ojca, lecz o ciebie. - Isidore opatula swoje słowa gevulotem tak ciasno, że tylko oni dwoje je usłyszą i zapamiętają, że kiedykolwiek padły. - Zastanawiam się, czy naprawdę było to dla ciebie aż takie łatwe.

- Co?

- Nie pomyślałaś o konsekwencjach, dając obcej osobie prywatne klucze do gevulotu ojca.

Elodie nie odpowiada, wpatruje się w niego natarczywie. Wszystkie mięśnie ma napięte do granic możliwości.

- Co ci obiecali? Podróż do gwiazd? Osobisty raj, jak dla księżniczki w Królestwie, tylko jeszcze lepszy? To nie takie proste.

Elodie robi krok w jego stronę i powoli rozkłada ręce. Isidore huśta się na krześle.

- Klucze nie zadziałały. Sebastian, chłopak-wasiliew, jeden z tamtych, nie był zadowolony. Nawiasem mówiąc, Sebastian ma cię w nosie. Wtłoczyli w niego cudze uczucia. To pacynka. Ale tobie wydał się prawdziwy. Zezłościł się, może nawet zagroził, że cię rzuci. Chciałaś go ugłaskać. Wiedziałaś, że twój ojciec ma takie miejsce, zabezpieczone gevulotem, w którym może spokojnie pracować i nikt mu nie przeszkadza. Może Sebastian przyszedł tu z tobą? Muszę przyznać, że byłaś bardzo sprytna. Tylko że czekolada ma dziwny smak, nie taki, jak powinna. Jest w tej sukience, prawda? Jego umysł? Jest w sukience. Użyłaś fabrykatora, żeby go tam wtłoczyć. Dopiero co skończyli

odlewać oryginał, więc przetopilaś go i zrobiłaś kopię, którą bioboty dostarczyły do sklepu. Komplet informacji zaklęty w towarze, który w każdej chwili można kupić i dostarczyć Sbornosti. Żadnych pytań, żadnych kłopotów z instalowaniem pirackiego radia, żeby przesłać dane... Umysł w czekoladowej polewie. Jak jajko-niespodzianka.

Elodie patrzy na niego z twarzą wypraną z emocji.

- Jednego nie rozumiem: jakim cudem byłaś do tego zdolna?

- To bez znaczenia - syczy Elodie. - Nie wydał ani jednego dźwięku. Nie cierpiał. Kiedy wychodziłam, nie był nawet martwy. Nikt nic nie stracił. Wskrzesiciele go odtworzą, wszystkich odtwarzają, a potem skazują na Wyciszenie. To nie fair. To nie my spieprzyliśmy im to ich Królestwo. To nie my stworzyliśmy phobosy. To nie nasza wina. Powinniśmy żyć wiecznie, tak naprawdę, jak oni. Powinniśmy mieć do tego prawo.

Prostuje palce, powoli. Cienkie jak włos tęcze nanowłókien tryskają spod jej paznokci i rozpościerają się jak wachlarz jadowitych kobr.

- No tak, macki transferowe... - mówi Isidore. - Zastanawiałem się, co się z nimi stało.

Elodie idzie w jego stronę dziwnym, nierównym krokiem. Koniuszki macek świecą.

Isidore'owi pierwszy raz przechodzi przez myśl, że może się bardzo, ale to bardzo spóźnić na przyjęcie.

- Nie powinien był pan tego załatwiać w prywatnym domu - mówi Elodie. - I trzeba było przyjść z cadykiem. Ale przyjaciele Seba zapłacą i za pana, może nawet więcej niż za tamtego.

Włókna transferowe wystrzelują w przód jak świetlne bice, prosto w twarz Isidore'a. Czuje dziesięć ukłuć w głowę, a potem ogarnia go dziwne otępienie. Traci panowanie nad ciałem. Wbrew woli wstaje z krzesła, mięśnie reagują na cudze polecenia. Elodie stoi przed nim z wyciągniętymi rękoma, jak lalkarka.

- Tak ci powiedzieli? Że to bez znaczenia? Że odtworzą twojego ojca, cokolwiek się stanie? - Isidore zaczyna się jękać. - No to patrz.

Otwiera przed nią swój gevulot i odsłania egzowspomnienie z podziemnego świata, w którym cukiernik krzyczy, miota się w bólu i umiera raz za razem.

Oczy Elodie wychodzą z orbit. Macki wiotczeją. Pod Isidore'em uginają się kolana. Betonowa posadzka jest bardzo twarda.

- Ja... nie wiedziałam... On nie... - Elodie spogląda na swoje ręce. - Co ja...

Jej palce zakrzywiają się jak szpony. Światłne macki prężą się, rozbłyskują i unoszą do jej głowy, gdzie po chwili znikają we włosach, Elodie osuwa się na ziemię. Jej ręce i nogi drżą spazmatycznie. Isidore nie chce tego oglądać, ale nie ma siły ruszyć się z miejsca. Nie ma nawet siły zamknąć oczu.

- To był jeden z najbardziej widowiskowych pokazów głupoty, jakie w życiu widziałem - oznajmia Dzentelmen.

Isidore uśmiecha się słabo. Medpianka przyśpieszająca gojenie ran głowy sprawia, że czuje się jak w hełmie zrobionym z lodu. Leży na noszach przed fabryką. Mijają go ciemno ubrani wskrzesiciele i smukłe bioboty z podziemnego świata.

- Nigdy nie zadowolam się przeciętnością - wyjaśnia. - Złapaliście wasiliewa?

- Naturalnie. To był ten chłopak, Sebastian. Przyszedł do sklepu, usiłował kupić sukienkę, żeby, jak twierdził, zrobić niespodziankę Elodie. Żeby ją rozweselić. Kiedy go złapaliśmy, najpierw bluznął fiodorowską propagandą, a potem dokonał samozniszczenia, jak wszystkie wasiliewy. Niewiele brakowało, żeby dosięgnął mnie memem bojowym. Wyrwanie jego sieci gevulotowej trochę potrwa, wątpię, żeby Elodie była jedyna.

- Co z nią?

- Wskrzesiciele znają się na rzeczy; jeśli to w ogóle możliwe, to ją naprawią. A potem pewnie czeka ją przedterminowe Wyciszenie. No, ale to już zależy od decyzji Głosu. Niepotrzebnie dałeś jej to wspomnienie... To był zły pomysł. Skrzywdziłeś ją.

- Zrobiłem to, co musiałem. A ona na to zasłużyła. Jest

przestępczynią.

Wspomnienie śmierci cukiernika ciąży Isidore'owi w bebecach twardą, lodowatą grudą.

Dżentelmen już wcześniej zdjął cylinder. Tworzywo, z którego jest zrobiona maska, dokładnie odzwierciedla kształt jego czaszki. O dziwo, bez kapelusza wygląda młodziej.

- A ty jesteś idiotą. Trzeba było albo otworzyć gevulot dla mnie, albo spotkać się z nią gdzie indziej. Jeśli zaś chodzi o to, czy zasłużyła...

- Wiedział pan, że to ona.

Dżentelmen milczy.

- Wiedział pan od początku i wcale nie chodziło o nią, tylko o mnie. Co chcieliście sprawdzić?

- Na pewno zastanawiałeś się nad tym, dlaczego nie uczyniłem cię jednym z nas.

- Dlaczego?

- Powód jest jeden. Dawno temu, na Ziemi, ludzie nazywani cadykami często bywali uzdrowicielami.

- Nie widzę związku...

- Wiem.

- Ale o co chodzi? Miałem pozwolić jej odejść? Okazać miłosierdzie? - Isidore przygryza wargę. - W ten sposób nie rozwiąże się żadnej zagadki.

- Nie.

To słowo ma konkretny kształt, i Isidore wyraźnie go wyczuwa - nie jest namacalny, ale z całą pewnością istnieje. Złość każe mu po niego sięgnąć i go złapać.

- To kłamstwo - mówi. - Nie dlatego nie jestem cadykiem, że nie jestem uzdrowicielem. Cichy też nie uzdrawia. Chodzi o to, że pan komuś nie ufa i chce mieć detektywa, który nie był wskrzeszany, detektywa, który umie dochować tajemnicy. Chce pan mieć detektywa, który mógłby tropić kryptarchów.

- To słowo... nie istnieje. - Dżentelmen zakłada cylinder i wstaje. - Dziękuję ci za pomoc. - Dotyka twarzy Isidore'a. Muśnięcie aksamitu jest zadziwiająco lekkie i delikatne. - Jeszcze jedno: czekoladowe trzewiki by się jej nie spodobały. Kupiłem trufle.

Po tych słowach znika. W trawie stoi bombonierka
przewiązana elegancką czerwoną wstążką.

INTERLUDIUM

KRÓL

Król Marsa widzi wszystko, są jednak miejsca, do których woli nie zaglądać. Jednym z nich jest zwykle kosmoport. Tym razem jednak przybył do kosmoportu osobiście, żeby zabić starego przyjaciela.

Hala przylotów jest zbudowana w stylu Królestwa - olbrzymia, rozległa, przykryta wysoką kopułą. Barwny tłum gości z innych światów z trudem ją wypełnia. Poruszają się niepewnie w marsjańskim ciężeniu, powoli oswajają z muśnięciami obcych gevulotów na skórze.

Król kroczy przez tłum niewidzialny i niesłyszalny dla nich wszystkich: awatarów z Krainy, chuderlawych mieszkańców Pasa w meduzowatych egzoszkieletach, śmigów trzepoczących skrzydłami, zoku z Saturna w ciałach elementarnych. Przystaje przed posągami księcia Ofiru i podnosi wzrok - najpierw na potrząskaną twarz, zbezczeszczoną przez rewolucjonistów, a potem dalej, ponad kopułę, gdzie widać wspinający się niewiarygodnie wysoko tunel pnączokolei, strzelający prosto w niebo koloru rdzy; śledząc go wzrokiem, można nabawić się zawrotów głowy. Króla też dopadają mdłości - przymus zaszczepiony mu przed wiekami przez szorstkie dłonie wciąż działa.

Należysz do Marsa, mówi mu. Nigdy stąd nie wyjedziesz.

Król zaciska pięści i uparcie patrzy w górę, jakby potrząsał skuwającymi mu umysł kajdanami - tak długo, aż staje się to nieznośne. Dopiero wtedy zamyka oczy i zaczyna szukać drugiego niewidzialnego.

Jego umysł błąka się po ciżbie, ogląda ją cudzymi oczami, szuka śladów manipulacji najnowszymi wspomnieniami jak świeżo poruszonych liści w lesie. Powinien był zrobić to

wcześniej. Osobista obecność w tym miejscu ma w sobie niezwykłą czystość. Z biegiem lat wspomnienia i działanie stały się dla króla jednym; ostry smak rzeczywistości jest oszalamiający.

Subtelna pułapka pamięciowa kryje się w egzopamięci cielesnego awatara z Krainy, którego oczami król widzi teraz świat. Jest rekursywna, ciąg wspomnień we wspomnieniach prawie połyka króla, wciąga go w nieskończony tunel *deja vu*, pociąga za sobą - prawie jak tamto niebotyczne pnącze.

Tylko że gra w pamięć to jego ulubiona zabawa. Wytężywszy wolę, zakotwicza się w terażniejszości, wyizolowuje toksyczne wspomnienie i podąża za nim do źródła, zdzierając kolejne warstwy egzopamięci, aż dociera do sedna rzeczywistości: chudy, łysy mężczyzna o zapadniętych skroniach, w niedopasowanym rewolucyjnym mundurze, stoi kilka metrów od króla i wpatruje się w niego ciemnymi oczami.

- Andre... - odzywa się król z dezaprobatą. - Co ty sobie wyobrażasz?

Mężczyzna posyła mu wyzywające spojrzenie i na chwilę pojawia się inne wspomnienie, starsze, pochodzące z głębi królewskiej natury, prawdziwe. Wspomnienie piekła, przez które razem przeszli.

Co za szkoda.

- Przychodzę tu - mówi Andre - żeby wyrzeć z naszego akwarium. Dobrze jest czasem zobaczyć olbrzymy i powietrze na zewnątrz.

- Nie po to tu przyszedłeś - odpowiada półgłosem król, łagodnie, po ojcowsku. - Nie rozumiem cię. Wydawało mi się, że zawarliśmy umowę: koniec targów z tamtymi. A ty znowu tutaj. Naprawdę myślałeś, że się nie dowiem?

Andre wzdycha.

- Nadciąga zmiana. Długo już nie przetrwamy. Założyciele byli słabi, ale to nie mogło trwać wiecznie. Zjedzą nas, mój przyjacielu. Nawet ty ich nie powstrzymasz.

- Zawsze jest jakieś wyjście - odpowiada król. - Chociaż nie dla ciebie.

Przez grzeczność zapewnia mu szybką prawdziwą śmierć:

błysk zokijskiej broni i podmuch wymazujący z egzopamięci wszelkie ślady istnienia człowieka imieniem Andre, jego przyjaciela. Król wchłania z Andre wszystko, czego potrzebuje. Przechodnie wzdrygają się, porażeni niespodziewaną falą gorąca, i zaraz o niej zapominają.

Król kieruje się do wyjścia, gdy nagle dostrzega dwoje ludzi - mężczyznę w ciemnym garniturze i niebiesko przyciemnianych okularach, i kobietę, która w obecności ciężenia porusza się ciężko jak schorowana starucha. Pierwszy raz od przybycia do kosmoportu król się uśmiecha.

ROZDZIAŁ 4

ZŁODZIEJ I ŻEBRAK

Kazamaty, Ruchome Miasto, Niezmienna Aleja w pogodny poranek. Polowanie na wspomnienia.

Tutejsze ulice zmieniają się i przemieszczają, gdy platformy piesze włączają się w nurt miasta lub z niego wypadają, Aleja zaś trwa bez względu na okoliczności. Jest wysadzana drzewami wiśni, a mniejsze ulice i zaułki odchodzą od niej w głąb Labiryntu skrywającego tajemnice: sklepy, które odwiedza się tylko raz, sprzedające zabawki z epoki Królestwa, wiekowe blaszane roboty ze starej Ziemi, albo spadłe z nieba martwe zokijskie klejnoty; drzwi, pojawiające się i otwierające tylko przed tymi, którzy znają odpowiednie słowa, zjedli dzień wcześniej odpowiedni posiłek albo są zakochani.

- Dziękuję, że przyprowadziłeś mnie do piekła - mówi Mielli.

Lekko zsuwam niebieskawe okulary przeciwsłoneczne i uśmiecham się do niej. Widzę, że cierpi w świecie bez nieważkości. Porusza się jak staruszka. Musiała wyłączyć wspomaganie, dopóki mamy tymczasowe obywatelstwo.

Niewiele znam miejsc, które mniej kojarzyłyby się z piekłem. Chmary białych szybowców tną głęboki błękit nieba nad Hellas Planitia; szeroko rozpostarte skrzydła mocno czepiają się rzadkiego marsjańskiego powietrza. Wysokie, ozdobne budowle, wieże z zabarwionego na czerwono kamienia, obwieszane chodnikami i tarasami, przywodzą na myśl Paryż z *belle epoque*, tyle tylko, że nie jest spętany więzami grawitacji. Pająkotaksówki wspinają się po murach i skaczą między dachami. Lśniąca kopuła zokijskiej kolonii wznosi się przy granicy Kurzawy, gdzie chmura pyłu wzbijanego nogami miasta kłębi się w powietrzu jak czerwona opończa. Kiedy się stoi nieruchomo, można wyczuć delikatne kołysanie gruntu - to

miasto się przemieszcza, niesione na grzbietach Atlasów.

- W piekle są najciekawszy ludzie - odpowiadam.

Mielli spogląda na mnie, mrużąc oczy. Wcześniej, w pnączokolei, miała znudzoną minę osoby owładniętej *deja vu*, po której poznałem, że włączyła sobie wirt. Przygotowuje się.

- Nie przyjechaliśmy tu zwiedzać - przypomina mi.

- A właśnie, że tak. Szukam tutaj pewnego wspomnienia skojarzonego. - Mrugam porozumiewawczo. - To może chwilę potrwać, więc sprężaj się, żeby dotrzymać mi kroku.

Moje mięśnie wszystko pamiętają, więc z łatwością odsadzam Mielli płaskimi, długimi susami, typowymi dla wszystkich wysokich Marsjan.

Podczas mojej nieobecności moda bardzo się zmieniła. Mało kto nosi dziś prostą białą koszulę i spodnie wzorowane na dawnym mundurze rewolucyjnym. Wszędzie widać typowe dla Królestwa falbany, kapelusze, powłóczyście suknie, a obok nich abstrakcyjne kreacje z zokijskiej intelmaterii - nie tyle ubrania, ile raczej twory geometryczne. Prawie nikt nie odcina się od świata zamkniętym na głucho gevolotem. To jest Aleja. Tutaj trzeba się pokazać.

Jedyną stałą w tym środowisku są (jakżeby inaczej) Zegarki - we wszystkich możliwych kształtach i postaciach, na nadgarstkach, w paskach, naszyjnikach i sygnetach. Wszystkie odmierzają czas Szlachetny - czyli czas spędzony w roli ludzkiej istoty, który każdy z nas musi mozolnie odpracować podczas Wyciszenia. Z trudem powstrzymuję instynkt kieszonkowca.

Przystaję na Agorze Rewolucji i czekam na Mielli. Na placu stoi jeden z pomników rewolucji, wulkaniczny obelisk, na którym wyciszeni mikroskopijną czcionką wryli miliardy imion gogoli sprowadzonych z Ziemi. Wokół obelisku szemrzą małe fontanny. Pamiętam, że bywałem tu już wcześniej, wielokrotnie.

Kim byłem? Co robiłem?

Marsjańskie wino obudziło wspomnienia, lecz nie nadało im żadnej struktury; zbryzgały mi mózg jak chlapnięcia farby. Dziewczyna imieniem Raymonde; coś, co się nazywa Thibermesnil. Może Mielli ma rację, może nie powinienem

polegać na swojej pamięci, że sama zaprowadzi mnie, dokąd trzeba, tylko zabrać się do sprawy bardziej systematycznie. Mam dług wobec niej i jej tajemniczego pracodawcy. Im szybciej to załatwię, tym lepiej.

Siadam na ławce z kutego żelaza na skraju agory, przy granicy sfery publicznej. W społeczeństwie Kazamat obowiązuje prywatność doskonała - wszędzie poza agorami, gdzie trzeba się odsłonić, pokazać publicznie. Wchodząc z alei na agorę, ludzie odruchowo się zmieniają: prostują plecy, poruszają się z przesadną ostrożnością, pozdrawiają się nawzajem oschłymi skinieniami głowy. Wszyscy zapamiętują wydarzenia z agory, wszyscy mają do nich dostęp. Jest to miejsce publicznej dysputy, w którym można usiłować wpłynąć na Głos, czyli funkcjonujący w Kazamatach elektroniczny ustrój demokratyczny. Świetnie też czują się tu kryptarchowie: dla nich agora jest jak morze ogólnodostępnych danych, którymi można kształtować ewolucję miasta...

Skąd ja to wszystko wiem?

Mogłem zaczerpnąć tę wiedzę z egzopamięci, którą otrzymałem jako tymczasowy obywatel, lub z kupionego przez Mielli Zegarka - ale tego nie zrobiłem. Nie migąłem, nie skoncentrowałem się świadomie na wyciągnięciu informacji z ogólnodostępnej bazy danych. To oznacza, że musiałem już wcześniej być obywatelem Kazamat, przynajmniej przez jakiś czas. Czyli miałem Zegarek - a tutaj posiadanie Zegarka jest równoznaczne z posiadaniem egzopamięci, składnicy myśli i marzeń, w której przechowuje się istotę człowieka, gdy ten przechodzi z życia Szlachetnego do Wyciszenia. Może tego właśnie powinienem tutaj szukać - Zegarka mojego poprzedniego wcielenia.

Obracam tę myśl w głowie. Pomysł wydaje mi się zbyt prosty, nieelegancki, kruchy. Czy poprzedni ja tak właśnie by się zachował? Zapisałby swoje sekrety w egzopamięci mieszkańca Kazamat? Świadomość, że tego nie wiem, mrozi mi krew w żyłach.

Muszę zrobić coś, żeby znów poczuć się sobą. Wstaję i idę skrajem agory, aż udaje mi się wypatrzeć ładną dziewczynę.

Siedzi na ławce blisko publicznego fabrykatora i zakłada łyżworolki z ogromnymi intelikołami, które przed chwilą wyfabrykowała. Jest ubrana w szorty i biały top, odsłonięte nogi są jak z rzeźbionego złota, długie, idealne.

- Cześć - zagajam z moim najlepszym uśmiechem. - Szukam Biblioteki Rewolucyjnej, ale tu podobno nie ma planu miasta. Mogłabyś mi wskazać drogę?

Marszczy drobny, opalony nosk i znika, w jej miejscu pojawia się szary gevulotowy szablon człowieka, który rozmazuje się w powietrzu i szybko oddala Aleją.

- Widzę, że zwiedzasz - zauważa Mielli.

- Dwadzieścia lat temu uśmiechnęłaby się do mnie.

- Przy agorze? Wątpię. Zwłaszcza że schrzaniłeś kontrakt gevulotowy: trzeba było przejść na kanał prywatny. Na pewno kiedyś tu mieszkałeś?

- Widzę, że ktoś tu odrobił pracę domową...

- Owszem.

Nie wątpię. Przeczesała wszystkie wirty i symy, rozesłała małych niewolników, żeby wygrzebali wszystko, co nasz tymczasowy gevulot znajdzie w ogólnodostępnej egzopamięci.

- Dziwnie mało znalazłam - dodaje. - Jeżeli rzeczywiście mieszkałeś tu w ciągu ostatnich dwudziestu lat, to albo wyglądałeś zupełnie inaczej, albo nigdy nie bywałeś na agorach i nie udzielałeś się publicznie. - Patrzy mi w oczy. Pot perli się jej na czole. - Jeżeli sfalszowałeś to wspomnienie i zamierzasz spróbować ucieczki, jestem przygotowana. Nie spodoba ci się to.

Przysiadam na ławce i wodzę wzrokiem po agorze. Mielli siada obok mnie, wyprężona jak struna; chyba jej niewygodnie. Grawitacja na pewno sprawia jej ból, ale prędzej ją trafi szlag, niż to okaże.

- To nie jest próba ucieczki - zapewniam ją. - Mam dług do spłacenia. Zresztą, to miejsce wydaje mi się takie znajome... Tylko nie wiem co dalej. Nadal nie mam pojęcia, co to jest Thibermesnil. Chociaż to akurat żadne zaskoczenie: tajemnice układają się piętrowo. - Szczerzę zęby w uśmiechu. - Jestem pewien, że stary ja, gdziekolwiek jest, świetnie się teraz bawi.

Naprawdę myślę, że był dla nas o wiele za sprytny.

- Stary ty dał się złapać - przypomina mi Mielli.

- *Touche.*

Wyciskam odrobinę czasu z tymczasowego Zegarka (srebrnego krążka na przezroczystej bransoletce; cienka jak włos wskazówka przesuwana się o milimetr) do umieszczonego przy ławce fabrykatora, a ten wypluwa okulary przeciwsłoneczne.

- Masz. - Podaję je Mielli. - Przymierz.

- Po co?

- Żeby ukryć to twoje spojrzenie Guliwera. Kiepsko sobie radzisz na planetach.

Marszczy brwi, waha się, ale zakłada okulary. Podkreślają bliznę na policzku.

- Wiesz co? Z początku zamierzałam przetrzymać cię na *Perhonen*, wylądować tutaj, zebrać dane sensoryczne i tak długo ładować ci je do mózgu, aż ujawnią się twoje wspomnienia. Masz rację, nie podoba mi się tutaj. Przeszkadza mi nadmiar dźwięków, przestrzeni, wszystkiego. - Rozsiada się wygodnie na ławce, rozkłada ręce, podwija nogi i siada w pozycji lotosu. - Ale słońce mają ciepłutkie.

W tej samej chwili dostrzegam chłopca, na oko pięciolatek, który stoi po przeciwnej stronie agory i macha do mnie. Jego twarz wydaje mi się znajoma.

Wiesz, co ci powiem? - odzywa się Mielli do *Perhonen*, uśmiechając się do złodzieja. *Kiedy będzie po wszystkim, zabiję go.*

Tak bez tortur? Robisz się miękka.

Statek krąży po wysokiej orbicie i słabe neutrinowe łącze, starannie maskowane przed paranoicznymi technowykrywaczami w Kazamatach, ledwie wystarcza do prowadzenia zwykłej rozmowy - to kolejna drażniąca cecha tego miejsca, chociaż z pewnością nie tak dokuczliwa, jak uporczywa ociążałość ruchów i upór przedmiotów nieożywionych, które po wypuszczeniu z ręki nijak nie chcą

zawisać w powietrzu. Mielli wstydzi się zainstalowanego przez Sbornost' wspomaganie, ale jest od niego uzależniona.

Niestety, utajnienie tej misji jest jednym z koniecznych parametrów. Dlatego okrywa się tymczasową powłoką gevulotową, którą przydzielił im czarno opancerzony wyciszony celnik na stacji końcowej pnączokolei („zakaz importu nanotechnologii, kwantotechniki i sbortechniki; zakaz posiadania zasobników danych zdolnych do pomieszczenia umysłu elementarnego; zakaz...”), kamufluje metakorę, kości z szybkamienia, duchostrzały i wszystko inne - i cierpi.

Znalazłaś coś ciekawego w publicznej egzopamięci? - pyta. - Albo coś na temat naszego tajemniczego łącznika, który się nie zjawil?

Nie, odpowiada statek. Gogole przeczesują dane, ale jest tego sporo. Na razie nie znalazły ani nic o Thibermesnil, ani żadnych sobowótów Flambeura. Na twoim miejscu pogoniłbym naszego chłopaczka do roboty, jeśli ma się odwdziaczyć za uwolnienie.

Nie to chciałam usłyszeć. Mielli wzdycha. Jedyna dobra rzecz to sztuczne słońce: oślepiający punkcik na niebie, dawny Phobos. Dobrze, że przynajmniej szybko odzyskam wenusjańską opaleniznę.

- Żeby ukryć to twoje spojrzenie Guliwera - powtarza złodziej. Mielli jest zdezorientowana. Potężna fala deja vu uderza w jej skronie. Przeklęte biołacze! Pellegrini dokładnie wie, jak mnie wpędzić w obłąd.

W swoim koto w Oorcie dzieliła lodową jaskinię (wydrążone wnętrze komety, gdzie miejsca było niewiele więcej niż na pokładzie *Perhonen*) z ponad dwudziestoma innymi ludźmi, ale w niczym nie przypominało to biołacza - nieustannej świadomości myśli i działań drugiej istoty przekazywanych kwantową pępowiną. Większość udaje się jej odfiltrować, ale od czasu do czasu coś się przebija.

Kręci głową.

- No dobrze... - mówi. - Perhonen upiera się, że musimy to załatwić po staremu. Będziemy spacerować tak długo, aż...

Jej słowa trafiają w pustkę. Złodzieja nigdzie nie widać. Mielli

zdejmuje okulary i przygląda się im podejrzliwie, wyczulona na wszelkie podstępny i sztuczki, które pozwoliłyby złodziejowi się wymknąć - ale trzyma w rękach zwykły kawałek plastiku.

Perhonen! *Gdzie on jest?*

Nie wiem. To ty masz z nim bezpośrednie połączenie. Wydaje jej się, że w głosie statku pobrzmiwa rozbawienie.

- Na Vittu! Perkele! Saatana! Na jądra Mrocznego Człowieka!
- klnie Mielli na głos. - Zapłaci mi za to.

Przechodząca obok ławki para z dzieckiem, ubrana w rewolucyjną biel, patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Mielli wydaje w myślach komendę interfejsowi tymczasowego gevolotu: *pełna prywatność*. Dziwne przytłumienie bodźców informuje ją, że dla otaczających ją ludzi stała się niewyraźnym szablonem.

No tak, oczywiście: gevolot. Ale ze mnie idiotka.

W jej wspomnieniach rysuje się wyraźna granica oddzielająca te lokalne od egzo. Złodziej przesłał jej wspomnienie konwersacji sprzed kilku sekund, a prymitywny gevolot je przyjął.

Rozmawiałam ze wspomnieniem.

Niechęć do samej siebie jest gwałtowna i silna. Przypomina się jej przebyta w dzieciństwie infekcja intelikoralem, kiedy ostre kolce wyrastały jej z zębów i boleśnie wbijały się w dziąsła. Karhu wyleczył ją pieśnią, ale nie mogła się powstrzymać od szturchania wyrostków językiem. Przelyka te uczucia i koncentruje się na bioodczytach.

Trudno się pracuje bez użycia metakory, ale Mielli nie chce się zdemaskować przed technowykrywaczami. Skupia się więc tylko na tej części mózgu, która ma bezpośrednie połączenie ze złodziejem. Uczucie jest takie, jakby próbowała poruszyć amputowaną kończyną. Zamyka oczy, koncentruje się...

- Pani, ulituj się - słyszy chrapliwy, rżący głos.

Przed nią stoi nagi mężczyzna. Wstydlive rejony ciała ma taktownie zamaskowane szarą plamą gevolotu. Jest blady i bezwłosy, ma zaczerwienione oczy, jakby płakał. Jedynym elementem jego stroju jest Zegarek: kryształowy dysk na grubej metalicznej bransolecie, luźno zapiętej na kościstym

przedramieniu.

- Ulituj się - mówi mężczyzna. - Przybyłaś z gwiazd. Spędzisz tu trochę czasu w luksusie, a potem wrócisz do obfitości i nieśmiertelności. Zlituj się nad kimś, komu zostało parę chwil życia, zanim będzie musiał odpokutować za grzechy; zanim przyjdą zabrać mi duszę i wrzucą ją w pozbawioną języka paszczę maszyny, tak że nawet nie będę mógł krzyknąć z bólu...

Dobrze się czujesz? - niepokoji się *Perhonen*. - *Co się dzieje?*

Mielli próbuje tej samej sztuczki z gevulotem co wcześniej - pełna prywatność powinna ją ukryć przed szaleńcem i *vice versa* - ale gevulot informuje ją, że zawarła kontrakt gevulotowy z inną istotą, który gwarantuje im obojgu wzajemną powierchowną obserwację przez najbliższe piętnaście minut.

Stoi przede mną goły wariat, przekazuje bezradna Mielli statkowi. *A ja myślałam, że uciekł.*

- Gdybyś zechciała, pani, podzielić się ze mną paroma bezwartościowymi sekundami, nic nieznaczącymi okrawkami twojego czasu, odkryłbym przed tobą wszystkie swoje tajemnice. Byłem hrabią na królewskim dworze, ni mniej, ni więcej, prawdziwym arystokratą, nie takim jak teraz, lecz posiadaczem własnego robozamku i miliona gogoli gotowych na każde moje skinienie. Podczas rewolucji walczyłem w armii księcia Tharsis. Powinnaś, pani, zobaczyć prawdziwego Marsa, starego Marsa, i ja ci go pokażę w zamian za kilka sekund... - Łzy płyną strumieniem po bladej, pociągłej twarzy. - Zostały mi zaledwie dekasekundy, zlituj się, pani...

Mielli klnie pod nosem, wstaje i idzie przed siebie, byle dalej od natręta, gdy nagle jej uwagę zwraca panująca wokół cisza. Zatrzymuje się dokładnie na środku agory.

Marsjanie przechadzają się tu z przesadną ostrożnością, nie zauważając się nawzajem. Turyści - parę przypominających robaczki świętojańskie śmigów, kruchy polimorf z zokijskiego Ganimedesa, jeszcze kilku innych - odsuwają unoszące się w powietrzu lupy z intelmaterii, przez które odcyfrowywali wyryte na pomniku nazwiska, i patrzą na nią.

Nagus czepia się rąbka jej togi.

- Minuta, parę sekund w zamian za sekrety dawnego Marsa... Jest teraz zupełnie nagi, na agorze gevelot go nie chroni. Mielli odtrąca jego rękę ze zwykłą ludzką siłą (gdyby użyła wspomaganie, wyrwałaby mu ramię z barku), ale on i tak skamle piskliwie i osuwa się na ziemię. Jęczy, wciąż wczepiony w jej ubranie. Nagle Mielli ma wrażenie, że wszyscy na nich patrzą - chociaż kiedy się rozgląda, nikt nie zwraca na nich uwagi.

- Dobrze - zgadza się i podnosi kryształowy zegarek; wybrała go, bo przypomina jej oortyjską biżuterię. - Dziesięć minut. Gdybym próbowała się ciebie pozbyć, straciłabym więcej czasu.

Komunikuje się myślą z urządzeniem i złota wskazówka wykonuje ułamek obrotu. Żebrak zrywa się z ziemi, oblizując spierzchnięte wargi.

- Niech duch króla ma cię w opiece, pani! Ten przybysz miał rację, jesteś bardzo hojna!

- Jaki przybysz? - pyta Mielli, chociaż zna odpowiedź.

- Ten w niebieskich okularach, pani, niech będzie błogosławiony. I ty bądź błogosławiona. - Nagus uśmiecha się szeroko. - Muszę cię ostrzec, pani - mówi rzeczowo. - Na twoim miejscu zmyłbym się stąd jak najprędzej. - Miejscowi się rozchodzą, na agorze zostają tylko turyści. - Krew w wodzie... Chyba rozumiesz, pani.

I puszcza się biegiem. Chude nogi niosą go w dal, daleko od placu.

Jednak nie obejdzie się bez tortur, kiedy już znajdzie złodzieja, mówi Mielli. Jaka krew? Jaka woda? O co mu chodziło?

Na Ziemi żyły ryby zwane rekinami... - odpowiada Perhonen. Podejrzewam, że żebracy czasowi słodzą ogólnodostępne transfery egzopamięciowe, na przykład na agorach, gdzie nie ma mowy o prywatności. Z pewnością widzieli, jak udzieliłaś swojego czasu jednemu z...

Nagle zewsząd dobiega tupot bosych stóp i Mielli staje naprzeciw armii żebraków.

Gonię chłopca w wypełniającym Aleję tłumie. Ucieka mi z łatwością, kluczy w gąszczu nóg, jego poruszające się błyskawicznie stopy migają mi jak igła fabrykatora. Roztrącam przechodniów, wykrzykuję przeprosiny i zostawiam za sobą ślad wściekłych szarych plam gevulotów.

Prawie udaje mi się go złapać na postoju pająkotaksówek, w miejscu gdzie Aleja rozwidła się na setki uliczek ginących w otchłani Labiryntu. Stoi przed rzędem maszyn - ozdobnych powozów bez koni, które zamiast kół mają długie odnóża z brązu, w tej chwili podkulone, gdyż czekają na pasażerów - i wpatruje się w nie zafascynowany.

Zbliżam się powoli, ukryty w ciżbie. Dzieciak ma inną fakturę niż wszystko, co mnie otacza, jest jakby... ostrzejszy. Może to przez brud na twarzy, bure łachmany albo ciemnobrązowe oczy, zupełnie niepodobne do oczu Marsjan. Dzieli mnie od niego dosłownie kilka metrów...

Tylko mnie prowokował. Kiedy rzucam się w jego stronę, wybucha śmiechem i wślizguje się pod pojazdy na pajęczych nogach. Ja się tam nie zmieszczę, nie pozostaje mi więc nic innego, jak przecisnąć się przez tłum i obiec rząd pojazdów i kolejkę pasażerów.

Ten chłopiec to ja. Pamiętam, jak byłem nim we śnie. Wspomnienia są spłaszczone jak motyl pod brzemieniem wieków i rozpadają się, gdy ich dotykam. Była pustynia. I żołnierz. Kobieta w namiocie. Może ten chłopiec istnieje tylko w mojej głowie, a może jest konstruktem pozostawionym przez poprzedniego mnie - jakkolwiek wygląda prawda, muszę ją poznać. Wykrzykuję jego imię - nie Jean le Flambeur, tylko to drugie, starsze.

Gdzieś w głębi umysłu odliczam sekundy do chwili, gdy Mielli upora się ze swoim problemikiem i albo mnie odetnie, albo ześle do jakiegoś nowego piekła. Liczę się z tym, że mam dosłownie kilka minut, żeby usłyszeć, co chłopiec ma mi do powiedzenia, i żeby porozmawiać z nim w cztery oczy, bez przyzwoitki za plecami. Widzę, jak znika w jednej z uliczek prowadzących w głąb Labiryntu. Klnę i biegnę za nim.

W Labiryncie zderzają się większe platformy i inne

komponenty miasta. W dzielącej je przestrzeni znajduje się miejsce dla setek mniejszych puzzli, które są w ciągłym ruchu, tworząc krótkotrwałe wzgórza i kręte ulice, potrafiące niepostrzeżenie zmienić kierunek, kiedy się nimi idzie - tak płynnie, że trzeba obserwować przesuwanie się horyzontu, żeby nie zabłądzić. Nie ma żadnych map tych okolic i odważnym turystom pozostaje zdać się na świetliki-przewodników.

Biegnę w dół stromą uliczką brukowaną kocimi łbami. Wydłużam krok. Bieganie na Marsie jest sztuką, w której nigdy nie osiągnąłem mistrzostwa, więc kiedy uliczka nagle wierzga w trakcie jednego z moich wyższych skoków, ląduję na tyłku i sunę kilkanaście metrów po kamieniach.

- Nic się panu nie stało?

Z balkonu nad moją głową wychyla się kobieta. Trzyma w rękach gazetę.

- Nie, wszystko w porządku - stękam w odpowiedzi. Jestem przekonany, że wyprodukowane przez Sbornost' ciało, które dała mi Mielli, łatwo się nie połamie, ale ból stłuczonej kości ogonowej, choć symulowany, nie przestaje być bólem. - Widziała pani przebiegającego tędy chłopca?

- Tego malca?

Łobuz stoi niespełna sto metrów ode mnie i zwija się ze śmiechu. Wstaję i zaczynam go gonić.

Zapuszczamy się coraz głębiej w Labirynt - chłopiec mi się wymyka, stale znika mi za jakimś zakrętem, ale prawie cały czas mam go w zasięgu wzroku. Biegniemy po bruku, marmurach, intelitrawie i drewnie. Przecinamy chińskie podwóreczka z podłużnymi buddyjskimi świątyniami, na fasadach których błyszczą czerwono-złote smoki; przebiegamy obok tymczasowych bazarów cuchnących synterybą; mijamy grupę ubranych na czarno wskrzesicieli prowadzących nowo narodzonych wyciszonych.

Przemierzamy całe kwartały okryte rozmazanym gevulotem (to pewnie dzielnica czerwonych latarni), a także puste ulice, przy których wolno poruszający się wyciszeni (więksi od słoni, w żółtych pancerzach) budują nowe domy w pastelowych barwach. Niewiele brakuje, żebym zgubił trop dzieciaka wśród

wszechobecnego pomruku i dziwnej morskiej woni żółtych olbrzymów - ale wtedy widzę, jak macha do mnie z grzbietu jednego z nich i zeskakuje z powrotem na ulicę.

Przez pewien czas podąża za nami grupa rolkarzy, którzy wzięli nas omyłkowo za uczestników jakiejś nowej miejskiej gry: młodzi marsjańscy chłopcy i dziewczęta w ubraniach udających stroje z czasów Królestwa. Pudrowane peruki i gorsety są sznurowane intelmateria, żeby nie przeszkadzały w jeździe i nie krępowały ruchów, gdy dzieciaki odbijają się od ścian i kręcą salta nad dachami; przerośnięte kółka trzymają się każdej powierzchni. Rolkarze pokrzykują do mnie zachęcająco i nawet przechodzi mi przez myśl, że mógłbym wydać trochę czasu i odkupić rolki od któregoś z nich - ale wtedy słabnący wymaginowany ból pleców przywraca mnie do rzeczywistości i każe biec dalej.

W każdej chwili spodziewam się, że to ciało mnie zawiedzie i zaczeka na przybycie Mielli, która wymierzy mi wymyśloną przez siebie karę. Ale i tak żałuję, że nie widziałem jej miny.

Docieramy do starego robogrodu, gdzie czuję, że brakuje mi tchu. Klnąc w duchu na podlegające ścisłym ograniczeniom ciało elementarne, osuwam się na kolana i dyszę ciężko, a oczy szczypią mnie od potu.

- Posłuchaj... - sapię. - Bądźmy rozsądni. Jeżeli jesteś częścią mojego umysłu, powinieneś być rozsądny.

Chociaż z drugiej strony, w jego wieku na pewno nie wiedziałem co to rozsądek. Później zresztą też nie.

Ogród wygląda dziwnie znajomo. To musi być częśćka starego Królestwa, którą miasto znalazło i wchłonęło podczas przemarszu przez marsjańską pustynię, a jego dziwaczny miejski metabolizm ściągnął ją tutaj. Otwarta przestrzeń w środku Labiryntu, osłonięta skupiskiem wysokich synagog i wyłożona białymi i czarnymi płytami marmuru o wymiarach pięć na pięć metrów, tworzącymi stupolową kwadratową szachownicę. Ktoś posadził tu kwiaty i drzewa: zieleń, czerwień, biel, fiolet przelewają się przez równiuteńką czarno-białą krawędź szachownicy. Chłopca nigdzie nie widać.

- Mam mało czasu. Kobieta z blizną niedługo przyjdzie po nas

obu i nie będzie zachwycona.

Na polach szachownicy stoją olbrzymie maszyny: średniowieczni rycerze, samurajowie i rzymscy legionieści w ozdobnych pancerzach, ogromnych hełmach, z przerażającą, nabijaną kolcami bronią w rękach. Zbroje są sfatygowane i pordzewiałe, z niektórych pustych hełmów zrobiono doniczki i teraz rosną w nich kępy begonii i pastelowe marsjańskie róże. Niektóre postaci wyglądają jak zastygłe w pół ruchu, w trakcie walki... Tyle tylko, że kiedy patrzę na nie i uspokajam oddech, powoli się poruszają. Coś mi mówi, że gdybym tu został, zobaczyłbym, jak rozgrywają spowolnioną partię rozpoczętą przez dawno nieżyjących graczy.

Znów słyszę ten śmiech. Odwracam się. Chłopiec huśta się na ramieniu czerwonego robota, który stoi na uboczu z wzniesioną do ciosu bronią przypominającą kosę. Rzucam się naprzód, chcąc schwytać dzieciaka w niedźwiedzi uścisk, ale jego już tam nie ma, a ja przewracam się po raz drugi podczas pościgu, tym razem na grządkę róż.

Dyszząc ciężko, odwracam się na plecy. Ciernie rozdzierają mi ubranie i skórę.

- Ty mały draniu... - sapię. - Wygrałeś.

Promień światła Phobosa, przemierzającego niebo w swoim stałym ośmiogodzinnym cyklu, pada na otwarty hełm robota. W środku coś lśni srebrzyście. Wstaję i gramolę się po pancerzu maszyny; na szczęście wspinaczka jest jedną z tych rzeczy, które obniżona grawitacja ułatwia, zamiast utrudniać. Z wypełniającej hełm ziemi wygrzebuję jakiś metalowy przedmiot: zegarek z mosiężnym cyferblatem, na grubej srebrnej bransolecie. Wskazówka pokazuje dokładnie zero. Chowam go pośpiesznie do kieszeni z zamiarem późniejszego dokładnego zbadania.

Słyszę kroki i czuję nieznoszące sprzeciwu żądanie geulotu. Nawet nie próbuję się chować.

- W porządku, Mielli, dłużej i tak nie mogę uciekać. Tylko nie zsyłaj mnie do piekła. Pójdę z tobą z własnej woli.

- Do piekła? - odpowiada mi ktoś szorstkim głosem. - Piekło to inni.

Spoglądam w dół, gdzie oparty o grabie stoi mężczyzna w niebieskich ogrodniczkach. Ma niefrasobliwą, choć niemłodą twarz i szopę siwych włosów.

- To nie jabłonka - dodaje i marszczy brwi. - A niech mnie...
To pan?

- Ehm... My się znamy?

- Pan Paul Sernine, prawda?

ROZDZIAŁ 5

DETEKTYW I ZOKU

Niewiele brakuje, żeby Isidore zdążył.

Pająkotaksówka pędzi po dachach. Kosztowała sto kilosekund, ale to jedyne wyjście, jeśli chce mieć chociaż cień szansy. Kurczowo trzyma się pasa bezpieczeństwa, gdy pojazd - nieślubne dziecko pająka, maszyny wojennej H.G. Wellsa i taksówki - przeskakuje nad budynkami i czepia się ścian.

Isidore upuszcza bombonierkę i klnie głośno, patrząc, jak ta telepie się po wnętrzu wozu.

- Wszystko w porządku? - pyta kierowca, młoda kobieta w tradycyjnej taksówkarskiej maseczce karnawałowej: czerwonej, z wzorem pajęczyny. W mieście wiecznych zmian, gdzie wiele miejsc jest trwale ukrytych pod gevulotem, taksówkarz musi się bardzo postarać, żeby dostarczyć pasażera z punktu A do punktu B. - Bez obaw, dojedziemy.

- Nic mi nie jest. Proszę szybciej.

Zokijska kolonia znajduje się na przodzie miasta, nieopodal Kurzawy, powyżej miejsca, w którym Atlasy przygotowują marsjańskie piaski do udźwignięcia ciężaru Kazamat. Łatwo dostrzec jej granicę: otulone chmurami czerwonego pyłu szerokie aleje, fasady z *belle epoque* i drzewa wiśni ustępują miejsca bajkowym zamkom z brylantów, które wyglądają jakby ktoś nadał fizyczną formę czystej matematyce. Światło zmierzchu załamuje się i odbija od lśniących ścian, rozszczerzone i oślepiające. Kolonia powstała z górą dwadzieścia lat temu, po tym, jak podczas Wojny Protokołu zoku poprosili o azyl; chodzą plotki, że wyrosła z nanoziarna w jedną noc: osiadły na Marsie skrawek cesarstwa techniki kwantowej, rządzącego zewnętrznymi planetami. Isidore od samego początku, odkąd zaczął się spotykać z Pixil, usiłuje

zrozumieć obowiązującą wśród zoku dziwną antyhierarchię, ale bez powodzenia.

Jeszcze kilka skoków, od których żołądek podchodzi mu do gardła, i taksówka nieruchomieje. Zatrzymują się przed przypominającym katedrę gmachem ze szkła i światła. Wieżyczki, iglice i - wyglądające na organiczne - gotyckie łuki przyporowe sterczą z boków budynku w przypadkowych odstępach.

- Jesteśmy na miejscu - mówi taksówkarka. - Ma pan wysoko ustosunkowanych przyjaciół, jak widzę... Proszę uważać, żeby nie skwantowali panu mózgu.

Isidore płaci i z przerażeniem patrzy, jak wskazówka na jego zegarku gwałtownie opada. Podnosi walającą się po podłodze bombonierkę i próbuje oszacować straty: pudełko jest lekko wgnieciono, ale poza tym nic mu się nie stało.

I tak się nie zorientuje, myśli w duchu.

Wyskakuje z wozu, trzaska drzwiami mocniej niż to konieczne i wchodzi na schody prowadzące do potężnych dwuskrzydłowych drzwi. Trzęsącymi się rękami poprawia dławiającą go muszkę.

- Wstęp tylko za zaproszeniami - rozlega się głos; dudni, jakby dobiegał spod ziemi. Zza drzwi wynurza się potwór - przechodzi przez nie jak przez pionową taflę wody, która marszczy się i faluje wokół jego potężnej sylwetki. Jest ubrany w niebieski uniform i czapkę odźwiernego. Ma blisko trzy metry wzrostu, zieloną skórę, twarz jak suszona śliwka, małe ślepia i dwa potężne żółtawe kły; w jednym z nich jest osadzony mały zokijski klejnocik. Bestia przemawia basowym, nienaturalnie dźwięcznym, lecz ludzkim głosem.

Wyciąga wielkie łapsko. Na przedramionach potwora rysują się rogowe grzebienie, czarne, ostre, lśniące od jakiegoś płynu. Pachnie lukrecją.

Isidore z wysiłkiem przełyka ślinę.

- Mam zaproszenie - mówi i pokazuje pierścień splątaniowy. Potwór pochyła łeb i uważnie go ogląda.

- Przyjęcie już się rozpoczęło, przepustki dla gości straciły ważność.

- Posłuchaj, wiem, że trochę się spóźniłem, ale pani Pixil na mnie czeka.

- Z pewnością.

Jestem przed drzwiami, nadaje rozpaczliwie do Pixil. Wiem, spóźniłem się, ale dotarłem! Zejdź na dół i wpuść mnie, proszę.

Jego wezwanie pozostaje bez odpowiedzi.

- To na nic. - Potwór odchrząkuje. - Splątowanie to ważny element zokijskiej tradycji, ilustrujący jedność i spójność społeczności. Wywodzi się z zamierzchłej przeszłości, z epoki pierwszych gildii metawersowych. W tym dniu jednoczymy się z naszymi przodkami. Nikt nie będzie chciał przerywać, żeby wpuścić spóźnialskiego.

- Skoro to takie ważne, to co ty tu robisz?

Bestia robi dziwnie zażenowaną minę.

- To się nazywa optymalizacja zasobów - mamrocze. - Ktoś musi być odźwiernym.

- No dobrze. Co ci grozi w najgorszym razie, jeśli mnie wpuścisz?

- Mogą mnie wyrzucić z zoku. Nie będę z nikim splątany. Zostanę sam na obcej planecie. To nic dobrego.

- A mógłbym cię jakoś... no wiesz... przekupić?

Potwór przygląda się Isidore'owi ciekawie. Szlag by to... Obraziłem go? - niepokoje się Isidore.

- Szlachetnymi kamieniami? Bizuterią? Złotem?

- Nie.

Pixil, nie wygłupiaj się! To jakiś obłąd!

- Czekoladą?

- A co to jest?

- Ziarna kakaowca przetworzone w specyficzny sposób. Pyszności, w każdym razie dla... ciał elementarnych. Mam tu coś, co przyniosłem w prezencie pani Pixil. Spróbuj.

Isidore mocuje się przez chwilę z zamknięciem bombonierki, aż w końcu traci cierpliwość, rozdziera pokrywkę i rzuca odźwiernemu pięknie uformowaną czekoladkę. Potwór łapie ją w locie.

- Pychota - potwierdza. Wyrzywa Isidore'owi bombonierkę z

ręki i wkłada ją w całości do pyska. Pudełko znika z odgłosem, jaki mogłaby wydać niszcarka do papieru. - Palce lizać. Mogę dostać wirt? W Krainie będą zachwyceni.

- Nie mam.

- Jak to nie masz?

- Nie mam wirta. To był przedmiot fizyczny, jedyny w swoim rodzaju.

- O kurde... Oż w mordę... Nie trzeba było... Przepraszam, strasznie mi przykro. Nie chciałem... Posłuchaj, mogę wszystko zwrócić, poskładamy je z powrotem...

- Nie ma potrzeby, naprawdę.

- To był odruch. To ciało po prostu musi umieć się przystosować do różnych stereotypów narracyjnych. Ale na pewno uda mi się wygenerować przynajmniej jakąś replikę... - Potwór otwiera paszczę i zaczyna pchać do gardła wygiętą pod niewiarygodnym kątem łapę.

- Mogę wejść? - pyta Isidore.

- Pewnie - odpowiada z gulgotaniem potwór. - Śmiało. I nie wracajmy do tej sprawy. Nie chciałem być takim palantem. Baw się dobrze.

Dwuskrzydłowe drzwi otwierają się z rozmachem. Coś przeskakuje z pstryknięciem i świat zmienia się w coś innego, gdy Isidore przekracza próg. Nieustanna manipulacja rzeczywistością to coś, czego szczerze nie znosi w Kurzawie. Zoku nie mają nawet tyle przyzwoitości, żeby jakoś maskować swoje tajemnice; zamiast tego oblepiają ci nimi całą korę wzrokową, kładąc kolejne warstwy wirtów i zafałszowanej rzeczywistości, co uniemożliwia dostrzeżenie prawdy.

Nagle poczucie otwartej przestrzeni i zniknięcie granic gevolutu przyprawia go o zawrót głowy. W środku nie ma żadnej brylantowej katedry. Isidore stoi w wejściu do ogromnej hali, gdzie na ścianach i wysoko zawieszonym suficie wiją się rury i kable. Gorące powietrze pachnie ozonem i starym potem. Podłoga jest nieprzyjemnie lepka. Świecą przyćmione neonówki. Na stolikach stare, niezgrabne płaskie wyświetlacze pokazują topornie animowane postaci albo jakieś abstrakcyjne sylwetki w tańcu. Rytm głośnej muzyki przyprawia o ból głowy.

Goście przechadzają się między stolikami, rozmawiają; wydają się Isidore'owi dziwnie... ludzcy. Ręcznie robione bikini z kolczugi odcinają się od jasnej skóry. Niektórzy mają u pasa miecze ze sztywnej gąbki, inni ubrali się w kartonowe pudła - ale wszyscy mają albo pudełka ze sterzącymi z nich przewodami, albo przypięte do paska płytki z obwodami drukowanymi.

- Cześć. Chcesz się splątać?

Dziewczyna wygląda jak pulchniutki elf o różowych włosach. Ma przyprawione ogromne kocie uszy, stanowczo zbyt ostry makijaż i niewygodnie ciasną koszulkę, na której wielkooka kobieta wyczynia jakieś bezceństwa z jakimś rekwizytem. Poza tym na plecach nosi dwie srebrne falliczne rakiety, połączone grubą pępownią z zaopatrzonym w dotykowy ekran telefonem, który trzyma w ręce.

- Z przyjemnością, ale... - Isidore znów rozluźnia muszkę. - Prawdę mówiąc, szukam Pixil.

Dziewczyna wybałusza oczy.

- Ojej...

- Wiem, spóźniłem się, ale...

- Nie, nic się nie stało, impreza się jeszcze nie zaczęła, ludzie dopiero zaczynają się plątać... Jesteś Isidore, tak? Super! - Dziewczyna wymachuje rękami, niewiele brakuje, żeby zaczęła podskakiwać z entuzjazmu. - Pixil ciągle o tobie mówi! Wszyscy o tobie słyszeli!

- Znasz Pixil?

- No pewnie, głuptasku! Jestem Cyndra, jej epicki wierzchowiec. - Ścisła ukrytą pod koszulką drobną pierś. - Fajny awatar, nie? Sue Yi, z pierwszego Qclanu. Odkupiłam jej ducha od... Nie, tego nie powinnam ci mówić. Ty grasz w „Detektywa”, prawda? Przepraszam.

Isidore próbuje mignąć określenie „epicki wierzchowiec”, ale w zokijskiej kolonii egzopamięć Kazamat milczy. Oby to była tylko metafora, myśli.

- Ehm... Mogłabyś mi powiedzieć, gdzie znajdę Pixil?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Głuptasku... To bal przebierańców, nie widzisz? Musimy się przejść wśród gości i ją rozpoznać.

Zanim Isidore zdąży zareagować, spocona dłoń Cyndry zaciska się na jego dłoni i pociąga go w tłum.

- Nawet nie wiesz, ilu ludzi chce cię poznać. - Cyndra mruga do niego porozumiewawczo. - Rozumiesz, wszyscy jesteśmy pod wrażeniem. Chłopak z Kazamat! Co wy wyrabiacie ze swoimi ciałami... Niegrzeczny chłopczyk.

- Mówiła ci o...

- O wszystkim mi mówi. O, tutaj będą wiedzieli, gdzie jest.

Cyndra zmierza w stronę paru starych komputerów, które pomrukują i promieniają ciepłem. Wokół nich skupiło się troje ludzi, z których żadne nie przypomina Isidore'owi Pixil - choćby dlatego, że dwoje z nich ma brody. Jeden z mężczyzn, wysoki i szczupły, jest ubrany w żółtą pelerynę, karnawałową maseczkę, szorty i czerwoną koszulę. Drugi jest bardziej barczysty, na ramionach ma postrzępioną niebieską pelerynę, na głowie maskę ze szpiczastymi uszami.

Trzecią osobą jest niska, starszawa blondynka o pomarszczonej twarzy, w okularach i nie najlepiej dopasowanym skórzanym pancerzu. Siedzi z mieczem na kolanach. Mężczyźni również siedzą, garbią się i kołyszają na krzesłach w rytm brzękliwych eksplozji.

Cyndra klepie tego szczupłego po plecach; z ekranu dobiega głośny wybuch.

- Kurde... - Mężczyzna zdejmuje gogle. - Widzisz, co narobiłaś?

Ten drugi, w niebieskiej pelerynie, rozpiiera się na krześle.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć, chłoptasiu.

Isidore'owi zaschło w ustach. Jest przyzwyczajony do połączeń gevulotowych, które ułatwiają kojarzenie twarzy z nazwiskami i ustalanie kontekstu społecznego - tu zaś ma do czynienia z prawdziwymi nieznajomymi.

- Widzieliście Pixil? - pyta Cyndra.

- Ej! - warczy na nią szpiczastouchy. - Wypadasz z roli!

- No i co z tego? To ważne.

- Przed chwilą tu była - mówi szczupły, nie odrywając wzroku

od ekranu. Prawą ręką gwałtownie porusza jakimś małym białym przyrządem, wydającym ciche pstryknięcia.

- Jak się przebrała? Musimy ją znaleźć.

- Nie wiem.

- Wydaje mi się, że za McGonigal - mówi szpiczastouchy. - W salce na tyłach chciała zorganizować rozgrywkę „Wilkołaka”, ale prawie wcale nie zmieniła ciała. Słabo to wyszło.

- Dobrze. - Cyndra zwraca się do Isidore'a. - Ty zostań tutaj, a ja po nią pójde. Panowie... Ta-dam! To jest Isidore, czyli Ważny Inny naszej Pixil. I też jest graczem.

- No, no... - mruczy z podziwem szpiczastouchy.

Kobieta w skórzanym pancerzu przygląda się Isidore'owi ciekawie.

- Ci żartownisie to zokijska starszyczna - wyjaśnia mu Cyndra.

- Zwykle są bardziej uprzejmi. To jest Drathdor, to Sagewyn, a to... - Kłania się lekko, przenosząc wzrok na kobietę. - Najstarsza. Zajmą się tobą, a ja zaraz wrócę. Tak się cieszę, że przyszedłeś!

- Siadaj, napij się piwa - mówi Sagewyn, szpiczastouchy. Isidore siada na jednej z workowatych poduszek ma podłozce.

- Dzięki. - Ogląda podejrzliwie puszkę, nie bardzo wiedząc, jak się do niej dobrać. - Świetna impreza, co?

- To nie impreza! - prycha Drathdor. - To uświęcony tradycją rytuał!

- Przepraszam, Pixil niewiele mi o nim opowiadała. Na czym to właściwie polega?

- Ty mu powiedz. - Drathdor spogląda na Najstarszą. - Najlepiej opowiadasz.

- Była przy tym - wyjaśnia Sagewyn.

- W ten sposób czcimy nasze dziedzictwo - odzywa się Najstarsza. Ma mocny głos, jak piosenkarka. - Nasze zoku jest stare, wywodzi się z klanów graczy powstałych jeszcze przed Upadkiem. - Uśmiecha się. - Niektórzy z nas dobrze pamiętają tamte czasy. To było tuż przed tym, jak przyszła moda na transfery osobowości. Konkurencja była zajadła, człowiek zrobiłby wszystko, żeby zdobyć przewagę nad wrogą gildią. Jedni z pierwszych zaczęliśmy eksperymentować z kwantowo-

ekonomicznymi mechanizmami współpracy. Wszystko zaczęło się od dwóch zwariowanych *otaku* zatrudnionych w laboratorium fizycznym, skąd wykradali splątane w pułapkach jonowych kubity, żeby podłączać je do konsol, na których grali; miało to ułatwić koordynację rajdów gildii i wygrywanie aukcji. Wygląda na to, że splątanie pozwala osiągnąć ciekawe rezultaty; cała gra się zmienia. To jak dylemat więźnia, tylko uzupełniony telepatią. Perfekcyjna koordynacja. Nowe stany równowagi. Rozwalaliśmy przeciwników na miazgę. Pławiliśmy się w złocie.

- Dalej rozwalamy ich na miazgę - zauważyła Drathdor.

- Ciii. Kłopot w tym, że ta nasza magia wymaga splątania. W tamtych czasach nie było jeszcze kwantowych satelitów komunikacyjnych, dlatego urządzaliśmy takie przyjęcia: ludzie przychodzili ze swoimi kubitami i splątali je z jak największą liczbą innych. - Najstarsza się uśmiecha. - Aż pewnego dnia dotarło do nas, co można osiągnąć dzięki starannemu planowaniu zasobów, koordynacji działań i interfejsom łączącym komputer bezpośrednio z mózgiem. - Poklepuje rękę miecza, w której jest osadzony klejnot wielkości kurzego jaja, przezroczysty, wielofasetowy, z delikatną fioletową nutą. Miecz nie pasuje do jej całkiem zwyczajnej zbroi. - Dużo się od tamtej pory wydarzyło: przetrwaliśmy Upadek, wybudowaliśmy miasto na Saturnie, przegraliśmy wojnę ze Sbornością... Od czasu do czasu dobrze jest jednak przypomnieć sobie, skąd się pochodzi.

- Pixil nic mi o tym nie mówiła - mówi Isidore.

- Bo bardziej od tego, skąd pochodzi, interesuje ją to, dokąd zmierza.

- Więc jesteś graczem, tak? - wtrąca się Drathdor. - Pixil dużo opowiadała o grach, w które gracie w Brudnym Mieście. Podobno stanowią dla niej inspirację. Chętnie bym się czegoś o nich dowiedział.

- Gdzie gramy?

- No, czasem nazywamy je Brudnym Miastem - wyjaśnia Sagewyn. - To taki żart.

- Rozumiem... Ale musieliście mnie z kimś pomylić, ja w nic

nie gram.

Najstarsza dotyka jego ręki.

- Młody Isidore chce nam chyba powiedzieć, że jego zdaniem to, co robi, nie jest wcale grą.

Isidore marszczy brwi.

- Nie wiem, co dokładnie powiedziała wam Pixil; ja studiuję historię sztuki. Ludzie nazywają mnie detektywem, ale tak naprawdę to zwykle rozwiązywanie problemów.

Kiedy to mówi, boleśnie przypomina mu się odrzucenie przez cadyka.

- Ale jak liczycie punkty? - dopytuje się Sagewyn. - Jak awansujecie na poziomy?

- Nie w tym rzecz. Chodzi bardziej o... pomoc ofierze, schwytanie sprawcy, doprowadzenie go przed sąd.

Drathdor parska prosto w puszkę z piwem i ochlapuje sobie kostium.

- To obrzydliwe. - Ociera usta wierzchem dłoni w rękawicze.

- Ohyda. Chcesz powiedzieć, że jesteś jakimś toksycznym zombi-memem? I Pixil cię tu przyprowadziła? Dotknęła cię?! - Jest wstrząśnięty, kiedy spogląda na Najstarszą. - Dziwię się, że na to pozwalasz.

- Moja córka może robić co chce i z kim chce, to jej życie. Poza tym moim zdaniem dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy pogodzili się z myślą, że poza nami istnieje jeszcze jakieś ludzkie społeczeństwo, z którym powinniśmy nauczyć się współżyć. W Krainie łatwo się o tym zapomina. - Najstarsza się uśmiecha. - Dobrze jest, kiedy dziecko bawi się w brudzie. Nabywa odporności.

- Chwileczkę... - wtrąca Izydor. - Twoja córka?

- Nieważne. - Drathdor wstaje. - Pójdę już, nim zarażę się „sprawiedliwością”.

Zapada niezręczne milczenie, gdy Drathdor rzeczywiście odchodzi.

- Wiesz co, ja nadal nie bardzo rozumiem, jak wygląda punktacja... - odzywa się Sagewyn.

Najstarsza piorunuje go wzrokiem.

- Isidore? Chciałabym z tobą porozmawiać w cztery oczy.

Szpiczastouchy zokijski starszy wstaje.

- Miło było cię poznać, Isidore. - Mruga porozumiewawczo. - Żółwik? - Wykonuje dziwny gest w powietrzu, jakby przerwany w połowie cios pięścią. - Nie, to nie. Trzym się.

- Przepraszam za moich zokijskich partnerów - mówi Najstarsza. - Rzadko mają kontakt ze światem zewnętrznym.

- To dla mnie zaszczyt, że poznałem cię osobiście. Pixil nigdy o tobie nie wspominała. O ojcu zresztą też nie. Jest gdzieś tutaj?

- Może nie chciała ci mącić w głowie. Lubię określenie „matka”, ale sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Powiem tak: podczas Wojny Protokołu doszło do pewnego incydentu z udziałem moim i pojmanego przez nas woźmózga Sbornosti. - Najstarsza patrzy na pierścień splątania na palcu Isidore'a. - To od niej?

- Tak.

- Ciekawe.

- Słucham?

- Biedaku... Nie powinna była cię tu przyprowadzać. Jesteś w fatalnym stanie. - Najstarsza wzdycha. - Ale może tego właśnie teraz potrzebuje. Chce coś udowodnić.

- Nie rozumiem.

Isidore próbuje coś wyczytać z twarzy rozmówczyni, lecz brakuje mu subtelnych wskazówek gevulotu. Jedną z rzeczy, które od początku pociągały go w Pixil, była jej zagadkowość. Jej matka budzi w nim wyłącznie lęk.

- Chciałam cię tylko uprzedzić, że nie powinieneś oczekiwać po mojej córce zbyt wiele. Musisz zrozumieć, że jest już związana z czymś o wiele od niej większym. Między innymi dlatego opowiedziałam ci naszą historię. Pixil eksperymentuje, i bardzo dobrze, ty również powinieneś, ale nie jesteście tak naprawdę splątani. Nigdy nie będziesz częścią tego, co nas łączy. Rozumiesz?

Isidore bierze głęboki wdech.

- Z całym szacunkiem, ale uważam, że nasz związek to wyłącznie nasza sprawa. I jestem pewien, że Pixil by się ze mną zgodziła.

- Jednak nie rozumiesz.
- Jeżeli chcesz powiedzieć, że nie jestem dla niej dość dobry...
- Isidore krzyżuje ręce na piersi. - Mój ojciec był arystokratą w Królestwie. A poza tym myślałem, że można przystąpić do zoku. Dlaczego nie miałbym tego zrobić?
- Nie zrobisz.
- Nie ty będziesz o tym decydować.
- Ależ ja, jak najbardziej. Na tym właśnie polega zoku. Jesteśmy jednością. - W oczach Najstarszej Isidore dostrzega błysk. - Nie daj się zwieść tej małej przebierance, nie tacy jesteśmy. Jeszcze jej naprawdę nie widziałeś. Kazaliśmy jej pójść między ludzi, żeby lepiej was poznała, ale w głębi...
- Jej twarz faluje i na ułamek sekundy Najstarsza staje się migotliwym posągami zlepionym z miliarda tańczących w świetle drobinek kurzu, o pięknej twarzy okolonej klejnotami takimi jak ten na rękojeści miecza, tworzącymi wokół niej skomplikowane konstelacje. A potem nagle znów jest blondynką w średnim wieku.
- W głębi jesteśmy inni. - Poklepuje Isidore'a po ręce. - Nie przejmuj się, wszystko w swoim czasie. - Wstaje. - Cyndra na pewno zaraz wróci. Bawcie się dobrze.
- Znika w tłumie, z mieczem u pasa. Isidore gapi się w deszcz pikseli na monitorach.

Niedługo potem dochodzi do wniosku, że warto byłoby się czegoś napić, i próbuje piwa - jest śmierdzące, zwietrzałe i w ogóle wolałby wino, ale zaczyna mu to przeszkadzać dopiero po drugiej puszcze. Wtedy też daje o sobie znać zmęczenie ciężkim dniem i niewiele brakuje, żeby zasnął, wpatrzony w monitory. Dwoje gości - młody mężczyzna i dziewczyna w makijażu upodabniającym ją do trupa - siada do jakiejś gry. Po niedługim czasie mężczyzna odwraca się do Isidore'a i uśmiecha z zakłopotaniem.

- Cześć. Nie zagrałbyś? Żaden ze mnie przeciwnik dla tej Niszczycielki Światów.

Dziewczyna przewraca oczami.

- Typ kochanka, nie wojownika, co? - mówi.

- Otóż to. - Mężczyzna wygląda na ciut starszego od Isidore'a, jakby wchodził w marsjański wiek nastoletni. Ma orientalne rysy, cieniutki wąsik, dobrze skrojony garnitur i szesane gładko w tył czarne włosy. Ma przy sobie skórzaną torbę na ramię. - To jak będzie?

- Za dużo wypilem - tłumaczy się Isidore. - Grajcie sobie.

- Wiesz co... Picie to doskonały sposób na wycofanie się z twarzą z tej sytuacji. Wybacz, złotko, pokonałaś nas.

- Jak chcesz - wzdycha dziewczyna. - Pójdę pograć w „Wilkołaka”. Ludzie są tacy słabi.

Posyła Isidore'owi buziaka w powietrzu.

- Dobrze się bawisz? - pyta mężczyzna.

- Niespecjalnie.

- Szkoda. - Nieznajomy sięga po jedną ze stojących na stole puszek piwa i ją otwiera. - Jak już wiesz, piwo mają tu beznadziejne. Chodzi o autentyzm, rozumiesz.

- Mnie pasuje. - Isidore też bierze sobie piwo. - Isidore - przedstawia się.

- Adrian. - Uścisk dłoni zdradza obywatela Kazamat, ale w tej chwili, wobec przyjemnego działania alkoholu i niepokojącego braku gevolutu, nie ma to żadnego znaczenia. - Powiedz mi, Isidore, dlaczego nie bawisz się z innymi, nie tańczysz, nie płaczesz i nie wrywasz zokijskich laseczek?

- Miałem dziwny dzień. O mało nie zginąłem. Złapałem pirata gogolowego, a właściwie nawet dwóch. Na czekoladę. A co do zokijskich laseczek, to już jedną mam. Jej matka jest boginią i mnie nienawidzi.

- Cóż... Spodziewałem się raczej czegoś w rodzaju „Widziałem cadyka”, albo „W nocy przyśnił mi się cudzy sen”.

- Cadyk też tam był.

- O proszę, to zaczyna brzmieć interesująco. Mów dalej.

Piją. Isidore dochodzi do wniosku, że powinien opowiedzieć o cukierniku. Słowa same płyną mu z ust. Przychodzi mu na myśl Pixil. Jak często ze sobą rozmawiają? Bez krępującego myśli i język gevolutu czuje się jak kamień ślizgający się „kaczką” po wodzie, lekki i swobodny.

- Kim ty właściwie jesteś, Isidore? - pyta Adrian, wysłuchawszy go do końca. - Jak się w to wszystko wpakowałeś?

- Tak jakoś wyszło. Muszę dużo myśleć o rzeczach, których nie ogarniam. Kiedyś spacerowałem po Labiryncie i dla zabawy łamałem blokady gevulotów.

- Po co? Co z tego miałeś?

Isidore wybuchł śmiechem.

- Nie rozumiem ludzi, dlatego muszę wszystko dedukować. Nie pojmuję, dlaczego ktoś coś powiedział lub zrobił, dopóki się nad tym nie zastanowię.

- To niesamowite - odzywa się Adrian, kiedy Isidore robi przerwę na łyk piwa. Isidore zauważa z roztargnieniem, że jego rozmówca zapisuje coś w małym notesie, staroświeckim, papierowym. To może oznaczać tylko jedno i nawet otępiały od piwa mózg Isidore'a uświadamia sobie, że popełnił błąd.

- Jesteś dziennikarzem - konstatuje.

Chwila przemija, Isidore traci impet, woda połyka kamień. Głowa mu ciąży. W świecie doskonałej prywatności nadal zieją analogowe dziury. Publikowanie gazet jest jednym z najbardziej lukratywnych przestępstw tolerowanych w Kazamatach. Dziennikarze depczą mu po piętach od czasu pierwszej sprawy, tej ze złodziejami mody, ale nigdy nie zdołali przedrzeć się przez jego gevulot. Aż do teraz.

- Zgadza się: Adrian Wu, „Ares Herald”.

Reporter wyjmuje z torby staromodny aparat fotograficzny - kolejny gadżet pozwalający obejść gevulot. Flesz na chwilę oślepia Isidore'a.

Isidore go uderza - a przynajmniej próbuje go uderzyć, bo kiedy zrywa się na równe nogi, jego zamaszty cios chybia. Kolana się pod nim uginają, łapie najbliższy przedmiot (monitor komputera) i razem z nim z głośnym łoskotem pada na podłogę. Gramoląc się z ziemi, wyciąga rękę po aparat.

- Daj mi to...

- Ależ dam ci, dam. Jutro. Tobie i pięćdziesięciu tysiącom innych czytelników. Marzyliśmy o przeprowadzeniu wywiadu z tobą, odkąd zobaczono cię pierwszy raz w towarzystwie

Dzientelmena. Nie opowiedziałbyś nam o niej?

- O niej?!

- No pewnie. - Adrian uśmiecha się szeroko. - I to ty niby jesteś detektywem, tak? Podobno Dzientelmen jest kobietą. A skoro o kobietach mowa... Oto królowa balu.

- Cześć, pysiu - mówi Pixil.

Mimo wstrząsu, złości i alkoholowych oparów, na jej widok Isidore'a ogarnia przyjemne ciepélko. Czarna szminka upodabnia jej krzywy uśmieszek do przecinka. Drobne ciało jest wciśnięte w sukienkę w szkocką kratę na skórzanych paskach, które należycie podkreślają jej kształtne, śniade ramiona.

- Cyndra mi powiedziała, że dotarłeś. Tak się cieszę. Jej pocałunek smakuje ponczem.

- Cześć - mówi Isidore. - Przyniosłem ci czekoladki. Potwór je zjadł.

- Jejku... Ty jesteś pijany.

- Lepiej - wtrąca Adrian. - Jest fantastycznym materiałem.

Kłania się lekko Isidore'owi i znika w tłumie.

Następna godzina zupełnie mu się rozmazuje. Szybko zapomina o dziennikarzu. Jest gorąco i śmieszy go absolutnie wszystko, co się do niego powie. Pixil oprowadza go po kolejnych grupach. Rozmawiają z kwantowymi bogami, którzy siedzą w kręgu i spierają się, który z nich jest wilkołakiem. Bładoskórzy superbohaterowie w niedopasowanych lateksowych kostiumach wypytują go o cadyków. A jemu i tak trudno jest się skupić na czymś innym niż drobna, ciepła dłoń Pixil spoczywająca między jego łopatkami.

- Moglibyśmy pójść w jakieś spokojniejsze miejsce? - prosi w końcu.

- Pewnie. Chętnie obejrzę jakieś splątania.

Znajdują sobie dyskretną sofę, z dala od centrum zabawy. Splątanie wygląda naprawdę imponująco. Za pomocą kabli (zwykłych i światłowodowych) goście podłączają swoje nośniki kubitów - odrzutowe plecaki, blastery, magiczne miecze - do

olbrzymich machin goldbergowskich. Przy tak prymitywnym sprzęcie nie każde splątanie przebiega zgodnie z planem, ale kiedy już się uda, z transformatorów strzelają łuki elektryczne, słychać ogłuszające efekty dźwiękowe i wybuchy śmiechu. Od zapachu ozonu Isidore'owi trochę rozjaśnia się w głowie.

- Chyba wołałam, jak byłeś mocniej wstawiony - przyznaje Pixil. - Znów masz takie spojrzenie...

- Jakie?

- Jakbyś dedukował.

- Wcale nie.

Isidore się stara, ale nie może się skupić. Przelewający mu się w żołądku płynny gniew za nic nie chce się ustać.

- Wiesz co... - Pixil pieszczotliwie mierzwi mu włosy. - Spróbuję zgadnąć, o czym myślisz. Jeśli mi się uda, dziś w nocy będziesz moim niewolnikiem.

Isidore dopija drinka z plastikowego kubeczka - dziewczyny z ostatniej napotkanej grupy (nastolatki w marynarskich mundurkach) naląły mu jakiegoś przesłodzonego ponczu z guaraną, który trochę go orzeźwia, ale zarazem przyprawia o nerwowe dygotanie.

- Dobrze - zgadza się. - Wchodzę w to.

- Myślisz o tym swoim cadyku. Mam być zazdrosna?

- Nie. Źle mi poszło, nie będę cadykiem. I wcale nie o tym myślałem.

- Ojej... - Pixil robi zatroskaną minę. - Czego ten drań od ciebie chce? Jesteś geniuszem, rozwiązałeś tę... no, zagadkę. No wiesz.

- Rozwiązałem, ale to nie wystarczyło. Nie przejmuj się, zresztą nie chcę o tym rozmawiać. - Gorycz porażki zije pod tym zaprzeczeniem jak przepastna otchłań. - Zgaduj dalej.

- No dobrze. - Pixil bawi się jego ręką, łaskocze wnętrze dłoni palcem wskazującym. - Próbujesz wykombinować, co zrobić, żeby jak najszybciej zaciągnąć mnie do łóżka.

- Nie.

- Nie?! - wykrzykuje dziewczyna z udawanym oburzeniem. - W takim razie, panie detektywie, radzę panu wezwać taksówkę. Dlaczego o tym nie myślisz? Ja myślę.

- Została ci jeszcze jedna próba.
- Hmm... - Pixil poważnieje. Przyciska palce do skroni i zamyka oczy. - Myślisz...
- Tylko bez oszukiwania. Kwantolące i gevulot odpadają.
- Żartujesz? Ja nigdy nie oszukuję. - Pixil wydyma wargi. - Moim zdaniem myślisz o Adrianie, o tym, dlaczego go zaprosiłam, dlaczego kazałam Cyndrze przedstawić cię starszyźnie i dlaczego moja biedna splątomatka cię nienawidzi.
- Uśmiecha się słodziutko. - Zgadłam? A może uważasz mnie za głupią?
- Tak. To znaczy nie. Zgadłaś. Tylko teraz powiedz mi, dlaczego.

W piersi Isidore'a zbiera się w zbitą grudę gniew. Krew dudni mu w skroniach.

- Robisz się milusi, kiedy jesteś taki zdezorientowany.
- Powiedz.
- Niewolnicy nie stawiają żądań. A ja wygrałam.
- Nie mam w tej chwili ochoty na zabawę. Powiedz, dlaczego? Pixil bierze go za rękę i kładzie ją sobie na kolanach.
- Przede wszystkim chciałam się tobą popisać.
- Popisać się? W pięć minut zdążyłem ich wszystkich obrazić, a twoja matka mnie nienawidzi!

- Splątomatka. I wcale cię nie nienawidzi. Po prostu jest nadopiekuńcza. Wiesz, pierwsze dziecko stworzone na Marsie, kompatybilność z gevulotem, pomost przerzucony między dwoma światami, takie tam... Mimo to, w głowach im się nie mieści, że chodzę z jednym z was. Zasłużyli sobie na to, żeby trochę ich obrazić. Oni cały czas myślą, że pewnego dnia wrócimy na Jowisza, mimo że został z niego obłok pyłu, który i tak zjadają roboty Sbornosti. Teraz mieszkamy tutaj, ale nikt nie chce się z tym pogodzić.

- Już rozumiem. Wykorzystałaś mnie.
- Ależ oczywiście. To gra. Optymalizacja alokacji zasobów to nie żart. Robimy to co dla nas najlepsze. Tak to działa, inaczej nie umiemy. W tym wypadku najlepsza będzie odrobina buntu.
- Czyli ten bunt nie jest prawdziwy?
- Daj spokój, przecież sam robisz to samo z innymi, bez

przerwy. I jesteś w tym dobry. Jak ci się wydaje, dlaczego ze mną jesteś? Dlatego że jestem zagadką i nie możesz mnie rozgryźć tak, jak rozgryzasz tamtych. Widziałam, jak rozmawiasz z ludźmi; kiedy coś do nich mówisz, to nie są twoje prawdziwe słowa, tylko coś, co sobie wydedukowałeś. Nie powiesz mi, że dla ciebie to nie jest gra.

- Nie całkiem. Dziś omal nie zginąłem. Córka zabiła ojca w okrutny sposób. Zdarza się, ale ktoś musi rozwiązywać takie zagadki.

- Rozwiązywanie ich coś zmienia?

- Dla mnie tak. - Isidore zniża głos. - Przecież wiesz.

- Owszem, wiem. I pomyślałam, że inni też powinni się dowiedzieć. Jesteś dobry, więc ktoś powinien ci liczyć punkty. Dlatego zaprosiłam Adriana, żeby porozmawiał z tobą tutaj, bez tych kretyńskich gevulotów. Dzięki niemu będziesz sławny.

- Źle zrobiłaś, Pixil. Będę miał kłopoty. Myślisz, że możesz za mnie decydować o tym, czego potrzebuję? Nie należę do twojego zoku. Ze mną jest inaczej.

- Rzeczywiście, inaczej. W zoku nie mam wyboru. - Pixil dotyka zokijskiego klejnotu, wstawionego u nasady szyi, gdzie spotykają się obojczyki. - A przy tobie robię to, bo tak chcę.

Jakaś odległa częśćka jego umysłu wie, że Pixil kłamie, ale z niewiadomych powodów nie ma to żadnego znaczenia. I tak ją całuje.

- Przypominam ci, że przegrałeś zakład. Chodź, coś ci pokażę.

Pixil bierze go za rękę i prowadzi do drzwi, których jeszcze przed chwilą tam nie było. Przechodzą przez nie razem. Za ich plecami zapalają się elektryczne łuki splątania.

Znów następuję chwila nieciągłości.

Znajdują się w jakimś wnętrzu, przepastnym niczym jaskinia, w którym jest pełno czarnych sześcianów różnej wielkości - od metrowych, po takie wielkości domu. Stoją jedne na drugich. Ściany, podłoga i sufit (gdzieś daleko, daleko w górze) są białe i jarzą się lekką poświatą, w której nawet Pixil wygląda blado.

- Gdzie jesteśmy? - pyta Isidore. Jego głos niesie się dziwnym

echem.

- Wiesz, że jesteśmy najemnikami, prawda? Napadamy na różne miejsca. A tutaj trzymamy łupy.

Pixil wypuszcza jego rękę, podbiega do jednego z sześcianów i go dotyka. Ściany sześcianu natychmiast stają się przezroczyste. W środku widać niezwykle stworzenie, połyskliwe jak upierzony wąż; wiję się w powietrzu, spętane światłem. Z załączonej informacji wynika, że to robak Langtona, któremu po schwytaniu na wirtualnych dzikich rubieżach Krainy nadano postać materialną.

- Tu jest prawie wszystko! - Pixil wybucha śmiechem. Biega od jednej kostki do drugiej, dotykając ich w przelocie. - Chodź, rozejrzyjmy się.

Znajdują szklane jaja, zabytkowe zegary i słodczyce ze starej Ziemi. W którymś z większych sześcianów Isidore odkrywa wiekowy statek kosmiczny - z brunatnymi plamami na białej ceramicznej powłoce wygląda jak przybrudzony ząb trzonowy jakiegoś olbrzyma. Pixil otwiera sześcian pełen kostiumów teatralnych i ze śmiechem wciska Isidore'owi melonik na głowę.

- Nie wkurzą się, kiedy nas tu znajdą? - niepokoje się Isidore.

- Nie martw się, niewolniku. - Pixil uśmiecha się figlarnie i nucąc pod nosem, układa z kostiumów stos na podłodze. - Mówiłam ci przecież: optymalizacja zasobów.

Obejmuje go za szyję i całuje. Mocno. Jej ubranie rozplywa się pod jego dotykiem, kiedy pociąga go w głąb gniazdka uwitego z sukni i płaszczy. Isidore czuje, jak gniew go opuszcza, a potem w jego świecie nie ma innych kształtów poza kształtem jej ciała.

INTERLUDIUM

DOBROĆ

Jak w każdy sol solis, Xuexue przychodzi do ogrodu, żeby uśmiechnąć się do czerwonego robota.

Robot stoi sam, z dala od skupiska walczących maszyn na czarno-białej marmurowej szachownicy. Wygląda też inaczej niż one: rdza kryje smukłą linię, jakby samochodu sportowego, a hełm zdobi biała figurka konia.

Xuexue siada przed rycerzem na składanym krzeselku, wpatruje się prosto w czarną szczelinę hełmu i z uśmiechem stara się jak najdłużej wytrzymać w bezruchu. Jej rekord to dwie godziny. Najtrudniej jest utrzymać szczerzy uśmiech. Dziś ma łatwo, spędziła miły dzień z przedszkolakami: mali cesarze i cesarzowe Kazamat, sownice opłaceni czasem rodziców i należycie z tego powodu rozpieszczani, bywają trudni w obejściu, ale miewają też wspaniałe momenty. Może dzisiaj uda jej się pobić rekord.

- Przepraszam? - rozlega się czyjś głos.

Xuexue z trudem powstrzymuje się od zmarszczenia brwi. Uśmiecha się, ale nie odwraca.

Kiedy czyjaś dłoń dotyka jej ramienia, wzdryga się. Do licha.

Powinna była zamknąć gevulot - tylko że to popsułoby uśmiech.

- Próbuję się skupić - mówi oschle.

Jakiś młody mężczyzna przygląda się jej z rozbawieniem. Ma czarne jak smoła włosy, półprzymknięte powieki, łukowato wygięte brwi i skórę w delikatnie słonecznym odcieniu. Jest ubrany jakby się wybierał na przyjęcie, w elegancki garnitur. Nosi przyciemniane okulary o niebieskich szklach, chroniące przed jaskrawym światłem Phobosa.

- Najmocniej przepraszam - odzywa się z nutką wesołości w

głosie. - W czym przeszkodziłem?

Xuexue wzdycha.

- I tak by pan nie zrozumiał.

- Proszę spróbować.

Mężczyzna zdejmuje okulary i przygląda się jej z zaciekawieniem. Jego skóra wygląda odrobinę zbyt idealnie, inaczej niż u przeciętnego mieszkańca Kazamat. Uśmiecha się, lecz w oczach widać dziwne roztargnienie, jakby prowadził więcej niż jedną rozmowę na raz.

- Uśmiecham się do czerwonego gladiatora - odpowiada Xuexue. - Mniej więcej od roku, co najmniej godzinę tygodniowo.

- Po co?

- Te figury uczestniczą w starej grze z czasów Królestwa. Istnieje teoria, wedle której w ich wnętrzu działają spowolnione gogle, tocząc zacieklą walkę o swoją wolność. I kiedy im się przyjrzeć, można zauważyć, że faktycznie się poruszają. Doszłam więc do wniosku, że skoro my je widzimy, to one nas także, tylko musimy pozostawać w bezruchu. Pewnie wyglądamy dla nich jak duchy.

- Rozumiem... - Mężczyzna mruży oczy, spoglądając na roboty. - Mnie by chyba zabrakło cierpliwości. A dlaczego wybrała pani właśnie tego?

- Nie wiem. Wydał mi się samotny.

Mężczyzna dotyka napierśnika czerwonego robota.

- Nie obawia się pani, że go zdekoncentruje? Że przez panią przegra i nigdy nie odzyska wolności?

- Królestwo już nie istnieje. Od prawie stu lat oni wszyscy są wolni. Ktoś chyba powinien im to powiedzieć.

- Niezły pomysł. - Mężczyzna wyciąga rękę. - Jestem Paul. I przyznam, że chyba się zgubiłem wśród tych ruchomych ulic... Miałem nadzieję, że pomoże mi się pani stąd wydostać.

Przez toporny gevulot gościa wycieka strużka emocji: niepokój, brzemię, wyrzuty sumienia. Xuexue widzi oczami wyobraźni siedzącego mu na plecach morskiego starca z legend o Sindbadzie Żeglarzu. Bardzo znajome uczucie. Nagle rozmowa z nieznanym wydaje jej się stokroć ważniejsza niż

uśmiechanie się do robota.

- Naturalnie. Ale może jeszcze chwilę pan zostanie? Co pana sprowadza do Kazamat? - Mówiąc, Xuexue formuje w myślach kontrakt gevulotowy i przedstawia go Paulowi.

- Co to jest? - dziwi się Paul.

- Nikt się nie dowie i nie zapamięta, o czym tu mówiliśmy - wyjaśnia Xuexue. - Nawet ja o tym zapomnę, jeśli tak postanowisz. - Uśmiecha się. - Tak to u nas działa. Nie musimy być sobie obcy.

- To jakby mieć ze sobą przenośny konfesjonał.

- Mniej więcej.

Paul siada obok Xuexue na ziemi i patrzy na robota.

- Wiesz co? - odzywa się. - Rzadko się dziś spotyka prawdziwych altruistów. Podziwiam ich.

- Sam się za takiego nie uważasz? - pyta z uśmiechem Xuexue.

- Wybrałem inny skręt na ewolucyjnej autostradzie, i to dawno temu, gdzieś między dinozaurami i ptakami.

- Nigdy nie jest za późno. Zwłaszcza tutaj.

- Jak to?

- To Kazamaty. Miejsce zapomnienia. Tu możesz spotkać tyrana z Królestwa albo przywódcę rewolucji i nawet się nie zorientować. Albo przysiąc się do kogoś jeszcze gorszego, takiego jak ja.

Xuexue obiera z westchnieniem swój gevulot jak cebulę i podsuwa Paulowi wspomnienie.

Kiedyś sprzedawała nieśmiertelność. Odwiedzała miasta zniszczone przez trzęsienia ziemi, miasteczka pogrzebane pod lawinami błota, wioski rybackie na brzegach wysychających jezior. Oglądała obrazy dziecięcych mózgów z wbudowanego w telefon aparatu do rezonansu magnetycznego i rozmawiała ze zrozpaczonymi rodzicami o życiu bez ciała. Pokazywała dzieciom filmy z Nieba, gdzie bogowie i boginie rozprawiali o wiecznym życiu w roli ogrodników kodu. Dzieci śmiały się i wytykały ją palcami, ale w każdej miejscinie znajdowało się

kilkoro, które zgadzały się z nią pójść. Z pomocą firmowych robotów gromadziła je w zautomatyzowanych ciężarówkach i przewoziła do osiedla zwanego Opalizującą Bramą Niebios.

Osiedle na pustyni Ordos składało się z pośpiesznie wybudowanych baraków przykrytych siatką maskującą. Latryny cuchnęły. Łóżka były brudne.

Przez pierwsze dwa tygodnie nie mieli nawet prysznica, ale Xuexue i inni instruktorzy (większość z nich obecna tylko jako twarze na wyświetlaczach wbudowanych w zdalnie sterowane roboty strażnicze) twierdzili, że to bez znaczenia, wkrótce bowiem i tak wzniosą się ponad potrzeby ciała.

Pierwsza faza przemiany odbywała się w klasie. Dzieci nosiły czepki, od których swędziała głowa; dzięki nim firma wiedziała, co myślą. Xuexue pilnowała ich podczas surowego szkolenia: długie godziny programowania, tworzenie w pamięci bloków kodu i sekwencji symboli, impulsy ekstatycznej rozkoszy przesyłane przez wbudowane w czepki stymulatory magnetyczne jako nagroda za każdy sukces, oraz odrobina piekła za niepowodzenie bądź zbyt wolne postępy w nauce. Nikt nie rozmawiał, słyszało się tylko chóralne okrzyki bólu i jęki rozkoszy.

Zwykle wystarczało im sześć tygodni, które dzieci kończyły z oparzeniami na gładko wygolonych czaszkach i półprzymkniętymi powiekami, rozedrganymi jak w permanentnej fazie głębokiego snu. Prowadziła je wtedy pojedynczo do Niebiańskiego Doktora, tłumacząc, że przyszła pora na obiecaną nagrodę w postaci nieśmiertelności. Z namiotu Doktora nikt nie wracał. Wieczorem nawiązywała kontakt z firmowym satelitą i przez łącze o superwysokiej przepustowości przesyłała petabajty danych zebrane z młodych mózgów, świeżutkie gogole przygotowane do snucia nici kodu na farmach software'owych wśród chmur.

Po każdym takim etapie pozwalała sobie na krótką chwilę zapomnienia przy tanim winie i narkosofcie, po czym kolejny raz ruszała na łowy.

Po dziesięciu latach pracy dla firmy miała zasłużyć na prawdziwą nieśmiertelność: wierny transfer jaźni, bez żadnych

przerw w świadomości, i powolny zabieg chirurgiczny, w którym neurony jeden po drugim zostałyby zastąpione emulującymi je automatami... Prawdziwa transformacja w cyfrowy byt. Miałaby w chmurach własne Królestwo.

Zawsze sobie powtarzała, że warto się starać.

Właśnie przybyła do Opalizującej Bramy Niebios z nową grupą rekrutów, kiedy z nieba spadł wściekły rój bezzałogowych mikrosamolotów, które zrzuciły bomby i wszystko spaliły. W pierwszym momencie wydało jej się nawet, że dobrze się stało; stała nieruchomo i patrzyła, jak Brama umiera. Dopiero po chwili dopadła ją czarna groza śmierci i Xuexue zrobiła jedyne, co jej pozostało: schroniła się w namiocie Doktora.

Drugie narodziny, jakie tam przeszła, są teraz ukryte nawet przed nią samą. Pamięta tylko morze świecących czerwonych punkcików, zacisk obejmujący głowę i głośny zgrzyt.

Otwiera oczy. Wspomnienie spływa po niej jak zimna woda. Paul wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Co było potem? - pyta szeptem.

- Nic, bardzo długo nic. Zostałam sprowadzona tutaj w tłumie miliarda królewskich gogoli. Obudziłam się jako wyciszona. Rewolucja była dobra, naprawdę zrobiliśmy coś nowego: stworzyliśmy miejsce, w którym nie ma małych nieśmiertelnych. - Xuexue spogląda na robota. - A ja chyba wciąż staram się za nie odpokutować. Nigdy mi się to nie uda, ale warto próbować. Pomalutku.

- Możesz mieć rację. - Tym razem, kiedy Paul się do niej uśmiecha, jego oczy pałają autentycznym ciepłem. - Dziękuję.

- Nie ma za co. Przychodzę tu co tydzień. Wpadnij kiedyś, jeśli postanowisz zostać.

- Dzięki. Może tak zrobię.

Siedzą razem i patrzą na robota. Xuexue znów zaczyna się uśmiechać. Wsłuchuje się w oddech mężczyzny. Może dziś pobije swój rekord.

ROZDZIAŁ 6

ZŁODZIEJ I PAUL SERNINE

- Odrobinę czasu, panienko, kapkę, proszę...
- Będę wyciszony już trzeci raz, spłaciłem długi, pomóż, błagam...
- Jestem rzemieślnikiem, krawcem, za trochę czasu oddam ci swój umysł, dobrze na nim zarobisz...

Mielli szamocze się w tłumie żebraków czasu. Niektórzy są nadzy, tak jak tamten pierwszy, inni niczym się nie różnią od innych przechodniów w Alei, wszystkich jednak łączy malujący się na twarzach głód i desperacja. Niektórzy noszą kaptury i maski. Przepychają się, żeby znaleźć się bliżej niej, rozfalowane ciała tworzą coraz ciaśniejszy krąg, budzą się jej pierwsze, najbardziej autonomiczne gogole obronne.

Musi się stąd wydostać, zanim się zdemaskuje.

Odpycha pierwszego z brzegu żebraka, drugiego taranuje barkiem i obaj padają na ziemię w płątaninie rąk i nóg. Wymija ich biegiem. Któryś z leżących łapie ją za nogę. Przewraca się, jednym łokciem boleśnie uderza o ziemię. Czyjaś ręka zaciska się jej na szyi. Słyszysz syk:

- Daj nam czas, bo inaczej przekonamy się, czy wskrzesiciele będą w stanie cię odtworzyć, ty pozaplanetarna wywłoko!
- Pomocy! - krzyczy Mielli.

Robi się jej czarno przed oczami, słyszy łomotanie krwi w skroniach. Budzi się metakora mózgowa: tłumi ból, spowalnia czas i uruchamia pozostałe układy. Jakże łatwo byłoby roztrącić tę hołotę, jak zgrają szmacianych lalek...

Zrywa się wiatr. Ucisk na gardle znika. Ktoś krzyczy, nad agorą niesie się tupot bosych stóp. Mielli otwiera oczy.

Mężczyzna w czarno-srebrnym stroju, z laską w ręce, unosi się w powietrzu. Wypolerowane do połysku buty znajdują się

dwa metry nad ziemią. Wokół niego tańczy żywy wiatr, jak drgające nagrzane powietrze. Otacza go charakterystyczna woń ozonu - zapach bojowej mgły użytkowej.

Nie powinni tutaj takich mieć, myśli Mielli.

Dłonie z falującego powietrza przygniatają zamaskowanych żebraków do ziemi: niezliczone nanoboty tworzą niewidzialne struktury będące przedłużeniem rąk odzianego w czerni mężczyzny. Inni żebracy wybiegają poza granice agory, maskują się gevulotem i znikają w tłumie.

- Nic ci się nie stało? - pyta mężczyzna dziwnym, chrapliwym głosem.

Łąduje obok Mielli, podeszwy głośno stukają o marmur. Całą głowę ma okrytą maską z błyszczącego metalu; Mielli jest w zasadzie pewna, że to bąbel kwantopunktowy. Podaje jej rękę w białej rękawiczce i pomaga wstać.

Cadyk. Fantastycznie.

Baza danych Sbornosti, którą przestudiowała podczas podróży, zawierała niewiele informacji o strażnikach Kazamat. Wiadomo było, że działają od mniej więcej dwudziestu lat i mają dostęp do pozamarsjańskiej technologii. Wasiliewy Sbornosti (jej agenci i infiltratorzy) działające wśród miejscowych piratów gogolowych domniemywają, że cadykowie mają jakiś związek z kolonią zokijską powstałą na Marsie po Wojnie Protokołu.

- Nic mi nie jest. Jestem tylko trochę poruszona.

No, no, odzywa się Perhonen. Kogo my tu mamy? Piękny książę na białym koniu?

Zamknij dziób i wymyśl coś, żebym się nie zdemaskowała.

- Powinnaś zniknąć z agory, zanim zlecą się dziennikarze - mówi cadyk, podając jej ramię.

Mielli ze zdumieniem stwierdza, że nogi jej drżą, bierze więc cadyka pod ramię i pozwala się odprowadzić w cień wiśni i zgiełk Niezmiennej Alei. Jest trochę gapiów, głównie turystów, ale wystarczy jeden gest cadyka i Mielli wie, że odciął się od nich zasłoną prywatności.

- Dziękuję - mówi. - Dziennikarze?

- Tak. Mają zwyczaj obserwować agory. Podobnie jak my. I

podobnie jak żebracy szukający łatwej zwierzyny, o czym już miałaś okazję się przekonać.

Cadyk wskazuje laską leżących na ziemi zamaskowanych napastników.

- Co się z nimi stanie? - pyta Mielli. Wzruszenie ramion.

- Decyzję podejmie Głos, ale najprawdopodobniej skończy się na przedwczesnym lub przedłużonym Wyciszeniu. Co zresztą i tak by ich czekało. - W zwielokrotnionym głosie cadyka brzmi dziwnie gniewna nuta. - Obawiam się, że to jest cena, jaką płacimy za tutejsze dobrodziejstwa. - Zdejmuje cylinder i kłania się Mielli. - Wybacz, pani: Dżentelmen, bo taki dano mi pseudonim, do usług. Mam nadzieję, że pani dzień nie został całkowicie zepsuty.

On z tobą flirtuje, odzywa się Perhonen. Boże... Naprawdę flirtuje!

Nie żartuj. Przecież nawet nie ma twarzy.

Mielli czuje muśnięcie, po którym poznaje, że cadyk ją skanuje - nie jest to nic poważnego, nie przebija kamuflażu pod gevulotem, ale wystarcza jako napomnienie, że tubylecy mają nie tylko łuki i strzały.

Ja też nie, a nigdy mi to nie przeszkadzało.

Nieważne. Co mam robić? Nie mogę podłączyć się do biodoczytów złodzieja, kiedy ten gość mnie skanuje.

To pocziwiec. Poproś go o pomoc. Graj swoją rolę, głuptasie. Spróbuj dla odmiany być dla kogoś miła.

Mielli próbuje się uśmiechnąć i zastanawia się, co powiedziałyby jej fałszywa tożsamość - turystka z wielorasowego habitatu w pasie asteroid.

- Jest pan policjantem, tak? Adminem?

- Można tak powiedzieć?

- Kiedy ci ludzie... się pojawili, mój przyjaciel gdzieś się zgubił. Nie wiem, co się z nim stało.

Może statek miał rację, może nie tylko złodziej ma tu jakieś pojęcie o inżynierii społecznej.

- Ach tak, rozumiem... I nie umiesz użyć ko-wspomnienia, żeby przekazać mu wiadomość? Nie połączyliście gevulotów, żeby znać nawzajem swoje położenie? Nie, oczywiście, że nie.

To okropne, nasi wyciszeni celnicy pilnują, żebyście nie przemycili żadnej swojej technologii, ale nie mówią, jak korzystać z naszej.

- Chcieliśmy pozwiedzać, zobaczyć Pałac Olimpijski, może zapolować na phobosy.

- Zrobimy tak: przejrzymy pamięć agory. O tak.

Wrażenie jest zaskakujące, jak znalezienie właściwego słowa, które od dawna miało się na końcu języka. Mielli przypomina sobie widok agory z góry, niezwykle szczegółowy; wie, że mogłaby rozpoznać każdą twarz w tłumie. Wyraźnie sobie przypomina widok złodzieja przebiegającego przez agorę.

- Ojej... - wrywa się Dzentelmenowi.

Jego gevulot uprzejmie prosi o zapomnienie tej reakcji. Mielli się zgadza - ta informacja i tak zostanie zapisana w metakorze i będzie mogła później ją zanalizować. Interesujące, myśli.

- Mogę nieco nagiąć zasady, żeby pomóc pani go znaleźć. My, cadykowie, mamy pewne szczególne... uprawnienia. - Cadyk odkręca główkę laski i ze środka wyskakuje maleńki bąbel mgły użytkowej, jak bańka mydlana. Zawisa w powietrzu obok Mielli i zaczyna delikatnie świecić. - To powinno załatwić sprawę. Proszę iść za świetlikiem, zaprowadzi panią do niego.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Proszę na siebie uważać.

Cadyk jeszcze raz uchyla cylindra i w obłoku falującego powietrza wlatuje do góry.

Widzisz? - mówi Perhonen. To nie było takie trudne, prawda?

- Słucham? - dziwi się. - Nie wiem, o kim pan mówi.

Blokuję żądanie gevulotu ogrodnika, przynajmniej tak mi się wydaje. Dostępny dla gości interfejs gevulotowy nie radzi sobie ze wszystkimi subtelnościami codziennych interakcji w Kazamatach, ma tylko kilka zgrubnych szablonów ustawień, przechodzących skokowo od pełnej dostępności do całkowitej prywatności. A ja pamiętam (słabo, ale jednak), jak wygląda prawdziwa prywatność. W porównaniu z nią to, czego

doświadczam w tej chwili, jest jak widzenie czarno-białe przy kolorowym.

- Projektanci waszych ciał musieli się zapatrzeć na tego samego gwiazdora filmowego - mówi ogrodnik. - Wygląda pan kubek w kubek jak pewien jegomość, który bywał tu ze swoją dziewczyną. Też bardzo ładną, nawiasem mówiąc.

Powoli schodzę z robota.

- Co pan tam właściwie robił? - pyta zdumiony ogrodnik.

- Chciałem zerknąć z góry na planszę. Można powiedzieć, że jestem miłośnikiem gier. - Otrzenię marynarkę. - Czy to pan opiekuje się tutaj kwiatami? Są śliczne.

- Tak, to ja. - Zahacza kciuki o szelki ogrodniczek i uśmiecha się od ucha do ucha. - Lata pracy. To zawsze było dobre miejsce dla zakochanych. Ja już jestem na takie rzeczy za stary, kilka rundek Wyciszenia wybija zresztą człowiekowi takie myśli z głowy, ale lubię utrzymywać tu porządek dla młodych. Pan przyjezdny?

- Zgadza się.

- Ma pan oko. Mało turystów tu trafia. Pana dziewczynie też się chyba podoba.

- Jakiej mojej... Och.

Mielli stoi w cieniu jednego z większych robotów. Nad jej głową unosi się świetlik-przewodnik.

- Cześć, skarbie - mówi.

Spinam się i czekam na wtrącenie do piekła, ale ona tylko uśmiecha się lodowato.

- Zabłądziłaś? - pytam. - Stęskniłem się za tobą.

Mrugam porozumiewawczo do ogrodnika.

- Zostawię was, młodych, samych. Miło było poznać.

Postać ogrodnika rozmywa się i znika wśród ruin.

- Niedawno mówiłeś, że powinniśmy zachowywać się jak zawodowcy.

- Mogę wyjaśnić...

Nawet nie dostrzegam ruchu - po prostu czuję uderzenie w nos. Jest idealnie wymierzone, tak żeby sprawić maksimum bólu, nie łamiąc przy tym kości, i odrzuca mnie w tył, aż opieram się plecami o robota. Potem seria kopnięć przygniata

mnie do stalowego korpusu i wyciska z płuc powietrze, aż splot słoneczny pali mnie żywym ogniem. Na koniec jeszcze lekka seria knykciami po kościach policzkowych i uderzenie, od którego zuchwa prawie wyskakuje mi z zawiasów. Wierne swoim okrutnym parametrom i pozbawione tchu ciało wydaje mi się dziwnie oderwane od mojej jaźni, jakbym oglądał niewiarygodnie szybkie ruchy Mielli, stojąc z boku.

- Tak właśnie zachowuję się w roli zawodowca - syczy przez zęby Mielli. - W moim koto w Oorcie wyjaśnienia nikogo nie interesują.

- Dzięki, że... - stękam - ...że nie nacisnęłaś guzika „Pieńło”.

- Tylko dlatego, że coś jednak znalazłeś. - Jej spojrzenie się rozmywa, po czym poznaję, że przegląda pamięć krótkoterminową mojego nowego ciała. - Zobaczmy.

Wyciąga rękę. Podaję jej znaleziony Zegarek. Podrzuca go i łapie w zadumie.

- No dobra, wstawaj. Później o tym pogadamy. Koniec zwiedzania.

- Wiem, że myślisz o tym, żeby mi go ukraść - mówi, kiedy wracamy pająkotaksówką do hotelu.

Mam wrażenie, że dobrze się bawi przejażdżką. Diamentowe odnoża pojazdu wydłużają się teleskopowo, gdy niesie nas na dachy Labiryntu.

- Tak?

- Tak. Nauczyłam się rozpoznawać sygnały. Dwa razy dałam się nabrać na twoje sztuczki kieszonkowca, ale trzeci raz ci się nie uda.

- Przepraszam, to odruch. Ale to tylko znaczy, że teraz będzie mi trudniej. - Rozmasowuję obolałą twarz. - Jak długo to ciało będzie się goić?

- Jak długo zechcę. - Mielli rozsiada się wygodnie. - Jak to właściwie jest z tymi twoimi kradzieżami?

„To... to instynkt”, chcę odpowiedzieć. To jak kochanie się. Kiedy kradnę, wykraczam poza swoje ograniczenia. To... sztuka.

- Chodzi o poszanowanie własności. Coś, co ukradnę, staje się moją własnością, dzięki czemu mogę to należycie szanować.

Po tych słowach Mielli już się nie odzywa, tylko podziwia przesuwany się za oknem skokami krajobraz.

Hotel mieści się w ogromnym masywnym budynku nieopodal portu ślizgaczy, w którym wylądowaliśmy po przyjeździe pnączokoleją. Zajmujemy duży, imponująco czasochłonny apartament złożony z kilku pokoiów prawie na samej górze. Jak na mój gust, jest trochę zbyt skromnie urządzone (gładkie linie i szklane powierzchnie, typowe dla xanthyjskiej sztuki projektowania), ale wyposażono go w fabrykator, więc przynajmniej będę mógł włożyć świeże ubranie.

Tylko że Mielli nie daje mi na to szansy. Wskazuje ustawiony przy wyjściu na taras stolik i krzesło obok niego.

- Siadaj. - Kładzie Zegarek na stoliku. - A teraz mów, co właściwie wydarzyło się na agorze, na Mrocznego Człowieka?!

Na przemian zaciska i rozluźnia pięści. Z trudem przełykam ślinę.

- Proszę bardzo - mówię. - Zobaczyłem siebie.

Unosi brwi.

- To nie było po prostu zwykłe wspomnienie, jak na statku, tylko jakiś wytwór gevelotu. Ktoś jeszcze też go zobaczył. Ten drugi ja zaprowadził mnie do ogrodu. To znaczy, że jesteśmy na dobrej drodze.

- Być może. A nie przyszło ci do głowy, żeby się ze mną podzielić tą rewelacją? Powiedz mi, dlaczego miałabym cię jeszcze kiedyś w przyszłości spuścić z oka? Albo dlaczego miałabym nie zalecić mojemu mocodawcy, żebyśmy zdjęli białe rękawiczki i zastosowali bardziej... bezpośrednie metody oddziaływania na twój mózg?

- To było takie... niespodziewane. - Patrzę na znaleziony Zegarek. Błyszczący w słońcu. Znowu zwracam uwagę na grawerunek. - Chwila prawdziwej prywatności.

Niepospolicie silnymi palcami chwyta mnie za twarz i zadziera mi głowę. Patrzę jej w oczy - nieporuszone, wściekłe, zielone.

- Dopóki razem w tym tkwimy, nie ma miejsca na żadną

prywatność, rozumiesz? Jeżeli zechcę, wypowiadasz mi się ze wszystkich dziecięcych wspomnień, masturbacyjnych fantazji i wstydlivych chwil w życiu nastolatka. Czy wyrażam się jasno?

- Tak się zastanawiam... - starannie cedzę słowa. - Czy coś tu przypadkiem nie kłóci się z twoim profesjonalizmem? Zwłaszcza że to nie ja spieprzyłem ucieczkę z więzienia, za to wyciągnąłem nas z tamtego bagna.

Puszcza mnie i wygląda przez okno. Wstaję i przyrządzam sobie drink z fabrykatora: koniak z epoki Królestwa (Mielli niczego nie proponuję), po czym wracam do stolika i jeszcze raz z uwagą oglądam Zegarek. Są na nim jakieś znaki, ułożone w kratkę siedem na siedem: znaki zodiaku, Mars, Wenus... Są też inne symbole, których nie znam. Pod spodem dedykacja kursywą: „Paulowi, z miłością, Raymonde”. I jeszcze to słowo, Thibermesnil, wybite miedzianą czcionką.

Rzucisz okiem? - szepczę do Perhonen. Możesz chyba ze mną rozmawiać, nie bijąc mnie od razu?

Nie muszę cię bić. Mam lasery. Pokaż, zobaczę, co da się zrobić. W głosie Perhonen wyraźnie słyszę napięcie. Wcale jej się nie dziwię. Wmawiam sobie, że rumieńce mam tylko od koniaku.

- No dobrze - odzywa się Mielli. - Porozmawiajmy o tym przedmiocie, który ukradłeś.

- Znalazłem.

- Mniejsza z tym. Opowiedz mi o nim. Dane z Kazamat, do których mam dostęp, są przestarzałe.

Mówi głosem wypranym z wszelkich emocji. Jakaś cząstka mnie ma ochotę znów skruszyć tę lodową otoczkę i sprawdzić, jaka jest gruba, bez względu na grożące mi niebezpieczeństwo.

- To Zegarek, przyrząd, w którym przechowywany jest czas jako forma kwantowej gotówki. Niemożliwe do podrobienia i niekopiowalne stany kwantowe o skończonej trwałości odmierzają czas, jaki obywatel Kazamat może spędzić w elementarnym ciele ludzkim. Odpowiadają także za szyfrowany dostęp do egzopamięci. Taki Zegarek to bardzo osobisty gadżet.

- I wydaje ci się, że ten akurat należał do ciebie, tak? Czy jest w nim to, czego potrzebujemy?

- Być może, ale to nie takie proste. Sam Zegarek jest bezużyteczny. Potrzebujemy zapisanych w mózgu kluczy publicznych: gevulotu.

Mielli stuka paznokciem w Zegarek.

- Rozumiem...

- Tak to działa. W egzopamięci są zapisane wszystkie informacje gromadzone przez Kazamaty: otoczenie, dane zmysłowe, myśli... Wszystko. Gevulot w czasie rzeczywistym kontroluje, kto do czego ma dostęp. Tylko że zamiast prostej pary kluczy prywatny-publiczny, mamy do czynienia z potwornie pokręconą hierarchią zagnieżdżoną, z drzewem, w którym udostępnienie każdej gałęzi wymaga zaangażowania węzła podstawowego. Kiedy kogoś spotykasz, dogadujecie się, jakie informacje chcecie współdzielić, czego ten ktoś dowie się o tobie i co z tego zapamięta.

- To się wydaje skomplikowane.

- Bo takie jest. Marsjanie mają do tego wyspecjalizowany narząd. - Stukam się w głowę. - Zmysł prywatności. Instynktownie wiedzą, czym się dzielą; wyczuwają, co jest prywatne, a co nie. Potrafią również robić coś, co nazywają współpamiętaniem: kiedy chcą się z kimś podzielić wybranymi wspomnieniami, po prostu udostępniają mu odpowiedni klucz. A my otrzymaliśmy uproszczoną wersję tego mechanizmu. Wszystkim przybyszom dają tu kawałek egzopamięci i w miarę przyzwoity interfejs dostępowy, który jednak nie pozwala docenić subtelności systemu.

- Po co to robią?

- Bo ja wiem... Chyba głównie z powodów historycznych, chociaż nie wiadomo dokładnie, co tu się wydarzyło po Upadku. Wedle powszechnie obowiązującej wersji wydarzeń ktoś sprowadził na Marsa miliard gogoli, przeprowadził na własną rękę proces terraformowania i ogłosił się królem. I był nim, dopóki gogole się nie zbuntowały. Tak czy inaczej, tylko dzięki systemowi gevulotu Sbornost' jeszcze nie pożarła tego pałacu. Za dużo byłoby kłopotu z deszyfracją.

Śłuchajcie oboje, wtrąca się Perhonen. Przepraszam za zwłokę, ale nie chciałam wam przerywać. To symbole

astrologiczne. Dokładnie w takim samym układzie występują tylko w jednym źródle: Teatrze pamięci Giulia Camilla - to taki wykład renesansowego systemu okultystycznego. A Thibermesnil to zamek we Francji. Tu macie szczegóły.

I po łączu neutrinowym wysłała nam wirt. Mielli zerka na niego i zostawia zawieszony w powietrzu między nami.

- Pięknie - mówi. - Ale co to wszystko znaczy?

Marszczę brwi.

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się natomiast, że wszystkie niezbędne informacje znajdziemy w mojej starej egzopamięci. Musimy tylko wymyślić, jak się do niej dostać. Chyba powinienem znowu stać się Paulem Sernine'em, kimkolwiek był.

Dolewam sobie koniaku.

- Jak myślisz, co się stało z twoim starym ciałem? Zabrał je... To znaczy, ty je zabrałeś, kiedy stąd odlatywałeś? I jakie jest znaczenie tych symboli?

- Całkiem możliwe... A co do symboli, to nie jestem pewien, ale zawsze uważałem, że odrobina szaleństwa nie zawadzi. Z pewnością nic mi w tej chwili nie mówią.

Jestem trochę niezadowolony ze starego siebie. Po co tak to komplikował? Odpowiedź jest oczywista: żeby tajemnice pozostały tajemnicami. A przemieszanie ich z innymi tajemnicami to wręcz podręcznikowy sposób ich ukrycia.

- Czyli nie ma mowy, żebyśmy siłą zdołali włamać się do twoich wspomnień za pośrednictwem tego Zegarka, tak? Bo wiesz, *Perhonen* mogłaby...

- Nie. Są trzy rzeczy, na których znają się tutaj jak nikt inny: wino, czekolada i kryptografia. Ale... - Podnoszę dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym. - Można ukraść gevulot. System jest tak złożony, że ma swoje wady. Czasem udaje się uruchomić całą kaskadę nowych gałęzi gevulotu, kiedy ktoś podzieli się z tobą właściwą wiedzą we właściwym momencie. To odmiana inżynierii społecznej, jeśli wolisz.

- Czy dla ciebie wszystko sprowadza się do kradzieży?

- Co mam ci odpowiedzieć? To moja obsesja. - Pochmurnieję.

- Wiemy nawet, od czego zacząć: miałem tu Ważną Inną.

Potrzebujemy jednak porządných narzędzi do łamania gevulotów, a i to może nie wystarczyć. Użycie tej zabawki dla turystów, w którą nas wyposażyli, przypominałoby otwieranie zamka cegłą, w dodatku po omacku. Dlatego uważam, że powinnaś odezwać się do swojego mocodawcy i poprosić o skontaktowanie nas z piratami gogolowymi.

- Dlaczego wydaje ci się, że...

- Dajże spokój. Pracujesz dla kogoś ze Sbornosti, to jasne jak słońce. Może to być, na przykład, jakiś wpływowy kopioklan, który chce się przypodobać Założycielom. Kimkolwiek jest i jakiegokolwiek zaimka dziś używa, z pewnością zna tutejszych piratów. Sbornost' to ich główni klienci. - Wzdycham. - Nie przepadam za nimi, ale kiedy chcesz odkopać skarb, musisz się liczyć z tym, że ubrudzisz sobie ręce.

Mielli krzyżuje przedramiona na piersi.

- No dobrze. Nadmienię tylko, choć jestem pewna, że puścisz moją uwagę mimo uszu, że możesz sobie zaszkodzić, wypytujac i snujac domysly na temat naszego wspólnego... dobroczyńcy. - Przy tym ostatnim słowie słyszę w jej głosie ironiczny ton. - Ale to teraz nieważne. Wygląda na to, że możemy zrobić trzy rzeczy. Pierwsza: wymyślić, po co miałbyś zostawić sobie swój własny Zegarek. Druga: poszukać twojego starego ciała. I trzecia: skontaktować się z jedynymi ludźmi na tej planecie, którzy są bardziej amoralni od ciebie. - Wstaje. - Sprawdzę, co się da zrobić w tej trzeciej sprawie, a tymczasem wy z *Perhonen* skupcie się na pierwszej. Z opcją drugą poczekamy, aż zbierzemy więcej informacji. I doprowadź się do porządku.

Kieruje się do wyjścia.

- Zaczekaj - mówię. - Przepraszam za tę ucieczkę, to był odruch. Nie zapomniałem, że mam dług do spłacenia, ale spróbuj mnie zrozumieć: dziwnie się czuję.

Uśmiecha się cynicznie, ale nic nie mówi.

- W moim zawodzie nie można dać się zamotać w przeszłość. Jeżeli mamy współpracować, to mam nadzieję, że i ty będziesz na to uważać. - Uśmiecham się. - Rzadko przepraszam. I rzadko daję się złapać. Możesz się uważać za szczęściarę.

- Wiesz, jaka jest kara dla złodziei tam, skąd pochodzę? -

Mielli też się uśmiecha. - Napelniamy im płuca sztucznymi organizmami podtrzymującymi życie, a potem wyrzucamy ich w przestrzeń. Oczy im eksplodują, krew wrze, ale żyją jeszcze przez długie godziny. - Zabiera ze stolika mój kieliszek i wychodzi. - Możesz się uważać za szczęściarza.

Gniew na złodzieja w dziwny sposób otrzeźwia Mielli. Jest czysty, klarowny. Przez długi czas trzymała swoją złość na uwięzi, bezpiecznie schowaną, ale to, co teraz czuje, jest dobre i szczerze. Oddycha głęboko, chodząc po pokoju; przez chwilę nawet walka z ciężeniem sprawia jej przyjemność. Dopija pozostawioną przez złodzieja resztkę alkoholu, która doskonale kontrapunktuje jej emocje; ostrość, która zmienia się w ciepło. Zaraz potem przychodzą wyrzuty sumienia.

Sama pozwalam, żeby działał mi na nerwy. Drań.

Zawiesza kieliszek w powietrzu i klnie, kiedy ten spada na podłogę. Źle się czuje w tym pokoju, jest zbyt dwuwymiarowy, w dodatku grawitacja przypomina jej więzienie. Dobrze przynajmniej, że pachnie różami.

Ten tekst o wyrzucaniu w przestrzeń był niezły, chwali ją Perhonen. Da mu do myślenia.

Może mnie uważać za dziką i barbarzyńską kobietę, nie przeszkadza mi to. Na pewno tak się przy nim czuję. Mielli odstawia kieliszek. Potrzebuję chwili ciszy, muszę porozmawiać z pellegrini.

Jesteś pewna?

Przecież to nie pierwszy raz, zapomniałaś? Poleciałyśmy na Wenus z drugiego końca Układu, żeby spotkać się z tą suką. Chyba poradzę sobie z małą podróżą w myślach.

Leć, dziewczynko, mówi Perhonen i znika.

Mielli kładzie się na łóżku, zamyka oczy i wyobraża sobie świątynię. Świątynia stoi w cieniu Kunapipi Mons, wulkanu tarczowego wyrastającego z bazaltowej równiny. Powierzchnia skały jest pokryta cieniutką warstwą ołowiu i telluru, które osiadają na niej z metalowych oparów wznoszących się nad bruzdami i wąwozami, gdzie temperatura przekracza siedemset

kelwinów.

Świątynia jest kamiennym cieniem, projekcją obiektu znajdującego się w jakimś innym, wyższym wymiarze. Ma dziwną geometrię. Czarne korytarze doprowadzają do rozległych pustych przestrzeni, nad którymi krzyżują się kamienne mosty poprowadzone pod niemożliwymi kątami. Mielli jednak nie pierwszy raz przemierza ten labirynt i bezbłędnie podąża tropem metalowych kwiatów.

W samym środku znajduje się oś - małeńka osobliwość kwantowa uwięziona w cylindrycznej jamie potencjału, jak zawieszona w przestrzeni spadająca gwiazda. Tam właśnie mieszka bogini. Mielli przypomina sobie, jak się czuła po odbyciu tej samej podróży w świecie rzeczywistym - w grubym kombinezonie, udręczona bezlitosną grawitacją, z kończynami obolałymi ze zmęczenia.

- Mielli... - mówi bogini. - Miło cię widzieć. - O dziwo, tutaj wydaje się bardziej ludzka niż w tych chwilach, gdy sama postanawia się objawić. Ma zmarszczki na twarzy, czole i w kącikach oczu. - Zobaczmy, gdzie jesteś... Aha, Mars. No oczywiście. Uwielbiam Marsa. Tak sobie myślę, że gdzieś go zachowamy, gdy dokona się już Wielkie Wspólne Dzieło. - Odgarnia kosmyk włosów z czoła Mielli. - Chciałabym, żebyś czasem przychodziła tu do mnie tak po prostu, bez powodu, nie żeby o coś prosić. Mam czas dla wszystkich, którzy mi służą. Dlaczego miałabym nie mieć? Jestem przecież wielością.

- Popełniłam błąd - mówi Mielli. - Byłam nieuważna i złodziej mi się wymknął. To się nie powtórzy.

Pellegrini unosi brwi.

- Pozwól, że zerknę do twoich wspomnień... Ach tak. Ale go odszukałaś? I poczyniłaś postęp? Drogie dziecko, nie musisz do mnie przychodzić, by spowiadać się z każdego najmniejszego błędu czy potknięcia. Dobrze mi służysz. Czego ci trzeba?

- Złodziej potrzebuje narzędzi do kradzieży tak zwanego gevulotu. Uważa, że na Marsie są agenci Sbornosti, którzy mogliby nam w tym pomóc. Chce się z nimi skontaktować.

Pellegrini przez chwilę wpatruje się w świecący punkcik osi.

- W zwyczajnych okolicznościach łatwo byłoby spełnić taką

prośbę; nasi wysłannicy bez wahania podporządkowaliby się mojej pieczęci. Teraz jednak nie mogę ujawnić, że jestem bezpośrednio zaangażowana w twoją misję. Poinstruuję cię, jak się z nimi skontaktować, dostarczę wam niezbędnych informacji, ale w negocjacjach będziecie zdani na siebie. To wasiliewy, czasem są z nimi kłopoty; tacy przystojni chłopcy, świadomi swoich atutów...

- Rozumiem.

- Prześlę ci wszystko, czego potrzebujesz, bezpośrednio na ten twój milusi stateczek. Twoje postępy są zadowalające, nie przejmuj się potknięciami.

Mielli przełyka ślinę. Pytanie nieproszone wyrywa się jej z ust:

- Czy to kara dla mnie?

- Jaka kara? Oczywiście, że nie.

- W takim razie dlaczego muszę się obchodzić ze złodziejem tak delikatnie? Podczas wojny wojmózgi biorą jeńców i wygrzebują z ich umysłów wszystkie, nawet najdrobniejsze sekrety. Dlaczego ten złodziej jest wyjątkowy?

- Nie jest. Ale będzie.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz. Uwierz mi, zostałam starannie wybrana do wypełnienia tej misji. Wytrwaj w swoich staraniach, a zapewniam cię, że niedługo spotkamy się tutaj we troje, z twoją przyjaciółką.

Mielli wraca do pachnącego różami pokoju. Powoli wstaje z łóżka i przyrządza sobie drinka.

Pod nieobecność Mielli pracujemy z *Perhonen* nad Zegarkiem. Właściwie to ona pracuje, ja tylko zastępuję jej ręce. Wygląda na to, że Mielli dała statkowi częściowy dostęp do zmysłów mojego nowego ciała. Dziwnie się czuję, trzymając w rękach Zegarek i widząc, jak cieniuteńkie kwantopunktowe sondy wysuwają mi się z czubków palców i wnikają do środka.

- Zawsze je lubiłem - mówię na głos. - Zegarki. Sprzężone stany splątane, oscylatory, mechanizm... Połączenie małego z

dużym. Piękna rzecz.

Mhm. Podnieś go do oka.

Perhonen jest zajęta analizą, ja zaś przeglądam egzowspomnienia z pałaców pamięci, tłumiąc narastający ból głowy kolejnym drinkiem.

- Ja chyba zgłupiałem. Co to są pałace pamięci?

Elementy skomplikowanej mnemotechniki opartej na idei odciskania śladów w umyśle; wyimaginowane miejsca, w których przechowuje się symbole reprezentujące wspomnienia. Technikę tę wykorzystywali greccy retorzy, średniowieczni uczeni i renesansowi okultyści. Wyszła z użytku, gdy rozpowszechnił się druk.

Sfrustrowany macham Zegarkiem.

- Można by się chyba spodziewać, że cały sens ukrywania w nim czegokolwiek polega na tym, że ja sam z łatwością później to coś znajdę. Tymczasem mam wrażenie, że tylko sobie utrudniłem odkrycie tajemnicy.

Nie ruszaj się.

- Nie ma nic na temat Paula Sernine'a, żadnych publicznych egzowspomnień. Właściwie nie powinienem się dziwić, ale cały czas się zastanawiam, co właściwie robił na Marsie poza spotykaniem się z tą całą Raymonde.

Pewnie przyleciał coś ukraść.

- Uwielbiam Marsa, ale kiedy sobie przypomnę moją dotychczasową karierę, to widzę, że niewiele jest tu rzeczy, które chciałbym ukraść. A w piractwo gogolowe na pewno bym nie poszedł.

Jesteś pewien? Połóż Zegarek na stole.

- Oczywiście, że jestem pewien. Do czego pijesz?

Statek wzdycha. Takie westchnienie to dziwny, urojony dźwięk.

Do ciebie. Wydaje ci się, że jesteś czarujący, ale przez ciebie moja przyjaciółka cierpi. Nie zna się na rozwiązywaniu zagadek i wyciąganiu skazańców z więzień. Nie jest nawet wojowniczką, tak naprawdę.

- No to po co w ogóle to robi? Czemu służy Sbornosti?

A czemu robimy to czy tamto? Dla kogoś. A teraz przestań

mnie wypytywać, próbuję się skupić. Pułapki jonowe to delikatne zabawki.

- Jak chcesz. Im szybciej się do niego włamiemy, tym szybciej będziemy się mogli wziąć za sprawy ważniejsze i ciekawsze.

Przesuwam palcami po kopercie Zegarka. Litery tworzące słowo Thibermesnil są delikatnie wypukłe.

- Tu cię mam...

Doznaję olśnienia. Tuż przed tym, jak odzyskałem przytomność, śniła mi się książka o złodzieju, który nosił imię kwiatu. Opowiadanie *Sherlock Holmes przybywa za późno*. Tajne przejście, otwierane...

Paznokciem przyciskam literę H, która pod naciskiem się obraca. R i L również. Koperta się otwiera. W środku znajduje się wizerunek mężczyzny i kobiety. Mężczyzna to ja - młodszy, czarnowłosy, uśmiechnięty. Kobieta ma rudokasztanowe włosy i garść piegów na nosie.

- Witaj, Raymonde - mówię.

ROZDZIAŁ 7

DETEKTYW I JEGO OJCIEC

Isidore mruga, oślepiiony porannym światłem Phobosa. W ustach czuje niesmak, w głowie mu dudni. Wtula jeszcze na chwilę twarz we włosy Pixil, napawa się jej ciepłem, ale w końcu zmusza się do otwarcia powiek. Ostrożnie wyciąga uwieczoną pod jej ciałem rękę.

Za dnia skarbiec wygląda inaczej. Przez ściany i inne powierzchnie światło sączy się do środka, w oddali rysuje się krawędź Hellas Planitia. Ma wrażenie, jakby obudził się na dworze, w jakimś dziwnym, geometrycznym lesie.

Z nocy pozostała mu chaotyczna mieszanina obrazów. Odruchowo sięga do egzopamięci, żeby sobie przypomnieć, co dokładnie się wydarzyło - tyle tylko, że w tym miejscu, oczywiście, napotyka gładki mur.

Spogląda na śpiącą Pixil. Jej usta układają się w leciutki uśmiech, oczy poruszają się pod powiekami. Zokijski klejnot u nasady szyi lśni w porannym blasku, odcinając się od oliwkowej skóry.

Co ja najlepszego robię? - zastanawia się Isidore. Ona ma rację, to tylko gra.

Znalezienie ubrania w stercie kostiumów zajmuje mu dłuższą chwilę; niewiele brakuje, żeby przez pomyłkę włożył jakieś pantaloney. Pixil cały czas oddycha równo i spokojnie, nie budzi się nawet, gdy Isidore wymyka się na palcach.

W świetle dnia złożone w skarbcu sześciany układają się w labirynt. Isidore nie umiałby powiedzieć, którądy weszli, mimo że zmysł orientacji ma wyostrzony po latach życia w Labiryncie. Jak zwykle przeszkadza mu brak geulotu, z tym większą zatem ulgą znajduje w końcu wyjście. Tak, to na pewno tutaj: srebrny łuk, doskonały półokrąg, ozdobiony misternym

filigranem. Bierze głęboki wdech i przechodzi na drugą stronę. Nieciągłość jest jeszcze ostrzejsza niż poprzednio...

- Wina, mój panie?

Znajduje się w olbrzymiej sali balowej, która nie może być niczym innym jak salą tronową Pałacu Olimpijskiego. Na kapitelach wysokich kolumn gogle - niewolnice-tancerki o ciałach skrzących się klejnotami - wyginają się w niewiarygodnych pozach w pokazie powolnej, jakby mechanicznej akrobatyki. Automatyczny służący w czerwonej liberii wyciąga zuwazkopodobną kończynę i podaje Isidore'owi kieliszek. Isidore stwierdza, że ma na sobie strój marsjańskiego arystokraty - płaszcz narzucony na ciemny dublet z plastomaterii i miecz u pasa. Otaczają go ludzie odziani z jeszcze większym przepychem, skapani w blasku Phobosa padającym przez olbrzymie okno z widokiem na ścielące się w dole stoki Olympus Mons. Wysoko, bardzo wysoko sklepiony sufit wygląda jak złote niebo.

Wszystko wydaje się całkowicie rzeczywiste. Osłupiały Isidore bierze od kelnera kieliszek.

- Zatańczymy?

Wysoka kobieta w weneckiej masce karnawałowej (siateczka pasków i klejnotów ledwie skrywa jej bujne kształty; jej skóra ma zdumiewająco kasztanowy odcień) podaje mu rękę. Isidore na chwiejnych nogach daje się wyciągnąć na środek wolnej przestrzeni wśród tłumu, gdzie wieloręki gogol wygrywa rzewnie piękne melodie na mosiężnych flecikach. Kobieta tańczy lekko, na palcach, pozwalając mu się prowadzić jak pióro w dłoni pisarza. Drugą rękę Isidore opiera na jej krągłym biodrze.

- Chcę wzbudzić w mężu zazdrość - szepcze kobieta. Pachnie egzotycznym winem.

- Który to pani mąż?

- Stoi tam, na podwyższeniu.

Isidore czeka do następnego obrotu, podnosi wzrok i - jakżeby inaczej - widzi króla Marsa w bieli i złocie, który zanosi się śmiechem, otoczony koterią wielbicieli i dworzan. Spogląda na kasztanowoskórą kobietę, chcąc jej powiedzieć, że na niego

już czas, gdy nagle wszystko nieruchomieje.

- Co ty robisz? - pyta Pixil.

Bynajmniej nie śpi. Ma na sobie zwykły zokijski strój dzienny i patrzy na Isidore'a z dezaprobatą, krzyżując ręce na piersi.

- Tańczę. - Isidore wyplątuje się z objęć kobiety, która zmieniła się w posąg.

- Głuptas z ciebie.

- Co to za miejsce?

- Stara Kraina, zmajstrowana dawno temu przez Drathdora. On bywa taki romantyczny... - Pixil wzrusza ramionami. - Mnie to nie kręci. - Wykonuje gest ręką i za jej plecami znów pojawia się srebrny półokrąg. - Miałam zamiar zrobić ci śniadanie. Całe zoku jeszcze śpi.

- Nie chciałem cię budzić.

Tym razem nieciągłość przynosi ulgę, przywraca świat i samego Isidore'a do normalności.

- Dobra, teraz mów: o co ci chodzi? Co to za numer z tym wymykaniem się nad ranem?

Isidore milczy. Wstyd pełźnie mu po plecach, zostawiając zimny ślad, a on nie bardzo wie dlaczego tak się czuje.

- To przez tego cadyka - mówi w końcu. - Muszę to sobie przemyśleć. Odezwę się. - Rozgląda się. - Jak się stąd wychodzi?

- Przecież wiesz. Musisz po prostu chcieć. Odezwij się, koniecznie.

Pixil przesyła mu pocałunek w powietrzu, ale w jej oczach tli się rozczarowanie. Kolejna nieciągłość - i Isidore stoi poza granicą kolonii, mrużąc oślepienie światłem oczy.

Łapie pająkotaksówkę i zamawia kurs do Labiryntu, prosząc kierowcę, żeby jechał powoli. Ma rewolucję w żołądku - najwidoczniej ohydne, prastare substancje w napojach zokijskiej starszyny nie służą jego marsjańskiemu ciału.

Odczuwa ogromną ulgę, gdy taksówka wyjeżdża z Kurzawy. Gevulot buczy mu w głowie, wszystkie rzeczy odzyskują fakturę i zamiast eterycznej geometrii otacza go kamień, drewno i

metal.

Na śniadanie wybiera się do knajpki, w której wystroju dominuje motyw smoka. Zamawia kawę i małą porcję chińskiej owsianki. Ani jedno, ani drugie nie pomaga mu pozbyć się wyrzutów sumienia.

I wtedy jego wzrok pada na gazetę. Przy sąsiednim stoliku starszy jegomość w kamizelce, z Zegarkiem na mosiężnym łańcuszku, czyta „Ares Heralda”. MAŁY CADYK OSTRO BALUJE, krzyczy nagłówek. Roztrzęsiony Isidore też prosi swój stolik o egzemplarz gazety, który po chwili przynosi mu robokelner. Na stronie widzi samego siebie: ruchomy obraz opowiada o wszystkim - o sprawie czekolady, o Pixil.

„Już od dłuższego czasu cieszymy się dobrodziejstwem opieki ze strony potężnych, zamaskowanych mężczyzn i kobiet, zwanych cadykami. Jak jednak wiedzą nasi czytelnicy, w najtrudniejszych przypadkach nawet cadykowie potrzebują pomocy. Nikomu nie trzeba chyba przypominać sprawy zagadkowego zniknięcia Miasta Schiaparellego, ani rozpląnięcia się w powietrzu ukochanego panny Lindgren. W rozwiązaniu obu tych zagadek uczestniczył człowiek, którego tożsamość do dziś pozostawała tajemnicą. Opisywany jako »sympatyczny młodzieniec«, kilkakrotnie współpracował z Dżentelmenem, pomagając mu rozwikłać zagadki, nad którymi sam cadyk głowił się bezskutecznie.

Dzisiaj »Herald« może obwieścić, że owym bezimiennym dotąd bohaterem jest dziesięcioletni Isidore Beautrelet, student architektury. Wczoraj wieczorem, podczas eleganckiej uroczystości w Kurzawie, pan Beautrelet udzielił naszemu reporterowi zdumiewająco szczerego wywiadu. Na przyjęcie zaprosiła detektywa pewna młoda dama, z którą od dłuższego czasu łączy go romantyczna znajomość...”.

Są zdjęcia. Czarno-białe ujęcie z zokijskiego przyjęcia przedstawia go z otwartymi ustami, bladego, rozczochranego, toczącego dzikim wzrokiem. Czuje się zbrukany świadomością, że ludzie, z którymi nie dzielił gevolutu, wiedzą teraz kim jest i co zrobił. Klient przy sąsiednim stoliku przygląda mu się z ukosa. Isidore szybko płaci, otula się płaszczem prywatności i

wraca do domu.

Razem z inną studentką, Lin, wynajmuje mieszkanie w jednym ze starych wieżowców na obrzeżach Labiryntu: pięć pokoiów na dwóch kondygnacjach, urządzonych głównie przypadkową zbieraniną mebli z plastomaterii, z obłazącymi tapetami, które zmieniają wzór w zależności od nastroju właściciela. Kiedy Isidore przekracza próg, po tapetach przechodzi zmarszczka, z której krystalizuje się escherowska mozaika z czarnych i białych ptaszków.

Bierze prysznic i parzy sobie następną kawę. Z dużego okna w kuchni - wysokim pomieszczeniu z fabrykatorem i rozchwierutanyim stołem - roztacza się widok na dachy Labiryntu i rozświetlone słońcem studnie między budynkami. Isidore siada przy nim na chwilę i próbuje zebrać myśli. Lin też jest w domu - znów rozrzuciła na stole swoje animatroniczne figurki - ale ona przynajmniej ma dość przyzwoitości, żeby schować się za gevulotem.

Do jego podświadomości puka ko-wspomnienie związane z artykułem w „Heraldzie”. Przypomina to ból głowy i Isidore najchętniej zapomniałaby o całej sprawie. Dobrze przynajmniej, że nie ma żadnych wspomnień z rozmowy z dziennikarzem, które mógłby poszturchiwać jak ruszający się ząb; szczęście w nieszczęściu. No i jest jeszcze cadyk, niemyślenie o którym przychodzi mu z trudem.

Gevulot Lin zgłasza prośbę o połączenie. Isidore zgadza się bez entuzjazmu i jego współlokatorka go widzi.

- Iz? - pyta.

Pochodzi z małego miasteczka w Dolinie Nanedi, studiuje animację tradycyjną. Na jej krągłej twarzy maluje się w tej chwili troska. Włosy ma pobrudzone farbą.

- Tak?

- Widziałam gazetę. Nie miałam pojęcia, że to wszystko twoja robota. Moja kuzynka była wtedy w Schiaparellim.

Isidore nie reaguje. Patrzy na Lin i zastanawia się, czy powinien rozgryźć, co oznacza wyraz jej twarzy, ale nie bardzo widzi sens takiego zachowania.

- Naprawdę nie wiedziałam. No i przykro mi, że wylądowałeś

w gazecie. - Lin siada przy stole i nachyla się do Isidore'a. - Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. Muszę się pouczyć.

- Jasne. Daj znać, gdybyś później chciał wyskoczyć na drinka.

- Raczej nie będę chciał.

- W porządku. - Lin bierze ze stołu jakiś przedmiot zawinięty w kawałek materiału. - Wiesz, wczoraj myślałam o tobie... i zrobiłam to. - Wręcza mu zawiniątko. - Tyle czasu spędzasz sam, że pomyślałam, że przyda ci się towarzystwo.

Isidore powoli odwija szmatkę. W środku jest dziwne zielone stworzenie, jak wyjęte z kreskówki - sama głowa z mackami i ślepiami, wielkości pięści. Porusza się w jego dłoni. Lekko pachnie woskiem. Ma ogromne oczy, białe z czarnymi kropkami źrenic.

- Znalazłam taki śmieszny projekt chembota i wstawiłam mu syntebiologiczny mózg. Możesz mu nadać imię. I daj znać, co z tym drinkiem.

- Dzięki. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

Czy tego właśnie mam się spodziewać? myśli Isidore. Litości? Chybionej wdzięczności?

- Nie przepracuj się - dodaje Lin i znika za murem swojego gevulotu.

U siebie w pokoju Isidore odkłada stworka na ziemię i zaczyna rozmyślać o wpływach Heian Kyo w architekturze Królestwa. Łatwiej mu się skupić w towarzystwie swoich rzeczy - dwóch starych rzeźb ojca, książek i dużej prasy plastomaterii. Podłoga i biurko są zasłane trójwymiarowymi makietami wyobrażonych i rzeczywistych budynków, a nad wszystkim dominuje wierny model Katedry Aresa. Zielony stwór właśnie się za nim chowa.

Sprytne posunięcie, mały. Wielki, zły, okrutny świat tylko czyha, żeby cię dopaść.

Wielu jego znajomych irytują studia. Egzopamięć to fantastyczny wynalazek, ale zastępuje tylko pamięć krótkoterminową, więc prawdziwa nauka nadal wymaga mniej

więcej dziesięciu tysięcy godzin rzetelnej pracy. Isidore nie ma nic przeciwko temu: w dobry dzień potrafi na długo zatracić się w czystości form, badając modele z plastomaterii, czując pod palcami ich najdrobniejsze detale.

Wywołuje tekst o sekcie Tendai i pałacu Daidairi i zaczyna czytać. Otaczająca go współczesność blednie.

Jak się masz, najdroższy? Przekaz od Pixil go zaskakuje. Towarzyszy mu euforyczny wybuch radości. *Mam dobre wieści. Wszyscy uważają, że jesteś cudowny. Chcą, żebyś wrócił. Rozmawiałam z matką i moim zdaniem zwyczajnie masz paranoję...*

Ściąga pierścień splątaniowy i ciska go w kąt. Pierścień rykoszetuje wśród marsjańskich budowli. Zielony potworek czmycha pod łóżko. Isidore kopie model katedry, którego część rozkłada się do postaci biernej plastomaterii i w powietrze wzbija się chmura białego pyłu. Niszczy kolejne makiety, aż w końcu podłoga jest usłana ich odłamkami i kurzem.

Siada wśród szczątków i zastanawia się, jak w głowie poskładać je w całość. Wciąż jednak mu się wymykają, w dodatku ma wrażenie, że żadne dwa kawałki nie chcą do siebie pasować.

Następnego dnia wypada sol martius, i Isidore - jak zawsze - idzie się spotkać z ojcem w krainie umarłych.

W towarzystwie innych żałobników schodzi długimi krętymi schodami Odwróconej Wieży, w ciszy, z oczami obolałymi po bezsennej nocy. Wieża zwiesza się z brzucha Kazamat jak kryształowy cycek. Przez całą drogę widzą cień miasta i czują miarowe unoszenie się i opadania jego nóg. Na górze tworzące miasto platformy przemieszczają się i łączą, gdy Kazamaty przy każdym kroku optymalizują rozkład obciążenia. Światło Phobosa - niegdyś księżyc, później przemienionego przez umieszczoną w nim mikroskopijną osobliwość w gwiazdę - przydaje światu niezwyklej, ponadczasowej atmosfery wiecznego zmierzchu.

Tego ranka żałobników jest niewielu. Isidore idzie za czarnym

mężczyzną, który garbi się pod ciężarem szybkombinezonu. Co jakiś czas mijają platformę, na której stoi milcząca i zamaskowany wskrzesiciel. Chmura pyłu zasłania przed ich wzrokiem pracujących na dole wyciszonych, ale dwa równoległe mury przeciwphobosowe są wyraźnie widoczne: ciągną się w stronę horyzontu, wytyczając planowaną trasę miasta. Między nimi miasto zostawia po sobie ślad jak maźnięcie pędzlem, na które składają się obsiane syntezyciem pola i maszyna terraformująca. Podobnie jak ich bracia i siostry, Kazamaty starają się znów pomalować Marsa na zielono - ale prędzej czy później phobosy i tak się pojawiają.

U dołu Wieży czekają windy. Wskrzesiciele dają załobnikom świetliki-przewodników i udzielają surowego napomnienia, żeby na pewno wrócili przed południem. Jeden z nich pomaga Isidore'owi włożyć szybkombinezon, produkt Kazamat wykonany z najnowocześniejszych programowalnych materiałów, które projektant (najwidoczniej cierpiący na nadmiar inwencji) upodobił do skóry i mosiądzu, przez co cały kombinezon udaje stary skafander nurkowy. W niezgrabnych rękawicach Isidore ma kłopoty z trzymaniem przeniesionego bukietu kwiatów. Przechodzą przez służbę i tłoczą się w windzie, a właściwie na zawieszanej na nanowłóknach płaskiej platformie, która zjeżdża w tumanach pomarańczowej mgły, kołysząc się w przód i w tył w rytm ruchów miasta. A potem są już na powierzchni: wolno poruszające się figurki w dzwonowatych hełmach, podążające za świetlikami.

Ogromne miasto zawisa nad nimi niczym drugie niebo, cięższe od prawdziwego, pocięte rysami i szwami w miejscach styku platform, które przemieszczają się powoli jak elementy mechanizmu zegarowego. Widziane z dołu nogi Kazamat - las wielosegmentowych słupów - wydają się zbyt kruche, by udźwignąć taki ciężar. Na myśl o spadającym niebie Isidore czuje się nieswojo i postanawia się skupić na swoim świetliku.

Piasek jest ubity nogami, gąsienicami i kołami wyciszonych. Są dosłownie wszędzie. Ci najmniejsi rozbiegają się przed nim jakby on sam był gigantycznym miastem przemierzającym ich

świat; więksi, odpowiedzialni za terraformowanie, są więksi od człowieka i poruszają się stadami, rozkopując regolit i uprawiając algi. Grunt drży i Isidore'a mija Atlas, sześćcionoga gąsienica, większa niż niejeden wieżowiec; nadzoruje wyważenie nogi miasta albo sprawdza grunt w miejscu, gdzie podpora opadnie po zakończeniu kolejnego kroku. W oddali widać wyciszonych z fabryki powietrza - posadowionego na gąsienicach zakładu, który sam w sobie jest małym miasteczkiem. Nad nimi unoszą się roje skrzydlatych wyciszonych. Jednakże świetlik ponagla Isidore'a: prowadzi go w żwawym tempie przez rzucany przez miasto cień, do miejsca, w którym jego ojciec pomaga budować umocnienia zabezpieczające przed phobosami.

Ojciec Isidore'a ma dziesięć metrów wzrostu i wydłużone ciało insekta. Z chrzęstem wgryza się w marsjański regolit, wciąga sproszkowaną skałę do układu przetwarzania chemicznego, gdzie miesza ją z syntebakteriami i przerabia na surowiec budowlany. Tuzinem chudych, ruchliwych odnóży kształtuje tworzywo wypływające z dziobokształtnego pyska i kładzie kolejne warstwy muru. Jego pancerz opalizuje metalicznie, w pomarańczowym świetle przypomina rdzę. Z boku widać wgniecenie - wspomnienie po niedawnej walce z phobosami - w którym już kiełkuje kolejne odnóże.

Otacza go setka takich samych insektów, włączających jedne na drugie, żeby podwyższyć mur - ale ten odcinek, przy którym pracuje ojciec Isidore'a, wygląda inaczej od pozostałych: zdobią go płaskorzeźby, postaci, twarze. Większość z nich natychmiast ulega zniszczeniu, gdy zjawiają się mniejsi wyciszeni-mechanicy i instalują w murze broń. Ojcu Isidore'a chyba to nie przeszkadza.

- Ojczy? - odzywa się Isidore.

Wyciszony odrywa się od pracy i powoli odwraca w jego stronę. Stygnący metalowy karapaks trzeszczy i pojękuje. Isidore jak zawsze czuje dreszcz strachu na myśl o tym, że i on pewnego dnia zostanie zamknięty w takim cieple. Ojciec góruje nad nim w chmurze pomarańczowego pyłu jak najeżone ostrzami drzewo. Mechanizmy jego ramion pomału wytracają

impet.

- Przyniosłem ci kwiaty - dodaje Isidore.

Ostrożnie kładzie na ziemi bukiet, w którym dominują wysokie lilie z Argyre Planitia, ulubione kwiaty ojca. Ten delikatnie, z przesadną troską podnosi bukiet. Ostrza na końcach jego ramion na chwilę znów się rozkręcają, odnóża formujące podrygują w tańcu i wyciszony składa przed Isidorem maleńką figurkę z ciemnego surowca do budowy muru. Figurka przedstawia zgiętego w ukłonie uśmiechniętego mężczyznę.

- Nie ma za co - dodaje Isidore.

Przez chwilę stoją w milczeniu. Isidore patrzy na kruszący się relief na murze, na wyrzeźbione przez ojca twarze i krajobrazy, na pięknie odwzorowane drzewo, które obsiadły wylupiastrzaki sowy.

Może Elodie miała rację, myśli. To nie fair.

- Muszę ci coś powiedzieć - mówi. Poczucie winy czepia się jego pleców, brzucha i ramion, mokre i ciężkie jak morski starzec. - Zrobiłem coś głupiego: rozmawiałem z dziennikarzem. Byłem pijany.

Robi mu się słabo, więc siada na piasku i bierze do ręki wyrzeźbioną przez ojca figurkę.

- Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Przepraszam. Nie dość, że ja miałem z tego powodu kłopoty, to jeszcze i tobie mogłem zaszkodzić.

Tym razem pojawiają się dwie figurki: większa obejmuje mniejszą za ramiona.

- Wiem, że mi ufasz - ciągnie Isidore. - Po prostu chciałem ci o tym powiedzieć.

Wstaje i znów spogląda na pokrytą płaskorzeźbami ścianę: konie w galopie, abstrakcyjne kształty, twarze, arystokraci, wyciszeni. Nuta prochowego zapachu świeżo przemielonego kamienia przenika przez szybkombezon.

- Ten dziennikarz mnie zapytał, dlaczego rozwiązuję zagadki. Powiedziałem mu coś głupiego. - Isidore zawiesza głos. - Pamiętasz, jak wyglądała? Zostawiła ci to wspomnienie?

Wyciszony prostuje się - kanciasty, najeżony, metaliczny.

Przesuwa odnóżami formującymi po rzędzie pozbawionych wyrazu kobiecych twarzy. Każda jest nieco inna, w każdej próbował uchwycić coś, co utracił. Isidore przypomina sobie dzień, w którym przestał wspominać matkę - kiedy zamknął się jej gevulot i nagle uświadomił sobie jej nieobecność. Wcześniej zawsze towarzyszyło mu poczucie bezpieczeństwa, stała świadomość, że ktoś wie, co się z nim dzieje i co mu chodzi po głowie.

Wyciszony rzeźbi następną figurkę z utwardzonego piasku - kobietą, bez twarzy, z parasolką, którą osłania dwie poprzednie.

- Wiem, twoim zdaniem próbowała nas chronić. Ale ja w to nie wierzę.

Isidore kopniakiem zmienia figurkę w kupkę proszku. Natychmiast ogarniają go wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, nie chciałem. - Odwraca się i patrzy na mur, na niemające końca dzieło ojca.

Tylko phobosy go oglądają, myśli. Burzą go, a on buduje od nowa. Nagle robi mu się głupio.

- Nie mówmy o niej - proponuje.

Wyciszony chwieje się jak drzewo na wietrze, a potem rzeźbi następne dwie figurki. Mają znajome rysy i trzymają się za ręce.

- Pixil ma się dobrze. Nie wiem... co z nami będzie, ale jak już wszystko się ułoży, znowu ją tu przyprowadzę. - Isidore siada i opiera się plecami o mur. - Powiesz mi, co ostatnio kombinujesz?

W mieście, w świetle dnia Isidore czuje ulgę - i to nie tylko dlatego, że nie ciąży mu już szybkombinezon. Pierwsza z wyrzeźbionych przez ojca figurek, którą niesie w kieszeni, dodaje mu otuchy.

Pozwala sobie na wykwinny lunch w eleganckiej włosko-chińskiej restauracji przy Niezmiernej Alei. W „Heraldzie” nadal może przeczytać o sobie, ale tym razem udaje mu się skoncentrować na jedzeniu.

- Proszę się nie martwić, panie Beautrelet - rozlega się czyjś głos. - Nieważne, jak mówią, byle mówili.

Zaskoczony Isidore podnosi wzrok. Nie wyczuł nawet najmniejszego zaburzenia gevulotu, ale naprzeciw niego siedzi kobieta. Jest wysoka, ma młode ciało, robione na zamówienie, i twarz piękną w wyrachowanie niekonwencjonalny sposób: krótkie włosy, wyrazisty nos, pełne wargi, łukowato wygięte brwi. Ubrała się na biało - xanthyjski żakiet narzuciła na kosztowną odmianę rewolucyjnego munduru. Z płatków uszu mrugają do Isidore'a dwa maleńkie klejnoty.

Kobieta kładzie szczupłe dłonie na gazecie, wyginając smukłe palce jak grzbiet przeciągającego się kota.

- Jakie to uczucie, być sławnym, panie Beautrelet?

- Przepraszam, nie miałem przyjemności... - Isidore proponuje otwarcie gevulotów, żeby chociaż poznać jej imię. Nie wie, skąd ona go zna ani czy widzi jego twarz, ale ma wrażenie, że otula ją szczelna ściana prywatności, jak weneckie lustro.

Kobieta zbywa go machnięciem ręki.

- To nie jest spotkanie towarzyskie, panie Beautrelet. Proszę po prostu odpowiedzieć na moje pytanie.

Isidore patrzy na jej dłonie, spoczywające na czarno-białym zdjęciu. Między jej palcami widzi swoje własne zaspane oczy.

- A co to panią obchodzi?

- Co by pan powiedział na próbę rozwiązania zagadki, która przyniosłaby panu prawdziwą sławę? - W jej uśmiechu jest coś dziecinnego. - Mój pracodawca obserwuje pana od dłuższego czasu. A ma oko do talentów.

Isidore jest już dostatecznie przytomny, żeby dedukować i czerpać z egzopamięci. Kobieta dobrze się czuje w swoim ciele, co oznacza, że od dawna prowadzi życie Szlachetne - z czego wniosek, że wcale nie jest taka młoda, na jaką wygląda. Mówi z leciuteńkim wolnomiejskim akcentem, który stara się maskować. Chociaż... Może maskuje go tylko po to, żeby to zauważył?

- Kim pani jest?

Kobieta składa gazetę na dwoje.

- Dowie się pan, jeśli przyjmie moją propozycję. - Podaje mu gazetę, a wraz z nią ko-wspomnienie. - Miłego dnia, panie Beautrelet.

Bez pośpiechu wstaje, posyła mu jeszcze raz ten swój uśmiech i odchodzi - rozmazana plama gevolutu w tłumie.

Isidore otwiera ko-wspomnienie i w jego świadomości coś rozbłyska, jak słowo, które miał dotychczas na końcu języka. Miejsce. Czas. Nazwisko. Jean le Flambeur.

INTERLUDIUM

WOLA

To był pomysł Isaaca, żeby włamać się do synagogi, ale oczywiście to Paul wprowadza ich do środka: tak długo szepcze do przypominającego muszlę gevulotu białego gmachu, aż ten odsłania przed nim drzwi pod wysokim łukiem ozdobionym misternymi stiukami.

- Ty pierwszy, rabbi - mówi z wypiekami na twarzy Paul i prawie się potyka o własne nogi, gnąc się w pół w przesadnym ukłonie.

- Nie, nie, ty pierwszy - upiera się Isaac. - A zresztą, co tam, wejdźmy razem.

Obejmuje młodszego mężczyznę i ramię w ramię po omacku wchodzą do domu modlitwy.

Pili przez ostatnie czternaście godzin. Isaac lubi to uczucie, kiedy alkohol buzuje mu w mózgu - jest sto razy lepsze od najbardziej wyrafinowanego narkosoftu. Kurcząca się trzeźwa cząstka jego umysłu wie, że to raczej mem niż obiekt fizyczny; tysiącletnia kultura odurzenia, kult Bachusa wbudowany w wyfabrykowane w Kazamatach ciało. W tej chwili liczy się tylko to, że otaczający ich świat rządzi się dziwną, zdeformowaną logiką, a serce łomocze mu w piersi w taki sposób, że chciałby wspiąć się na mur przeciwphobosowy i donośnym rykiem rzucić wyzwanie wszystkim mrocznym bestiom marsjańskiej pustyni. Albo i samemu Bogu, tak jak początkowo zamierzał.

Tymczasem w cichym azylu synagogi jak zwykle czuje się malutki. Wieczne światło - jasna kula kwantopunktów - płonie nad drzwiami arki. Jego blask miesza się z pierwszymi promieniami świtu, które przesączają się przez niebiesko-żółte witraże w wysokich oknach.

Isaac siada przed bimą, wyjmując z kieszeni metalową

piersiówkę i potrząsa nią przy uchu. Jest na wpół pusta.

- No, jesteśmy na miejscu - mówi do Paula. - Jaki masz plan? Mów, bo inaczej pomyślę, że mnóstwo dobrej gorzały poszło na marne.

- Zaraz, najpierw ty mi coś powiedz: dlaczego religia?

Isaac wybucha śmiechem.

- A dlaczego alkohol? Jak raz spróbujesz, trudno odstawić. - Pociąga łyk z butelki. Wódka pali go w język. - Poza tym, to jest religia mistrzów, mój drogi: tysiąc arbitralnych przepisów, które musisz zaakceptować, mimo że są kompletnie irracjonalne. Nie ma w niej ani cienia tej dziecinady „uwierz, a zostaniesz zbawiony”. Powinieneś spróbować.

- Dzięki, ale nie. - Paul podchodzi do arki. - Ten melodyjny dźwięk łamania prawa... - Mruczy coś pod nosem i odwraca się. - Wiesz, dlaczego się przyjaźnimy, Isaacu?

- Dlatego, że nienawidzę cię odrobinę mniej niż wszystkich innych idiotów, których ta marsjańska zafajdana miejscina nosi na grzbiecie.

- Dlatego, że nie masz nic, czego bym chciał.

Isaac spogląda na Paula. W świetle witraży i oparach wódki Paul wygląda bardzo młodo. Isaac przypomina sobie ich pierwsze spotkanie: sprzeczkę w barze dla pozaświatowców, która trochę za bardzo się zaogniła. Stara złość Isaaca wypływała z niego falami, jak wykaszłana flegma, aż skończyło się bójką, w której z zachwytem stwierdził, że młody nieznajomy nie próbuje się chować za gevulotem.

Teraz Isaac nie odpowiada od razu.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą - mówi po chwili, podnosząc butelkę. - No? Chodź, zabierz mi ją. - Śmieje się, długo i głośno. - Nie no, poważnie, co cię gryzie? Wiem, jak się kończą takie pijackie maratony. Nie mów mi, że znów chodzi o tę dziewczynę.

- Myślę, że zrobiłem coś głupiego.

- Niczego innego się nie spodziewałem. Chcesz, żebym cię ukarał? Żeby Bóg cię ukarał? Z miłą chęcią spełnię swój obowiązek. Podejdź bliżej, to dam ci po pysku. - Isaac usiłuje wstać, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. - Posłuchaj no,

ty głupi draniu. Jedynym powodem, dla którego nie obiliśmy cię przy naszym pierwszym spotkaniu, był fakt, że rozpoznałem u ciebie uzależnienie. Nie wiem, czego tak bardzo pragniesz, ale przed tym nie uciekniesz. U mnie to są memy: robale w mózgu, religia, poezja, kabała, rewolucje, filozofia fiodorowska, gorzała. U ciebie chodzi o coś innego. - Isaac szuka butelki w kieszeni kurtki, ale ręce ma nieporadne i niezręczne, jakby włożył rękawice z jednym palcem. - Nie wiem, co to jest, ale może sprawić, że odrzucisz coś dobrego i ważnego. Nie idź moim śladem. Odrzuć to pragnienie. Wytnij je.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Zboli tylko raz.

Paul zamyka oczy.

- Jest pewna... rzecz. Stworzyłem ją, ale mnie przerosła. Obrosła ze wszystkich stron. Myślałem, że uda mi się od niej uciec, ale to niemożliwe; gdy tylko czegoś chcę, każe mi po to sięgnąć. Więc to robię. To łatwe, zwłaszcza tutaj.

Isaac parska śmiechem.

- Nie będę udawał, że coś z tego zrozumiałem. To jakiś pozaświatowy bełkot, prawda? Wcielone poznanie. Wielość umysłów, wielość ciał i tym podobne bzdury. Dla mnie brzmi jak mała płaksa, która ma za dużo zabawek. Pozbądź się ich. Skoro nie możesz ich zniszczyć, odłóż je i zamknij w takim miejscu, żeby zabolalo jak cholera, jeśli znów po nie sięgniesz. Na Ziemi w taki właśnie sposób oduczyłem się obgryzać paznokcie.

Isaac rozsiada się wygodniej i stwierdza, że zsuwa się z ławki. Patrzy na rzeźbiony w lwy sufit.

- Bądź mężczyzną - dodaje. - Jesteś większy od swoich zabawek. Zawsze jesteśmy więksi od tego, co tworzymy. Odrzuć je. Zrób ze swoim życiem coś nowego, używając do tego własnych rąk i głowy.

Paul przysiadł do niego, przez chwilę wpatruje się w drzwi arki, a potem wyjmując z kieszeni piersiówkę Isaaca i z niej pije.

- Tobie się udało? - pyta.

Isaac wymierza mu policzek. Ze zdziwieniem konstatuje, że

naprawdę udało mu się trafić. Paul wypuszcza butelkę i wytrzeszcza oczy. Jedną ręką łapie się za piekącą twarz i ucho. Piersiówka klekocze metalicznie na posadzce. Wylewa się z niej resztką wódki.

- Popatrz tylko, do czego mnie zmusiłeś - mówi Isaac.

ROZDZIAŁ 8

ZŁODZIEJ I PIRACI

Muzeum Sztuki Współczesnej jest ukryte poniżej poziomu gruntu: ciąg przezroczystych rur, tarasów i korytarzy oplata biodra Kazamat jak szklana przepaska o skomplikowanej konstrukcji. Taki układ zapewnia obfitość światła w galeriach i niewiarygodny widok poruszających się w dole nóg miasta, kreślących powolne łuki w gruncie Hellas Planitia.

Spacerujemy pomiędzy galeriami, popijając kawę z kubków z plastomaterii. Świetnie się bawię. Sztuka mnie uspokaja, nawet jeśli wiele najnowszych dzieł w muzeum ma gwałtowny, agresywny podtekst, epatuje eksplozją barw i ostrych krawędzi. Mielli jednak się nudzi. Ogląda właśnie cykl akwarel i dziwnie pomrukuje.

- Nie przepadasz za sztuką, co?

Parska cichym śmiechem.

- Sztuka nie powinna być płaska ani martwa, jak to. Sztukę należy śpiewać.

- Tutaj śpiewaną sztukę nazywają muzyką, jeśli się nie mylę.

Piorunuje mnie wzrokiem i skutecznie ucisza. Zadowolam się oglądaniem starszych dzieł abstrakcyjnych i podziwianiem studentek uczelni artystycznych.

Mija trochę czasu, nim zaczynamy dostrzegać piratów gogolowych.

Mielli dostała od swojego mocodawcy publiczne klucze agentów Sbornosti i wysłała im ko-wspomnienie. To ja zaproponowałem muzeum jako miejsce spotkania. Tutejszy gevulot ma przemyślaną strukturę: uwzględniono w nim sporo agor, które zniechęcają do stosowania przemocy, a zarazem poziom prywatności jest idealny dla dyskretnych rozmów. Nie spodziewałem się jednak, że aż tylu ich przyjdzie.

Dziewczynka przed obrazem przedstawiającym stado chudych słoń pasących się w Dolinie Nanedi dotyka czubka nosa dokładnie w taki sam sposób, jak mijająca ją trzymająca się za ręce para. Para ta porusza się takim samym krokiem jak wysoka studentka w wydekolutowanej bluzce, od której przez chwilę nie mogę oderwać oczu. Potem mija nas cała rodzina piratów; śmiech ojca z przerzedzonymi rudymi włosami dziwnie współbrzmi ze śmiechem syna. Jest ich zresztą znacznie więcej, wszędzie w otaczającym nas tłumie.

Uświadamiam sobie, że uchylają rąbka swoich geulotów, żeby się nam ujawnić. O dziwo, ich zachowanie wydaje mi się znajome - z dawnych czasów, kiedy jako człowiek stąpałem po Ziemi.

- Zaganiają nas - szepcze Mielli. - Tędy.

Łądujemy na obszernym tarasie, oddzielonym szklanymi drzwiami od reszty muzeum. W płytkim basenie stoją tu trzy rzeźbione fontanny. Wyglądają jak totemy wykonane z postrzępionych części metalicznych i organicznych, które są (o czym informuje mnie podczepione do nich ko-wspomnienie) porzuconymi częściami ciał wyciszonych. Woda szmerze w spoinach. Dźwięk mógłby być kojący, gdyby nie przywodził mi na myśl płynącej krwi.

Taras zapełnia się ludźmi, jest ich ze dwadzieścioro. Część stanowczo zajmuje pozycję przy drzwiach, odcinając nam drogę ucieczki.

To dziwne, ale Mielli fontanny chyba się spodobały, bo stoi przed nimi bez ruchu, dopóki nie dotknę jej ręki.

- Chyba już czas - mówię.

- Dobrze. Tylko pamiętaj: ja będę mówić.

- Proszę bardzo.

Czarnoskóra dziewczynka, na oko sześćioletnia, podchodzi do nas. Jest ubrana w zaskakująco niebieską sukienkę, włosy ma zaplecione w sterczące na boki warkoczyki. Dotyka zadartego noska w sposób, który zaczyna być boleśnie znajomy.

- Jesteście pozaświatowcami? - pyta. - Skąd pochodzicie? Mam na imię Anne.

- Cześć, Anne - mówi Mielli. - Nie musisz grać. Tu jesteś

wśród swoich.

- Ostrożności nigdy za wiele - odzywa się długonoga studentka. Staje za naszymi plecami, ale nie podnosi wzroku znad szkieletownika.

- Macie minutę, żeby wyjaśnić, jak nas znaleźliście - mówi kobieta w mieniającej się kalejdoskopowo sukience. Stoi przy barierce i trzyma za rękę młodego mężczyznę.

- Potem sami się tego dowiemy - dopowiada Anne.

- Tutaj na pewno nie chcielibyście niczego zaczynać - zauważa Mielli. - W muzeum roi się od agor.

- Nieustannie musimy sobie radzić z agorami. - Anne się uśmiecha. - Pięćdziesiąt sekund.

- Służę komuś, kto służy waszemu kopioojcu - odpowiada Mielli. - Potrzebujemy pomocy.

- Pokażcie pieczęć - mówi rudowłosy ojciec rodziny, próbując uciszyć zapłakane dziecko.

- Służymy z przyjemnością, ale pokażcie pieczęć - dodaje studentka.

Na tarasie nagle robi się ciszej. Niektórzy nadal rozmawiają, pokazują palcami rzeźby, ale oczy wszystkich są zwrócone na nas.

- Wiecie lepiej ode mnie, że Wielkie Wspólne Dzieło wymaga dyskrecji - przypomina Mielli. - Znaleźliśmy was. To wam nie wystarczy?

- Potrzebujemy czegoś więcej, kotku. Jesteśmy wasiliewami; niewielu jest takich, którzy z większym niż my zapalem urzeczywistniają Wielkie Wspólne Dzieło. - Anne drobną rączką chwyta rąbek togi Mielli. - Nie zamierzamy słuchać jakiegoś singletona, sługi małego ważnego klanu, który nawet nie należy do Założycieli. - Uśmiecha się, odsłaniając nierówny rząd ząbków jak drobne kostki cukru. - Czas ucieka. Może jednak powinniśmy zajrzeć do tej twojej ślicznej główki?

- Nie prosimy o wiele - upiera się Mielli. - Potrzebujemy narzędzi do emulacji gevulotu, marsjańskiej tożsamości...

- Jesteście konkurencją? - pyta rudowłosy ojciec. - Dlaczego mielibyśmy wam pomóc?

Mielli się spina. Sprawy się komplikują. Wysłannicy

Sbornosti nie są mistrzami negocjacji: kiedy kopioklanowy szablon dyktuje ci wszystkie zachowania, pozostaje niewiele miejsca na kreatywność. I za to właśnie ich kocham. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem i słyszałem taki uśmiech, gesty, głos... Na Ziemi, wieki temu, w barze wśród hakerów; piliśmy do nieprzytomności i dyskutowaliśmy o polityce. Kto tam jeszcze był? No tak: Matjek. Mały, gniewny Matjek, który potem został bogiem Sbornosti.

Prostuję się, jakbym próbował udawać wyższego, niż jestem w rzeczywistości. Wypinam pierś. Moją twarz wykrzywia grymas słusznego gniewu.

- Wiecie, kim jestem?

Po twarzach wasiliewów przebiega fala strachu. Studentka upuszcza szkicownik do basenu. Słysząc plusk. Tu was mam...

- Moja służąca nie musi się przed wami tłumaczyć. Ja raczej też nie. Wielkie Wspólne Dzieło wymaga wiary, której wam brakuje.

Mielli wybałusza oczy.

Na razie graj, nadaję przez biołaczce. Później ci wszystko wyjaśnię.

- Czy potrzebujecie pieczęci i symboli, żeby rozpoznać Założyciela, który kroczy pośród was? Potrzebuję narzędzi. Mam misję do wykonania. Wielkie Wspólne Dzieło wymaga od nas wizyt w nieoczekiwanych miejscach, dlatego nie jestem przygotowany. I dlatego dacie mi wszystko, czego potrzebuję. Natychmiast.

- Ale... - wtrąca Anne.

- Mam przy sobie odłamek smoka - syczę. - Chcesz stać się jego częścią?

Wasiliewy na chwilę milkną, a potem uderza we mnie strumień danych. Czuję, jak zbudowane przez Sbornost' ciało rozpoznaje i kataloguje: szablony osobowości, emulatory zmysłu gevulotowego, mechanizmy - wszystko, czego potrzeba w Kazamatach do stworzenia sztucznej tożsamości.

A niech mnie, udało się...

Nagle Anne się wzdryga, a jej oczy zachodzą mgłą. Strumień danych urywa się równie nagle, jak się zaczął. Nie tracąc

rezonu, wodzę wzrokiem po tarasie i staram się emanować królewskim niezadowoleniem.

- Co to ma znaczyć? Czy nie wyraziłem się jasno?

- Aż za jasno, panie le Flambeur - odpowiadają unisono wasiliewy. - Proszę się nie ruszać. Nasi przyjaciele chcieliby z panem porozmawiać.

Psiakrew.

Odwracam się do Mielli, żeby dać jej znać, że mamy wszystko, czego nam trzeba, i niech teraz szybko nas stąd wyciągnie, ale zanim udaje mi się uformować tę myśl, wybuchają fajerwerki.

Wstrząśnięta i zaskoczona Mielli śledzi gambit złodzieja. Zna Matjeka Chena i docenia perfekcyjną imitację jego głosu i języka ciała. Umysły Sbornosti, uwięzione w skradzionych marsjańskich ciałach, muszą się czuć jak w obecności bóstwa. Kiedy atakują, czynią to z zajądlnością fanatyków, którym na drodze stanął bluźnierca.

Pieprzyć subtelności. Rozwalę ich.

Włącza metakorę i spowalnia czas, żeby dać sobie chwilę do namysłu. Otula się welonem autyzmu bojowego.

Perhonen, *przeczysz wszystkie*.

Orbitujący nad planetą statek wystrzeliwuje sekwencję słabo oddziałujących egzotycznych cząstek. W oczach Mielli wasiliewy zmieniają się w szkielety. Metakora dopasowuje wzorce, klasyfikuje ukrytą broń: duchostrzały - broń Sbornosti, strzelająca pociskami, które przejmują kontrolę nad umysłem. Niedobrze. Mielli włącza wszystkie systemy bojowe.

W prawej ręce trzyma karabin kwantopunktowy - liniowy akcelerator wystrzeliwujący semiautonomiczne ładunki koherentne; w lewej ma duchostrzał wyposażony w nanopociski przenoszące gogole, które mają zaatakować system przeciwnika i zalać go kopiami samych siebie. Znajdująca się pod naskórkiem warstwa programaterii zmienia się w pancerz, paznokcie stają się twardsze niż diament. Uruchamia się wbudowany w prawą kość udową reaktor jądrowy. Maszyna Nasha w metakorze wybiera zestaw

optymalnych celów i planuje osłonę ogniową dla złodzieja.

Wsparcie ogniowe, na mój znak, zapowiada Mielli.

Muszę zmienić orbitę, uprzedza statek. Będziemy mieli kłopoty z orbitalnymi wyciszanymi.

W porządku.

Mielli czuje bliskość śmierci jak ostrze noża. Jest prawdziwym singletonem; gdyby nim nie była, zdradziłaby swoich przodków. Jeżeli zawiedzie, nie dostanie drugiej szansy. Czasem - zwłaszcza w kontaktach ze Sbornością - właśnie ta świadomość liczy się najbardziej.

Piraci gogolowi też się rozkręcają, ale to tylko szpiedzy i ich syntebiolicznym ciałom brakuje militarnych usprawnień. Mają jednak duchostrzały wbudowane w oczy, dłonie i korpusy. Po dziesięciu milisekundach wystrzeliwiają pierwszą salwę; w chwili wystrzelenia nanopocisków po ich twarzach przemykają podczerwone gwiazdki. Widziany przez Mielli taras eksploduje zabójczą pajęczyną wektorów i trajektorii.

Łapie złodzieja i rzuca go do stóp środkowego posągu, gdzie w pajęczej sieci zieleje luka. Jednocześnie strzela serią kwantopunktów - przypomina to malowanie palcami w powietrzu, każdy pocisk zostawia lśniący ślad. Kwantopunkty - zawierające kondensat Bosego-Einsteina, naładowane energią i wyposażone w kwantową logikę - stają się przedłużeniem jej ciała, niczym odcięte, lecz nadal posłuszne kończyny. Trzy z nich wykorzystuje jak cep do strącenia pocisków wroga; rozdierają śmiertcioną pajęczynę i dają jej pole manewru. Dwa pozostałe lecą w tłum wasiliewów, by tam eksplodować koherentnym światłem.

Część pocisków wasiliewów bierze ją na cel, inne skręcają w stronę złodzieja. Tłum się rozprasza, wasiliewy próbują uniknąć nadlatujących kwantopunktów, ale są zbyt wolne. Punkciki rozkwitają w oślepiająco białe laserowe słońca, od których topi się szkło, synteciała i bezcenne dzieła sztuki.

Mielli skacze naprzód. Powietrze przypomina tłustą wodę. Mimo tłumiącego bodźce autyzmu bojowego swoboda ruchu jest oszałamiająca. Kluczy wśród pocisków, zostawia na wodzie zamrożone ślady. Po namyśle uderza studentkę w podbrzusze.

A potem ją dopadają: Anne, rodzinka, kobieta w krzykliwej sukience, jeszcze troje innych. Z palców wystrzelują im macki destruktorów, kręte linie wibrującego zniszczenia. Jedna chłoszcze ją po plecach. Pancierz natychmiast reaguje i wypala zainfekowany fragment; na ułamek sekundy wyrastają jej skrzydła z płomienia.

Wpisuje w duchostrzał prościutką procedurę obronną i strzela - raz, drugi, trzeci; złodziej będzie potrzebował solidniejszej ochrony. Trafia dwa razy. Gogole w pociskach przejmują mózgi wasiliewów i każą im osłonić złodzieja własnymi ciałami. Mielli odrywa kalejdoskopowej kobiecie rękę z wiązką destruktorów i uderza nią Anne na odlew. Tułów dziewczynki eksploduje i rozpada się w proch, gdy molekularne palce rozszarpują komórki jej ciała. Ostatni kwantopunkt Mielli wystrzeluje prosto w oko rudowłosego. Wasiliewy odpowiadają ogniem, jej pancierz aż skwierczy od ostrzału. Zaciska zęby i łapie duchostrzałowy pocisk w locie. Pocisk zawiera kopię umysłu wasiliewa; później przyjdzie czas na zadawanie pytań.

Rzucają się na nią wszystkie naraz. Przykrywa ją masa ciał, skoordynowana góra syntetycznego mięcha, nieczuła na jej uderzenia i kopniaki, które rozdzierają ją jak mgłę. Przyciskają jej głowę do podłogi.

Wysła *Perhonen* współrzędne.

Ognia.

Ogień z nieba odcina niczym chirurgiczny skalpel taras od reszty miasta. Jęczy metal. Spod skrzydeł *Perhonen* spada deszcz twardego, wrzącego światła.

W spadku swobodnym Mielli czuje się jak w domu. Kluczy wśród splątanych ciał, przebija krwawą mgielkę, znajduje złodzieja i go łapie. I rozpościera skrzydła. Ma wrażenie, jakby kwiaty rozkwitały jej na ramionach i - jak zwykle - przypomina sobie dzieciństwo, kiedy latała po lodowych lasach swojego koto, ścigając spadopajaki. Teraz jednak skrzydła ma mocniejsze, odnowione, wystarczająco silne, żeby nawet w tym ocieżałym mieście uniosły ją i złodzieja.

Razem przebijają sufit galerii. Poskręcane, płonące szczątki

tarasu i wasiliewów, koziolkując, spadają w stronę poruszających się w dole nóg miasta. Tylko tych rzeźb szkoda, myśli Mielli.

Zanurzam się w chaosie ciał, eksplozji i odoru palonego mięsa. Coś ciska mną o kamień. Staccato gromów łomocze mi o czaszkę. Przebijam jakąś szybę. Mielli mnie obejmuje, lecimy, w dole buzuje ogień, słyszę świst jak w tunelu aerodynamicznym, podmuch wysysa mi powietrze z płuc...

Krzyczę. Potem spadam - mniej więcej metr. Ląduję na plecach. W uszach mi dzwoni, przed oczami latają kolorowe plamy, usta mam otwarte, płuca wciąż puste.

- Przestań - mówi Mielli.

Kłęczą dwa metry ode mnie. Para skrzydeł składa się i chowa w jej plecach - dwa delikatne, srebrzyste drzewa o cienkich jak babie lato konarach, połączonych przezroczystą, migoczącą błoną, przypominającą tworzywo skrzydeł *Perhonen*. Po chwili już ich nie ma.

- O kurwa... - mówię, kiedy wreszcie udaje mi się zaczerpnąć tchu.

Znajdujemy się na lekko pochyłym dachu jakiegoś domu na skraju miasta. Pożar i słup dymu na horyzoncie wyraźnie wskazują nasze niedawne miejsce pobytu. Gromada cadyków kołuje nad polem bitwy i zniża lot, jak stado kruków.

- Kurwa, kurwa, kurwa...

- Miałeś przestać.

Mielli wstaje. Jej toga jest w strzępach, przez rozdarcia widać połacie gładkiej, brunatnej skóry. Widząc, że się jej przyglądam, odwraca się tyłem. Toga zaczyna się samoczynnie latać.

- Ku... - Ze świstem wciągam powietrze w płuca. - To dranie. Ktoś im powiedział, gdzie będziemy. Ktoś wiedział.

Moje wy gruchające gołąbeczki, wtrąca się Perhonen. Cieszę się, że jesteście cali i zdrowi. Uprzedzam, że teraz na parę godzin zamilknę. Muszę ulotnić się z mojej dotychczasowej pozycji, w pełnym kamuflażu. Orbitalni wyciszeni mogą być

ślepi i głusi, ale nawet oni zauważyli, jak ostrzelalam z laserów ich planetę. Odezwe się, kiedy wrócę. Uważajcie na siebie.

- Co tam się stało? - pytam Mielli.

- Zaatakowali. Musiałam poprosić *Perhonen*, żeby ich zlikwidowała. Normalna procedura.

- Czyli... nie żyją? Wszyscy?

- Zostali zniszczeni bez możliwości synchronizacji z egzopamięcią nawet jeśli zostaną wskreszeni, i tak nie będą o nas pamiętać. To wasiliewy szpiegowskie, nie miały neutronowej aparatury komunikacyjnej.

- Jezu... Były jakieś ofiary postronne?

- Tylko dzieła sztuki - odpowiada Mielli, a ja za diabła nie umiem powiedzieć, czy ze mnie kpi, czy mówi serio. - Masz to, po co poszliśmy?

Muskam dane, którymi zasypała mnie dziewczynka. Części brakuje, ale najważniejsze bloki danych są nietknięte.

- Tak, teraz muszę to tylko spokojnie przejrzeć. - Rozmasowuję sobie skronie. - Posłuchaj, dzieje się coś złego. Ktoś dał im cynk. Czy ty i twój pracodawca bierzecie udział w jakiejś popieprzonej walce o władzę w ramach Sbornosti? Jest coś, o czym nie wiem, a powinienem?

- Nie.

Odpowiedź Mielli nie pozostawia miejsca na protesty.

- No dobrze, w takim razie musimy założyć, że to jakiś lokalny konflikt. Trzeba to zbadać.

- Ja się tym zajmę. Ty masz zadanie do wykonania.

Wstaję pomalutku. Moje ciało jest nieuszkodzone - nic sobie nie złamałem - ale udaję, że jest w fatalnym stanie. Wszystko mnie boli, jakbym był jednym wielkim siniakiem.

- No właśnie, skoro o tym mowa...

- No?

- Zdajesz sobie sprawę, że musisz mi dać coś więcej niż tylko prawo do masakrowania tego ciała? Jeżeli mam stworzyć nową tożsamość, potrzebuję trochę luzu. Nawet wytropienie tej Raymonde będzie wymagało czegoś więcej niż para oczu i uszu, nie mówiąc już o emulacji zmysłu gevulotowego albo zwykłej

możliwości przetrwania, gdybyśmy znów napatoczyli się na naszego przemawiającego wieloma głosami przyjaciela.

Przygląda mi się uważnie, zacierając ręce, z których płatkami kruszy się cienka warstewka zakrzepłej krwi.

- Tak przy okazji... Dziękuję za uratowanie mi tyłka - dodaję. Wiem, że niepotrzebnie się staram, ale posyłam jej ciepłe (i prawie szczerze) spojrzenie i mój najmiłszy uśmiech. - Daj mi się zrewanżować.

- Dobrze. - Marszczy brwi. - Kiedy wrócimy, zobaczę, co da się zrobić, a na razie spadajmy stąd. Wątpię, żebyśmy zostawili jakieś publicznie dostępne ślady, ale z cadykami nigdy nic nie wiadomo. Nie chciałabym jeszcze teraz się z nimi użerać.

- Polecimy?

Łapie mnie mocno za ramię i pociąga na krawędź dachu. Od biegnącej w dole ulicy dzieli nas prawie sto metrów.

- Spróbuj, jeśli potrafisz. Tylko pamiętaj, że twoje ciało nie ma skrzydeł.

Tego wieczoru w hotelu robię sobie nową twarz.

Wracamy cichaczem, okrężną drogą, z gevulotem nastawionym na maksimum prywatności, zwiedzając przy okazji połowę atrakcji turystycznych w Kazamatach - dla mnie to zbytek ostrożności, bo zamaskowani gevulotem i tak powinniśmy być dla wszystkich niewidoczni, ale Mielli się upiera. Na miejscu instaluje jeszcze jakąś sieć obronną: punkciki światła wystrzeliwują z jej dłoni i patrolują drzwi i okna.

- Nie dotykaj ich - ostrzega mnie bez potrzeby.

A potem robi coś niezwykłego, coś magicznego, coś, co sprawia, że mam ochotę ją pocałować - i zrobiłbym to, gdyby nie wspomnienie sceny, w której odrywa rękę młodej dziewczynie i zabija nią troje innych ludzi. Zamyka oczy, a ja słyszę pstryknięcie w głowie. Nie jest to nic wielkiego, w niczym nie przypomina całkowitej wolności, jaką obdarzyła mnie w walce z archontami, ale na początek wystarczy. Wzmoczona świadomość własnego ja. Poczucie kontroli. Wiem już, że pod skórą tego ciała znajduje się siatka kwantopunktów (sztucznie wytworzonych atomów mogących wykazywać dowolne

właściwości fizyczne), dzięki której naskórek może przyjmować różne kolory i zmieniać fakturę.

Mielli kładzie się wcześniej spać: twierdzi, że musi uzupełnić braki energetyczne i zregenerować obrażenia. *Perhonen* milczy - zapewne zajęta ucieczką przed orbitalnymi strażnikami albo włamywaniem się do ich systemów i programowaniem przekonujących wytłumaczeń, dlaczego ją zgubili. Jestem więc samotny jak jeszcze nie byłem od czasu ucieczki z więzienia.

To przyjemne uczucie. Przez pewien czas po prostu siedzę na balkonie, popijam (tym razem jednosłodową whisky) i podziwiam nocną panoramę miasta. Whisky ma dla mnie smak introspekcji: ta chwila ciszy po przełknięciu, ten długotrwały posmak zachęcający do analizy pozostającego na języku aromatu...

W myślach szykuję narzędzia, jedno po drugim.

Gevulot nie jest tworem doskonałym. Są w nim pętle - miejsca, w których węzeł (reprezentujący wspomnienie, zdarzenie lub osobę) ma więcej niż jednego rodzica. To oznacza, że czasami otwarcie gevulotu w celu podzielenia się z kimś niewinnym wspomnieniem, ulubionym smakiem lub intymnym przeżyciem może otworzyć dostęp do ogromnych obszarów egzopamięci. Piraci gogolowi dysponują oprogramowaniem, które podczas rozmowy rozrysowuje drzewiastą strukturę gevulotu i wyszukuje kluczowe węzły.

Zdobyłem zatem wyspecjalizowane oprogramowanie do przechwytywania kwantowej komunikacji między Zegarkiem i egzopamięcią. Tego rodzaju atak byłby dość brutalny i wymagał ogromnej mocy obliczeniowej; będę o tym musiał porozmawiać z *Perhonen*. Mam także doskonały emulator zmysłu prywatności, który chcę jak najszybciej uruchomić. Na koniec zostawiłem sobie zestaw kluczy prywatnych i publicznych oraz duży wybór czystych egzopamięci. Wolę nie myśleć o tym, w jaki sposób zostały zdobyte, ale przynajmniej ktoś odwalil za nas brudną robotę. Dane są trochę poszatkowane na skutek przerwania transferu, ale to, co mam, w zupełności mi wystarczy. Na razie.

Perspektywa stania się innym człowiekiem to elektryzujące

przeżycie, na myśl o otwierających się przede mną możliwościach przenika mnie dreszcz. W przeszłości na pewno zdarzało mi się zmieniać tożsamości: postczłowiek, zoku, elementarny, Sbor. Niczego nie pragnę tak bardzo, jak znowu stać się bogiem złodziei.

Otwieram kopertę Zegarka i patrzę na zdjęcie.

Kim mam się dla ciebie stać, Raymonde? Kim dla ciebie byłem?

Jej uśmiech nie niesie żadnej odpowiedzi, zamykam więc Zegarek, dopijam drinka i przeglądam się w lustrze w łazience.

Na widok swojej twarzy - ciężkie powieki, ślad siwizny we włosach - znów zaczynam się zastanawiać, kim jest pracodawca Mielli. Musieliśmy się kiedyś znać, dawno temu, ale kimkolwiek jest, należy do świata, który więzienie skutecznie mi odebrało. Przez chwilę napawam się swoim odbiciem. Nie jestem narcyzem, ale lubię lustra - za to, że pomagają mi określić, kim jestem. No i w końcu mam okazję się przekonać, jak zachowuje się to ciało.

Odmłodniej, polecam mu. Wyższy wzrost. Dłuższe włosy. Wydatniejsze kości policzkowe.

Obraz w lustrze płynie jak woda. Przenikający mnie dreszcz przechodzi w radość.

- Widzę, że dobrze się bawisz? - słyszę.

Rozglądam się, ale nikogo nie ma. Głos brzmi boleśnie znajomo.

- Tu jestem - mówi moje odbicie.

To młodszy ja z wizerunku w Zegarku: szykowny, ciemnowłosy, uśmiechnięty. Przekrzywia głowę i spogląda na mnie z drugiej strony lustra. Wyciągam rękę i dotykam szklanej tafli. Tamten ani drgnie. Znów ogarnia mnie takie samo poczucie nierzeczywistości jak w chwili, gdy zobaczyłem chłopca na agorze.

- Myślisz o niej - ciągnie. - A to oznacza, że niedługo znów pójdziesz z nią porozmawiać. - Wzdycha tęsknie. - Powinieneś wiedzieć kilka rzeczy.

- No właśnie! - krzyczę. - Gdzie moje wspomnienia?! Co to za gierki? Co oznaczają symbole...

Udaje, że mnie nie słyszy.

- Naprawdę myśleliśmy, że będzie tą właściwą. Że jest odkupieniem. I przez jakiś czas naprawdę nim była. - Dotyka szkła z drugiej strony, naśladując mój wcześniejszy gest. - Szczerze ci zazdroszczę, wiesz? Będziesz mógł jeszcze raz spróbować. Pamiętaj tylko, że ostatnim razem bardzo brzydko ją potraktowaliśmy i nie zasługujemy na drugą szansę. Tak, że nie łam jej serca, a jeśli już to zrobisz, dopilnuj, żeby znalazł się ktoś, kto poskłada je do kupy. - Znów uśmiecha się od ucha do ucha. - Pewnie mnie teraz nienawidzisz, co? Trochę? Widzisz, nie może być za łatwo. Utrudniłem poszukiwania nie ze względu na ciebie, lecz na mnie. Jak alkoholik, który zamyka gorzałę w piwnicy i wyrzuca klucz. A jednak dotarłeś tutaj. To znaczy, że mi się nie udało. Pozdrów ją ode mnie. - Wyjmuje Zegarek, ten sam, który i ja trzymam w ręce. Spogląda na cyferblat. - No, muszę lecieć. Baw się dobrze. I pamiętaj, ona lubi przejażdżki balonem.

Po tych słowach znika, a jego miejsce zajmuje moje prawdziwe odbicie. Siadam i zaczynam szykować sobie nowe, w sam raz na pierwszą randkę.

ROZDZIAŁ 9

ZŁODZIEJ I LIST

Tego samego wieczoru, nieco później, prowadzony przez ko-wspomnienie Isidore trafia do Żółtowego Parku. Idzie wąską, piaszczystą ścieżką przez sosnowo-wiązowy zagajnik. Za drzewami znajduje zameczek.

Jest to jedna z największych odrestaurowanych budowli z czasów Królestwa, jakie w życiu widział - nie licząc Pałacu Olimpijskiego; aż trudno uwierzyć, że ge-vulot skrywa zamek przed wzrokiem gapiów. Resztki dziennego światła odbijają się od dwóch wież, które strzelają pod niebo, wijąc się wężowato na boki, jak orientalne sztylety. Gmach rzuca długie sine cienie na zaaranżowane z regularną precyzją pole kwiatów. Kwiaty tworzą różnokolorowe trójkąty i wielokąty, jakby ogrodnik ćwiczył na nich dowodzenie twierdzeń z geometrii euklidesowej. Dopiero po chwili Isidore orientuje się, że łącznie układają się w dariański zegar słoneczny, na którym cień wyższej z wież pełni rolę wskazówki.

Zamek jest otoczony wysokim ogrodzeniem z bramą, za którą stoi niezwykle wyciszony - rzeźbiony humanoid wzrostu człowieka, w złotej masce i rękawicach kryjących kanciaste ciało, ubrany w srebrno wyszywaną niebieską liberię. Przypomina Isidore'owi wysadzone klejnotami manekiny z symulacji Monarchii. Oczywiście, wyciszony nie wita go w żaden sposób, on jednak czuje, że uprzejmość wymaga jakiegoś zagajenia.

- Nazywam się Isidore Beautrelet. Jestem umówiony.

Wyciszony bez słowa otwiera bramę i prowadzi go w stronę zameczku. Idą wśród róż, lilii i innych, bardziej egzotycznych kwiatów, których bez mignięcia by nie rozpoznał. Zapachy uderzają do głowy.

Wieczne słońce kładzie się złotą kałużą na polanie, na której stoi pagodowaty pawilon. Siedzi w nim młody jasnowłosy mężczyzna (sześć-, może ośmioletni wedle marsjańskiej rachuby, a zatem ledwie wyrosły z wieku chłopięcego). Czyta książkę. Obok stoi filiżanka po herbacie. Na delikatnej twarzy, jeszcze krągłej od dzieciennego tłuszczu, rysują się ściągnięte w skupieniu wąskie brwi. Wyciszony sługa zatrzymuje się i dzwoni srebrnym dzwoneczkiem. Mężczyzna powoli unosi głowę i wstaje z przesadną ostrożnością.

- Mój chłopcze...

Podaje Isidore'owi rękę na powitanie. Kości jego dłoni przypominają w dotyku porcelanę. Jest wyższy od Isidore'a, ale niemal boleśnie chudy, jakby ktoś rozciągnął smukłe marsjańskie ciało do granic możliwości.

- To cudownie, że mógł pan przyjść. Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Proszę siadać, proszę. Jak się panu podoba mój ogród?

- Imponujący.

- W rzeczy samej. Mój ogrodnik to geniusz. Skromny, ale geniusz. Które to słowa zresztą celnie opisują wielu utalentowanych ludzi, takich jak pan.

Isidore obserwuje w milczeniu gospodarza, usiłując zignorować zakłócenia gevolutu: nie jest to brak prywatności, jaki odczuwał w Kurzawie, lecz niepewność, osłabienie, jakby gevolut mógł się lada chwila rozpęknąć.

Młody mężczyzna się uśmiecha.

- Czy wystarczy panu geniuszu, by domyślić się, kim jestem?

- Christian Unruh - mówi Isidore. - Potentat czasowy. Dysponent mileniów. Znalezienie tej informacji nie było trudne, chociaż na przeszukiwaniu publicznych egzopamięci i porównywaniu ich z ko-wspomnieniem, które dostał od kobiety w bieli, strawił pół popołudnia. Unruh (jeżeli naprawdę tak się nazywa) wyjątkowo ceni sobie prywatność, nawet jak na standardy Kazamat: poza stwierdzeniami odnoszącymi się do jego młodości, trudno znaleźć o nim jakieś informacje. Nazwisko pojawia się w gazetach głównie w kontekście imprez towarzyskich i doniesień biznesowych. Oczywiście jest, że

Unruh ma więcej czasu niż sam Bóg.

- Zbił pan fortunę na pośrednictwie geulotowym, które Głos zalegalizował dopiero przed paru laty. I nie ulega wątpliwości, że czegoś się pan boi. Piractwa gogolowego?

- Ależ nie. Staram się być jednostką zupełnie przeciętną we wszystkim poza gromadzeniem czasu. Można powiedzieć, że to taki mój mechanizm obronny. A to... - Unruh podaje Isidore'owi liścik. - To jest źródło moich niepokojów.

Na pięknym czerpanym papierze ktoś skreślił kilka słów eleganckim, powłóczyстым charakterem pisma:

*Szanowny panie Unruh,
w odpowiedzi na niewysłane przez Pana zaproszenie informuję, że z największą przyjemnością wezmę udział w organizowanym przez Pana przyjęciu carpe diem zapowiadany na 28. sol vrishiki roku 24**. Przyjdę z osobą towarzyszącą.*

Sluga Pański unізony, Jean le Flambeur.

Isidore przez całe popołudnie rozmyślał o le Flambeurze. Egzopamięć Kazamat miała niewiele do powiedzenia na jego temat i w końcu musiał wydać czas na kosztownego agenta informacyjnego, który zapuścił się w przestrzeń poza obrębem noosfery Kazamat i przyniósł mu mieszaninę faktów i legend. Żadnych prawdziwych wspomnień, żadnych żywozapisów, żadnego wideo ani nawet audio; skrawki informacji sprzed Upadku; sieciowe spekulacje na temat genialnego przestępcy działającego w Szybkim Londynie i Paryżu; bajeczki o podkradzonej Sbornosti fabryce sunlifterów; historia włamania do mózgu guberni; opis przewałów w handlu wirtualnymi nieruchomościami w Królestwie.

Niemożliwe, żeby wszystko odnosiło się do jednego osobnika, już prędzej do całej kopiorodziny. Chyba że to tylko mem, idea, której różni przestępcy (cokolwiek znaczy to słowo w różnych częściach Układu) przypisują swoje występki. To z pewnością jakiś żart.

Isidore oddaje liścik.

- Przyjęcie *carpe diem*? - upewnia się. - Za tydzień?

- Zgadza się. - Unruh się uśmiecha. - W dzisiejszych czasach milenia szybko płyną. Większość czasu zamierzam rozdać. Częścią będzie zarządzać moja współpracownica, Odette, którą miał pan już okazję poznać. Wiem, że w naszym pokoleniu to rzadkość, i nie chcę bynajmniej uskarżać się na niesprawiedliwość świata, ale jestem kimś w rodzaju idealisty. Wierzę w Kazamaty. Przeżyłem w tym ciele intensywne osiem lat i jestem gotowy do służby w roli wyciszzonego. Chcę jednak, co chyba zrozumiałe, odejść w wielkim stylu. Chcę uchwycić dzień, chociaż na jedną noc.

W jego głosie brzmi dziwna gorycz.

Wyciszony służący podaje im obu delikatne porcelanowe filiżanki z herbatą. Unruh z upodobaniem kosztuje napoju.

- Taka skończoność dodaje życiu pieprzyka, nie uważa pan? Myślę, że taki właśnie cel przyświecał naszym ojcom i matkom założycielom. Doświadczenie - oto wszystko, czego pragnąłem. Dopóki nie dostałem tego liściku.

- Jak do pana dotarł?

- Znalazłem go w bibliotece. W mojej bibliotece! - Gniewne bruzdy wyglądają dziwnie na dziecinnej buzi Unruha. Filiżanka grzechocze o spodek, kiedy ją odstawia. - Nikt nie ma wstępu do mojej biblioteki, panie Beautrelet. To mój azyl. W dodatku tylko moi najbliżsi przyjaciele mają gevoloty, które pozwalają im przybyć tutaj, do zamku. Biorąc pod uwagę pańskie niedawne przejścia z prasą, z pewnością mnie pan zrozumie, kiedy powiem, że czuję się... zbezczeszczonego.

Isidore się wzdyga. Myśl o tym, że ktoś mógłby nieproszony naruszyć jego prywatną przestrzeń, nie wchodząc w kontakt z jego gevolotem, przyprawia go o dreszcze.

- Czy wyklucza pan możliwość, że ktoś sobie z pana żartuje?

Unruh składa płasko dłoń.

- Owszem, przyszło mi to do głowy. Jak się pan pewnie domyśla, skrupulatnie przeczesałem całą egzopamięć zamku. Nic nie znalazłem. List po prostu pojawił się znikąd, wczoraj wieczorem, między dziewiętnastą i dwudziestą trzydziści. Nie znam tego charakteru pisma, taką papeterię można kupić w

sklepie przy Alei, jedyne oczywiste ślady DNA należą do mnie. Tyle powiedziały mi Kazamaty. Jestem przekonany, że w grę wchodzi technika pozaświatowa. *Modus operandi* z całą pewnością pasuje do tego, co wiemy o tym człowieku: zapowiedział miejsce i czas, w którym zamierza popełnić przestępstwo. Właściwie w pewnym sensie nie jestem nawet zaskoczony. Pozaświatowcy uważają Marsa za zaścianek, dobre miejsce do zabawy, a ten... złodziej nie wiadomo dlaczego, wybrał mnie na swoją igraszkę. Gdybym poszedł z tym do Głosu albo cadyków, powiedzieliby to samo: to żart. Dlatego sprowadziłem tu pana, panie Beautrelet. - Uśmiecha się. - Chcę, żeby mi pan pomógł. Chcę, żeby pan rozgryzł, w jaki sposób ten liścik znalazł się w mojej bibliotece. Chcę, żeby ustalił pan, co ten człowiek zamierza, i go powstrzymał, a jeśli się panu nie uda, odzyskał to, co do mnie należy.

Isidore bierze głęboki wdech.

- Mam wrażenie, że przecenia pan moje zdolności. Nie przypuszczam, żeby autorem listu był prawdziwy le Flambeur, gdybym się jednak mylił, to... Dlaczego uznał pan, że mogę być dla niego godnym przeciwnikiem?

- Mówiłem już, że jestem idealistą. Znam pańskie dokonania. Ba, uważam się za pańskiego wielbiciela. I chociaż jestem do głębi urażony zachowaniem złodzieja, myśl o tym, że mojemu odejściu miałby towarzyszyć pojedynek intelektów, wydaje mi się zabawna. Naturalnie zostanie pan stosownie wynagrodzony za swoje starania. Co pan na to?

Złapać złodzieja, myśli Isidore. Czysta sprawa. Klarowna. Prosta. Nawet jeśli to żart.

- Dobrze - mówi. - Zgadzam się.

- Wyśmienicie! - Unruh klaszcze w dłonie. - Nie pożałuje pan tej decyzji, panie Beautrelet. - Wstaje z ławeczki. - A teraz znajdziemy Odette i udajmy się na miejsce przestępstwa.

Zameczek przepychem przypomina symulację w zokijskiej kolonii - wysokie sufity, marmurowe posadzki, w korytarzach matowoczarne zbroje i ogromne landszafty starego Marsa:

czerwone urwiska, Valles Marineris, uśmiechnięty król w bieli i złości.

Odette - kobieta w bieli - czeka na nich w bibliotece i kiwa Isidore'owi głową na powitanie.

- Doskonale - chwali ją Unruh. - Wygląda na to, że swoim urokiem osobistym przekonałaś pana Beautreleta, żeby pomógł nam rozwiązać nasz mały problem.

- Spodziewałam się tego. To powinno pana zainteresować, panie Beautrelet. Wysoko sklepiona biblioteka jest bardzo jasna dzięki świetlikowi w suficie i wychodzącym na ogród dużym oknom. Do siedzenia służą wygodne skórzane sofy. Poza tym są tu książki, tysiące książek, analogowych i wirtualnych, poustawiane w schludnych rządach na ciemnych dębowych regałach; opiekuje się nimi drzewokształtny biobot. Na środku pokoju, na bordowym dywaniku, stoi duże planetarium z brązu, przedstawiające zmieniający się w czasie rzeczywistym obraz Marsa i otaczającej go przestrzeni.

Unruh wyciąga rękę i biobot podaje mu księgę, którą czarnym konarem-ramieniem ściągnął z jednej z wyższych półek.

- To żywozapis hrabiego Isidisa. Isidis należał do małej kliki, która na krótko przed rewolucją usiłowała zdetronizować króla. Nie udało im się, rzecz jasna. Ale te przedrewolucyjne lata to fascynujący okres; wtedy historia naprawdę mogła ułożyć się inaczej. Oczywiście, w ich opisach jest mnóstwo luk, z powodu Impulsu. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że jakiś czas temu przechodziłem fazę fascynacji wszystkim, co ma związek z Królestwem. To zresztą teraz nieważne. Tę księgę studiowałem, gdy znalazłem liścik. Leżał tam. - Unruh wskazuje małe biurko. - Został celowo ułożony w takiej pozycji, żebym musiał go zauważyć, gdy zasiądę w moim ulubionym fotelu. - Odkłada książkę na stół, podchodzi do jednego z foteli i siada. - Tylko ja, troje moich wyciszonych służących i Odette, oraz, od niedawna, także pan, mamy dostęp geulotowy do tego miejsca.

- Są tu jakieś inne zabezpieczenia?

- Jeszcze nie, ale z przyjemnością dam panu wolną rękę na zainstalowanie tu wszystkiego, co pan sobie zażyczy, włącznie z techniką czarnorynkową. Odette dopilnuje szczegółów,

wystarczy ją poinformować. - Unruh uśmiecha się do Isidore'a.
- Na pana miejscu wybrałbym się też z nią do Niezmiennej Alei.
Będzie pan potrzebował stroju na przyjęcie.

Isidore odkasłuje z zakłopotaniem, nagle boleśnie świadomy swojej wygniecionej repliki rewolucyjnego munduru.

- Mogę się rozejrzeć?

- Naturalnie. Spodziewam się, że w najbliższych dniach spędzi pan tu sporo czasu. Udostępniłem panu prawie całą egzopamięć, zablokowane są tylko wybrane prywatne fragmenty. Proszę się nie kępować i myszkować do woli.

Isidore bierze do ręki odłożoną przez Unruha książkę. Otwiera ją i ze środka wylewa się oszaleńcza mieszanka obrazów, tekstu i filmów; unoszą się w powietrzu wokół niego - wideo, dźwięki, piękne twarze, przepyszne wnętrza...

Unruh z niespodziewaną złością wyrывa mu książkę z rąk. Oczy wychodzą mu z orbit, na blade policzki występują małe czerwone plamki.

- Wolałbym, żeby nie interesował się pan zbyt zawartością biblioteki - cedzi przez zęby. - Wiele z tych dzieł zdobyłem... z najwyższym trudem. Jestem o nie trochę zazdrosny.

Oddaje książkę biobotowi, który odkłada ją na półkę.

Wyraz twarzy Isidore'a musi chyba zdradzać jego poruszenie i przyspieszony puls, bo Unruh kręci głową i uśmiecha się z zakłopotaniem.

- Przepraszam - mówi. - I proszę o wyrozumiałość dla mojej pasji kolekcjonerskiej. Mówiłem już panu, że to mój osobisty azyl. Byłbym panu wielce zobowiązany, gdyby podczas prowadzenia śledztwa powstrzymał się pan od... dociekań naukowych.

Isidore odpędza mruganiem powiek natrętne powidoki i kiwa głową. Serce wali mu jak młotem. Twarz Odette przybiera dziwnie surowy wyraz.

- Nigdy nie przepadałem za historią - mówi półgłosem Isidore. Unruh parska śmiechem; to dziwny dźwięk, jakby kaszlał.

- Chyba dla wszystkich nas będzie najlepiej, jeśli więcej czasu poświęcimy teraźniejszości, nie uważa pan? Tym właśnie

zamierzam się zająć w nadchodzących dniach. Muszę domknąć pewne... ludzkie sprawy. - Ściska dłoń Isidore'a. Wierzę w pana, panie Beautrelet. Mam nadzieję, że się nie zawiodę.

- Ja również.

Unruh wychodzi, a Isidore wyjmuje swoją lupę i zaczyna badać bibliotekę. Lupa nakłada na widok pokoju kolejne warstwy danych: ślady DNA, regularne wytarcia dywanu, odciski palców, tłuste plamy, molekuly, pierwiastki śladowe. Równocześnie Isidore sięga do bibliotecznej egzopamięci i w jego głowie otwiera się nieskończona wieża minionych chwil. Szybkie mignięcie pozwala mu stwierdzić, że list jest na miejscu o dwudziestą trzydzieści pięć, ale ani sekundy wcześniej. W pokoju przez ten czas nikogo nie ma - ani przedtem, ani potem. Rozszerza zakres egzowspomnień na cały zameczek: jeden wiecznie milczący służący stoi tutaj, drugi tam... Dalej jest blokada osłaniająca prywatne pokoje Unruha.

Spogląda na liścik. Nie widać żadnych oznak samotworzenia: albo jest to najprawdziwszy ręcznie czerpany papier, albo jego doskonała nanotechniczna replika. Nawet gdyby sprawca dysponował zaawansowaną techniką pozaświatową, trudno sobie wyobrazić sformę nanobotów tworzącą liścik z niczego w ciągu kilku sekund. Energia, jakiej by to wymagało, zostawiłaby wyraźne ślady w egzopamięci.

- Sprawdziłiśmy wszystkie oczywiste tropy - mówi Odette. Przysiadła na podłokietniku fotela Unruha i przygląda się Isidore'owi ze swym dziewczęcym uśmiechem. - Wątpię, że pańska zokijaska błyskotka wykryła coś, co ja pominęłam.

Isidore jej nie słucha, bez reszty skoncentrowany na badaniu podłogi i ścian biblioteki. Zgodnie z przewidywaniami, są twarde, lite, z naszpikowanego szybkamieniem bazaltu. Siada i na chwilę zamyka oczy. Zapamiętane z książki obrazy błyskają mu pod powiekami i przesłaniają kształt tajemnicy, ale jakaś jego część próbuje je wpasować w ogólny obraz. Odsuwa je na bok i skupia się na liście. Zamknięty pokój, tajemniczy obiekt... Jakieś to wszystko zbyt eleganckie.

- Kiedy ostatnio kupowała pani coś dla pana Unruha? - pyta. Odette w zadumie przytyka palec do ust.

- Jakież trzy tygodnie temu. Czemu pan pyta?

- Pomyślałem o koniu trojańskim. Czy mogło się zdarzyć, że pan Unruh kupił jakiś przedmiot zawierający zamaskowanego mikroбота albo jakiś inny mechanizm, który mógł podrzucić ten list? Nawiasem mówiąc, zakup mógł nastąpić dawno temu, a mikrobot po prostu długo czekał na aktywację.

- Wydaje mi się to nieprawdopodobne. Christian bardzo starannie zapoznaje się z ewentualnymi nabytkami; wspomaga się opinią ekspertów. Zresztą, nawet gdyby takie urządzenie istniało, egzopamięć zarejestrowałaby jego pojawienie.

- To prawda. - Isidore spogląda na Odette z zaciekawieniem. - Ma pani jakąś własną teorię?

- Nie za to mi płacą, ale gdybym miała coś zasugerować... Powiem tak: odkąd jestem tu zatrudniona, widywałam naszego drogiego Christiana oddającego się dziwniejszym zajęciom niż pisanie listów do siebie samego. - Tym razem uśmiech Odette jest szelmowski i bardzo dojrzały. - Łatwo się nudzi. Byłoby dla pana lepiej, panie Beautrelet, gdyby był pan równie dobry w tworzeniu tajemnic jak w ich wyjaśnianiu. Mam również nadzieję, że lepszy z pana detektyw niż elegant: pańska garderoba z pewnością wymaga wzbogacenia.

Wracając wieczorem do domu, Isidore nadal myśli o liściku. Kiedy mapa nowego sekretu powoli układa mu się w głowie, uświadamia sobie, jak bardzo za tym tęsknił.

W kuchni jest włączone światło; Lin pewnie jeszcze nie śpi. Uzmysławia sobie, że od lunchu nic nie jadł, i poleca kuchennemu fabrykatorowi przyrządzić risotto, a potem patrzy, jak ramię fabrykatora tańczy nad talerzem, wiązką atomów powołując do istnienia kolejne ziarenka ryżu, i rozmyśla o Unruhu. Coś w jego postaci nie pasuje do reszty obrazu. Sugestia Odette, że zaprosił Isidore'a do udziału w jakiejś wyrafinowanej grze towarzyskiej, zgadza się ze wszystkimi faktami, jest jednak zbyt niezręczna, by mógł ją

zaakceptować.

Spojrząwszy na parujący talerz, dochodzi do wniosku, że woli głód, który rozjaśnia mu w głowie. Zostawia risotto na stole i idzie do swojego pokoju.

- Długi dzień?

Pixil siedzi na łóżku po turecku i bawi się z zielonym stworem.

- Co ty tu robisz? Jak ci się udało wejść?

Przez kilka ostatnich dni celowo wykluczał Pixil ze swojego gevulotu. Czuł się z tym tak, jakby zastosował miejscowe znieczulenie na odrętwiąłą część ciała.

Jej twarz jest trochę rozmyta i ziarnista i Isidore uświadamia sobie, że ma przed sobą obraz wygenerowany z mgły użytkowej.

Pixil pokazuje mu pierścień splątaniowy.

- Powinieneś wiedzieć, że to coś więcej niż wygodny komunikator. Znudziła mi się zabawa pod tytułem „Zgadnij, co myśli twój chłopak”. Nawiasem mówiąc, wymyślenie jej chyba dowodzi twojej pomysłowości.

- Czy ty mówisz...

- Poważnie? Nie. Chociaż w zoku pewnie nikomu nie byłoby do śmiechu. Fajny zwierzak. Ma jakieś imię?

- Nie.

- Szkoda, przydałoby mu się. Na przykład coś z Lovecrafta. Chociaż w okolicy nie brakuje większych oślizłych stworów z mackami.

Isidore milczy.

- Taki jesteś zajęty, że nie możesz porozmawiać?

- Może po prostu znudziła mi się zabawa pod tytułem „Porozmawiajmy o tym, co czujemy”.

Pixil patrzy na niego bez słowa.

- Rozumiem - odzywa się w końcu. - A ja właśnie opracowałam nową punktację: po jednym punkcie za każde powiedzenie prawdy, wejście na nowy poziom możliwe dopiero po prawdziwym objawieniu emocjonalnym. Ale widzę, że niepotrzebnie traciłam czas. - Krzyżuje ręce na piersi. - A wiesz, że mogłabym poprosić Drathdora, żeby zmajstrował mi

zgrabny modelik reakcji emocjonalnych, z którego dowiedziałabym się dokładnie, co cię kręci?

Isidore'owi przychodzi do głowy straszliwa myśl.

- Nie masz chyba nic wspólnego z tą sprawą z le Flambeurem?

W tych słowach osiąga nieprzekraczalną granicę informacji, które gevulot pozwala mu ujawnić w związku z najnowszym zleceniem, i język staje mu kołkiem - ale to przecież byłoby jak najbardziej w stylu Pixil: obmyślić skomplikowaną zagadkę, żeby ją rozwiązał i poprawił sobie samopoczucie. Ze zgrozą uświadamia sobie, że nie może tak po prostu odrzucić tej hipotezy.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz - odpowiada Pixil. - Widzę jednak, że faktycznie zaprzętają cię teraz bardzo ważne sprawy. Przyszłam ci powiedzieć, że bez względu na to, jaką grę chcesz ze mną prowadzić (a trzeba ci wiedzieć, że na pewno jestem w niej od ciebie lepsza), pora na twój ruch.

I znika. Pierścień splątaniowy i zielony stwór spadają z głuchym łomotem na łóżko. Potworek ląduje na grzbiecie i bezradnie macha w powietrzu mackami.

- Wiem, co czujesz - mówi Isidore.

Podnosi i stawia na nogi stwora, który posyła mu wielkookie spojrzenie pełne wdzięczności. Isidore kładzie się obok niego na wznak i gapi w sufit. Wie, że powinien myśleć o Pixil i o tym, jak wynagrodzić jej swoje zachowanie, ale jego myśli nadal kręcą się wokół liściku. List jest przedmiotem materialnym, musi zatem skądś pochodzić. Ktoś go napisał. To niemożliwe, żeby egzopamięć nie zarejestrowała jego pojawienia się - czyli można go w niej wytropić. Chyba że...

Chyba że sama egzopamięć jest wadliwa.

Zapiera mu dech w piersi. Równie dobrze mógłby stwierdzić, że grawitacja jest inna niż stałe sześć dziesiątych g albo że jutro nie będzie wschodu słońca. Tylko że ten concept, choć nieprawdopodobny, ma sens; w dodatku najwyraźniej stanowi zaledwie cząstkę czegoś większego, majaczącego w ciemności tuż poza zasięgiem jego wzroku.

„Wykluczyć wszystko niemożliwe, a to, co zostanie, choćby

nawet nieprawdopodobne, musi być prawdziwe".¹

Coś zimnego muska go w palce stóp. Isidore podskakuje z cichym krzykiem - ale to tylko zielony stwór, badający nieznaną świat pod kocem. Kiedy Isidore bierze go do ręki i spogląda nań gniewnie, stworek macha niewinnie mackami.

- Wiesz co? Tak sobie pomyślałem... Dam ci na imię Sherlock.

Zgodnie z zapowiedzią, Odette pomaga mu wybrać strój na *carpe diem*. Spędzają w Niezmiennej Alei pół dnia. Tematem przewodnim balu ma być „czas”, toteż zręczny krawiec zdejmuje miarę do czarno-srebrnego kostiumu *sol lunae*, drugiego dnia dariańskiego tygodnia.

- Czy księżyc nie powinien raczej być kobietą? - pyta Isidore, gdy Odette wprowadza go w tajniki przyjęcia.

- Christian dobrze to sobie przemyślał. - Odette obserwuje ze zmarszczonymi brwiami kolejne projekcje strojów na jego szczupłym ciele. - I na twoim miejscu bym się z nim nie spierała; jeszcze nigdy nie udało mi się go do niczego przekonać. Spróbujmy jeszcze z innym materiałem. Może... aksamit? - Uśmiecha się. - Księżyc jest symbolem tajemnicy i intuicji. Może zdaniem Christiana to właśnie reprezentujesz? A może nie.

Isidore nie odzywa się więcej i bez słowa skargi poddaje delikatnym torturom krawca.

Po zakupach wraca do zameczku i zaczyna wykluczać wszystko niemożliwe. Wynika z tego ciąg hipotez mających wytłumaczyć pojawienie się listu, a każda kolejna jest bardziej złożona od poprzedniej - od samotworzącego się papieru po mgłę niewidzialności tak wyrafinowaną, że oszukała wszechobecne czujniki egzopamięci - ale wszystkie prowadzą do tej samej konkluzji: coś jest nie w porządku z egzopamięcią.

Jeden z wyciszonych służących podaje mu lekki lunch. Isidore zjada go sam. Potentat czasowy najwidoczniej ma zbyt wiele zajęć w swoim ostatnim tygodniu w roli Szlachetnego, żeby poświęcać czas na sprawy, które same toczą się swoim torem.

¹Przeł. T. Evert

Po południu Isidore zaczyna dopuszczać możliwość manipulacji egzopamięcią. Miga bez wytchnienia, aż w głowie zaczyna mu dudnić od technicznych szczegółów przetwarzania rozproszonego, kwantowej kryptografii z kluczem publicznym, paradoksu bizantyjskich generałów i protokołów wspólnych tajemnic.

Egzopamięć jest wszechobecna. Jej maleńkie rozproszone sensory, rozmieszczone w każdym skrawku materii (inteligentnej i zwykłej), rejestrują dosłownie wszystko: wydarzenia, fluktuacje temperatury, ruchy przedmiotów i ludzkie myśli. Dostęp do niej jest możliwy tylko za pośrednictwem geulotu. Została zaprojektowana w taki sposób, żeby nie dało się jej dowolnie modyfikować, i jest wielokrotnie redundantna. Włamanie się do niej i zmiana jej zawartości wymagałaby zasobów nanotechnologicznych i mocy obliczeniowej dalece wykraczających poza możliwości obywateli Kazamat.

Ciarki przechodzą mu po plecach. Czyżby naprawdę jakaś pozaświatowa siła wzięła Unruha na cel?

Wychodzi na spacer do ogrodu, gdzie siwowłosa mężczyzna w niebieskim kombinezonie z pomocą jednego z wyciszonych dogłąda kwiatów Unruha, a po powrocie zabiera się za przejrzenie całej dostępnej egzopamięci zameczku, szukając w niej luk. Siada w jednym z bibliotecznych foteli i zanurza się we wspomnieniach. Przez ostatni rok Unruh wiódł regularne życie odludka, w którym z rzadka tylko trafiały się jakieś spotkania towarzyskie. Czasem przez wspomnienia przewijają się egzotyczne kurtyzany z Ulicy Węży - wtedy Isidore zastanawia się, co by powiedział Adrian Wu o swoim nowym kliencie - ale większość czasu Unruh spędza w samotności: jada sam, sam przyjmuje antykwariuszy i sam przesiaduje bez końca w bibliotece.

Już, już zamierza sobie dać spokój (nie da się przyswoić takiej masy szczegółów podczas jednej sesji), gdy postanawia jeszcze poszukać we wspomnieniach książki, którą czytał Unruh: żywozapisu hrabiego Isidisa. Ostatni raz Unruh sięgnął po nią przed czterema tygodniami. A w egzopamięci...

Potrzebuje chwili, żeby to przetrawić, a potem zrywa się na równe nogi i udaje się na poszukiwanie Odette. Znajduje ją w gabineczku we wschodnim skrzydle, skąd Odette nadzoruje przygotowania do przyjęcia. Otaczają ją unoszące się w powietrzu wirty z zaproszeniami, jak stado ptaków zastygłych w czasie.

- Chcę się widzieć z panem Unruhem.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Zostało mu zaledwie kilka dni i dopóki nie wyda mi innych instrukcji, spędzi je w taki sposób, jak sobie zaplanował.

- Mam do niego kilka pytań.

- Na pańskim miejscu zadowolilibym się odegraniem swojej roli w tym teatryku, panie Beautrelet. - Odette dotyka szybującego w powietrzu wirtualnego kartonika, który zmienia się w twarz młodej kobiety. Przygląda się jej uważnie, postukując się piórem po ustach. - Mistrzynie żywozapisu, artystka. Nie pasowałaby tutaj. Czasem sobie myślę, że powinnam być muzykiem. Organizowanie przyjęć do złudzenia przypomina komponowanie, gdy trzeba się zastanawiać, w jaki sposób instrumenty uzupełniają się nawzajem. Dla mnie jest pan jednym z wielu instrumentów, panie Beautrelet. Ja zaś jestem dyrygentem, któremu Christian powierzył orkiestrę w swoim ostatnim dniu. Dlatego radziłabym panu wstrzymać się z rewelacjami do czasu przyjęcia. Zawsze mnie uczono, że w komedii najważniejsze jest wycucie chwili.

Isidore zakłada ręce na piersi.

- Słyszałem kiedyś taki cytat... „Tragedia jest wtedy, kiedy ja pośliznę się na skórcie od banana. Komedia - kiedy ty wpadniesz do studzienki i się zabijesz”. Zastanawiam się, co bym odkrył, gdybym poświęcił więcej czasu na poznanie pani tajemnic.

Odette długo wytrzymuje jego spojrzenie.

- Nie mam nic do ukrycia - mówi w końcu.

Isidore tylko się uśmiecha. Milczy. Odette pierwsza spuszcza wzrok.

- No dobrze - zgadza się. - Może faktycznie odrobina rozrywki mu nie zaszkodzi.

Unruh przyjmuje go w jednym z zamkowych krużganków, ubrany w szlafrok, z oziębłą miną. Ktoś przechodzi korytarzem obok, osłonięty geulotem. Ciekawe, myśli Isidore, w czym im przeszkodziłem.

- Podobno coś pan znalazł, panie Beautrelet.

- Zgadza się. Jestem przekonany, że ma pan prawdziwe kłopoty i że jest w nie zaangażowana jakaś pozaświatowa siła. Pomogę panu w przygotowaniach do przyjęcia.

- Chyba powinienem być panu wdzięczny, że nie zgadza się pan z Odette, która twierdzi, że sam napisałem ten list. Coś jeszcze?

- Nie, nic. Tutejsza egzopamięć została zmodyfikowana, ale nie potrafię powiedzieć w jaki sposób ani przez kogo. Nie o tym jednak chciałem z panem porozmawiać.

Unruh unosi brwi.

- Nie?

- Kiedy przeglądałem egzopamięć, szukając w niej luk, zwróciłem uwagę, że często wraca pan do żywozapisu Isidisa. Sprawdziłem, kiedy pojawia się po raz pierwszy. Zdaję sobie sprawę, że mogłem nieco przekroczyć uprawnienia, które mi pan nadał, ale uznałem, że powinienem zbadać wszystkie możliwe aspekty wszystkich elementów układanki.

- W rzeczy samej.

- Moją uwagę zwróciła pańska... reakcja na ten żywozapis.

Unruh krzyknął przeraźliwie, cisnął książkę na drugi koniec pokoju, pozrzywał inne książki z półek, przewrócił planetarium z energią, która, jak się zdawało, przekraczała możliwości jego szczupłego ciała, a na koniec osunął się ciężko na ulubiony fotel.

- Jeżeli się nie mylę, niedługo potem podjął pan decyzję o przedterminowym Wyciszeniu. Co pan zobaczył?

Unruh wzdycha.

- Panie Beautrelet, powinienem chyba jasno postawić sprawę: to nie ma być szeroko zakrojone śledztwo na mój temat. Nie prosiłem pana o wtrącanie się w moje prywatne sprawy i

dociekanie przyczyn mojego zachowania, lecz o ochronę mojej własności i mojej osoby przed czymś, co postrzegam jako zagrożenie.

- Wynajął mnie pan, żebym rozwiązał zagadkę, a mnie się wydaje, że nie chodzi tylko o sam liścik. Mignąłem również hrabiego Isidisa.

- I co pan znalazł?

- Nic. W publicznej egzopamięci nie ma ani słowa o żadnym hrabim Isidisie. Z punktu widzenia przeciętnego obywatela, ktoś taki nigdy nie istniał.

Unruh podchodzi do jednego z ogromnych okien galerii i wygląda przez nie na zewnątrz.

- Przyznaję, panie Beautrelet, nie byłem z panem całkiem szczery. W duchu liczyłem na to, że sam odkryje pan niektóre fakty, i tak właśnie się stało. - Przyciska bladą dłoń do szyby. - Kiedy jest pan bogaty, dzieje się dziwna rzecz, nawet jeśli to bogactwo jest czymś całkowicie sztucznym, jak w naszym społeczeństwie. Wykształca się swoisty solipsyzm; świat zaczyna się nagiąć do pańskiej woli. Wszystko wydaje się pańskim odbiciem, a spoglądanie samemu sobie w oczy szybko robi się nudne. - Wzdycha. - Dlatego właśnie w poszukiwaniu oparcia zwróciłem się do przeszłości, do historii, do naszych korzeni. W moim pokoleniu niewielu jest ludzi, którzy z równym mojemu zaangażowaniem studiowaliby historię Królestwa i rewolucji. I z początku był to idealny sposób ucieczki. Przeszłość jest o wiele bardziej intensywna niż nasza bezbarwna egzystencja: prawdziwa walka, prawdziwe zło, triumf idei nad uciskiem, rozpacz, nadzieja... Hrabia Isidis spiskujący przeciw tyranowi. Dramat. Intryga. No i rewolucja! Skupowałem wspomnienia od żebraków czasowych. Pamiętam, jak w Dolinie Harmakis diamentowymi szponami rozszarpywałem Szlachetne ciała. Po jakimś czasie zdałem sobie jednak sprawę, że coś się nie zgadza. Im głębiej drażyłem, tym więcej napotykałem nieścisłości: ludzie pojawiający się z nienacka w kupowanych na czarnym rynku żywozapisach, sprzeczne wspomnienia... Żywozapis Isidisa dostarczył mi pierwszego olśnienia. Widział pan moją reakcję.

Zaciska pięści.

- Straciłem wiarę w przeszłość - ciągnie. - Coś jest nie w porządku z nią samą i naszą wiedzą o niej. Dlatego nie chciałem, żeby badał pan teksty z biblioteki; takich odczuć nie życzę nikomu. Może dawni filozofowie mieli rację i wszyscy żyjemy w jakiejś symulacji, zabawce transludzkich bogów, może Sbornost' już wygrała, sny Fiodorowa są prawdziwe, a my jesteśmy zaledwie wspomnieniami. Jeśli nie można ufać przeszłości, po co przejmować się terażniejszością? Już mnie nie interesuje. Chcę tylko Wyciszenia.

- Można to wszystko racjonalnie wytłumaczyć - zauważa Isidore. - Mógł pan paść ofiarą fałszerstwa. Może powinniśmy zbadać pochodzenie książek z pańskiej biblioteki... ?

Unruh zbywa go machnięciem ręki.

- To już bez znaczenia. Po moim odejściu zrobi pan z tą wiedzą, co zechce. Mnie wystarczy jedna doskonała chwila, potem mnie już nie będzie. - Uśmiecha się. - Cieszę się jednak, że miałem rację z le Flambeurem. To spotkanie zapowiada się interesująco. - Dotyka ręki Isidore'a. - Dziękuję, panie Beautrelet. Chciałem o tym z kimś porozmawiać. Odette wiele dla mnie znaczy, ale nie zrozumiałaby. Ona żyje chwilą. Też taki powinienem być.

- Doceniam pańskie zaufanie, ale nadal wydaje mi się...

- Nie mówmy więcej o tym - ucina stanowczo Unruh. - Teraz proszę się martwić tylko o przyjęcie i o naszego złodzieja. Właśnie, skoro o tym mowa... Jakieś szczególne zalecenia ze względów bezpieczeństwa? Coś, o czym powinienem zawiadomić Odette?

- Moglibyśmy zażądać pełnego otwarcia gevulotów przy wejściu albo utworzyć w ogrodzie ciąg agor...

- Cóż za nietakt! Mowy nie ma! - Unruh marszczy brwi. - Można dać się okraść, ale pod żadnym pozorem nie należy zapominać o dobrych manierach.

ROZDZIAŁ 10

ZŁODZIEJ I DRUGA PIERWSZA RANDKA

Raymonde je lunch nieopodal placu zabaw, kiedy dochodzi do naszego pierwszego ponownego spotkania. Na kolanach i ławce rozłożyła arkusze nutowe. Studiuje je, żarłocznie pochłaniając jabłko.

- Przepraszam... - odzywam się.

Przychodzi tu codziennie, przynosząc jedzenie w małej torbie z plastomaterii, i je w pośpiechu, jakby miała wyrzuty sumienia, że pozwala sobie na chwilę przerwy. Patrzy na dzieci na wysokich, skomplikowanych stelażach wspinaczkowych, po których pną się jak małpki, i na mniejsze berbecie, siedzące w piaskownicach z okrągłymi, kolorowymi zabawkami syntebiolologicznymi. Przysiadła na skraju ławki, niezręcznie krzyżując smukłe nogi, jakby w każdej chwili była gotowa zerwać się do ucieczki.

Spogląda na mnie z marsem na czole. Jej gevulot jest minimalnie uchylony - w sam raz, żeby odsłonić podejrzliwy wyraz dumnej twarzy o ostrych rysach. O dziwo, wydaje się przez to jeszcze piękniejsza.

- Tak?

Wymieniamy gevulotowe powitanie, skąpe, krótkie. Mój piracki program szuka luk w jej gevulocie, ale niczego nie znajduje. Na razie.

Szukaliśmy jej z *Perhonen* na agorach i w publicznej egzopamięci - i po wielu godzinach mozolnych poszukiwań tam ją właśnie znaleźliśmy: niespodziewanie żywe wspomnienie dziewczyny w schludnej kremowej bluzce i spódnicy, która zdecydowanym krokiem przemierza agorę. Nie miała, nieprzeniknionej miny, jaką wielu Marsjan przybiera w miejscach publicznych. Wydawała się raczej poważna i

zamysłona.

Poprzedniego dnia włożyłem inną twarz i ukradłem jej jeden z arkuszy nutowych. Teraz jej go pokazuję.

- To chyba należy do pani.

Przyjmuje go z wahaniem.

- Dziękuję.

- Musiała go pani wczoraj zgubić. Znalazłem go na ziemi.

- Bardzo mi się przyda.

Wciąż jest podejrzliwa, jej gevolut nie ujawnia nawet imienia i gdybym nie znał jej twarzy, zapomniałbym ją zaraz po zakończeniu rozmowy.

Mieszka na obrzeżach Kurzawy. Jej praca ma jakiś związek z muzyką. Prowadzi regularne życie. Ubiera się skromnie i konserwatywnie. Właściwie to wszystko jest trochę dziwne - zupełnie nie pasuje do jej uśmiechu z obrazka w Zegarku. Ale przez dwadzieścia lat może się dużo zmienić. Ciekawe, czy przeszła niedawno Wyciszenie. Młodzi Marsjanie po Wyciszeniu często nabierają zwyczaju przesadnie starannego gromadzenia czasu.

- Jest bardzo dobra.

- Słucham?

- Mówię o muzyce. Arkusz jest analogowy, przeczytałem go. Nie mogłem się powstrzymać.

Uchylam rąbka gevolutu. Tym razem przyjmuje moją ofertę. Doskonale.

- Jestem Raoul. Przepraszam, że przeszkadzam, ale już od jakiegoś czasu chciałem z panią porozmawiać.

To się nie uda, szepcze Perhonen.

Uda się, uda, zobaczysz. Żadna kobieta nie oprze się dobremu bajerowi. Tajemniczy obcy na ławce w parku? Jest zachwycona.

- Cieszę się, że mnie pan znalazł.

Gevulot uchyla się odrobinę szerzej. Wiem już, że ma chłopaka. Niedobrze... No nic, jeszcze się przekonamy, czy to poważna przeszkoda.

- Ma pani jakiegoś mecenasa?

Blokada gevolutu.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski. To zwykła ciekawość. Co właściwie zawierają te arkusze?

- Operę. O rewolucji.

- Ach tak... To ma sens.

Wstaje z ławki.

- Jestem umówiona na lekcję z uczennicą. Miło było pana poznać.

No i masz, mruczy Perhonen. Po ptokach.

Sosnowa nuta jej perfum uderza mi do głowy i uruchamia wspomnienie wspomnienia: tańczę z nią na szklanym parkiecie klubu w Brzuchu. Czy to wtedy się poznaliśmy?

- Ten fragment *a capella* sprawia pani kłopot - mówię.

Waha się, jeszcze nie odchodzi.

- Powiem pani, jak go poprawić, jeśli umówi się pani ze mną na kolację.

- Dlaczego miałabym posłuchać pańskiej rady? - pyta, wyjmując mi arkusz z ręki.

- To nie będzie rada, tylko... sugestia.

Przygląda mi się badawczo. Posyłam jej mój nowy najlepszy uśmiech - długo ćwiczyłem przed lustrem, dopasowując go do nowej twarzy. Odgarnia kosmyk włosów za ucho.

- Będzie mnie pan musiał przekonać. I ja wybieram miejsce. - Przekazuje mi ko-wspomnienie wskazujące lokal nieopodal pomnika rewolucji. - Proszę tam na mnie czekać o siódmej.

- Jesteśmy umówieni. Przepraszam, ale nie dosłyszałem imienia...

- Bo go nie podałam.

Odchodzi, stukając obcasami.

Wypuściwszy złodzieja na miasto w poszukiwaniu ukochanej, Mielli próbuje się zmusić do przeszuchania wasiliewa.

Nabój do duchostrzału jest wielkości łebka od szpilki, dysponuje jednak wystarczającą mocą obliczeniową, żeby oprzeć na nim umysł porównywalny z ludzkim. Pocisk w stanie uśpionym tkwi w szafirowej łusce. Mielli podrzuca go w dłoni, wciąż nieprzyzwyczajona do nowinki, jaką jest ciężenie - nawet

to maleństwo ciąży jej jak porażka, gdy raz po raz uderza w dłoń.

To wojna, powtarza sobie. Oni ją zaczęli. Nie mam wyboru.

Pokój hotelowy wydaje jej się mały i ciasny, więc postanawia przejść się po mieście. Ściska w ręce nabój i w leniwe popołudnie błąka się po znajomej już Niezmiennej Alei.

Może to bioodczyty złodzieja budzą w niej niepokój? Po tym, jak próbował uciekać, bała się je wyłączyć - a już szczególnie teraz, gdy bez entuzjazmu pozwoliła mu zmienić twarz i psychiczny makijaż. Jest boleśnie świadoma jego podniecenia, które drażni ją jak uparte fantomowe swędzenie.

Przystaje, żeby zjeść jedną z tutejszych aromatycznych, mocno doprawionych potraw. Obsługujący ją młody mężczyzna cały czas uśmiecha się do niej i podsuwa sugestywne wspomnienia, aż w końcu Mielli otula się gevulotem i je w samotności i milczeniu. Danie nazywa się *cassoulet*. Czuje się po nim napęczniała i ciężka.

Nawiązuje kontakt z *Perhonen*.

Co tam u was słychać?

Właśnie zgodziła się na pierwszą randkę, odpowiada statek.

To świetnie.

Jakoś nie słyszę u ciebie entuzjazmu.

To nieprofesjonalne. Muszę chwilę pobyc sama. Popilnujesz go?

Oczywiście. Chociaż lepiej byś zrobiła, śledząc go osobiście. Rozerwałabyś się.

Mielli przerywa połączenie. Rozerwałabym się.

Idąc, stara się naśladować lekki krok ubranych na biało Marsjan, ale w głębi serca żałuje, że nie może znów polecieć. Dość szybko niebo zaczyna jej się wydawać zbyt rozległe. Chroni się w najbliższym budynku, którym jest jakiś kościół. Nie wie, jakiego boga się w nim czci, i nie jest tym zainteresowana, ale wysokie łuki sklepienia przywodzą jej na myśl Oort i rozległe przestrzenie świątyń Umatar, lodowe pieczary bogini powietrza i przestrzeni. Nie od rzeczy będzie więc zaintonować cichą modlitwę.

Matko powietrza, obdarz mnie mądrością; córko nieba, daj

mi siłę, pomóż sierocie odnaleźć drogę do domu, zaprowadź zbląkanego ptaka na ziemie południa.

Przebacz dziecku z krwią na rękach, nieudolnemu rzemieślnikowi, który szpeci twoje dzieło brzydkimi uczynkami i brzydszymi od nich myślami, który ranami i bliznami bezcześci twą pieśń.

Przeprosiny budzą wspomnienia domu i Sydan. To ułatwia podjęcie decyzji. Posiedziawszy jeszcze chwilę w milczeniu, wraca do hotelu, zaciemnia okna i wyjmuje pocisk.

- Zbudź się - poleca umysłowi wasiliewa.

Gdzie... Ach.

- Cześć, Anne.

To ty.

- Owszem. Jestem sługą Założyciela.

Umysł wasiliewa parska śmiechem. Mielli nadaje mu głos - nie dziecięcy, lecz typowy dla wasiliewa: męski, łagodny, niski. Tak jest łatwiej.

- Nie był Założycielem. Owszem, oszukał nas, ale nie jest Chenem ani Chitraguptą - odpowiada wasiliew.

- Nie o nim mówię - szepcze Mielli. - Jesteś skończony, bo stanąłeś na drodze Wielkiego Wspólnego Dzieła. Ulituję się jednak nad tobą i przed unicestwieniem dam ci jedną jedyną szansę wypowiedzenia się. Możesz w ten sposób odkupić swoją winę.

Wasiliew znów się śmieje.

- Nie obchodzi mnie, komu służysz. Po co tracić słowa na odkrywanie, co znajduje się w moim umyśle? Skończmy z tym. Szkoda czasu Założyciela na twoje głędzenie.

Zniesmaczona Mielli wyłącza go, wyciąga ze swojej metakory mózgowej gogola chirurgicznego i każe mu brać się do pracy. Gogol unieruchamia wasiliewa w piaskownicy i zaczyna kroić. Oddziela wyższe funkcje świadomości, wycina mechanizm kar i nagród. Przypomina to trochę perwersyjną parodię pracy rzeźbiarza, który, zamiast szukać kształtu ukrytego w kamieniu, rozbija posąg na kawałki i składa go w nową całość.

Wyniki pracy chirurga są podawane w postaci zimnych odczytów z procesu uczenia skojarzeniowego w symulowanej

populacji neuronowej. Mielli po chwili je wyłącza. Ledwie zdąża do łazienki, kiedy dopadają ją mdłości. Wymiotuje niestrawionymi, cuchnącymi resztkami lunchu. Kiedy wraca do wasiliewa, czuje w ustach kwaśny posmak.

- Cześć, skarbie - odzywa się wasiliew dziwnie euforycznym tonem. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Na początek powiedz mi wszystko co wiesz o Jeanie le Flambeurze.

Raymonde się spóźnia. Celowo przechodzi przez małą agorę, trzymając za rękę wysokiego, przystojnego mężczyznę (młodszeo od niej) z bujną grzywą włosów. Całują się na pożegnanie i Raymonde macha do mnie. Wstaję i odsuwam jej krzesło. Akceptuje mój gest z odrobiną zuchwałości.

Siedzę w wybranej przez nią knajpce - w ogródku, przy grzejniku. Z zewnątrz restauracja wygląda trochę dziwnie (ma szklane drzwi bez żadnych napisów i pusty szyld), za to w środku wprost eksploduje kolorami i egzotyką; wypchane zwierzęta w słojach mają szklane oczy i oszalamiające barwy. Odtworzyłem sobie nasze pierwsze spotkanie, żeby sprawdzić, na co wtedy zareagowała: pociągała ją nie tajemniczość, lecz żarty i przekomarzanie się. Nawet zmieniłem swój wygląd na odrobinę bardziej szelmowski - tylko odrobinę, w taki sposób, żeby dyskretną zmianę dało się przypisać większemu otwarciu gevolotu, ale to wystarcza, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy.

- Jak lekcja?

- Bardzo przyjemna. To córka dwojga młodych ludzi. Ma ogromny potencjał.

- Potencjał jest najważniejszy. Tak jak w pani muzyce.

- Niezupełnie. Myślałam trochę o naszej rozmowie i wiem, że pan blefuje. Temu fragmentowi nie można nic zarzucić. Musi pan zrozumieć, że jesteśmy w Kazamatach, a ja jestem śliczną dziewczyną, której takie spotkania zdarzają się regularnie. - Przekrzywia głowę. Jej włosy swobodnie opadają na bok. - Tajemniczy nieznajomy, ślepy traf... A tak na serio? Stary numer.

Szybko dyktuje dwa zamówienia czekającemu robokelnerowi.

- Nie skończyłem jeszcze przeglądać karty - zauważam.

- Nieważne. Zje pan zbrę w sosie teriyaki. Jest przepyszna. Rozkładam ręce.

- Dobrze. Wygląda na to, że tak właśnie załatwia się tutaj te sprawy. Dlaczego właściwie zgodziła się pani ze mną spotkać?

- Może to ja pana śledzę?

- Może.

Zjada oliwkę z podanej na przystawkę miseczki i celuje we mnie widelczykiem.

- Był pan bardzo uprzejmy. Słabo posługuje się pan gevulotem. Widać, że jest pan cudzoziemcem, a to zawsze intryguje. Teraz zaś jest mi pan coś winien. To może być użyteczne.

Niech ją szlag! Sprawdzam postępy mojego programu pirackiego: nadal szuka rys na jej gevulocie - i nadal bez powodzenia. Najwyraźniej ona radzi sobie znacznie lepiej.

- Przyznaję się do winy: kupiłem sobie obywatelstwo. Pochodzę z Ceres, z Pasa.

Unosi brwi. Niełatwo jest kupić marsjańskie obywatelstwo, zwykle wymaga to odrębnego orzeczenia Głosu, ale piraci gogolowi wykonali kawał dobrej roboty, tworząc tę konkretną tożsamość, konstruując jej niepodważalną biografię i rozsiewając starannie spreparowane publiczne egzowspomnienia.

- Interesujące... Dlaczego Mars?

Wykonuję zamaszysty gest, obejmujący pół okolicy.

- Macie tu niebo. Macie całą planetę. I zrobiliście z nią coś konkretnego. Macie marzenie.

Przygląda mi się z tym samym natarczywym zaciekawieniem, z jakim obserwowała jabłko podczas lunchu. Tylko czekam kiedy mnie ugryzie.

- To rozpowszechniona opinia. Nie należy jednak zapominać, że wcześniej mieliśmy okrutną wojnę domową, w której zastępy samoreplikujących się maszyn do zabijania unicestwiły wyniki prac terraformujących przeprowadzonych przez niewolących nas niegdyś kacyków. Których zresztą zabiliśmy. - Uśmiecha się. - Ale ma pan rację, gdzieś tu nadal trwa nasze

marzenie...

- Wie pani co? Nikt mi jeszcze nie powiedział, jak często...

- Atakują? Mówi pan o phobosach? To zależy. Najczęściej niczego nie zauważamy, a jeśli już, to najwyżej jakieś zamieszanie gdzieś daleko od miasta. Wyciszeni się tym zajmują. Dzieciaki lubią czasem polecieć szybowcem, pogapić się. Sama tak robiłam, kiedy byłam młodsza. Niesamowity widok.

Podane przez nią wspomnienie kompletnie mnie zaskakuje. Szybowiec z intelmaterii z białymi skrzydłami. W dole błyskawice rozświetlają ognisty krajobraz. Jaskrawy promień lasera w pomarańczowej kurzawie. Czarna lawina jakichś... rzeczy, która uderza w formację wyciszonych. Oślepiająca eksplozja.

Ktoś jest z nią w szybowcu. Dotyka jej, całuje ją w szyję...

Biorę głęboki wdech. Program piracki chwytą wspomnienie zalotów i zaczyna się przez nie przegryzać.

- Co się stało? - pyta Raymonde. - Wydaje się pan jakiś zagubiony...

Widzę, że podano nam już jedzenie. Cudowny zapach wrywa mnie ze wspomnień; dyszę ciężko z powodu przeciążenia zmysłów. Kelner - ciemnoskóry mężczyzna o masywnych białych zębach - uśmiecha się do mnie. Raymonde kiwa mu głową.

- Łatwo się tu zagubić - odpowiadam.

- Jak w każdym interesującym miejscu. Taki właśnie efekt staram się osiągnąć w muzyce, o której miał pan tyle do powiedzenia.

- Chce pani przyprawić słuchaczy o zawal?

- Nie! - Śmieje się. - Chodziło mi o to, że my również bywamy zagubieni. Fajnie się rozmawia o rewolucyjnych marzeniach, odtwarzaniu Ziemi, ziemi obiecanej i tak dalej, ale w rzeczywistości to wcale nie jest takie proste. W naszym marzeniu jest spora domieszka wyrzutów sumienia. W dodatku nowe pokolenia inaczej patrzą na świat. Przeżyłam jedno Wyciszenie i nie chcę tego powtarzać. A młodszy widzą, jak przybywa zoku albo takich jak pan, i nie wiedzą, co myśleć.

- Jakie to uczucie, Wyciszenie?

Próbuję zebrać: mięso rzeczywiście jest rewelacyjne, ciemne, soczyste. Raymonde ma dobry gust. Może przyswoiła go sobie ode mnie? Siedzi zamyślona i kruszy chleb na talerz.

- Trudno to wyjaśnić. To się dzieje bardzo szybko: kiedy twój czas się kończy, natychmiast następuje przeniesienie. Później wskrzesiciele przychodzą po ciało, ale ty już jesteś dawno po drugiej stronie. Trochę tak jakbyś miał wylew. Nagle twój mózg zaczyna inaczej pracować, w obcym ciele, z obcymi zmysłami... Potem, kiedy minie pierwszy szok, jest lepiej. Koncentrujesz się na pracy, co daje sporą satysfakcję. Masz inne połączenia nerwowe: nie możesz mówić, ale masz takie bardzo realistyczne sny na jawie, którymi możesz się dzielić z innymi. No i jesteś silny, chociaż to zależy od ciała, w które trafisz. To bywa... upajające uczucie.

- Czy to znaczy, że wyciszeni prowadzą jakieś życie erotyczne?

- Może pewnego dnia sam się przekonasz, chłopczyku spoza świata.

- Tak czy inaczej, nie brzmi to źle.

- Od lat toczą się spory w tej sprawie. Dużo dzieciaków uważa, że to kwestia winy i kary. O dziwo, Głos nigdy nie zaproponował zmiany systemu. Narzuca się pytanie: dlaczego? Czy nie dałoby się tego załatwić w inny sposób? Użyć biobotów. Albo poprosić zoku o zbudowanie Turków, które przejęłyby obowiązki wyciszonych. Ale to nie takie proste. Po powrocie każdy jest przez jakiś czas w rozsypce. Patrzy w lustro i widzi tego drugiego siebie. I tęskni. Trochę to przypomina posiadanie bliźniaka syjamskiego: na zawsze razem.

Podnosi kieliszek; wino również sama wybrała: Dao Valley Sauvignon, które, jak sobie z pewnym wysiłkiem przypominam, podobno działa jak afrodyzjak.

- Za zagubienie - mówi.

Spełniamy toast. Wino jest intensywne, krzepkie, z nutą brzoskwini i kapryfolium. Wywołuje we mnie dziwne odczucie, mieszaninę nostalgii i ożywienia towarzyszącego pierwszemu zauroczeniu.

Gdzieś w lustrze stary ja na pewno się uśmiecha.

- Chcieli go - tłumaczy z zapalem wasiliew.

Po każdej odpowiedzi gogol chirurgiczny stymuluje jego ośrodki rozkoszy. Wada jest taka, że czasem trzeba czekać na odpowiedź.

- Kto?

- Ukryci. To oni tu rządzą. Obiecali nam za niego dusze, ile zechcemy.

- Kim są?

- Mówili do nas ustami innych, tak jak czasem Założyciele. Zgodziliśmy się, bo właściwie czemu nie, czemu nie mielibyśmy z nimi współpracować, Dzieło w końcu i tak wszystko pochłonie, wszyscy stanimy przed ołtarzem Fiodorowa, i czy moglibyśmy wrócić do muzeum pooglądać słonie?

- Pokaż.

Ale umysł wasiliewa zaczyna się rozpadać. Mielli zgrzyta zębami, przywraca poprzednią wersję i każe chirurgowi zacząć od nowa.

Po kolacji przychodzi pora na deser, a potem spacer po Żółwiowym Parku. Rozmawiamy i od słowa do słowa jej gevulot powoli się przede mną otwiera.

Pochodzi z wolnomiasta w Kasei. Przeżyła szaloną, czasochłonną młodość, zanim się ustatkowała (wygląda na to, że w towarzystwie jakiegoś starszego mężczyzny). Nie zapomina o swoich długach: muszę jej kupić lody u dziewczyny w białym fartuchu; sama wybiera smaki - niezwykle, sztuczne symfonie smaku, których nie umiem nawet nazwać, trochę przypominające połączenie miodu z melonem. Staram się przez chwilę cieszyć każdą wydzielaną przez nią drobiną, zanim wrzucę ją w głodny pysk pirata.

- Piszę operę, ponieważ chcę zrobić coś wielkiego - mówi, kiedy siadamy z lodami przy fontannie w stylu Królestwa. - Rewolucja była wielka. Kazamaty też są wielkie, nikt nie próbuje się z nimi brać za bary. Chciałabym stworzyć coś

równie wspaniałego, z rozmachem, piratami gogolowymi, zoku, wyrazić ten bunt i zgiełk...

- Taki kazamatowy punk - mówię. Dziwnie na mnie patrzy i kręci głową.

- W każdym razie tego właśnie chcę.

Widać stąd Montgolfiersville po drugiej stronie parku: zacumowane balony mieszkalne ciągną się na widnokręgu jak kolorowe owoce. Raymonde wodzi za nimi tęsknym wzrokiem.

- Myślałaś kiedyś o tym, żeby stąd wyjechać?

- Dokąd? Wiem, wiem, możliwości są nieograniczone. Oczywiście, że myślałam, ale tutaj jestem dużą rybą w małym akwarium i to mi chyba odpowiada. Wydaje mi się, że tu mogę coś zmienić, a tam... Nie wiem.

- Znam to uczucie.

I ze zdumieniem stwierdzam, że naprawdę je znam. Mnie też kusi, żeby tu zostać, zrobić coś na ludzką miarę, coś zbudować. Tak się pewnie czuł on, kiedy tu przybył. A może poczuł się tak dopiero wtedy, gdy ją poznał.

- To oczywiście nie znaczy, że nie jestem ciekawa. Może ty mi pokażesz, jak jest tam, skąd pochodzisz?

- Wątpię, czy to by cię zainteresowało.

- Spróbuj. Chcę zobaczyć.

Ścisną moją dłoń. Palce ma ciepłe, trochę lepkie od lodów. Przeczesuję swoją poszatowaną pamięć w poszukiwaniu obrazów. Lodowy zamek w Oorcie; komety i reaktory jądrowe połączone w lśniące planetarium; ścigający je skrzydlaci ludzie; Supra City, gdzie domy mają wielkość planet, a kopuły, łuki i wieże wznoszą się na spotkanie z pierścieniem Saturna; Pasoświaty i dzikie syntezy, pokrywające je kolorami koralu i jesieni; Wewnętrzny Układ i mózgi guberni - diamentowe sfery ozdobione twarzami Założycieli, tętniące intrygami i życiem po życiu.

Najdziwniejsze jest to, że wszystkie te wizje wydają mi się mniej prawdziwe niż siedzenie na słońcu w jej towarzystwie i udawanie małego człowieczka.

Na chwilę zamyka oczy, smakując te wspomnienia.

- Nie wiem, czy wymyśliłeś to na poczekaniu, ale zasługujesz

na nagrodę.

Całuje mnie. W pierwszej chwili próbuję się zorientować, jak smakują jej lody, ale zaraz zatracam się w dotyku jej ust i języka muskającego mój język. Przesyła mi uwodzicielskie wspomnienie - pocałunek z jej perspektywy, odwrócenie punktu widzenia.

Piracki soft w mojej głowie wydaje okrzyk radości. Znalazł lukę, pętlę, wspomnienie mnie, dziurę w jej gevulocie, za którą zieje przepaść *deja vu*. Inny pocałunek, sprzed lat, nakłada się na ten obecny; zlepek przeszłości i przyszłości. Nie zwracam uwagi na triumfalny ryk pirata i odwzajemniam pocałunek - wtedy i teraz.

- Opowiedz mi o cadykach - rozkazuje Mielli.

Mogłaby zostawić to chirurgowi, ale i tak byłoby to zachowanie haniebne, a w ten sposób dowodzi przynajmniej, że jest gotowa sama dźwigać to brzemie.

- To anomalie - odpowiada smętnie wasiliew. - Nasi najgorsi wrogowie. Zokijska technologia. Tutaj toczy się walka o władzę, tylko że tego nie widać: zokijska kolonia walczy z ukrytymi. Cadykowie to broń. Technika kwantowa. Demonstracja siły. Ludzie im ufają. Próbujemy ich likwidować przy każdej okazji, ale dobrze strzegą sekretu swojej tożsamości.

- Kim są?

- Cichy. Brutal. Skuteczny. Futurystka. Chyży. Żartowniś.

Wasiliew z wyraźną satysfakcją zongluje barwnymi określeniami i obrazami. Zamaskowana postać w niebieskim płaszczu. Czerwona rozmazana plama, pędząca jak wenusjański śmig. Hipotetyczne tożsamości, możliwe cele, widoki z agor, potrzaskane wspomnienia z egzopamięci.

- Dzentelmen.

Człowiek w srebrnej masce, za którą...

- Nie, nie, nie... - szepcze Mielli. - Na Mrocznego Człowieka!

Wyciąga zmysły do złodzieja, ale biołacze milczy.

Znacznie później przenosimy się do jej mieszkania. Śmiejemy się, potykamy i obściskujemy, spowici gevulotowym kokonem - a czasem nawet bez jego osłony. Czuję się pijany koktajlem emocji: żądza plus wyrzuty sumienia plus nostalgia wytyczają mi trajektorię, która prowadzi do zderzenia z bezlitosną i okrutną powierzchnią teraźniejszości.

Mieszka w jednej z odwróconych wież, pod miastem. Kiedy zjeżdżamy windą, całuję jej szyję i zapuszczam dłonie pod bluzkę, na jedwabisty brzuch. Śmieje się. Piracki soft bez litości drenuje jej gevulot i wyławia każde muśnięcie, każdą wspólną pieszczotę, którą pozwalamy sobie nawzajem zapamiętać.

Kiedy już jesteśmy w środku, wyplątuje się z moich objęć i przytyka mi palec do ust.

- Jeżeli mamy to zapamiętać, to postarajmy się, żeby było warte zapamiętania. Rozgość się, ja zaraz wrócę.

Siadam na sofie i czekam. Mieszkanie jest wysokie. Na półkach stoją marsjańskie bibeloty i przedmioty ze starej Ziemi. Wyglądają znajomo. Jest wśród nich rewolwer w gablocie, który nieprzyjemnie kojarzy mi się z więzieniem. Jest też trochę książek i stary fortepian, którego mahoniowa pokrywa ostro kontrastuje z wszechobecnym szkłem i metalem. Raymonde pozwala mi się tym wszystkim nasycić i wszystko zapamiętać. Czuję, że mój piracki program zbliża się do masy krytycznej. Wkrótce uda mu się wyssać z niej wszystkie wspomnienia.

Rozbrzmiewa muzyka - z początku cicha jak szept, potem coraz głośniejsza. Jakiś utwór fortepianowy, prześliczna melodia, od czasu do czasu celowo przełamywana boleśnie nieharmonijną nutą.

- Powiedz mi, Raoul, co dokładnie nie podoba ci się w tej muzyce?

Siada obok mnie ubrana w czarny jedwabny szlafrok. Trzyma dwa kieliszki z szampanem. W dole, pod nami, w granatowym mroku nocy poruszają się miękkie światełka wyciszonych. Są ich tysiące, małych i dużych, jak odwrócone do góry nogami gwiazdziste niebo.

- Wszystko mi się podoba.

Stukamy się kieliszkami. Jej palce muskają moje. Znów mnie całuje, bez pośpiechu, z namysłem, wolną ręką dotykając mojej skroni.

- Chcę to zapamiętać - mówi. - I chcę, żebyś ty to zapamiętał.

Czuję na sobie jej miękkie, ciepły ciężar. Jej perfumy pachną jak sosnowy las, włosy łaskoczą mnie po twarzy jak

deszcz, piję z rabbim Isaakiem w deszczu i śpiewam, wracam późną nocą, wyciągam ją z domu, żeby pokazać jej chmury pod kopułą aniołosieci, jej włosy mokną

muzyka narasta wokół nas, a ja sobie przypominam

jak pierwszy raz grała dla mnie, po tym, jak się kochaliśmy, naga, jej palce lekko i powoli kładły się na czarnych i białych klawiszach jej dłonie kreślą linie na mojej piersi

mapy i ryciny, architektura, dopasowanie kształtów, długie godziny; sięga po jeden ze szkiców i mówi mi, że wygląda jak partytura

- Powiedz mi - prosi

a ja mówię - o byciu złodziejem, o chłopcu z pustyni, który chciał być ogrodnikiem, o pragnieniu nowego życia, a ona, ku mojemu zdziwieniu, nie ucieka, lecz śmieje się cicho

jak łapki tańczącego kota, który nosi ekstrawagancki kapelusz, kota w butach, postaci ze snu, w korytarzu zamku...

- Ty draniu. Ty cholerny, przeklęty draniu! - krzyczy Raymonde.

W nagrodę obrywam butelką szampana przez łeb. Na chwilę tracę przytomność, a kiedy ją odzyskuję, leżę na podłodze, a ona stoi nade mną z laską w ręce.

- Masz. Pojęcie. Co. Zrobiłeś?

Jej twarz jest srebrną maską. Jej głos brzmi jak ochrypły chór.

I to akurat w tym samym momencie, w którym zacząłem się zastanawiać, gdzie się podziała tutejsza policja.

Chwilę potem Mielli wpada do środka przez okno.

Skrzydłami roztrzaskuje pseudoszkło. Odłamki kłębią się w zwolnionym tempie w powietrzu, jak śnieg. Metakora zalewa ją

strumieniem informacji: złodziej jest tutaj, a cadyk tam - mięsisty ludzki korpus otulony kłębamii bojowej mgły użytkowej.

Porzuciła wszelką subtelność podczas poszukiwań złodzieja, kiedy kazała *Perhonen* zaryzykować wykrycie i wykonać pełny skan przy użyciu cząstek WIMP, żeby sprawdzić, w którym miejscu urwał się sygnał z biołącza. Potem opatulii się w gevulot i wyleciała pod niebo, przeglądając po drodze dostępne na statku akta dziewczyny. Ma wrażenie, że poskładanie faktów w całość zajęło jej wieki, ale kiedy odkrywa, że cadyk zabrał złodzieja do siebie do domu, nie jest specjalnie zaskoczona.

Chciałaby złapać złodzieja i ulotnić się równie szybko, jak się pojawiła, ale mgła jest szybsza: oblepia jej skrzydła jak gęsty żel, próbuje wcisnąć się do płuc, zatyka lufy duchostrzałów. Mielli wystrzeliwuje kwantopunkt, który eksploduje jak miniaturowe słońce w trybie ogłusz/oślepi, lecz mgła i tak go uprzeda: zamyka oślepiający punkcik światła w nieprzezroczystej białej chmurze, która przepuszcza ledwie tyle światła co lampa woskowa. Blokuje także wbudowane w skrzydła radiatory i Mielli jest zmuszona wrócić w wolnoczas.

Wzmocniony mgłą cios cadyka przypomina zderzenie z oortyjską kometą. Mielli leci w tył, roztrzaskuje szklany regał i przebija znajdującą się za nim ścianę; tynk i ceramika przypominają mokry piasek. Jej pancierz skwierczy, jedno wzmocnione szybkamieniem żebro pęka, ale metakora tłumi ból. Wstaje w kłębach kurzu i odłamków. Jest w łazience. Z lustra patrzy na nią monstrualny anioł.

Padają kolejne ciosy. Próbuje je blokować, ale płynnie wymijają jej ręce. Cadyk trzyma się poza jej zasięgiem, posługując się mgłą jako amorficznym przedłużeniem swojej woli; Mielli walczy z duchem. Potrzebuje więcej przestrzeni. Przekierowuje moc z wbudowanego w udo reaktora do mikrośmigieł w skrzydłach. Zrywa się potężny wiatr, który rozprasza kłębki mgły. Mielli chwytą ich pełną garść, połyka i szcjuje gogolem. Stara mgła bojowa z czasów Wojny Protokołu. Chwilę to potrwa, zanim gogol znajdzie odpowiednie przeciwśrodkii.

Oczyściwszy skrzydła, wyrzuca odpady ciepłe przez radiatory i przechodzi w szybkozczas. Podejście do cadyka przypomina teraz niespieszny spacer. Mielli uchyla się przed znieruchomiałymi mackami mgły, które w jej ulepszonym polu widzenia wiszą w powietrzu jak zamrożone ciągi baniek mydlanych. Sam cadyk jest nieruchomym posągiem w srebrnej masce. Mielli wymierza mu precyzyjny cios w nasadę karku, w sam raz, żeby pozbawić go przytomności...

... i jej ręka przechodzi na wylot przez mgłę.

Następuje atak gódelowski: głośnik przyciśnięty do bębena usznego wydaje dźwięk o natężeniu stu dwudziestu decybeli. Wirusy zaopatrzone w algorytmy genetyczne wlewają się do organizmu, usiłując zmylić maszyny i przeniknąć do ludzkiego mózgu Mielli. Gogol obronny mówi coś płaczącym głosem. Mielli napuszcza go na mgłę i wyłącza wszystkie układy.

Niespodziewane człowieczeństwo przypomina ciężkie przeziębienie. Przez chwilę jest całkowicie bezbronna w uściskach mgły; skrzydła zwisają jej bezwładnie z pleców. W końcu jednak gogol kontratakuję: mgła eksploduje i osypuje się na ziemię w postaci białego proszku. Mielli osuwa się na podłogę, dławiąc się i kaszląc; cielesna, zakrwawiona, prawdziwa.

W pokoju panuje bałagan: połamane meble, potraskane szkło, resztki mgły. Cadyk stoi pośrodku tego chaosu, z laską w rękę, ale i on jest teraz tylko człowiekiem. Chociaż trzeba mu przyznać, że reaguje błyskawicznie - natychmiast wznosi laskę do ciosu i rusza na Mielli posuwistym krokiem wojownika *kendo*.

Mielli, nie wstając, próbuje podciąć kobietę w srebrnej masce, lecz ta tylko podskakuje, lekko i - dzięki małemu ciężeniu - niewiarygodnie wysoko, po czym wymierza cios laską. Mielli robi unik, turla się w bok i przewrotem w tył staje na równe nogi. Uderza cadyka, ale natrafia na bolesny blok laską...

- Przestańcie - mówi złodziej. - Obie.

Ma broń - prymitywną, metalową, która w jego rękach wydaje się nedorzecznie ogromna, ale z pewnością jest niebezpieczna, Trzyma ją pewnie, ręce wcale mu nie drżą. Nic dziwnego, myśli

Mielli. W więzieniu dużo ćwiczył.

Zdalne sterowanie jego ciała jest tak samo martwe, jak wszystkie inne jej układy po ataku cadyka.

Typowe, myśli Mielli.

- Proponuję, żebyśmy usiedli, jeśli tylko uda wam się znaleźć coś do siedzenia, i porozmawiali jak cywilizowani ludzie - mówi złodziej.

- Wkrótce zjawią się inni - mówi Raymonde.

W głowie mi dźwięczy, z trudem powstrzymuję się od kaszlu, chociaż wszechobecny kurz drażni mnie w gardle - ale nawet w tych warunkach umiem poznać, kiedy ktoś blefuje.

- Bynajmniej. Domyślam się, że Mielli załatwiła twoją sympatyczną mgłę. Wygląda zresztą na to, że i ty jej dopiekaś, skoro nadal mogę chodzić i mówić. Właściwie powinienem rzucić się do ucieczki, ale mój przeklęty honor mi nie pozwala.

Mielli prycha. Kieruję pistolet w jej stronę.

- Znajdź sobie coś do siedzenia.

Nie spuszczać jej z oka, pijam szampana; kieliszki jakimś cudem przetrwały orgię zniszczenia. Szampan trochę pomaga mi na gardło. Przysiadam na odłamku ściany. Mielli i moja była dziewczyna spoglądają po sobie i pomalutku zajmują takie pozycje, żeby mieć na oku zarówno mnie, jak i siebie nawzajem.

- Posłuchajcie, pochlebia mi fakt, że kobiety się o mnie biją, ale możecie mi wierzyć: nie jestem tego wart.

- Nareszcie się w czymś zgadzamy - mówi Raymonde.

Wiesz co? - odzywa się Perhonen. Jestem jakieś czterysta kilosów nad wami, ale jeśli zaraz nie rzucisz tego gnata, mogę ci przypalić rękę. Auć.

Daj spokój, mówię. To zabytek. Pewnie nawet nie działa. Blefuję. Tylko nie mów Mielli. Staram się tak załatwić sprawę, żeby nikomu nie stała się krzywda. Bardzo ładnie proszę...

Jak na szybko myślącego gogola, statek niepokojąco długo zastanawia się nad odpowiedzią.

Dobrze, mówi w końcu. Masz minutę.

Znów te ograniczenia czasowe... Jesteś jeszcze gorsza od niej.

- Raymonde, przedstawiam ci Mielli. Mielli, poznaj Raymonde. Mój związek z Raymonde był kiedyś poważną sprawą, Mielli zaś ma skłonność do traktowania mnie jak rzecz. Mam jednak wobec niej coś w rodzaju długu honorowego, więc się nie skarżę. Prawie. - Biorę głęboki wdech. - Raymonde, nie traktuj tego osobiście: ja po prostu muszę odzyskać swoje stare ja.

Przewraca oczami. W tej chwili wygląda okrutnie znajomo. Odwracam się do Mielli.

- Powiedz mi, ale tak serio: czy to naprawdę było konieczne? Panowałem nad sytuacją.

- Właśnie miałam ci urwać głowę - wtrąca Raymonde.

- Wygląda na to, że właściwe słowa są jedną z wielu rzeczy, których nie pamiętam. - Wzdycham. - Posłuchaj, zapomnij o nas. Ja czegoś szukam, ty możesz mi pomóc. Jesteś cadykiem... Super sprawa, nawiasem mówiąc. Ale założę się, że i my moglibyśmy ci w czymś pomóc. Na przykład sprawa piratów gogolowych. Dostałabyś ich na srebrnej tacy. Mnóstwo.

Kiedy w tej chwili obie patrzą na mnie podejrzliwie, jestem przekonany, że zaraz znów się na siebie rzucą.

- W porządku - mówi Raymonde. - Porozmawiajmy.

Oddycham z ulgą i odrzucam pistolet, który klekoce głośno o podłogę, a ja w duchu dziękuję Aresowi, że nie wypalił.

- Pewnie nie mamy co liczyć na odrobinę prywatności? - Spoglądam pytająco na Mielli.

Prezentuje się fatalnie - toga w strzępach, zamiast skrzydeł jakieś dwie połamane bezlistne gałęzie sterczące z pleców - ale wygląda przy tym wystarczająco groźnie, żebym bez słów zrozumiał, co sobie myśli.

- Dobra, zapomnij, że pytałem.

Raymonde staje przy rozbitym oknie, chowając dłonie w rękawy szlafroka.

- Co się stało? - pytam. - Kim tu byłem? Dokąd się udałem?

- Naprawdę nie pamiętasz?

- Naprawdę nie pamiętam.

Przynajmniej na razie. Nowe wspomnienia jeszcze nie ułożyły mi się w głowie, jest ich zbyt dużo. Czuję, że wraz z nimi nadciąga dziwny ból głowy. Raymonde wzrusza ramionami.

- To nieistotne.

- Zostawiłem tu coś. Tajemnice. Narzędzia. Wspomnienia, i to nie tylko te w egzopamięci. Także coś innego. Coś większego. Wiesz gdzie?

- Nie. - Marszczy brwi. - Mam pewien pomysł, ale jeśli mam ci pomóc, będziesz się musiał bardziej postarać; gogolowi piraci nie wystarczą. A twoja nowa dziewczyna jest mi winna mieszkanie.

INTERLUDIUM

MĄDROŚĆ

Powrót ze śmierci do życia wymaga zaledwie kilku kroków. Z przodu widać światło, ale każdy krok jest jak brnięcie przez wodę, wolny, ciężki. Bathilde czuje, że unosi się, wypływa z odzianego w szybkombinezon ciała. W dole widzi samą siebie: walczy, łśni mosiężny hełm - i z jakiegoś powodu wydaje jej się to właściwe. Porzuca ciało i płynie w górę, ku światłu. Nareszcie, myśli...

... i nagle zanurza się w marsjańskim zmierzchu, prawie upada, na szczęście w porę podtrzymują ją silne ręce. Ciężko łapie oddech, mruży oczy, odwraca się i patrzy na Dwór Narodzin i Śmierci - podłużny, niski, prostokątny gmach, dzieło wyciszonych budowniczych. Budynek stoi w zagłębieniu terenu, milę od wydeptanej przez miasto ścieżki, na prawdziwej marsjańskiej pustyni. Jest zbudowany ze żwiru i piasku zlepionych pastą bakteryjną. W ścianach ma otwory i szczeliny. Stoi w pobliżu muru przeciwphobosowego i z zewnątrz wygląda jak dziecinny klocek, za to w środku...

- O rety... - Bathilde zapiera dech w piersi.

- No i co ty na to? - pyta Paul Sernine, jej protegowany, architekt jej krótkotrwałej śmierci. Podtrzymuje ją delikatnie, prowadząc coraz dalej od wyjścia, z którego wynurzają się inni oszołomieni goście. Uśmiecha się triumfalnie pod wbudowaną w hełm szklaną osłoną twarzy. - Nie napiłabyś się czegoś?

- Z rozkoszą - przyznaje Bathilde i Paul podaje jej kieliszek szampana, zamknięty w małym bąblu kwantopunktowym. Bathilde pije. Cieszy ją rześki smak szampana w suchym powietrzu wnętrza hełmu. - Paul, jesteś geniuszem.

- Czyli nie żałujesz swojego mecenatu?

Bathilde się uśmiecha. Wszędzie dookoła ludzie zaczynają się

bawić. Cieszy się, że kampania reklamowa okazała się taka skuteczna; wirusowe wspomnienia najbardziej emocjonujących chwil spędzonych na Dworze sprawdziły się znakomicie. Zorganizowanie kampanii poza murem ma miły wydźwięk symboliczny, a zagrożenie dodaje jej pieprzyku.

- Ani trochę. Musimy przekonać Głos, żeby coś takiego na stałe znalazło się w mieście. Świetnie by nam to zrobiło. Jak wpadłeś na ten pomysł?

Paul wygina ciemne brwi.

- Wiesz, że nie znoszę, kiedy ktoś mnie o to pyta.

- Daj spokój, proszę. Przecież uwielbiasz mówić o sobie.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć... Zainspirował mnie Noguchi ze swym dziełem z Hiroszimy. Łono, ale bez narodzin i śmierci. Coś, o czym zapomnieliśmy.

- Ciekawe... Podobny pomysł przedstawił Głosowi Marcel. - Bathilde wskazuje młodego czarnoskórego mężczyznę, który z pogardliwą miną wpatruje się w czeluść wyjścia z Dworu. - Parę miesięcy temu.

- Pomysły są tanie - odpowiada Paul. - Liczy się realizacja.

- Istotnie. A może pomogła ci twoja nowa muza?

Rudowłosa kobieta w ciemnym szybkombinezonie stoi nieopodal, przy Dworze, i dotyka jego szorstkiej ściany. Paul spuszcza wzrok.

- W pewnym sensie.

- Nie trać czasu na pogawędkę ze staruchą. Idź, świętuj.

Paul uśmiecha się do niej promiennie i przez ułamek sekundy Bathilde prawie żałuje, że w jego wypadku postanowiła się ograniczyć do znajomości czysto profesjonalnej.

- To na razie - mówi Paul, kłania się lekko i zagłębia w tłum, gdzie natychmiast staje się centrum zainteresowania.

Bathilde spogląda na Dwór. Z zewnątrz wygląda niewinnie, za to w środku... Kąty, kształty i światła rezonują w każdym mózgu ludzkiego pochodzenia, uruchamiając w nim wbudowane w korę mózgową mechanizmy, które symulują śmierć. Architektoniczna sztuczka magiczna. Wraca pamięcią do swoich licznych śmierci i narodzin i uświadamia sobie, że czegoś takiego jeszcze nie przeżyła. To było naprawdę coś

nowego. Uśmiecha się w duchu. Ile czasu minęło, odkąd poczuła coś nowego? Dotyka Zegarka, który dostała od Paula, i wyrytego na bransolecie słowa *Sapientia*.

- Cześć - mówi rudowłosa dziewczyna.

Oto prawdziwa młodość, nietknięta doświadczeniem śmierci - tymczasowej lub innej.

- Cześć, Raymonde. Jesteś dumna ze swojego chłopaka? Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało.

- Jeszcze jak.

- Wyobrażam sobie. Wiem, to trudne: kiedy widzimy, co potrafią, zaczynamy się zastanawiać, czy jesteśmy dla nich wystarczająco dobre. Mam rację?

Raymonde patrzy na nią szeroko otwartymi oczami, ale nic nie mówi.

Bathilde kręci głową.

- Przepraszam, jestem zgorzkniałą starą babą. Oczywiście cieszę się razem z tobą. - Dotyka odzianej w rękawiczkę dłoni Raymonde. - Co chciałaś powiedzieć? My, starsi ludzie, często przerywamy innym, to poważny problem; zawsze nam się wydaje, że wszystko już słyszeliśmy, i to po kilka razy. Nie mogę się doczekać, kiedy znów będę wyciszona: wtedy będę musiała słuchać. Już niedługo.

Dziewczyna przygryza wargę.

- Chciałam panią prosić o... radę.

Bathilde wybucha śmiechem.

- Ha! Jeśli chcesz posłuchać gorzkich prawd o życiu, przefiltrowanych przez kilkaset lat doświadczeń, to dobrze trafiłaś. O co chodzi?

- O dzieci.

- W czym problem? Ja miałam dzieci: kłopotliwe, ale przy odrobinie troski i uwagi opłacalne. W egzopamięci są wszystkie niezbędne informacje. Znajdź jakiegoś wskrzesiciela, niech ci pomoże przy konstruowaniu genotypu. Albo, jeśli szukasz czegoś ambitniejszego, poszukaj na czarnym rynku jakichś pozaświatowych projektów. Potem wystarczy dodać wody i puf!

Bathilde beszta się w duchu za to, że cieszy ją mina Raymonde na widok jej naśladowującego eksplozję gestu.

- Nie o to chciałam zapytać. Chodzi... o niego. O Paula. - Raymonde zamyka oczy. - Nie potrafię go przeczytać. Nie wiem, czy jest gotowy.

- Chodź, przejdźmy się.

Bathilde prowadzi. Mijają Dwór i kierują się w stronę muru. Nad ich głowami niebo ciemnieje.

- Powiem ci, co wiem - mówi Bathilde. - Paul przypomina mi kogoś, kogo znałam dawno temu i kto poniekąd złamał mi serce. - Parska śmiechem. - Nie pozostałam mu dłużna, możesz mi wierzyć. - Dotyka kruszącej się ściany Dworu. - Niektórzy z nas żyją naprawdę bardzo, bardzo długo. Uczymy się trwać w niezmiennej postaci bez względu na okoliczności. Inne ciała, nowe gogle, transformacje... Ale zawsze pozostaje coś niezmiennego, w przeciwnym razie ciągle metamorfozy przyniosłyby nam śmierć. Nie byłoby żadnego światelka w tunelu, czas po prostu ogryzłby nas do kości. Nie wiem, co powiedział ci Paul, ale zapewniam cię, że jest jednym z nas. Dlatego musisz zdecydować, czy chcesz, żeby ten prawdziwy Paul, nie uśmiechnięty architekt, którego znasz, był ojcem twoich dzieci. Wiem jednak, że się stara i robi to dla ciebie.

- Tu jesteście - mówi Paul. - Moje dwie ulubione damy. - Przytula Raymonde. - Byłaś w środku?

Dziewczyna kręci głową.

- A powinnaś - mówi Bathilde. - To nie jest takie straszne, jak mogłoby się wydawać. Baw się dobrze.

Bathilde patrzy, jak młodzi wchodzą do Dworu z przeciwnego końca, i wspomina chwilę spędzoną w Pałacu Olimpijskim: rozmyta akwarela pamięci, na której tańczy z królem. Zastanawia się, czy miała wtedy takie oczy jak Raymonde.

ROZDZIAŁ 11

ZŁODZIEJ I CADYKOWIE

Nie tak wyobrażałem sobie cadyków. Spodziewałem się jakiejś tajnej kryjówki ozdobionej trofeami z dawnych wiktorii; sali rady z okrągłym stołem i krzesel z wysokimi oparciami, z których każde byłoby opatrzone inicjałem zasiadającego na nim cadyka.

Tymczasem spotykamy się w kuchni Cichego.

Zniecierpliwna Futurystka bawi się kieliszkiem, tocząc nim po drewnianym blacie. Jest czerwoną, smukłą krzyżówką człowieka i starego samochodu i nie może usiedzieć spokojnie.

- No dobrze - odzywa się. - Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co my tu właściwie robimy?

Cichy mieszka w małym balonie w Montgolfiersville. Gondola mieszkalna jest podwieszona do olbrzymiego wora z gazem, mającego kształt łyży i zacumowanego liną do miasta. Kuchnia jest mała, ale wygląda bardzo nowocześnie. Poza fabrykatorem znajdują się w niej także tradycyjne utensylia kucharskie - noże, garnki, patelnie i masa innych przyborów z metalu i chromu, których nie znam. Najwyraźniej Cichy lubi dobrze zjeść. Jest nas tu dwoje plus sześcioro cadyków, więc zrobiło się bardzo przytulnie: siedzę wciśnięty między Mielli i Biskupa - odzianego w czerń wysokiego mężczyznę, który ma trupa czaszkę zamiast głowy. Jego kościste kolano gniecie mnie w udo.

Gospodarz otwiera zręcznym ruchem nadgarstka wino. Podobnie jak Dzentelmen, nosi pozbawioną rysów maskę, tyle że nie srebrną jednak, a granatową, która w połączeniu z płaszczem mgły użytkowej upodabnia go do żywego kleksa z atramentu. Jest wysoki i mimo że jeszcze się nie odezwał, otacza go aura wielkiej powagi. Szybko i sprawnie napełnia

nasze kieliszki i skinieniem głowy daje znać Raymonde.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - zaczyna Raymonde zachrypniętym głosem swojego cadykowego ja. - Mam tu dwoje gości, pozaświatowców, z którymi miałam do czynienia dwie noce temu, gdy doszło do małego... nieporozumienia. Mam jednak powody sądzić, że są życzliwie nastawieni do naszej sprawy. Zresztą, może niech sami to wyjaśnią. Jean?

- Dzięki - mówię. Mielli zgodziła się, żebym to ja mówił, ale oboje rozumiemy, że kiedy coś schrzanię, zostanę odcięty bez cienia litości. - Nazywam się Jean le Flambeur. Możecie mnie mignąć, jeśli chcecie.

Dla lepszego efektu zawieszam na chwilę głos, ale trudno coś wyczytać z twarzy słuchaczy, którzy noszą maski.

- Kiedyś, w przeszłym życiu, byłem obywatelem Kazamat. Razem z moją współpracowniczką szukamy czegoś, co tu wtedy zostawiłem. Jedna z was, z którą wcześniej się... znaliśmy, zapewnia mnie, że może mi pomóc. W zamian chcieliśmy wam zaoferować naszą pomoc.

Kosztuję wina: Old Badeker Solarancio. Cichy ma dobry gust.

- Nie jestem pewna, czy ta rozmowa w ogóle powinna się odbyć - zabiera głos Futurystka. - Po co mieszać w nasze sprawy kogoś z zewnątrz? A poza tym, czy tylko ja wyczuwam, że ta zdzira na kilometr śmierdzi techniką Sbornosti? - Przenosi wzrok z Raymonde na Cichego. - Zamiast rozmawiać, moglibyśmy ich co najwyżej przesłuchać. Przydałoby się. Jeżeli masz z nimi jakieś osobiste zaszłości, załatw to sama. Nie ma powodu wystawiać nas wszystkich na ryzyko.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność, to chyba oczywiste - zastrzega się Raymonde. - Wierzę jednak, że ich udział pomoże nam w rozprawie z kryptarchami.

- Myślałem, że do tego szkolisz swojego zaprzyjaźnionego detektywa - dziwi się Kuroლისzka.

Jest ubrana odważniej niż inni cadykowie: czerwony trykot i wenecka maseczka, spod której widać duże, zmysłowe usta i burzę blond loków. W innych okolicznościach bez reszty przyciągnęłaby moją uwagę.

- To temat na inną dyskusję - odpowiada Raymonde po

dłuższej chwili. - Teraz nas to nie dotyczy. Zresztą i tak musimy szukać różnych rozwiązań, zamiast skupiać się na jednym. Cały czas próbuję wam powiedzieć, że ograniczamy się do leczenia objawów: technika pozaświatowa, piraci gogolowi... Tymczasem jesteśmy tak samo zarażeni wywołującą je infekcją jak ludzie, których usiłujemy przed nimi chronić. - Pochyliła się nad stołem. - Dlatego, kiedy widzę możliwość współpracy z kimś z zewnątrz, kto może nam pomóc, zwracam wam na nią uwagę.

- Za jaką cenę? - pyta Król Szczurów. Ma wysoki głos młodego mężczyzny i krępe ciało. Komiczna maska gryzonia nie sięga podbródka, na którym ciemnieje już wieczorny cień zarostu.

- O cenę ja się będę martwić - zapewnia Raymonde.

- Co takiego mogą zrobić, czego my nie możemy? - Futurystka zerka na mnie podejrzliwie.

Uśmiecham się do niej przymilnie.

- Zaraz do tego dojdziemy, pani Diaz.

Nie widzę jej twarzy, ale nader satysfakcjonujący dreszcz przebiega całe jej ciało. Na chwilę staje się rozmazaną czerwoną plamą.

Nie próżnowałem przez te dwa dni, których Raymonde potrzebowała na zorganizowanie spotkania. Mielli dała mi bazę danych (o pochodzenie której nie odważyłem się zapytać) zawierającą konkretne wskazówki co do tożsamości cadyków. Potwierdzenie ich wymagało odrobiny wysiłku i paru drobnych kradzieży gevulotu; nie znam może imion ich zwierząt domowych i nie wiem, jakie są ich ulubione pozycje seksualne, ale i tak wiem dostatecznie dużo.

- Najpierw byłoby chyba dobrze, żebyście nam wytłumaczyli, co właściwie chcecie osiągnąć - dodaje.

- Mamy trojaki cel - odpowiada Raymonde. - Stać na straży ideałów Kazamat, chronić ich mieszkańców przed piratami gogolowymi i innym zewnętrznym zagrożeniem, oraz odkryć i zniszczyć prawdziwych władców miasta.

- Zaczęło się od Głosu - zaczyna Raymonde.

Szybkie mignięcie pozwala mi zapoznać się ze szczegółami obowiązującego w Kazamatach systemu elektronicznej demokracji: głosowanie odbywa się poprzez dokonywanie specjalnych zapisów we współpamięci. W ten sposób podejmuje się decyzje polityczne wprowadzane następnie w życie przez biuro burmistrza i złożoną z wyciszonych służbę cywilną.

- W jego decyzjach zaczęły się pojawiać... dziwne prawidłowości: otwarcie na świat, obywatelstwa dla pozaświatowców, znoszenie ograniczeń dla wprowadzania obcej techniki. Niedługo potem pojawili się pierwsi piraci gogolowi. Cichy ucierpiał jako jeden z pierwszych z naszego grona. - Raymonde dotyka ręki wysokiego cadyka. - Nasz system zachowuje się niestabilnie w obecności sił zewnętrznych. Wyciszeni nie poradziliby sobie ze wstrząsem wywołanym obcą technologią, wzięliśmy więc ten obowiązek na siebie. Są nas setki we wszystkich miastach, a nowi stale się szkolą. Mamy protektorów, którzy oczywiście mają swoje plany, ale ich interesy są zbieżne z interesem Kazamat. Możemy czynić dobro. Ilekroć jednak udaje nam się wychwycić jakąś prawidłowość, dokonać jakiejś trwałej zmiany na lepsze, na przykład zamknąć piracką stację radiową nadającą kradzione transfery osobowościowe albo usunąć skażony fragment sieci gevulotowej, nasz wróg znika. Piraci umieją wybrać cel i się do niego zbliżyć, są dobrzy w swoim fachu, ale nie ulega wątpliwości, że mają czyjeś mocne wsparcie. Od dłuższego czasu wiemy, że zabezpieczenia egzopamięci zostały złamane. Ktoś nią manipuluje; nie wiemy, czy jest to jedna osoba, czy więcej. Nie wiemy również w jakim stopniu, w jaki sposób ani z jakich przyczyn. Nazywamy ich kryptarchami. Albo ukrytymi władcami. Albo, jak mówi Futurystka, pierdolonymi skurwielami. Wierzymy w idee rewolucji: ludzki Mars, na którym uda nam się odtworzyć Ziemię; miejsce, gdzie każdy jest panem swojego ciała i umysłu. Niestety, nie osiągniemy tego ideału, dopóki ktoś zza kulis pociąga za sznurki. - Spogląda na mnie. - Oto nasza cena. Pomóż nam

znaleźć kryptarchów, a my oddamy ci to, co do ciebie należy.

- Oczywiście wszystko to pod warunkiem, że wysokie mniemanie Dzentelmena na twój temat jest chociaż w pewnej mierze uzasadnione - zastrzega się Biskup.

- Panie Reverte... - Uśmiecham się do niego swoim najdrapieżniejszym rekinim uśmiechem. - Ja potrzebowałem dwóch dni, żeby się dowiedzieć, kim jesteście. A kryptarchowie... Oni was po prostu znają. Ba, oni was hołubią. Doskonale uzupełniacie system, który stworzyli. To dzięki wam jest stabilny, a im właśnie o to chodzi. - Dopijam wino i rozsiadam się wygodniej na krześle. - Zawsze gracie ucziwie, jesteście honorowymi gliniarzami, a powinniście być rewolucjonistami. Przestępcami. W czymś takim z pewnością mogę wam pomóc. Jest jeszcze wino?

- Będę szczerą: oto dokładnie takie zagrożenie, z jakim powinniśmy walczyć - mówi Futurystka. - Pozaświatowiec, który ma się za lepszego od nas. - Wodzi wzrokiem po pokoju. - Głosujmy: ja jestem za tym, żeby wykopać ich z naszej planety i wrócić do naszych zajęć. A przy okazji należy udzielić reprymendy Dzentelmenowi.

Zebrani przy stole kiwają głowami, a ja przeklinam się w duchu, że źle ich przeczytałem. Wciąż nie radzę sobie z gevulotem tak dobrze jak rodowity Marsjanin, mimo wsparcia oprogramowania gogolowego.

To się musi źle skończyć, myślę.

I wtedy Mielli zabiera głos.

- Nie jesteście waszymi wrogami - mówi. Wstaje i patrzy cadykom w oczy. - Pochodzę z daleka, wierzę w inne ideały niż wy, ale zapewniam was, że jeżeli ten złodziej się do czegoś zobowiąże, jeżeli zawrze z wami jakiś układ, osobiście dopilnuję, żeby dotrzymał słowa. Jestem Mielli, córka Karhu, z koto Hiljainen, i nigdy nie kłamie.

To dziwne, ale ludzie zebrani w tym pokoju wydają się jej bardziej znajomi od wszystkiego, co do tej pory widziała w tym świecie. Ich zamaskowane twarze płoną marzeniem, czymś, co jest większe od nich samych. Przypominają jej młodych wojowników z ojczystego koto. Złodziej nigdy tego nie

zrozumie, mówi innym językiem, mową gier i sztuczek.

- Zajrzyjcie w moje myśli.

Otwiera przed nimi swój gevulot, całkowicie, najszerzej jak umie. Mogą teraz odczytać jej powierzchowne myśli i przejrzeć wszystkie wspomnienia z tego świata. Czuje się lekka, jakby zrzuciła z ramion gruby i ciężki płaszcz.

- Jeżeli znajdziecie tam jakiś fałsz, możecie nas od razu wygnać. Czy przyjmiecie naszą pomoc?

Przez chwilę przy stole panuje milczenie, które Cichy przerywa jednym słowem:

- Tak.

Raymonde prowadzi nas przez Montgolfiersville, opłótkami wśród ogródków, w których są zacumowane balonowe domy. Światło słońca przefiltrowane przez różnokolorowe worki z gazem i zawroty głowy wywołane gevulotem (nie wolno nam zapamiętać, gdzie odbyło się spotkanie) na długą chwilę odbierają mi mowę. Kiedy jednak wkraczamy na znajomą szeroką aleję Skraju i Raymonde znów zmienia się z Dzentelmena w elegancką kobietę, czuję, że muszę coś powiedzieć.

- Dziękuję. Podjąłeś ogromne ryzyko. Postaram się, żebyś nie musiała tego żałować.

- Istnieje spore prawdopodobieństwo, że stanie ci się krzywda, więc nie dziękuj mi jeszcze.

- Było aż tak źle?

- Tak. Aż tak źle. Myślałam, że popełniłam błąd, na szczęście, wtedy wtrąciła się twoja przyjaciółka. - Raymonde spogląda z szacunkiem na Mielli. - Postąpiłaś... szlachetnie. Przepraszam, że nasze pierwsze spotkanie odbyło się w niezbyt miłych okolicznościach. Mam nadzieję, że jeszcze będziemy współpracować.

Mielli kiwa głową.

Patrę na Raymonde. Dopiero teraz dociera do mnie, że wygląda inaczej niż w moich wspomnieniach. Wydaje się mniej bezbronna. Starsza. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy w

ogóle znam tę nową, obcą kobietę.

- To dla was naprawdę ważne, prawda? - pytam.

- Tak. Bardzo ważne. Dla ciebie to na pewno obce uczucie: robić coś dla innych.

- Przepraszam. Ja też przeżyłem... trudny okres. Spędziłem bardzo dużo czasu w bardzo nieprzyjemnym miejscu.

Obrzuca mnie chłodnym spojrzeniem.

- Zawsze byłeś mistrzem usprawiedliwień. A przepraszać nie musisz, to i tak nie pomoże. Nie wiem, może nie wyraziłam się dostatecznie jasno: niewielu jest we wszechświecie ludzi bardziej odrażających od ciebie. Na twoim miejscu odszukałabym ich. Może wtedy udałoby nam się przynajmniej przeprowadzić w miarę pochlebne porównanie. - Zawiesza głos. - Wasz hotel jest tam. Ja mam teraz lekcję. - Uśmiecha się do Mielli. - Niedługo się odezwę.

Otwieram usta, ale coś mi mówi, że tym razem lepiej będzie siedzieć cicho.

Po południu zabieram się do planowania.

Mielli przerobiła nasz apartament na twierdzę (kwantopunkty nadal patrolują okna i drzwi), a teraz dochodzi do siebie po bijatyce z Raymonde. Mam więc znowu okazję poupać się względną samotnością - jeśli tylko zapomnę o łączącym nas biołączu. Wychodzę na taras z plikiem gazet, kawą i croissantami. Zakładam ciemne okulary, rozsiadam się wygodnie i zaczynam przeglądać rubrykę towarzyską.

Jak ze wszystkim na Marsie, także w gazetach nie skąpią pieniędzy na efektowną formę, i łapię się na tym, że podoba mi się przesadzony realizm dramatycznych historyjek. Dużo jest o cadykach, chociaż ton wypowiedzi bywa różny; niektórzy wysławiają ich pod niebiosa. Znajduję notkę o dzieciaku współpracującym z Dżentelmanem przy sprawie pirata gogolowego. Ciekawe, czy to o tym detektywie wspomniała Futurystka.

Najciekawsza jest lista zbliżających się *carpe diem* - powinna być utajniona, rzecz jasna, ale dziennikarze naprawdę się

starają, żeby odkrywać takie tajemnice.

Chyba za dobrze się bawisz, żeby nazwać to pracą, odzywa się Perhonen.

- Ależ to jest praca, jak najbardziej. Planuję.

Zechciałbyś mi to wyjaśnić?

- A co, jest w tobie coś więcej niż ładna buzia?

Patrzę w bezchmurne niebo. Łącze komunikacyjne wskazuje mi statek jako maleńki punkcik nad horyzontem. Gołym okiem go nie widzę. Posyłam mu całusa.

Pochlebstwo nic ci nie da.

- Nie przedstawiam swoich planów, dopóki nie skończę ich układać. To proces twórczy. Przystępca jest artystą; detektywi to tylko krytycy.

Widzę, że humor ci dopisuje.

- W końcu znów zaczynam się czuć sobą. Walka z kamarylą geniuszy kontrolujących ludzkie umysły, u boku zamaskowanych strażników prawa... Tak właśnie powinno wyglądać życie.

Co ty nie powiesz... Jak sobie radzisz na ścieżce samopoznania?

- To sprawa prywatna.

Pozwól, że zacytuję Mielli...

- Wiem, wiem. Raymonde za wcześniej mnie złapała, wychyciłem tylko jakieś przebłyski. Nic użytecznego.

Na pewno?

- O co ci chodzi?

Gdybym była podejrzliwa, mogłabym pomyśleć, że już wiesz, jak znaleźć to, czego szukamy, i tylko dla zabawy trzymasz nas w niepewności, bo to pomaga ci wczuć się w tę ekstrawagancką osobowość złodzieja.

- Obrażasz mnie. Naprawdę myślisz, że mógłbym się tak zachować?

Statek ma trochę racji. Obchodzę się ze wspomnieniami jak z jajkiem, staram się ich nie dotykać - i to chyba rzeczywiście po części dlatego, że dobrze się bawię.

Mam jeszcze inną teorię. Starasz się jak diabli, żeby zaimponować tej całej Raymonde.

- Moja droga, to już przeszłość. Gdybym w mojej profesji pozwolił, żeby takie sprawy przyćmiewały mi umysł, byłoby to bardziej niż niebezpieczne.

Mhm.

- Posłuchaj, miło mi się z tobą gawędzi, ale im szybciej będę mógł wrócić do tego, na czym znam się najlepiej, tym będę szczęśliwszy. Dlatego... przydałoby mi się trochę ciszy i spokoju. Obmyślam właśnie sposób włamania do krainy umarłych.

Odchyłam głowę, zamykam oczy i przykrywam twarz gazetą dla osłony przed słońcem i statkiem.

Widzisz? O tym właśnie mówiłam. Cały dzień czekałeś, żeby to powiedzieć.

Mielli jest zmęczona. W jej ciele trwa proces sprawdzania i resetowania kolejnych systemów. Od lat nie miała okresu, ale niejasno sobie przypomina, że było to podobne uczucie. Po powrocie ze spotkania z cadykami ma ochotę pójść do swojego pokoju, położyć się, puścić łagodnie oortyjskie piosenki i osunąć się w sen, lecz pellegrini - w granatowej wieczorowej sukni - już na nią czeka. Ma elegancką fryzurę i długie czarne jedwabne rękawiczki.

- Moje dziecko... - mówi, składając wonny pocałunek na policzku Mielli. - To było cudowne. Ten dramatyzm. Ta walka. I ta żarliwa wiara z twojej strony, dzięki której przekonałaś ludzi w tych śmiesznych przebraniach, że cię potrzebują. Nawet robiony na zamówienie gogol lepiej by tego nie rozegrał. Niemal żałuję, że wkrótce otrzymasz obiecaną nagrodę.

Mielli jest zdziwiona.

- Miałyśmy puścić złodzieja...

- Wiem, ale są pewne granice. Kilka wasiliewów tu czy tam - to jedno, ale są pewne aspekty całej sprawy, których nie można pomijać w kontekście Wielkiego Wspólnego Dzieła. Kryptarchowie są jednym z nich. Z wielu powodów nie chcielibyśmy w tej chwili zakłócać równowagi.

- Czyli ich... nie zniszczymy?

- Oczywiście, że nie. Spotkacie się z nimi i uzgodnicie dalsze działania. Dacie cadykom dokładnie tyle, ile musicie, żeby dostać to, czego potrzebujemy. I nic ponadto. A potem... Potem wydamy cadyków kryptarchom. I wszyscy wygrają. - Pellegrini się uśmiecha. - No, moje dziecko, nasz złodziej chyba chce z tobą porozmawiać o swoich nowych pomysłach. Bądź dla niego miła. Ciao.

Mielli dotyka klejnotu Sydan, żeby sobie przypomnieć, po co to wszystko robi, a potem kładzie się wygodnie i czeka na pukanie do drzwi.

ROZDZIAŁ 12

DETEKTYW I *CARPE DIEM*

Wieczorem w dniu przyjęcia ogród przypomina aktora przed występem, który wstrzymuje oddech i szeptem powtarza swoje kwestie.

Na stolikach stoją w równych rzędach kieliszki do szampana. W małych pawilonach przewidziano miejsce dla bardziej egzotycznych, pozaświatowych używek. Niezapalone świetliki czekają na zmrok. Złożona z wyciszonych orkiestra stroi instrumenty - części swoich ciał - czemu towarzyszy dyskretna metaliczna kakofonia. Specjalista od fajerwerków, w cylindrze na głowie, wkłada kolorowe rakiety do urządzenia, które wygląda jak miniaturowe organy.

- I co pan na to, panie detektywie? - pyta Unruh.

Jest przebrany za sol jovis, ostatni dzień tygodnia w dariańskim kalendarzu: jego strój płonie kolorami dawno nieistniejącego gazowego olbrzyma i w cieniu drzew emanuje lekką białą-czerwoną poświatę.

- Przywodzi mi to na myśl przyjęcia w dawnym Królestwie - mówi Isidore.

- Ha, no tak. Tak czy inaczej, nie jest to najgorszy sposób spędzenia kilku megasekund. - Unruh spogląda na Zegarek, który nosi przypięty na łańcuszku do kamizelki. Wygląda zdumiewająco zwyczajnie: czarny krążek z jedną złotą wskazówką. - Jak pan myśli, kiedy zostanie okradziony?

- Jesteśmy przygotowani najlepiej jak to możliwe. Ktokolwiek to będzie, le Flambeur czy nie, musi rzetelnie zapracować na swój łup.

Ostatecznie cały system ochrony składa się z kilku starannie rozplanowanych agor i dodatkowych służących wynajętych przez Odette od Głosu: to bojowi wyciszeni, przystosowani do

walki z phobosami, uzbrojeni i wyposażeni w specjalistyczne czujniki. Isidore ma nadzieję, że to wystarczy. Rozważał inne, bardziej złożone rozwiązania wykorzystujące technologię czarnorynkową, ale w końcu doszedł do wniosku, że raczej osłabiłyby system, zamiast go wzmocnić.

- To mi się podoba. - Unruh poklepuje go po ramieniu. - Nie rozmawialiśmy dotąd o pańskim wynagrodzeniu...

- Panie Unruh, zapewniam pana, że...

- Wiem, wiem, to bardzo szlachetne z pana strony. Proszę wziąć sobie moją bibliotekę, może uda się panu z niej skorzystać. A jeśli nie, to niech ją pan spali. Odette już przygotowała umowę. Dopilnuję, żeby przed końcem przyjęcia przekazano panu gevulot.

Isidore wybałusza oczy.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Niech tylko nasz nieproszony gość dobrze się napoci. Przyjdzie pan z osobą towarzyszącą?

Isidore kręci głową.

- Szkoda. A teraz proszę mi wybaczyć, przed śmiercią zamierzam się oddać rozpuście. Isidore jeszcze przez chwilę śledzi przygotowania i kieruje wyciszonych - niskie, przypominające pantery bestie w lśniących czarnych pancerzach - na patrole wokół posiadłości. Następnie udaje się do jednego z pokoi gościnnych, gdzie czeka już na niego przygotowany kostium sol lunae. Strój nadal jest nieco zbyt kobiecy, przyciasny w niewłaściwych miejscach, ale Isidore się przebiera. Ma poczucie, że czegoś mu brakuje - dopóki nie znajduje pierścienia splątaniowego w kieszeni spodni. Zawiesza go na łańcuszku Zegarka.

A więc tak wygląda trema, myśli sobie.

W dobrym tonie jest spóźnić się na przyjęcie, więc Raymonde i ja specjalnie się nie śpieszymy - podobnie jak inni goście. Pająkotaksówki wypływają mężczyzn i kobiety w ozdobnych przebraniach, koronkach, intelmaterii i xanthyjskich jedwabiach jak ze snu. Motywem przewodnim imprezy jest

„czas”, przybyli więc bogowie i boginie dariańskiego kalendarza, planety i gwiazdy. Oczywiście, wszyscy obnoszą się ze swoimi Zegarkami.

- Nie mogę uwierzyć, że dałam się na to namówić - mówi Raymonde. Humanoidalny wyciszony w olśniewającej liberii, z twarzą ukrytą pod maską, sprawdza nasze zapisane we wspomnieniu zaproszenia i wprowadza nas w tłum, który zbiera się w grupki i powoli wypełnia ogród z dariańskim zegarem słonecznym. Brzęk kieliszków, tęskna aresnova i głosy gości tworzą upojną symfonię.

Uśmiecham się do Raymonde. Jest uwodzicielskim Phobosem w głęboko wyciętej sukni i białych rękawiczkach, z lśniąca kulą światła na wysokości podbrzusza, która świeci dostatecznie mocno, żeby przesłonić strategiczne miejsca. Zadowolam się rolą skromnego pawia u jej boku, we fraku, z kilkoma ozdobnymi replikami Zegarków i kwiatem w butonierce.

- Zapewniam cię, że to jedno z najmniej niemoralnych przedsięwzięć w moim życiu. Zabieram bogatym i daję biednym. W pewnym sensie.

- Mimo wszystko... - Raymonde pozdrawia skinieniem głowy mijającą nas parę w przebraniach Wenus i Marsa. Ich gevulot odsłania tylko tyle, żeby mieli pewność, że ich widać. - My takich rzeczy nie robimy. Prawdę mówiąc, jest to dokładne zaprzeczenie naszych zachowań.

Poświęta małego Phobosa w jej brzuchu podkreśla elegancką strukturę kostną twarzy. Przypomina mi posąg jakiejś greckiej bogini.

- Twoi zamaskowani przyjaciele domagają się dowodu, więc im go dostarczymy.

Biorę kieliszek z szampanem z tacy niesionej przez wyciszzonego kelnera. Przy okazji strząsam mu z kłapy marynarki drobinę kurzu i spryskuję ją odrobiną pierwszego elementu mojego planu, który noszę w kwiatku w butonierce. To mocna substancja, ale dobrze jest szybko wprowadzić ją w obieg; wymaga czasu, żeby zadziałać.

- Nie bój się, jeśli tylko twoja przyjaciółka nas przedstawi,

wszystko pójdzie gładko jak po maśle.

Jak zabezpieczenie imprezy? - szepczę do Mielli. Została w hotelu, żeby pilnować mojej łączności z *Perhonen*.

Minimalne, odpowiada. *Chociaż i tak mocniejsze niż się spodziewałeś. Trochę mnie martwią bojowi wyciszeni, mają naprawdę przyzwoite czujniki.*

- Wyświadczyć mi przysługę - prosi Raymonde. - Nie próbuj mnie uspokajać. Chodź, pogadamy z gośćmi.

Załatwienie zaproszeń przyszło jej z zadziwiającą łatwością. Wygląda na to, że Christian Unruh jest mecenasem sztuki i miłośnikiem tradycji Królestwa, dlatego znajoma Raymonde ze szkoły muzycznej uznała, że dobrze by było, gdyby Raymonde przedyskutowała z nim koncepcję swojej opery. Oczywiście, na takim przyjęciu wprost roi się od niedoszłych artystów poszukujących sponsora, ale przyjaciółka Raymonde obiecała, że osobiście przedstawi nas gospodarzowi. Niczego więcej nie potrzebuję.

- Raymonde! - Niska, starszawa kobieta macha do nas. Jest ubrana w uszytą z intelmaterii sukienkę, która wygląda jak klepsydra bez szkła: w ogóle nie widać materiału, tylko przesypujący się po jej bujnej figurze czerwony marsjański piasek. Efekt jest hipnotyzujący. - Cudownie, że przyszedłeś! Kim jest ten przystojny dżentelmen?

Kłaniam się i uchylam gevulotu, jak nakazuje uprzejmość, uważam jednak, by nie zachowała żadnych trwałych wspomnień z tego spotkania.

- Raoul d'Andrezy - przedstawia Raymonde moją fałszywą tożsamość emigranta z Ceres.

- Do usług - dodaję.

Gevulot pani klepsydry ujawnia, że nazywa się Sofia Dell'angelo i jest wykładowcą w Akademii Muzyki i Dramatu.

- Och, z pewnością coś wymyślimy - mówi Sofia. - A co się stało z biednym Anthonym? Miał takie śliczne włosy!

Raymonde rumieni się lekko. Nie odpowiada. Sofia mruga do mnie porozumiewawczo.

- Radzę się mieć na baczności, młody człowieku. Ukradnie panu serce i już go nie odda.

- Ciii, proszę mi go nie płoszyć - beszta ją Raymonde. - Złapanie go kosztowało mnie sporo wysiłku. Gospodarz się już pojawił?

- Obawiam się, że jeszcze nie - odpowiada przygnębiona Sofia. Rumieniec wypływa na jej pulchne policzki. - Szukam go od godziny. Nadal uważam, że koniecznie powinien usłyszeć o twoim nowym utworze, wygląda jednak na to, że dzisiaj chce się obracać tylko w gronie najbliższych przyjaciół. - Zniża głos. - Moim zdaniem boi się tego całego le Flambeura. Kto by pomyślał... Straszne.

- Le jak? - dopytuje się Raymonde.

- Nie słyszałaś? Podobno jakiś pozaświatowy przestępca wprosił się na przyjęcie. Nawet przysłał liścik, w którym zapowiada swoją wizytę. Okropnie to wszystko ekscytujące. Christian specjalnie z tej okazji wynajął detektywa, tego młodego chłopca, o którym rozpisywały się gazety.

Raymonde wytrzeszcza oczy.

Zapowiedział swoją wizytę? - syczy mi Mielli w głowie. *Zapowiedział?!*

Nie mam pojęcia, o czym ona mówi, zapewniam. To byłby kompletny brak profesjonalizmu.

Nie kłamię: w ostatnich dniach przygotowania pochłaniały mnie do tego stopnia, że zupełnie nie miałem głowy do jakichś dodatkowych ozdobników. Nagle robi mi się żal: wysłanie notki z potwierdzeniem zaproszenia byłoby posunięciem w doskonałym guście.

Jestem niewinny, przysięgam. Powtarza się problem, który mieliśmy z piratami: ktoś tu za dużo wie.

Musimy przerwać misję, zarządza Mielli. Jeżeli się ciebie spodziewają, ryzyko jest zbyt duże.

Nie żartuj. Taka szansa prędko się nie powtórzy. Po prostu zrobiło się bardziej ekscytująco. A poza tym mam pewien pomysł.

Ta sprawa nie podlega dyskusji.

Chcesz powiedzieć, że czmychniemy z podkulonymi ogonami? Co z ciebie za wojowniczek? Uwierzyłem ci, że nas obronisz, jeśli zrobi się gorąco, ale o reszcie sam chcę

decydować, dobrze? Na tym polega moja praca. Jeśli pojawią się jakieś kłopoty, znikamy.

Mielli się waha.

Będę cię miała na oku, zapowiada.

Nie wątpię.

Raymonde dziękuję Sofii za jej starania i wymykamy się do małego pawilonu przy polanie, gdzie występuje trupa akrobatów w towarzystwie pary zwinnych słoni, które trzymanymi trąbą pochodniami kreślą zawile wzory w powietrzu, oraz stadka tresowanych, wielobarwnych, drących się wniebogłosy megapapug.

- Wiedziałam, że to kiepski pomysł - mówi Raymonde. - Nie przedostaniemy się w pobliże Unruha. Zresztą... Po co w ogóle miałby tu przychodzić?

Jej uwagę przyciąga młody mężczyzna po drugiej stronie polany: wysoki, patykowaty, rozczochrany, w źle skrojonym srebrno-czarnym stroju. Kluczy w tłumie z roztargnioną miną, jakby śnił na jawie.

- To ten detektyw? - domyślam się.

- Tak. Isidore Beautrelet.

- Ciekawe. Musi być blisko z Unruhem.

Raymonde mrozi mnie wzrokiem.

- Jego do tego nie mieszaj.

- Czemu? - Sprawdzam pirackie narzędzia w mojej głowie. Nie korzystałem jeszcze z oprogramowania do kradzieży tożsamości, ale jest gotowe do użytku. - Znasz go? Masz dostęp do jego gevulotu? Coś, czym mogłabyś się podzielić?

Raymonde bierze głęboki wdech. Waha się.

- Daj spokój, nie bądź taką cnotką. Próbujemy popełnić przestępstwo. Wszystkie chwytły dozwolone.

- No dobrze, mam spory kawał jego gevulotu. I co z tego?

- Proszę, proszę... Byliście kochankami? Jemu też skradłaś serce?

- Nie twój interes.

- Pomóż mi. Daj mi jego gevulot, to zrobię to, po co tu przyszliśmy.

- Nie.

Krzyżuję ręce na piersi.

- Jak chcesz. W takim razie wracajmy do domu i niech wasi ukryci lalkarze dalej pociągają za sznurki. Ich i jego. - Pokazuję tłum i detektywa. - O tym właśnie mówiłem: jeśli chce się zwyciężyć, czasem trzeba iść na kompromis.

Odwraca się do mnie tyłem, z zawziętą miną. Próbuje wziąć ją za rękę, ale tylko mocniej zaciska pięść.

- Spójrz na mnie. Pozwól mi to zrobić, żebyście wy nie musieli.

- Niech cię szlag! - Chwyta mnie za nadgarstek. - Ale pamiętaj, cokolwiek ci dam, wszystko jest do zwrotu po zakończeniu roboty. Obiecuj mi.

- Obiecuję.

- Ja też ci coś obiecuję: jeśli go skrzywdzisz, pożałujesz, że nie siedzisz w więzieniu.

Przenoszę wzrok na detektywa: stoi oparty o drzewo z półprzymkniętymi powiekami, prawie jakby spał.

- Nie zamierzam go skrzywdzić, Raymonde. Mogę co najwyżej urazić jego ego, ale to mu dobrze zrobi.

- Nigdy nie umiałeś czynić dobra.

Rozkładam ręce, kłaniam się jej lekko i ruszam na spotkanie z detektywem.

Isidore zachowuje czujność - przechadza się wśród gości, obserwuje, dedukuje. Spod osłony gevulotu przezierają kształtujące się wzorce towarzyskie. Oto kompozytor muzyki, którą później ma wykonać orkiestra; doprasza się o komplementy. Aktywista ruchu na rzecz wskrzeszenia wyciszonych stara się o datek od Unruha. Isidore stara się raczej czuć niż patrzeć, muska otoczenie umysłem jak czubkiem palca, którym odczytuje zapisaną brajlem rzeczywistość i szuka elementów niepasujących do reszty.

- Dobry wieczór.

Wyrwany z zadumy Isidore podnosi wzrok. Stoi przed nim śniady mężczyzna we fraku, niższy od niego, w trudnym do określenia wieku. Jego kamizelka mieni się ozdobnymi złotymi

Zegarkami (pretensjonalny pomysł, zdaniem Isidore'a). Mimo przyćmionego światła nieznajomy nosi okulary przeciwsłoneczne z niebieskimi szklami. W klapie marynarki ma jaskrawoczerwony kwiat. Pachnie kobiecymi perfumami, delikatnym sosnowym aromatem.

Obcy zdejmuje okulary. Ciężkie powieki sprawiają, że kiedy się uśmiecha, robi wrażenie zblazowanego. Ma bardzo ciemne brwi, jakby wyrysowane ostrym ołówkiem. Jego gevułot jest szczelnie zamknięty.

- Tak?

- Przepraszam, szukam... Jak wy to nazywacie? Ustronnego miejsca?

Isidore marszczy brwi.

- Nie rozumiem.

- Chodzi o... funkcje wydalnicze organizmu.

- Ach tak. Jest pan pozaświatowcem?

- Tak. Jim Barnett. Trochę się tu gubię. - Nieznajomy puka się w skroń. - Mój mózg jeszcze się nie przystosował. Może mi pan pomóc?

- Naturalnie.

Isidore przekazuje Barnettowi ko-wspomnienie wskazujące drogę do zamkowych toalet. Czuje przy tym ukłucie zwiastujące ból głowy. Pewnie z przepracowania. Barnett uśmiecha się szeroko i poklepuje go po ramieniu.

- Jak blisko! Dziękuję panu bardzo. Życzę miłej zabawy.

I znika w tłumie.

Isidore'owi przychodzi do głowy, że mógłby kazać go obserwować któremuś z wyciszonych strażników, ale w tej samej chwili jego uwagę zwraca jakieś poruszenie na pobliskiej agorze. Jest coś znajomego w niewysokim mężczyźnie przebranym za sol mercurii - lśni srebrem, promieniuje żarem, na głowie ma skrzydlaty hełm i rozmawia z młodą kobietą w kostiumie zodiakalnych bliźniąt: utkany z mgły duplikat jej samej kopiuje każdy jej ruch. Mężczyzna patrzy gdzieś w dal.

Isidore szepcze coś do jednego z wyciszonych, podchodzi do tych dwojga i kładzie mężczyźnie dłoń na ramieniu.

- Adrian Wu?

Dziennikarz aż podskakuje.

- Porozmawiajmy - dodaje Isidore.

- Mam zaproszenie! - uprzedza Wu. - Unruh rozdawał je na prawo i lewo. Muszę napisać o tej imprezie. Za to dziwię się, że ty tu jesteś. Czy moi czytelnicy powinni się jeszcze o czymś dowiedzieć?

- Nie. - Isidore pochmurnieje. - Robisz tu analogowe zdjęcia?

- No cóż...

Jeden z bojowych wyciszonych bezszelestnie podchodzi do Isidore'a i zwraca pozbawioną twarzy głowę w stronę dziennikarza. Wydaje ciche, poddźwiękowe buczenie, od którego Isidore'owi wibrują płuca. Wu przygląda mu się szeroko otwartymi oczami.

- Powinieneś wiedzieć, że jestem tu szefem ochrony - wyjaśnia Isidore.

- Ale...

- Oddaj zdjęcia, to pozwolę ci zostać.

Wu zdejmuje hełm, odkręca od niego mały cylindryczny przedmiot i daje go Isidore'owi: analogowy aparat fotograficzny, ze spustem migawki w przeciągniętym pod brodą pasku od hełmu - prościutka zabawka ze światłoczułym filmem, tak prymitywna, że nie wywołuje reakcji gevoluotu.

- Dziękuję - mówi Isidore i kłania się kobiecie-bliźniętom. - Na pani miejscu uważałbym, co mówię w towarzystwie tego człowieka. Gdyby się pani naprzykrzał, proszę dać znać. - Uśmiecha się do Wu. - Później mi podziękujesz.

Właśnie zaczął się pierwszy taniec. Isidore dochodzi do wniosku, że zasłużył na drinka i bierze sobie kieliszek białego wina. Sprawdza czas: Unruhowi została jeszcze godzina do przewidzianego terminu zgonu.

W tej samej chwili uświadamia sobie, że zgubił zawieszony na łańcuszku Zegarka pierścień splątaniowy. Serce bije mu mocniej. Mignięciem wraca do spotkania z mężczyzną w niebieskich okularach i widzi, jak intruz go okrada: prawie niedostrzegalnym ruchem zdejmuje Zegarek z łańcuszka, ściąga pierścień i przyczepia Zegarek z powrotem, a wszystko w kilka sekund, nie przerywając rozmowy i maksymalnie

zasłaniając się gevolotem.

Isidore bierze głęboki wdech i zaczyna w myślach przeglądać kolejne agory, rozsyłając ko-wspomnienie mężczyzny do Odette i wyciszonych strażników. Intruza nigdzie nie widać: albo wyszedł, albo skutecznie maskuje się gevolotem. Isidore krąży niespokojnie po terenie posiadłości, wypatrując bezkształtnych plam gevolotu, które mogłyby kryć nieproszonego gościa, którym z pewnością jest Jean le Flambeur we własnej osobie. Wszystko jednak wskazuje na to, że intruz przepadł bez śladu.

Po co przyszedł ze mną porozmawiać? Chciał mnie sprowokować? Czy...

Znów odczuwa ten dziwny ból głowy i niezwykle wrażenie *deja vu*, migają mu jakieś twarze, jakby był w dwóch miejscach naraz.

Sięga po lupę i zaczyna przeglądać film z aparatu Wu. Zokijski gadżet bez trudu przekłada język ziarna filmu na kolorowe obrazy. Isidore przerzuca je kolejno, postukując palcem w szklaną soczewkę. Kobiety z towarzystwa. Artyści. I... Unruh: zdjęcie sprzed paru minut, jeśli wierzyć znacznikowi czasu. Potentat czasowy zanosi się śmiechem. Otaczają go przyjaciele, wśród których jest znajoma rozczochrana postać w srebrno-czarnym stroju... Wypuszcza aparat z rąk i zaczyna biec.

Skopiowanie wyglądu detektywa zajmuje mi dosłownie chwilę. Robię to w jednym z pawilonów zapewniających całkowitą prywatność, które nasz taktowny gospodarz udostępnia gościom spragnionym uciech cielesnych i innych dyskretnych rozrywek. Nakładam jego trójwymiarowy obraz na swoje ciało i przeprogramuję ubranie. Kopia nie musi być idealna; gevolot ukryje niedoskonałości.

Z rozrządzeniem zerkam na pierścionek, który mu ukradłem. Zokijski, bez dwóch zdań. Później się nim zajmę. Na razie chowam go do kieszeni.

Największy problem jest z sygnaturą tożsamości detektywa - i do tego właśnie potrzebuję gevolotu od Raymonde oraz mocy obliczeniowej *Perhonen*; muszę dokonać przybliżenia stanu

kwantowego, który jednoznacznie identyfikuje jego Zegarek.

Zawsze myślałam, że złodziejstwo to betka, zauważa statek, gdy przerzucamy się informacjami. A tu widzę, że to ciężki kawałek chleba.

- Bezmiar nudy z rzadka przerywany chwilami grozy, tak jak mówiłem.

Staram się ignorować wspomnienia, które przewijają mi się w głowie, obrabiane przez statek i program kopiowania tożsamości - chcę dotrzymać słowa danego Raymonde. Migają mi namalowane na ścianie twarze, dziewczyna z zokijskim klejnotem na szyi. Wspomnienia są dziwnie niewinne, aż zaczynam się zastanawiać, co sobie ten chłoptaş wyobraża, ścigając piratów gogolowych albo przestępców takich jak ja.

Ale odpycham je na bok: to nie jego przyszłość przyszedłem tu ukraść, tylko jego czas. Program gogolowy oznajmia cichym dzwoneczkiem udane zakończenie pracy: złamał zabezpieczenia Zegarka i na chwilę wmówił całemu światu, że jestem Isidore'em Beautreletem, ale ponieważ Zegarek cyklicznie potwierdza tożsamość właściciela w otaczającym nas gevulocie, nie mam czasu do stracenia. Sprawdzam sprzęt (kwantopająka i wyzwalacz umysłowy). Czas na główną atrakcję wieczoru.

Podchodzę do grupy otaczającej Unruha (widzę ją dzięki zapożyczonemu gevulotowi), naśladując niepewny, jakby roztertgniony chód detektywa. Mój cel rozmawia z wysoką kobietą w białym jak lód stroju. Jest wesolutko wstawiony.

- Pan Beautrelet! - wykrzykuje na mój widok. - Jak idzie polowanie na złoczyńców?

- Jest ich tu zbyt wielu - odpowiadam.

Unruh wybucha śmiechem, ale kobieta w bieli przygląda mi się z zaciekawieniem. Muszę się śpieszyć.

- Widzę, że humor panu dopisuje - mówi Unruh. - I dobrze! Wypijmy za to! Opróżnia kieliszek.

Podaję mu kolejny, zdjęty z tacy przechodzącego kelnera. Kiedy go ode mnie odbiera, wydaję szybkie polecenie kwantopająkowi, który przebiega mi po ręce, skacze mu na dłoń i znika w kolorowym rękawie, gdzie zaczyna szukać jego

Zegarka.

Wyhodowanie pająka zajęło mi trzy dni i wymagało kolejnej dłuższej kłótni z Mielli, żeby pozwoliła zmodyfikować wyprodukowane przez Sbornost' ciało. Zaprojektowaliśmy go do spółki z *Perhonen*. Rósł mi w zgięciu łokcia jak mały wielonogi guzek, przechowując w pamięci część kwantowych stanów EPR, których używamy z Mielli do intensywnej łączności ze statkiem.

Uśmiecham się do Unruha i myślami steruję pająkiem.

- Jak miałyby mi nie dopisywać, skoro zaraz zaczną się fajerwerki - odpowiadam.

Jest! Kwantopająk dobiera się do jego Zegarka. Wślizguje się do środka i przywiązuje cieniuteńkie kwantowe nici do pułapek jonowych, w których przechowywane są spersonalizowane, niepowtarzalne jednostki czasu - stany kwantowe, które Zegarek jeden po drugim wysyła do systemu wskrzeszeniowego, odmierzając życie właściciela w ludzkiej postaci. Następnie pająk wysyła dyskretny sygnał do *Perhonen*: jedna, dwie, trzy, dziesięć, sześćdziesiąt sekund zostaje wyteleportowanych pod niebo i zapisanych w postaci stanów kwantowych w skrzydłach *Perhonen*.

I o to chodzi.

Unruh marszczy brwi.

- Czekam z fajerwerkami na swoją wielką chwilę - zauważa. Uśmiecham się.

- Każda chwila powinna być wielka, nie uważa pan?

Znów się śmieje.

- Panie Beautrelet, nie wiem, skąd czerpie pan swoje żarty, czy z dna kieliszka, czy z ust pięknej dziewczyny, ale cieszę się, że mogę ich słuchać.

- Pan le Flambeur, jak mniemam?

Detektyw staje przede mną w eskorcie dwóch wyciszonych - czarnych i smukłych żywych wcieleń siły i zajadłości. Unoszę brwi.

Szybciej niż się spodziewałem, znacznie szybciej. Kłaniam mu się. Zasłużył.

- Do usług - mówię i przywracam swojej twarzy prawdziwe

rysy. Uśmiecham się do Unruha. - Uprzejmy z pana gospodarz, ale na mnie chyba już czas.

- Panie le Flambeur, jestem zmuszony prosić pana, żeby się pan nie ruszał.

Podrzucam w powietrze kwiat z butonierki i formuję w myślach scenę, w której naciskam duży czerwony guzik.

Wszystkie fajerwerki wystrzelują jednocześnie. Ogniste smugi przecinają niebo, zwijając się w podwójne i potrójne spirale; gwiazdy eksplodują płatkami srebra, czemu towarzyszy odgłos gromu; spada kaskada fioletowego confetti; dwie niebieskie rakiety kreślą symbol nieskończoności. Pachnie prochem.

Wszystko wokół mnie tężeje. Strażnicy zmieniają się w posągi. Muzyka zamiera. Unruh wypuszcza kieliszek i stoi nieruchomo, ze szklistymi oczami. Kilka osób powoli osuwa się na ziemię, ale większość utrzymuje równowagę, wpatrzona w dal, choć niewidząca. Fajerwerki dogasają nad naszymi głowami.

Następna sztuczka z podręcznika pirata: wirus optogenetyczny, który uwrażliwia komórki mózgowie na określone długości fal świetlnych. Nietrudno było go zmodyfikować w taki sposób, żeby, zamiast ładować do mózgu żądane dane, wywoływał okresową katatonię. Wywołana przez mój kwiat infekcja rozprzestrzenia się chyba szybciej niż się spodziewałem. A w Ruchomym Mieście jest wielu producentów fajerwerków; przekupienie ich pod pretekstem niewinnej niespodzianki dla pana Unruha było w tym wszystkim najłatwiejsze.

Otulam się gevolotem i ruszam przez oszołomiony, milczący, bezmyślny tłum. Raymonde czeka na mnie przy bramie, również zamknięta w kokonie pełnej prywatności.

- Na pewno nie chcesz jeszcze raz zatańczyć? - pytam.

Zamykam oczy i czekam, aż mnie spoliczkuje, ale nic takiego się nie dzieje. Kiedy rozchylam powieki, widzę, że wpatruje się we mnie z nieprzeniknioną miną.

- Oddaj mi jego gevolot. Natychmiast.

Oddaję. Zwracam wszystkie udzielone mi przez nią prawa do

wspomnień detektywa, pozbywam się go z mojego organizmu i znów staję się tylko Jeanem le Flambeurem. Raymonde oddycha z ulgą.

- Tak lepiej. Dziękuję.

- Rozumiem, że twoi kumple zatrą nasze ślady?

- O nic się nie martw. Uciekaj i rób swoje.

- Może poczujesz się lepiej, kiedy ci powiem, że dalszy ciąg przewiduje moją śmierć.

Jesteśmy w parku. Jest ciemno. Raymonde zmienia się w Dzentelmena i wzbija w powietrze. Dogorywające fajerwerki odbijają się w jej metalicznej masce.

- Nigdy nie chciałam twojej śmierci. Zawsze chodziło o coś innego.

- Ale o co? O zemstę?

- Daj znać, kiedy już zgadniesz - odpowiada i znika.

O dziwo, po upływie skradzionego kawałka czasu przyjęcie toczy się dalej bez przeszkód. Minęło dziesięć minut. Orkiestra podejmuje melodię, rozlega się szmer rozmów. Oczywiście, wszystkie konwersacje mają jeden i ten sam temat.

Isidore czuje łomotanie w skroniach. Razem z Odette i strażnikami przeszukują ogród i przeglądają zapisy w jego egzopamięci, raz po raz. Nigdzie nie ma śladu le Flambeura. Rozczarowanie i świadomość klęski ciąży mu w żołądku jak ołowiana kula. Dopiero krótko przed północą wraca do gości.

Unruh otworzył swój gevulot dla wszystkich. Jest w centrum uwagi i doskonale się z tym czuje; wszyscy gratulują mu odwagi w konfrontacji ze złodziejem. W końcu ucisza gości gestem.

- Moi drodzy, nadchodzi czas, kiedy będę musiał was opuścić. Dziękuję za cierpliwość w obliczu nieplanowanych atrakcji. - Śmiech. - Na szczęście, dzięki odwadze naszego nieocenionego pana Beautreleta złodziej uciekł z pustymi rękami. Zamierzałem odejść w łóżku, w towarzystwie moich pięknych pań. - Przytula dwie kurtyzany z Ulicy Węży. - Być może przygnieciony przez słonia. - Kieliszkiem salutuje olbrzymiej bestii, która z gracją góruje nad tłumem. - Może jednak lepiej

będzie, kiedy stanie się to tutaj, wśród przyjaciół. To my decydujemy, czym jest czas; może być względny lub absolutny, skończony albo nie. Chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie, dzięki temu, czyszcząc wasze kanały ściekowe, chroniąc was przed phobosami i dźwigając wasze miasto na grzbiecie, zawsze będę pamiętał, jakie to uczucie, mieć takich wspańiałych przyjaciół. Tak więc umieram, z drinkiem w ręce i pocałunkiem... - Całuje przytulone do niego dziewczęta. - No, z dwoma pocałunkami... - Śmiech. - Do zobaczenia w...

Osuwa się na ziemię. Kieliszek wypada mu z ręki. Isidore zerka na Zegarek: za minutę północ.

Jak to się stało? Tak precyzyjnie wszystko zaplanował, co do słowa... Wiwaty i strzelające korki od szampana zagłuszają jego myśli.

Wskrzesciele zabierają ciało, zaczyna się stypa. Isidore siada w kącie z kieliszkiem wina i zaczyna dedukować.

INTERLUDIUM

PRAWDA

W noc Impulsu Marcel i Sowochłopiec wylatują ślizgaczem nad Noctis Labyrinthus.

To pomysł Sowochłopca, naturalnie. Wszyscy wiedzą, że w wąwozach Labiryntu roi się od phobosów i wieją zdradzieckie prądy termiczne. Marcel nie bardzo ma czas na wynajęcie ślizgacza, ale jego kochanek nawet nie chce o tym słyszeć.

- Zestarzałeś się - tłumaczy Marcelowi. - Nigdy nie będziesz artystą, jeśli od czasu do czasu nie poigrasz ze śmiercią.

Ta szpila - tak długo nosił się ze swoim wymarzonym pomysłem, że w końcu zrealizował go ktoś inny - kłuje boleśnie. Marcel nie potrafi przejść nad tym do porządku dziennego i tym sposobem szybuje teraz w powietrzu, zerkając to w mroczne przepaści, to w gwiazdziste niebo. Mimo wszystko doskonale się bawi.

Nad Ius Chasma Sowochłopiec zniecka obniża lot i ślizgacz prawie szoruje brzuchem po rosnących w tym miejscu mrocznych pseudodrzewach, zanim wyprowadzi go stromo w górę. Prześlizgują się tuż nad krawędzią wąwozu, żołądek spada Marcelowi w okolice pięt, na widok jego miny Sowochłopiec wybucha śmiechem.

- Zwariowałeś - mówi Marcel i go całuje. Sowochłopiec uśmiecha się w odpowiedzi.

- Myślałem, że już nigdy tego nie zrobisz.

- Było fajnie - przyznaje Marcel. - Moglibyśmy wzlecieć wyżej i trochę popatrzeć w niebo?

- Cokolwiek zechcesz, najdroższy. Mamy całą noc na akrobacje.

Marcel udaje, że nie widzi porozumiewawczego mrugnięcia, odchyła oparcie fotela i patrzy w niebo. Mignięciami

przywołuje opisy planet i konstelacji.

- Myślałem o tym, żeby stąd odlecieć - mówi.

- Odlecieć? Ale dokąd?

- No wiesz, tam. - Marcel gestykułuje. - Wysoko. - Przyciska rozcapierzoną dłoń do gładkiej, przezroczystej powłoki ślizgacza. Jowisz mruga do niego spomiędzy palców. - Czy tutejszy cykl nie wydaje ci się głupi? Mam wrażenie, że nic już nie jest rzeczywiste.

- Nie na tym przypadku polega twoja praca? Na tworzeniu poczucia nierzeczywistości?

Sowochłopiec się złości. Jest studentem inżynierii i gdyby nie jego fizyczna atrakcyjność, Marcel nigdy by się nim nie zainteresował. Czasem mówi takie rzeczy, że Marcelowi przestaje bić serce. Podczas dwuletniego już związku nieraz nosił się z zamiarem porzucenia go, ale w takich chwilach jak ta zawsze czuje, że warto zostać.

- Nie. Chodzi o to, żeby rzeczom nierzeczywistym nadać pozór rzeczywistości, a te już rzeczywiste uczynić jeszcze bardziej rzeczywistymi. Tam, w górze, byłoby łatwiej. Zoku mają maszyny, które materializują myśli. Sbornost' twierdzi, że zamierza zapisać wszystkie myśli, kiedykolwiek zostały pomyślane. A tutaj...

Jowisz eksploduje pod jego palcami. Przez chwilę widzi czerwony kontur swojej dłoni na tle oślepiającej bieli. Cały ślizgacz się trzęsie, jego skrzydła wyginają się dziwacznie jak papier w ogniu. Marcel czuje w dłoni zimną rękę Sowochłopca - a potem jego ukochany krzyczy bez słów, gardło rozdziera mu nieartykułowana głośolalia. Niebo płonie. Spadają.

Dopiero znacznie później dociera do Marcela określenie „Impuls” - po tym, jak wyciszeni przynieśli ciała z pustyni, a wskrzesciele poskładali je w całość.

Ucierpiałoby miasta. Egzopamięć jest uszkodzona. Dalej, w głębi nieba, sprawy mają się jeszcze gorzej: Jowisz zniknął, pochłonięty przez osobliwość grawitacyjną, technologiczną lub obie naraz - tego dokładnie nikt nie wie. Sbornost' twierdzi, że

powstrzymuje kosmiczne zagrożenie, i wszystkim obywatelom Kazamat proponuje transfer do bezpiecznego azylu. Zokijskie niedobitki w Supra City również szykują swój ruch. Mówi się o wojnie.

Marcela niezbyt to wszystko interesuje.

- Co za miła niespodzianka - mówi Paul Sernine.

Znajdują się w pracowni Marcela. Może Marcel tylko to sobie wyobraża, ale gevolut jego rywala zdradza cię zazdrości, gdy Paul ogląda modele glinotroniczne, szkice i znaleziska.

- Naprawdę nie spodziewałem się, że do mnie pierwszego się odezwiesz po tak długiej nieobecności - ciągnie Paul. - Co słyszać?

- Sam zobacz - odpowiada Marcel.

Sowochłopiec siedzi w najładniejszym pokoju w domu Marcela - domu na Skraju, z oknami wychodzącymi poza miasto. Najczęściej siedzi bez ruchu przy oknie, z pustym wzrokiem, opatulony medpiankowym kokonem, ale czasem zdarza mu się coś powiedzieć - z jego gardła dobywa się wtedy długi ciąg chropowatych, zdzierających krtań zgrzytów i metalicznych szczęknięć.

- Wskrzesiciele nie wiedzą, co się dzieje. W jego mózgu trwa stały stan koherentny, jakby żywcem wyjęty ze starych teorii świadomości; w mikroprzewodach neuronowych utrzymuje się splątany z egzopamięcią kondensat. Może z tego wyjdzie, kiedy nastąpi kolaps, a może nie.

- Bardzo przykro mi to słyszeć - mówi Sernine, Marcel zaś ze zdumieniem stwierdza, że troska w jego głosie brzmi szczerze. - Żałuję, że nie mogę wam jakoś pomóc.

- Możesz.

- Nie rozumiem.

- Poddaję się. Kiedyś uznałeś moje idee za warte naśladowania, więc zamierzam ci je sprzedać. - Marcel ogarnia gestem całe studio. - Wszystkie. Wiem, że cię na to stać.

- Ale dlaczego? - pyta zaskoczony Sernine.

- Szkoda zachodu. Tam są prawdziwi giganci, takie żuczki jak

my się nie liczą. Ktoś może nas rozdeptać i nawet tego nie zauważy. Nie ma sensu produkować po prostu ładnych obrazków, zresztą... wszystko już było. Jesteśmy mrówkami. Najważniejsze to opiekować się sobą nawzajem. - Marcel bierze Sowochłopca za rękę. - A opiekę to akurat mogę mu zapewnić. Na tym polega moje zadanie. Poczekam, aż poczuje się lepiej. Ale potrzebuję czasu.

Sernine długo patrzy na nich w milczeniu.

- Mylisz się - mówi w końcu. - Jesteśmy tak samo wielcy jak tamci. Tylko ktoś im to musi pokazać.

- Budując domki dla lalek? Jeśli chcesz... - Marcel macha ręką i przedkłada Sernine'owi kontrakt gevulotowy. - To wszystko należy do ciebie. Wygrałeś.

- Dziękuję - odpowiada półgłosem Sernine. Wstaje i wsłuchuje się w wydawane przez Sowochłopca dźwięki. Odchrząkuje i mówi: - Czy jeżeli się zgodzę, będę mógł was czasem odwiedzać?

- Jak chcesz, dla mnie to bez znaczenia.

Podają sobie ręce. Marcel z grzeczności proponuje koniak, piją i Sernine wychodzi. Po karmieniu Sowochłopiec trochę się uspokaja. Marcel długo jeszcze przy nim siedzi, każąc domowi grać aresnowę. Kiedy wschodzą gwiazdy, zaciąga zasłony.

ROZDZIAŁ 13

ZŁODZIEJ W PODZIEMNYM ŚWIECIE

Następnego dnia rano w Miejscu Straconego Czasu fingujemy moją śmierć. Właśnie tutaj żebracy czasowi przychodzą wyzionąć ducha. To agora, na której stoją spiżowe szkielety, podobizny śmierci i cierpienia. Śmierć w tym miejscu to widowisko, które ma zapewnić wykonawcy kilka dodatkowych bezcennych sekund.

- Czas, czas, czas ucieka! - wołam do przechodzącej pary, potrząsając instrumentem wykonanym z wyfabrykowanych kości.

Za moimi plecami, w cieniu posągów, dwoje żebraków rozpaczliwie uprawia seks. Nadzy morituri o pomalowanych twarzach wirują w dzikim tańcu; ich blade ciała wiją się i drżą spazmatycznie.

Ochryplęm od pokrzykiwania na turystów z innych światów, którzy stanowią większość naszej publiczności. Zdziwiony Ganimedanin w gibkim egzozszkielecie co rusz rzuca nam okrawki czasu, jakby karmił gołębie. Najwyraźniej niczego nie rozumie.

Tylko nie przesadz, słyszę w głowie głos Mielli. Śledzi danse macabre na placu i obserwuje tłum.

Muszę być wiarygodny.

Jesteś. Daj znać, jak będziesz gotowy.

No to jedziemy.

- Czas to wielki niszczyciel! - wołam. - Mógłbym być Thorem, bogiem gromu, a i tak starość by mnie powaliła! - Kłaniam się.
- Panie i panowie, patrzcie: oto śmierć.

Mielli wyłącza mnie zdalnie. Nogi uginają się pode mną. Płuca przestają działać, przez co mam wrażenie, jakbym się topił. O dziwo, świat wokół mnie pozostaje ostry i wyrazisty jak

zawsze. Mój umysł w ciele ze Sbornosti nadal działa, ale przechodzi w stan uśpiania. Reszta ciała przestaje funkcjonować. Obraz w moich oczach przekrzywia się gwałtownie, przewracam się, naśladując ruchy *danse macabre*, które od dwóch dni ćwiczę w towarzystwie innych umierających. Nasze ciała leżące na skwerze układają się w litery słów MEMENTO MORI.

Tłum gapiów wiwatuje chaotycznie, w ich okrzykach wyrzuty sumienia mieszają się z fascynacją - a potem na chwilę robi się cicho. Cały plac dudni pod zbliżającymi się w marszowym rytmie ciężkimi stopami. To nadchodzą wskrzesiciele.

Tłum rozstępuje się przed nimi. Z biegiem lat cała procedura przybrała charakter rytuału i nawet wskrzesiciele się z tym pogodzili. Jest ich około trzydziestu. Wchodzą na plac trójkami, odziani w czerwone szaty, ciasno otuleni gevolotem skrywającym ich twarze i sposób, w jaki stawiają kroki. U pasa niosą przyczipione Karafki. Ich śladem podąża grupa wyciszonych pomocników. Wyglądają jak olbrzymy o ludzkich sylwetkach: mają po trzy, cztery metry wzrostu, czarne lśniące skorupy zamiast twarzy i pęk kończyn wyrastających z korpusu. Czuję, jak ziemia drży pod ich stopami.

Postać w czerwonym kapturze staje nade mną i umieszcza swoją Karafkę nad moim przerobionym Zegarkiem. Przez ułamek sekundy czuję irracjonalny lęk - ci mroczni żniwiarze z pewnością znają wszystkie sztuczki mające na celu oszukanie śmierci - ale nie: mosiężny przyrząd przez chwilę terkocze, a potem wydaje pojedynczy dźwięczny ton. Wskrzesiciel pochyła się i czubkami palców zamyka mi powieki w szybkim, profesjonalnym geście. Jeden z wyciszonych podnosi mnie i znów słyszę stłumione dudnienie stóp, gdy niesie mnie do świata podziemnego.

Nic nie widzę, informuję Mielli. Mogłabyś mi włączyć jakiś dodatkowy zmysł?

Nie chcę, żeby się zorientowali. Poza tym... wczuj się w rolę.

Dziwnie się czuję, niesiony tunelami prowadzącymi do podziemnego świata. Wsłuchuję się w kroki rozbrzmiewające w mieście pod miastem i wdycham dziwną woń wyciszonych,

która kojarzy mi się z zapachem wodorostów. Rytmiczny ruch usypia mnie, wprowadza w stan dziwnej melancholii. Żyję od stuleci i nigdy jeszcze nie umierałem. Może mieszkańcy Kazamat znają się na rzeczy, może wykształcili właściwy stosunek do nieśmiertelności: kto od czasu do czasu umrze, ten bardziej doceni życie.

Dobrze się bawisz? - pyta Perhonen.

Jeszcze jak!

To mnie niepokoi. Czas się obudzić.

Ożywam po raz drugi, ale tym razem bez snów towarzyszących powrotowi do świata żywych. Mam wrażenie, że powieki pokrywa mi warstwa kurzu. Unoszę się w lepkim żelu w jakiejś niewielkiej, ograniczonej przestrzeni. Zwracam i wypływam mały przyrząd z szybkokamienia, którym otwieram trumnę: ma tylko zwykły mechaniczny zamek, bez żadnej blokady gevolutowej; to naprawdę niezwykle, jakimi tradycjonalistami są wskrzesiciele. Drzwiczki trumny przesuwają się w bok. Wyczołguję się ze środka.

I niewiele brakuje, żebym spadł: znajduję się wysoko na ścianie cylindrycznej komory o metalowych ścianach pokrytych małymi włazami trumien. Wnętrze przywodzi mi na myśl szafkę na dokumenty. Z góry na dół biegną liny, na których w dole wisi jeden z wyciszonych - przypominająca ośmiornicę wieloramienna machina, która umieszcza świeże ciała w trumnach. Przymykam swój właz, zostawiając szparę, przez którą będę mógł obserwować, co się dzieje, i czekam, aż wyciszony sobie pójdzie. W pewnym momencie mijam mnie, mknąc po linach na górę niczym pająk. Wychodzę z ukrycia i rozglądam się za jakimiś uchwytyami. Cały ociekam żelem.

Dobra, odzywa się Perhonen. Mam obraz. Na dole są szyby techniczne: tamtędy możesz wprowadzić Mielli.

Rekonfiguruję warstwę kwantopunktów pod skórą, która dzięki temu czepia się ściany jak odnóża pająka, i schodzę na sam dół, mijając uśpionych umarłych.

Stale towarzyszy mi hałas, na który składają się bliższe i dalsze syki, dudnienia i łaskoty. To tutaj znajdują się wnętrzości miasta - tłoki i motory; przewody, w których krążą

syntebiologiczne organizmy naprawcze; rozliczne sztuczne mięśnie poruszające nogami.

Wiązka przezroczystych rur biegnie przy ścianie komory i znika w pionowych szybach u jej podstawy, gdzie dostrzegam szczelne zaprojektowane ewidentnie z myślą o mniejszych wyciszonych. Szyby są dla mnie w sam raz: bez trudu wciskam się w jeden z nich. *Perhonen* na bieżąco podsyła mi obrazy przetworzone z echa mojego sygnału WIMP: otacza mnie chaotyczna anatomia komór, tuneli i maszynerii.

Schodzę szybem ponad pięćdziesiąt metrów, zdzierając sobie skórę o rury i ściany; zatrzymuję się za każdym razem, gdy dobiega mnie odgłos przemykającego gdzieś w pobliżu wyciszonego. W pewnym momencie mijają mnie rój wyciszonych wielkości żuków. Nie zwracają na mnie uwagi, przechodzą po mnie i obok mnie, ich małe ślepie lśnią w ciemności. Z trudem powstrzymuję się od krzyku.

W końcu trafiam na odchodzący od szybu poziomy tunel, wyłożony jakimś ceramicznym tworzywem i oślizły od gorzko pachnącej cieczy spływającej po porowatych ścianach. Jest w nim całkiem ciemno, przełączam się więc na podczerwień i usiłuję nie zwracać uwagi na majaczący na obrzeżach pola widzenia świat olbrzymów. Koncentruję się tylko na celu mojej wędrówki.

Czołganie się w mroku trwa wieki, dopóki tunel w końcu nie rozszerzy się i zacznie opadać, a ja muszę się mocno zapierać rękami, żeby się nie zsunąć. W oddali dostrzegam wreszcie światło, pomarańczową poświatę. Wieje lodowaty wiatr. Widzę teraz, że tunel przechodzi w lekko nachylony szyb zamknięty gęstą siatką, przez którą przenika światło z zewnątrz.

Jestem gotowy, melduję Perhonen. Daj znać Mielli.

Odbiera twój sygnał naprowadzający. Powinna zaraz tam być.

Dotarcie do tego miejsca wymagało starannego planowania. Gevulot wokół podstawy miasta jest niesamowicie gruby - Kazamaty nie zamierzają ułatwić piratom życia - dlatego nie pozostało nam nic innego, jak rozpracować drogę wejścia od środka.

Znów sięgam po przyrząd z szybkokamienia, żeby wyciąć otwór w siatce; gładko wżera się w plecionkę. Kiedy spoglądam w dół, przez moment kręci mi się w głowie. Chwilę później czuję podmuch gorącego wiatru i Mielli na rozpostartych skrzydłach zawisa na wysokości wylotu tunelu.

- Co tak długo? - pytam. Patrzy na mnie z dezaprobatą.

- Wiem, wiem - mówię. - Powinienem był się ubrać po zmartwychwstaniu.

Prowadzi nas tunelami, kierując się sygnałem kwantopająka, który informuje nas o położeniu ciała Unruha. Cieszę się, że Mielli jest ze mną, bo mnie tunele i korytarze rozmywają się przed oczami w jedną szarą plamę. Kiedy, sapiąc i dudniąc, mijają nas jacyś więksi wyciszni (zalatuje od nich morzem), Mielli okrywa nas mgłą kamuflującą.

Docieramy do cylindrycznych krypt o średnicy stu stóp, których chrom i sterylność czystości kontrastują z mrokiem tuneli. Na włazach trumien są wyryte nazwiska i kody. Unruha znajdujemy w trzeciej krypcie z kolei.

Kiedy do niej wchodzę, z góry dobiega głośnie syczenie: ośmiornicowaty grabarz zauważył mnie i błyskawicznie zjeżdża po linach.

Mielli odpycha mnie w bok i strzela do niego z duchostrzału. Słysząc zgrzyt, gdy wyciszony nieruchomieje dosłownie parę metrów nad moją głową i bezwładnie zawisa na linach, kołysząc się jak zapomniana marionetka. Patrzę z bliska na opatrzoną żuwaczkami nie-twarz i z wysiłkiem przełykam ślinę.

- Nie przejmuj się - uspokaja mnie Mielli. - Mój gogol przejął już jego funkcje motoryczne, ale umysł jest nieuszkodzony. Nie chcemy przecież łamać twojego kodeksu zawodowego.

- Tym akurat niezbyt się martwię.

Mielli przyniosła mi skafander z intelmaterii, ale cały czas jest mi zimno. Na jej gest wyciszony posłusznie wspina się po ciało Unruha i chwilę później trumna ląduje przed nami na podłodze. Otwieram ją moim szybkokamiennym gadżetem.

- Tak jak mówiłem Raymonde: zabieramy bogatym i dajemy

biednym.

Były potentat czasowy jest bardzo błądy i w zasadzie nagi, jeśli nie liczyć czarnego krążka Zegarka.

Jazda, nadają do Perhonen.

Mój udoskonalony wzrok pokazuje mi wystrzeloną przez nią wiązkę cząstek jako biały słup światła, który teleportuje do Zegarka ukradzioną przez nas wcześniej minutę, a potem moje pole widzenia eksploduje białym szumem. To automatyczny system wskrzeszeniowy ładuje do ciała Unruha pobrany z egzopamięci ostatni zsynchronizowany zapis jego umysłu.

Ciało dygocze, Unruh bierze głęboki, nierówny wdech. Kaszle. Otwiera oczy.

- Co... gdzie...

- Przepraszam, panie Unruh, to potrwa tylko chwilkę.

Mielli podaje mi hełm transferowy - gładki, czarny czepek, który zakładam Unruhowi na głowę. Materiał czepka łapczywie przylega do czaszki. Unruh parska śmiechem, ale zaraz się krztusi.

- To znowu pan? - Kręci głową. - Jestem zawiedziony. Nie sądziłem, że okaże się pan zwyczajnym piratem gogolowym.

Uśmiecham się.

- Zapewniam pana, że nie mam ani kawałka pańskiego gevulotu i że zwróciłem panu wszystko, co wcześniej ukradłem. Teraz chodzi o coś zupełnie innego. Proszę się nie ruszać.

Rozwiązanie samo się narzucało. Jak sprawdzić, czy jakieś mroczne siły manipulują umysłami ludzi? Trzeba znaleźć czysty szablon i dokonać porównania jego stanu przed śmiercią i po wskrzeszeniu. Unruh był młody; nigdy wcześniej nie umarł, nigdy nie został poddany Wyciszeniu; jego umysł nigdy jeszcze nie przeszedł przez system wskrzeszeniowy - aż do teraz. Jeżeli ktoś nim manipulował, zaraz się tego dowiemy. A jeśli nie... Cóż, nie była to najgorsza impreza mojego życia.

- Jeśli to konieczne... - Wzdycha. - Już rozumiem: ukradł mi pan minutę, a teraz mi ją pan zwraca, żeby tutaj uzyskać dostęp do mojego umysłu. Interesujące, chociaż niezrozumiałe. To bardzo dziwne przestępstwo, panie le Flambeur. Szkoda, że nie mogę poczekać, aż pan Beautrelet pana złapie.

- Przekażę mu pańskie wyrazy uszanowania. I jeszcze jedno: przepraszam, że spotykamy się w takich okolicznościach, że nie mogę panu nawet zaproponować drinka.

- Nic nie szkodzi. Całkiem niedawno doświadczyłem znacznie gorszych niewygód.

- Skoro i tak czekamy... Pozwoli pan, że zapytam, jak to się stało, że spodziewał się nas pan na przyjęciu?

Machnięcie ręki.

- List.

- Jaki list?

Przygląda mi się ciekawie.

- Nie pan go przysłał? W takim razie to jest jeszcze ciekawsze, niż sądziłem. Co za szkoda, że tyle przegapię. W mojej bibliotece pojawił się list od pana. Nie wiedzieliśmy, skąd się tam wziął. Pan Beautrelet doszedł do wniosku, że egzopamięć została uszkodzona...

Odbieramy dane, informuje mnie Perhonen. Faktycznie widać zmiany, zwłaszcza w...

Unruh krzywi się wściekle i zaczyna mnie dusić - białe palce wbijają mi się w ciało. Wrzeszczy przeraźliwie, rozdzierająco. Uderza mnie czołem w twarz. Przed oczami mam czerwoną mgiełkę bólu.

Mielli ściąga go ze mnie i wykręca mu rękę.

- Le Flambeur! - krzyczy Unruh nieswoim głosem. - On po ciebie przyjdzie! Le Roi przyjdzie po ciebie!

I wiotczeje w uścisku Mielli, gdy jego czas znów dobiega końca. Rozmasowuję obolałą szyję.

- Powiem tak... Gdybyśmy potrzebowali dalszego dowodu na manipulację umysłami mieszkańców Kazamat, to właśnie go zdobyliśmy.

Mamy komplet danych, mówi Perhonen. Wyglądają bardzo dziwnie. Mielli przekrzywia głowę. Nasłuchuje.

- Ktoś idzie.

Teraz i ja to słyszę: odległe kroki, odgłosy zbliżających się wyciszonych.

- O rety... - mruczę. - Ten dzieciak, detektyw, chyba się domyślił, co planujemy.

Mielli łapie mnie za rękę.

- Później przyjdzie czas na zabawę. Teraz musimy wiać.

Mielli studiuje trójwymiarową mapę, zestawioną przez *Perhonen* w oparciu o dane z sensorów. Szuka wyjścia.

- Nie powinniśmy uciekać? - pyta złodziej.

- Ciii.

Metakora podpowiada jej drogi ucieczki, na których prawdopodobieństwo spotkania kogokolwiek będzie minimalne. Mielli nie zamierza się przebijać do wyjścia przez szeregi wroga.

Jest: na górę krypty, potem przez...

Podłoga i ściany drżą. Słychać rozdzierający jęk i mapa się zmienia. Mielli uświadamia sobie, co oznaczają widoczne na niej gruzły sztucznych mięśni, plamy odpadów cieplnych i energii: to Atlasy, które dźwigają miasto, balansując jego platformami i całą konstrukcją. Mielli ze złodziejem znajdują się dokładnie pod Labiryntem, gdzie topografia miasta zmienia się najszybciej. Kierujący Atlasami wskrzesiciele próbują zapędzić ich w kozi róg i odciąć im drogę ucieczki. To zwiastuje walkę. Chyba że...

- Tędy! - rzuca krótko i zaczyna biec tunelem w stronę, z której dobiegają głosy.

- Nie lepiej byłoby się od nich oddalać? - pyta złodziej.

Mielli, której szkoda czasu na kłótnię, przesyła mu za pośrednictwem biołącza mały wstrząs elektryczny.

- To było zupełnie niepotrzebne!

Tunel jest okrągły w przekroju i coraz szerszy. Metakora wylawia dobiegające z przodu echa ruchów wyciszonych i wskrzesicieli, ale Mielli nie jest nimi zainteresowana.

Wpadają do rozległego, nisko sklepionego pomieszczenia o przekątnej stu metrów, słabo oświetlonego syntebiolicznymi jarzeniówkami. Jedna ściana jest szorstka, organiczna; porusza się i pulsuje jak łuskowaty pancerz żywej istoty. To ciało Atlasa. Mielli uruchamia autyzm bojowy i przegląda mapę okolicy: platformy spawy, elementy składowe miasta.

- Stać! - krzyczy ktoś.

Z drugiej strony do komory wchodzą zakapturzeni wskrzesiciele w asyście olbrzymich bojowych wyciszonych.

Mielli wypala z duchostrzału w ciało Atlasa, wstrzykując mu prostego gogola, który po paru iteracjach dokona samozniszczenia. Ściany i podłoga zaczynają się trząść, Atlas drga spazmatycznie, łuski pękają i z potwornym hukiem cała komora rozszczepta się na dwoje. Z rozdarcia tryska światło.

Mielli łapie złodzieja i skacze.

Spadają w głąb rany w ciele Kazamat, syntebiolologiczne roztwory skapują wokół nich jak krwawy deszcz - i nagle znajdują się na zewnątrz, w gąszczu podtrzymujących miasto nóg, oślepieni światłem dnia.

Mielli rozpościera skrzydła, żeby wyhamować upadek, otula ich oboje gevulotem i rusza w lot powrotny do miasta żywych.

Wracam do hotelu w wyśmienitym nastroju.

Pod gevulotem jestem cały umazany ziemią i błotem, roztrzęsiony po kolejnym locie z Mielli, ale rozpiera mnie radość. Drobną cząstką mnie zastanawia się, czym była istota, która przejęła ciało Unruha, ale inna, znacznie większa, ma ochotę świętować.

- Musimy to uczcić - mówię do Mielli. - Tradycja tego wymaga. Zwłaszcza że jesteś teraz honorową złodziejką. Nawiasem mówiąc, najczęstsze przyczyny wpadki to kłótnia o podział łupów albo spartolenie ucieczki. Ale nam się udało. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

W głowie mi szumi. Przez ostatnie kilka godzin byłem emigrantem z Pasa, detektywem, żebrakiem czasowym oraz trupem.

Tak właśnie musiałem się czuć wcześniej. Trudno mi usiedzieć na miejscu.

- Świetnie się spisałaś, jak Amazonka - bełkoczę bez sensu, ale wcale mi to nie przeszkadza. - Wiesz co? Może kiedy to wszystko się skończy, wrócę i znów tu zamieszkać? Znajdę sobie jakieś skromne zajęcie. Będę hodował róże, łamał serca

dziewczynom, od czasu do czasu coś tam jeszcze wymyślę.

Zamawiam najdroższy napój dostępny w hotelowym fabrykatorze (wirtualne wino z czasów Królestwa) i podaję Mielli kieliszek.

- Tobie też gratuluję, statku! To było mistrzostwo magii kwantowej.

Chyba nadawałabym się na szalonego naukowca, który lubi wysadzać różne rzeczy w powietrze, konstatuje Perhonen. Parskam śmiechem.

- I w lot chwyta aluzje popkulturowe! Zakochałem się!

Przypominam, że znalazłam kilka ciekawostek w naszych zdobycznych danych.

- Później, później do tego wrócimy. Teraz jesteśmy zajęci upijaniem się.

Mielli dziwnie na mnie patrzy. Znów żałuję, że nie mogę nic z niej wyczytać, ale biołacze jest jednokierunkowe. Dziwię się, gdy bierze ode mnie kieliszek.

- Dla ciebie to za każdym razem tak wygląda? - pyta.

- Kochanie ty moje, zaczekaj tylko, aż spędzimy parę miesięcy na planowaniu włamu do mózgu guberni. To... to było jeszcze nic, takie tam zimne ognie, poczekaj na prawdziwe fajerwerki. Ale, ale... Na razie czuję się jak człowiek umierający z pragnienia na pustyni. Napijmy się. - Stukam kieliszkiem w jej kieliszek. - Za kradzież.

Entuzjazm złodzieja jest zaraźliwy i Mielli łapie się na tym, że wesolutko się wstawiła. Zdarzało jej się już wcześniej przeprowadzać akcje wymagające skomplikowanych przygotowań i planowania (jedną z nich było wydostanie złodzieja z więzienia), ale nigdy nie czuła takiego dreszczyku podniecenia łamaniem prawa, jaki emanuje ze złodzieja. On zresztą świetnie odegrał swoją rolę, jakby był jej bratem z koto. Nie wyczuła nawet śladu oporu. W swoim żywiole całkiem się zmienił.

- Nadal nie rozumiem - przyznaje Mielli, siadając na sofie i dając się ponieść bąbelkom szczęścia. - Co cię w tym tak bawi?

- To gra. W Oorcie nigdy w nic nie gracie?

- My się ścigamy. Rywalizujemy w rzemiośle, w śpiewaniu pieśni *vaki*. - Nagle ckni jej się za tym wszystkim. - Lubiałam to, lubiałam robić różne rzeczy z koralu. Wyobrażasz sobie taką rzecz, znajdujesz dla niej odpowiednie słowa i śpiewasz je *vaki*, a *vaki* rozrasta się i ją tworzy. W efekcie otrzymujesz coś, co jest naprawdę twoje. Zupełnie nowy przedmiot, jakiego nie było wcześniej na świecie. - Mielli spuszcza wzrok. - Tak właśnie stworzyłam *Perhonen*. Dawno temu.

Złodziej nieoczekiwanie poważnieje.

- Ja tak samo postrzegam kradzież - mówi. - Co tutaj właściwie robisz, kiedy nie jesteś tam, u siebie, zajęta tworzeniem nowych rzeczy?

- Robię to co muszę. Zawsze tak było - odpowiada Mielli. Powstrzymuje wzbierającą ciemność.

- Ale dzisiaj będzie inaczej - zapowiada złodziej. - Dzisiaj robimy to, co chcemy. Zabawimy się. Na co masz ochotę?

- Na śpiew. Chciałabym pośpiewać.

- Znam idealne miejsce.

Bebechy: podziemne ulice i chodniki pomiędzy odwróconymi wieżami. W dole widać punkciki świateł wyciszonych. Robogazeciarze sprzedają historie o niedawnym trzęsieniu ziemi i dziwnych wydarzeniach na *carpe diem*, które odbyło się poprzedniego wieczoru.

Nieduży bar nazywa się „Pod czerwonym jedwabnym szalikiem”. Jest w nim mała scena. Ściany są obklejone ruchomymi plakatami z żywozapisów muzyków, rzucającymi migotliwe światło na skupisko okrągłych stolików. W niektóre wieczory bar udostępnia mikrofon wszystkim chętnym. Publikę stanowi garstka młodych zblazowanych Marsjan, których twarze mają wiecznie znudzony wyraz, ale złodziej nalega, żeby weszli do środka. Wpisuje ją na listę wykonawców. Rozmawia przyciszonym głosem z właścicielem, gdy ona czeka przy barze, sącząc egzotycznie pachnące drinki z małych kieliszków.

Uparł się, żeby się wystroiła. Posłuchała go i skorzystałszy z

pomocy *Perhonen*, zaopatrzyła się w ciemny kostium z fabrykatom, buty na platformach i parasol. Złodziej orzekł, że wygląda, jakby szła na pogrzeb. Wzdrygnął się, kiedy odcięła mu się, że to może być jego pogrzeb, a ona aż się roześmiała. Dziwne ubranie ciąży jej jak zbroja, ale pozwala jej udawać, że jest kimś innym, kimś nierozważnym. Zdaje sobie sprawę, że to wszystko jest na niby - w razie problemów metakora natychmiast wypłucze z jej organizmu resztki alkoholu i zbędne emocje - ale fajnie jest tak poudawać.

Jak mi idzie? - szepcze do *Perhonen*. *Szkoda, że cię tu nie ma. Będę śpiewać.*

Na scenie dziewczyna w za dużych okularach przeciwsłonecznych uprawia sztukę będącą połączeniem poezji, abstrakcyjnych obrazów z plastomaterii i bicia jej serca. Mielli widzi, że złodziej jest zażenowany.

Przykro mi, odzywa się statek. Jestem zajęta. Rozwiążuję skomplikowane zagadnienie wielowymiarowej siatki kryptograficznej z udziałem tysiąca gogoli matematycznych. Ale cieszę się, że się dobrze bawisz.

Tęsknię za nią.

Wiem. Odzyskamy ją.

- Mielli? Twoja kolej.

Mielli się wzdryga. *Muszę iść. Zaśpiewać.* Powstrzymuje beknięcie.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie do tego namówiłeś - mówi na głos.

- Często to słyszę - odpowiada złodziej. - Ale jesteś tu jedyną osobą, której naprawdę mogę zaufać, więc nie martw się: będę cię osłaniał.

Mielli kiwa głową. Ścisza ją w gardle - ją albo jego, nie jest pewna. Na drżących nogach wchodzi na scenę.

Pieśni płyną z niej wartkim strumieniem. Śpiewa o lodzie. Śpiewa o długiej wędrówce Ilmatar, która opuściła płonący świat; o szczęściu posiadania skrzydeł; o przodkach w *alinen*. Śpiewa pieśń, która tworzy statki. I taką, która zamyka drzwi koto przed Mrocznym Człowiekiem.

Śpiewa o domu.

Kiedy kończy, na widowni najpierw zapada cisza, a potem słuchacze zaczynają klaskać, jeden po drugim.

Dużo później wracają razem do hotelu. Trzymają się ze złodziejem za ręce, ale jakoś nie ma w tym nic niestosownego.

W hotelu, kiedy przychodzi pora pożegnania, złodziej nie puszcza jej ręki. Mielli czuje jego podniecenie i napięcie, napływające do niej biołaczem. Dotyka jego policzka i przysuwa twarz do jego twarzy.

I wtedy ogarnia ją śmiech, wzbiera w niej jak przedtem pieśni, a gdy widzi jego urażoną minę, nie umie się powstrzymać.

- Przepraszam... - krztusi się, zgięta w pół, ze łzami w oczach.

- To silniejsze ode mnie.

- To ja przepraszam, że nie widzę w tym niczego zabawnego.

Twarz złodzieja wyraża tak wielką urażoną dumę, że Mielli zaczyna się bać, że umrze ze śmiechu.

- Jak chcesz - mówi złodziej. - Ja sobie zrobię drinka.

Okręca się na pięcie, gotowy wyjść z pokoju.

- Zaczekaj. - Mielli pociąga nosem i ociera łzy. - Przepraszam.

Dziękuję za świetny pomysł. To było po prostu... zabawne, ale naprawdę jestem ci wdzięczna za ten wieczór.

Złodziej się uśmiecha. Półgębkiem.

- Nie ma za co. Sama widzisz, że czasem warto zrobić coś, na co ma się ochotę.

- Ale nie zawsze.

- Nie - przyznaje z westchnieniem złodziej. - Chyba nie zawsze. Dobranoc.

- Dobranoc.

Mielli z trudem powstrzymuje chichot, gdy nagle czuje gwałtowne szarpnięcie w gevułocie - i przypomina sobie, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

- Ojejku - słychać obcy głos. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Na ulubionym miejscu złodzieja siedzi jakiś mężczyzna i pali małe cygaro, którego ostra woń jest jak przykre wspomnienie.

Jest młody, czarne włosy ma zaczesane do tyłu. Przerzucił marynarkę przez oparcie fotela i zakasał rękawy. Szczerzy w uśmiechu białe, ostre zęby.

- Pomyślałem, że czas porozmawiać - mówi.

ROZDZIAŁ 14

DETEKTYW I ARCHITEKT

Isidore drugi raz ogląda zwłoki Unruha, który po drugiej śmierci wygląda znacznie mniej spokojnie niż ubiegłej nocy: bladą twarz wykrzywia paskudny grymas, palce ma zakrzywione niczym szpony, na czole i skroniach widnieją jakieś czerwone ślady.

W krypcie jest zimno. Z ust Isidore'a bucha para. Gevulot jest szczelnie zamknięty, wszystko wydaje się nierzeczywiste i śliskie, a milczenie trzech wskrzesicieli, którzy go tu przyprowadzili, nie pomaga. Są ubrani w czerwone szaty, ciemność i gevulot skrywają ich twarze. Stoją w nienaturalnym bezruchu, nie przestępują nerwowo z nogi na nogę, nawet - zdaje się - nie oddychają.

- Doceniam, że pozwoliliście mi tu wejść - zwraca się Isidore do tego (albo tej) ze złotym symbolem nieskończoności na piersi. - Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest... niecodzienna.

Nikt mu nie odpowiada. Jest prawie pewien, że to ten sam wskrzesiciel, z którym rozmawiał wcześniej we wskrzeszalni, kiedy dotarło do niego, co zamierza złodziej. Po trzęsieniu miasta sprowadzili go tutaj, żeby pokazać mu, co się stało, ale na razie żaden się nie odezwał.

To było jedyne logiczne wytłumaczenie: taką odrobinę czasu warto było ukraść tylko po to, żeby potem zwrócić ją właścicielowi i dopuścić się jakiegoś przestępstwa w świecie podziemnym. Biedny Unruh.

Elementy układanki nie chcą się ułożyć. Nie podoba mu się to.

Ogląda miejsce przestępstwa przez swoją zokijską lupę. Na podłodze znajduje resztki dwóch różnych żelów do konserwacji ciał - Unruha i kogoś jeszcze. To pasuje do teorii, która

tłumaczy, jak złodziej dostał się do krypty: w jakiś sposób udał martwego, a potem wpuścił ciężkobrajnego współnika. Trzeba będzie przejrzeć zapisy egzopamięci ze wszystkich tych agor, na których umierają żebracy czasowi.

Odkrywa również pozostałości niezwykle sztucznych komórek, znacznie bardziej złożonych niż w zwykłym syntebiolicznym ciele z Kazamat. Znajduje je pod paznokciami Unruha, co dowodzi, że walczył. Plamy na czole i ślady uszkodzeń mózgu wskazują, że dokonano przymusowego transferu osobowości.

- Czy można go ożywić, chociaż na chwilę? - pyta wskrzesicieli. - Na podstawie jego zeznań moglibyśmy ustalić, co tu zaszło.

Wcale się nie dziwi, gdy odziani w czerwień strażnicy świata podziemnego zbywają go milczeniem. Nie zamierzają naginać prawa wskrzeszeniowego do żadnych celów - nawet gdyby tym celem miało być wyjaśnienie tajemnicy przestępstwa.

Zamyślony Isidore przechadza się po sali. Jeden ze wskrzesicieli opatruje uszkodzonego wyciszzonego, który padł ofiarą współnika złodzieja. Isidore zbadał już pocisk, którym został trafiony - małeńki odłamek diamentu; jeżeli nawet miał wcześniej jakąś strukturę wewnętrzną, i tak przetopił się od tego czasu w jednolitą masę.

Jedna rzecz nie daje mu spokoju: brak motywu. Najpierw zdarzenie na przyjęciu, a teraz to - jedno i drugie nie ma nic wspólnego z przypadkami piractwa gogolowego, o których czytał lub które pomagał rozwikłać. Nic nie wskazuje na to, żeby złodziej próbował włamać się do gevolutu Unruha. Nie ma przestępstwa. Czas został najpierw skradziony, a następnie zwrócony wraz z dwoma kopiami umysłu Unruha - które są oczywiście bezużyteczne bez niezbędnego do ich rozszyfrowania klucza gevulotowego. A skoro już o tym mowa... Jak złodziejowi udało się ukraść czas?

- Mogę go zobaczyć? - Sięga po Zegarek Unruha i ostrożnie wypłątuje łańcuszek z palców umarłego. - Muszę go zbadać.

Wskrzesiciel z symbolem nieskończoności na piersi kiwa z namaszczeniem głową, wyjmując z kieszeni mały, całkiem

zwyczajny Zegarek. Dotyka Karafką najpierw swojego Zegarka, potem tego należącego do Unruha, i starannie zamienia je miejscami. Dopiero teraz oddaje Isidore'owi Zegarek zmarłego.

- Dziękuję.

Wskrzesciel odrzuca kaptur i uchyla gevulot, odsłaniając krągłą, przyjazną twarz. Odchrząkuje.

- Przepraszam... Spędzamy tyle czasu z naszymi... wyciszonymi braćmi, że trudno potem...

- Nic nie szkodzi - zapewnia go Isidore. - Bardzo to uprzejme z pana strony.

Wskrzesciel wyjmuje z kieszeni coś jeszcze.

- Mój partner... ten tutaj... - Wskazuje leżącego na podłodze wyciszonego. - Przed Wyciszeniem był... pańskim... wielbicielem. - Kaszle. - Pomyślałem, że może... poproszę... o autograf?

Podaje Isidore'owi obleczonej w powłokę z plastomaterii wycinek z gazety: artykuł Adriana Wu.

Isidore z westchnieniem sięga do kieszeni po długopis.

Mruży oczy przed światłem dnia, ale cieszy się, że zostawił za sobą ciemną fasadę wskrzeszalni. Po lodowatym świetle podziemnym ciepły wiatr wiejący Niezmienną Aleją wydaje mu się gorący. Dźwięk ludzkich głosów działa jeszcze bardziej orzeźwiająco.

Po ataku optogenetycznym na przyjęciu jest jeszcze trochę oszołomiony, dokucza mu lekki ból głowy. Wyciszony lekarz zbadał go podobnie jak innych gości i nie znalazł żadnych trwałych śladów infekcji. Udało mu się natomiast wyizolować wirus, a po przeszukaniu ogrodu Isidore i Odette znaleźli porzucony kwiat, za pomocą którego wirus został rozpylony w powietrzu. Isidore ma go teraz w przerzuconej przez ramię torbie, bezpiecznie zamknięty w kwantopunktowej bańce.

Nie spał; przewalające mu się przez głowę myśli nie dają mu chwili spokoju, a gdy przypomni sobie o złodzieju, czuje w piersi bolesne ukłucie wstydu. Znajdowali się tak blisko, stanęli twarzą w twarz - a złodziej ukraść mu i powierzchowność, i

pierścień splątaniowy. Kradzież tożsamości to zresztą kolejna zagadka: Isidore jest w zasadzie pewien, że złodziej nie powinien mieć dostępu do jego geulotu.

W dodatku nie zostawił po sobie żadnych śladów w ogrodowej egzopamięci. Jedyna chwila, kiedy pojawia się bez maski, to scena rozmowy z Isidore'em. Wydaje się oczywiste, że może dowolnie zmieniać wygląd. Isidore zaczyna się zastanawiać, czy dręczący go niepokój nie jest przypadkiem podszyty strachem; może le Flambeur jest dla niego zbyt wymagającym przeciwnikiem.

Przystaje pod jedną z kwitnących wiśni, którymi jest wysadzana Aleja, i wciąga zapach kwiatów głęboko w nozdrza, żeby rozjaśnić sobie w głowie. Jego wróg różni się od zwykłego pirata tylko reputacją i talentem. Na pewno gdzieś popełni błąd. Trzeba go tylko odkryć.

Zgrzyta zębami i skręca z Alei w jedną z bocznych uliczek. Szuka warsztatu zegarmistrzowskiego.

- Ciekawe... - mówi zegarmistrz. Ogląda Zegarek Unruha przez masywny mosiężny okular. - Wydaje mi się, że wiem, jak to zostało zrobione.

Soczewka okularu mieni się wyświetlanymi na niej cyfrowymi informacjami. Zegarmistrz jest chudym mężczyzną w średnim wieku, w czarnym T-shircie z oderwanymi rękawami. Ma niebieskie włosy, postrzępione wąsy i uszy rozciągnięte od nadmiaru implantów i kolczyków. Jego warsztat to skrzyżowanie laboratorium fizyki kwantowej i pracowni zegarmistrzowskiej, pełno w nim buczących skrzynek z holowyświetlaczami, stosów starannie posortowanych maleńkich zębatek, narzędzi porozkładanych na blatach. W tle rozbrzmiewa agresywna muzyka; przy pracy zegarmistrz kiwa głową w jej rytmie. Wysłuchawszy historii Unruha, z radością zgodził się pomóc, chociaż Isidore ma problemy z ignorowaniem jego pożądlivych spojrzeń.

Wyjmuje coś z Zegarka wbudowaną w robocze rękawiczki pincetą, w której zminiaturyzowane dłonie z palcami sięgają aż

na poziom molekularny. Unosi znaleziony przedmiot do światła - ledwie widać, że to maleńki pajak w cielistym kolorze. Zegarmistrz zamyka go w małej bańce plastomaterii i powiększa, aż pajak staje się potworem wielkim jak dłoń. Isidore wyjmuje lupe, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenie gospodarza.

- Ten mikrusek ma zapisane w pamięci stany EPR - wyjaśnia zegarmistrz. - Wgryźł się do pułapek jonowych w Zegarku, gdzie jest przechowywany czas w formie kwantowej, i związał ich stany kwantowe z tymi przechowywanymi w swoich bebechach. Potem wystarczyło wysłać jakiś sygnał i... bach! Stany zostały wyteleportowane w diabły. Można powiedzieć, że to najstarsza sztuczka w podręczniku mechaniki kwantowej, ale pierwszy raz widzę, żeby ktoś w ten sposób kradł czas.

- Gdzie mógł się znajdować odbiorca?

Zegarmistrz rozkłada ręce.

- Wszędzie. Kwantoprzekaz nie wymaga silnego sygnału, więc odebrać go można nawet gdzieś w kosmosie. Nawiasem mówiąc, ten maluch na pewno jest nietutejszy. Stawiam wszystkie pieniądze, że to robota Sbornosti. - Spluwa na ziemię. - Oby ich pan złapał.

- Chciałbym. Dziękuję za pomoc.

Isidore rozgląda się po warsztacie. Widok leżących pod szklanym blatem Zegarków wydaje mu się dziwnie znajomy, drażni jego umysł...

Zegarek. Masywny, mosiężny cyferblat. Srebrna bransoleta. Napis „Thibermesnil”... Skąd te wspomnienia?

- Dobrze się czujesz, synu? - niepokoi się zegarmistrz.

- Tak, nic mi nie jest. Muszę tylko na chwilę usiąść.

Isidore przysiada na podsuniętym przez gospodarza krześle. Zamyka oczy i wraca do egzowspomnień z przyjęcia. Jest: dziwne uczucie podwójnego widzenia, zaraz po rozmowie ze złodziejem, tuż przed tym, jak złodziej ukradł czas Unruhowi. Oczywiście! Skoro złodziej wykorzystał klucz tożsamości Isidore'a, żeby się pod niego podszyć, Isidore ma teraz dostęp do egzowspomnień zarejestrowanych podczas tej maskarady.

- Mógłby pan ściszyć muzykę?

- Naturalnie, już się robi. Wody?

Isidore rozmasowuje skronie. Ostrożnie przesiewa wspomnienia, oddzielając swoje od cudzych.

Złodziej spojrział na Zegarek. Tak wygląda jego Zegarek!

Znajduje jeszcze inne obrazy: rysunki architektoniczne, piękna kobieta z blizną na twarzy, statek kosmiczny przypominający motyla z błyszczącymi skrzydłami. Są i emocje: arogancja, pewność siebie, brawura. Złoszczą go.

Dopadnę cię, myśli. Zobaczysz.

Otwiera oczy. W głowie mu dudni. Przyjmuje od zegarmistrza szklanekę wody i pociąga solidny łyk.

- Dziękuję. - Bierze głęboki wdech. - Jeszcze jedno pytanie i dam panu spokój. Widział pan kiedyś ten Zegarek?

Przesyła zegarmistrzowi wyłowione przed chwilą z egzopamięci wspomnienie Zegarka.

- Nie wydaje mi się - odpowiada gospodarz po krótkim namyśle. - Ale wygląda mi to na robotę starej Antonii. Ma pracownię dwie przecznice stąd. Powiedz jej, synu, że przychodzisz od Justina. - Mruga porozumiewawczo do Isidore'a.

- Jeszcze raz dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

- Naprawdę nie ma za co. W dzisiejszych czasach mało kto z młodych docenia prawdziwe Zegarki. - Zegarmistrz uśmiecha się i kładzie dłoń bez rękawiczki na udzie Isidore'a. - Jeśli jednak twoja wdzięczność jest szczerą, moglibyśmy coś wymyślić...

Isidore ucieka. Biegając ulicą, słyszy dobiegającą z tyłu coraz głośniejszą muzykę i śmiech.

- Owszem, pamiętam - mówi Antonia.

Wcale nie jest stara, przynajmniej na taką nie wygląda - ma trzecie, może czwarte ciało drobnej, śniadej kobiety o hinduskich rysach. Jej warsztat jest schludny i jasno oświetlony; w gablotach oprócz zegarków znajduje się modna xanthyjska biżuteria.

Od razu przeniosła ko-wspomnienie do fabrykatora i teraz

waży w dłoni kopię Zegarka, opukując ją jaskrawoczerwonym paznokciem.

- To musiało być dawno, ze dwadzieścia ziemskich lat temu, sądząc po wyglądzie - ciągnie. - Klient zażyczył sobie wbudowania specjalnego mechanizmu, który pozwalałby ukryć coś w środku. Zegarek otwierało się przez naciśnięcie odpowiedniej kombinacji liter. Pewnie prezent dla ukochanej.

- Pamięta pani może, kto go kupił? - pyta Isidore. Kobieta kręci głową.

- Nie, nic z tego. Tak działa gevulot; klienci rzadko pozwalają nam zachować tego rodzaju wspomnienia. Zegarki to bardzo prywatna sprawa. - Marszczy brwi. - Jestem jednak pewna, że takich jak ten zamówiono u mnie całą serię: jeden klient, bardzo podobne wzornictwo. Dam panu schemat, jeśli pan chce.

- Byłoby świetnie.

Antonia kiwa głową i w jednej chwili umysł Isidore'a wypełniają skomplikowane diagramy projektowe, mechaniczne i kwantowe. Przy okazji odczuwa kolejne uderzenie bólu głowy i aż mruży powieki.

Antonia się uśmiecha.

- Mam nadzieję, że Justin pana nie przestraszył. To zawód dla samotników: długie godziny pracy, rzadkie dowody uznania...

- Ten opis jak ułał pasuje do profesji detektywa - zauważa Isidore.

- Czasem tylko go ponosi, zwłaszcza na widok młodych mężczyzn, takich jak pan.

Przy lunchu w napowietrznej knajpce w Montgolfiersville próbuje zebrać myśli. Nawet tutaj ludzie go rozpoznają (wygląda na to, że „Herald” ze szczegółami opisał jego zaangażowanie w *carpe diem* Unruha), ale w tej chwili za bardzo pochłaniają go inne sprawy, żeby chować się pod gevulotem przed wszystkimi ciekawskimi spojrzeciami. Ledwie skubnąwszy zapiekanki z dyni, przegląda w myślach projekty Zegarków.

Są prawie identyczne, różnią się tylko grawerunkiem. *Bonitas. Magnitudo. Eternitas. Potestas. Sapientia. Voluntas. Virtus. Veritas. Gloria.* Dobroć. Wielkość. Wieczność. Moc. Mądrość. Wola. Cnota. Prawda. Chwała. Żadnej z tych wartości nie utożsamiłby z Jeanem le Flambeurem, ale w połączeniu sugerują, że - wbrew temu, co podejrzewał Unruh - cała sprawa wcale nie jest jakimś przypadkowym wybrykiem podyktowanym chęcią zabawienia się z barbarzyńcami z Kazamat. Związki le Flambeura z Marsem mają długą, bo co najmniej dwudziestoletnią tradycję.

Popijając kawę i podziwiając rozpościerającą się w dole panoramę miasta, poświęca godzinę na mignięcie grawerowanych na kopertach słów. Wszystkie razem występują w średniowiecznym, trzynastowiecznym tekście *O Godnościach Bożych* Raymonda Lulla, który ma związek z kabalistycznymi sefirami oraz zaginioną sztuką... zapamiętywania. Jednym ze zwolenników nauk Lulla był Giordano Bruno, który udoskonalił sztukę tworzenia pałaców pamięci: quasi-materialnych magazynów, w których przechowywano wyrażone obrazami wspomnienia. To połączenie ma przynajmniej sens: egzopamięć Kazamat robi dokładnie to samo - zapisuje wszystkie myśli, doświadczenia i odczucia w otaczającej ją wszechobecnej maszynierii obliczeniowej.

To może być dobry trop, lecz Isidore jeszcze się waha; może być tak, że jego umysł dokonuje zwykłego dopasowania wzorców, jak przy dostrzeganiu obrazów twarzy w chmurach. Ale wtedy przypomina sobie rysunki architektoniczne.

Miga informacje o pałacach pamięci i odkrywa, że dwadzieścia lat wcześniej Głos zakontraktował budowę monumentalnego, wieloczęściowego dzieła architektonicznego. Nosilo ono tytuł „Dziewięć refleksji na temat pamięci”, a jego autorem był Paul Sernine.

Wszystkie pałace znajdują się w Labiryncie, stosunkowo blisko siebie, ale publiczne egzowspomnienia na ich temat są

stare i Isidore musi się trochę nachodzić, żeby je znaleźć.

Pierwszy, na który się natyka, stoi nieopodal rynku, wciśnięty między synagogę i niewielki publiczny ośrodek fabrykacji. Ma rozmiary małego domu i jest zbudowany z jakiegoś gładkiego czarnego materiału. Cały składa się z geometrycznych brył i płaszczyzn pozlepianych w pozornie przypadkowy sposób, ale, o dziwo, jego powierzchnie tworzą coś na kształt komnat i korytarzy, co najwyżej trochę zniekształconych, jak w gabinecie luster w lunaparku. Tabliczka przy czymś, co można by uznać za wejście, głosi *Eternitas*.

Budowla bardziej przypomina wytwór jakiegoś procesu algorytmicznego niż projekt ludzkiego umysłu. Niektóre jej części są lekko rozmyte, jakby nieustannie rozdzielaly się i rozwidlały fraktalnie, w skali niedostrzegalnej gołym okiem. Wygląda dość złowieszco. Ktoś z miejscowych ożywił przypominające grobowiec wnętrze, rozstawiając w nim trochę roślin doniczkowych; pnącza wspinają się po wieżyczkach i płaszczyznach w poszukiwaniu światła.

Kiedy Isidore kontempluje budynek, otwiera się przed nim mała lokalna egzopamięć, opisująca *Eternitas* jako „próbę bezpośredniego przekształcenia danych zawartych w egzopamięci w architekturę i przestrzeń życiową”. W Kazamatach wprost roi się od podobnych dzieł sztuki (prawdę mówiąc, nawet jego koledzy ze studiów zajmują się dziwniejszymi projektami), ale ta budowla ma w sobie coś niepowtarzalnego, coś, co ma lub miało szczególne znaczenie dla złodzieja.

Powodowany nagłym impulsem Isidore wyjmuje lupę. Widok zapiera mu dech w piersi. Oglądana w powiększeniu powierzchnia ściany jest niewiarygodnie złożona - czarne płaszczyzny, szpice i piramidy powtarzają się z niepokojącą regularnością, coraz mniejsze, aż do poziomu molekularnego. Samego tworzywa lupa w ogóle nie jest w stanie zidentyfikować; przypomina to, co zoku nazywają kwantomateria, ale jest od niej gęstsze. Mimo niewielkich rozmiarów, pałac musi być potwornie ciężki. W powiększeniu mniej przypomina dzieło architekta, a bardziej część jakiejś

niewyobrażalnie skomplikowanej maszynierii, zamrożonej w czasie.

I jest ich dziewięć, tak? Isidore oddycha głęboko. Może faktycznie mnie to przerasta?

Pogrążony w myślach rusza w stronę następnego elementu „Refleksji”, odległego zaledwie o kilkaset metrów. W drodze przez Labirynt ufa swojemu zmysłowi orientacji.

Jaki to ma związek z Unruhem? - zastanawia się. Czas. Pałace pamięci. Godności Boże. Może to wszystko nie ma sensu, a le Flambeur jest wariatem?

Jednakże instynkt podpowiada mu, że jest w tym jakaś logika; że wszystko, co do tej pory odkrył, to tylko odłamki większej góry lodowej.

Podskakuje, spłoszony niespodziewanym hałasem. Na pobliskim dachu miga mu sylwetka spadorolkarza. W tej części Labiryntu wiele budow zostało porzuconych po rozpoczęciu, gdy ruchy platform miejskich przemieściły ją w niekorzystne położenie. Budynki stojące przy wąskich uliczkach są albo niedokończone, albo opustoszałe. Przywodzą na myśl zepsute zęby.

Spadorolkarz znika, okryty plamą gevolotu. Isidore przyśpiesza.

Minutę później słyszy za plecami kroki. Z początku wydaje mu się, że to tylko jeden człowiek, kiedy jednak zatrzymuje się i nasłuchuje, rozbrzmiewają takim echem, że musi ich być co najmniej kilku; maszerują idealnie równo, jak żołnierze. Isidore szybko skręca w wąską przecnicę, ale w tej samej chwili dryfujące powoli elementy Labiryntu przemieszczają się i uliczka staje się ślepa. Odwraca się i widzi przed sobą czterech Sebastianów.

Wszyscy wyglądają jak chłopak Elodie: szesnaście lat, idealnie regularne rysy, blond włosy, dopasowane ciuchy młodych Marsjan zafascynowanych zokijską modą. Uśmiechają się jednocześnie; ich usta układają się w okrutne, wcale nie wesołe linie.

- Cześć, kopiobójco - mówi jeden z nich.
- Znamy cię - dodaje drugi.
- Nie trzeba było... - zaczyna trzeci.
- ... wtrącać się w nieswoje sprawy - kończy czwarty.
- Głupio robisz, przychodząc do naszej dzielnicy, kiedy cuchniesz światem podziemnym.
- Głupio robisz, kręcąc się przy miejscach, których ukryci kazali nam strzec. Niczym dobrze wyszkoleni żołnierze jednocześnie robią krok do przodu i wyciągają małe noże.

Isidore okręca się na pięcie i zaczyna biec, ile sił w nogach, wypatrując chwyków i stopni, które pozwoliłyby mu pokonać przeszkodę na końcu zaułka.

Sebastian-spadorolkarz rzuca się za nim w pogoń, łapie go wpół i obala na ziemię. Isidore uderza o bruk łokciami, potem także nosem; impet zderzenia wypycha mu powietrze z płuc. Cały świat robi się na sekundę czerwony. Kiedy odzyskuje wzrok, leży na wznak, a nad nim górują cztery doskonale twarze, jak z porcelany.

Coś zimnego i ostrego uciska go w szyję. Czyjeś dłonie przytrzymują mu ręce i nogi. W akcie rozpoczy otwiera geulot i szuka łącza policyjnego, które jednak wydaje się śliskie i nieuchwytnie: blokują je piraci gogolowi.

Macki transferowe tańczą mu nad głową jak węże fajerwerków na przyjęciu; wyobraża sobie, że słyszy ich syk. Czuje bolesne ukłucie w szyję i jeden z Sebastianów podnosi strzykawkę z igłą.

- Zabierzemy ci umysł, kopiobójco - mówi. - To było prawdziwe błogosławieństwo, dowiedzieć się, jak wyglądasz. Fiodorowowi niech będą dzięki, że dał nam zobaczyć tamtą gazetę. Teraz będziesz krzyczał, tak jak ten cukiernik we wspomnieniach mojego brata. Módl się, żeby Założyciele w swojej mądrości przydzielili ci jakąś rolę w realizacji Wielkiego Wspólnego Działania. Może będziesz systemem naprowadzania pocisków. Albo karmą dla smoków.

Isidore odczuwa muśnięcia macek jak ostre, elektryczne pocałunki w głowę.

- Puście go - chrypi chór głosów.

Przy wylocie uliczki, na skraju rozmytego pola widzenia Isidore'a, stoi Dzentelmen: mieniąca się srebrem czarna sylwetka.

- Raczej tego nie zrobimy - mówi pierwszy Sebastian. Część macek sterczy mu z ust jak bukiet świecących węży. - Dotykam jego mózgu. Nawet twoja wiedźmia mgła nie jest szybsza niż światło, suko.

Światło.

Wszyscy Sebastianowie patrzą w tej chwili na Dzentelmena. Isidore wydanym w myślach poleceniem rozpuszcza trzymaną w torbie kwantopunktową bańkę z kwiatem złodzieja.

Oby zadziałał szybko. Oby w ogóle na nich działał.

Otwiera gevulot przed Dzentelmenem, ujawnia mu swoje powierzchniowe myśli i wysyła w nich komunikat. Fajerwerki. Światło.

- Możesz za to posłuchać jego krzyku...

Błysk światła, a potem długi upadek w ciemność.

W końcu światło znów się zapala. Isidore'a otula coś miękkiego. Twarze Sebastianów dalej migają mu przed oczami, dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że to jego własna twarz, odbijająca się w masce Dzentelmena.

- Nie próbuj mówić - ostrzega go cadyk. - Pomoc jest w drodze.

Isidore unosi się w powietrzu na miękkiej poduszce z nieznanego materiału, która i tak w dotyku jest przyjemniejsza niż jego łóżko.

- Niech zgadnę... - mówi. - To druga w kolejności najgłupsza rzecz, jaką w życiu widziałeś?

- Niezupełnie.

- Masz doskonale wycucie czasu. Przydałbyś się wczoraj na imprezie.

- Nie możemy być wszędzie naraz. Rozumiem, że twoje nierozważne zachowanie ma związek z wczorajszym nieproszonym gościem, tak?

Isidore kiwa głową.

- Chciałem z tobą porozmawiać, Isidore. Przepraszam cię. Po naszej ostatniej sprawie osądziłem cię... surowo, ale uważam, że nadajesz się do tego, żeby być jednym z nas. Nigdy w to nie wątpiłem. Nie znaczy to jednak, że koniecznie musisz do nas przystać. Jesteś młody, życie przed tobą. Ucz się. Pracuj. Twórz. Żyj.

- Czemu teraz o tym rozmawiamy?

Isidore zamyka oczy. Głowa tętni mu bólem: drugi raz w ciągu niespełna doby oberwał z broni optogenetycznej. Głos cadyka dudni głucho i dobiega z bardzo daleka.

- Przez ciebie. Ciągłe dzieje ci się krzywda. A wasiliewy wcale nie są największym zagrożeniem. Zostaw złodzieja nam. Wracaj do domu. Dogadaj się z tą swoją zokijską dziewczyną. W życiu chodzi o coś więcej niż gonienie za widmami i polowanie na piratów.

- Dlaczego... dlaczego miałbym cię posłuchać?

Cadyk nie odpowiada, ale Isidore czuje muśnięcie na policzku i całkiem niespodziewany pocałunek w czoło, któremu towarzyszy dziwne wrażenie rozplywania się srebrnej maski. Dotyk jest tak lekki i gładki, że chociaż raz Isidore jest skłonny przyznać, że Adrian Wu miał rację. I ten zapach perfum, delikatna woń sosny...

- Nie każę ci mnie słuchać. Po prostu bądź ostrożny.

Kiedy otwiera oczy, ślad po pocałunku pali go żywym ogniem. Nagle wokół niego wybucha zamieszanie i rozlegają się głosy: to wskrzesiciele i wyciszeni lekarze. Cadyk zniknął. Światło razi Isidore'a. Zamyka oczy.

Jak fajerwerki, myśli.

Tuż przed tym, jak zrobi się całkiem ciemno, przychodzi mu do głowy pytanie: Skąd cadyk wiedział o fajerwerkach?

ROZDZIAŁ 15

ZŁODZIEJ I BOGINI

Mielli i ja patrzymy na intruza szeroko otwartymi oczami, a on wstaje i wkłada marynarkę.

- Napijcie się czegoś? - Podchodzi do fabrykatora i napełnia swój kieliszek. - Czekając na was, już się poczęstowałem. Widzę, że świętujecie. Wcale się wam nie dziwię. - Pociąga łyk napitku. - To był naprawdę niezły numer w waszym wykonaniu. Śledziliśmy go z wielkim zainteresowaniem.

No, dalej, szturcham myślą Mielli. Załatwisz go. A na razie go zagadajmy. Odpowiada mi dziwnym spojrzeniem. Intruz kiwa do niej głową.

- Przy okazji, dziękuję za zaproszenie. Zarówno ja sam, jak i moi współnicy doceniamy bezpośredniość. - Wrzuca do szklanki cygaro, które gaśnie z sykiem. - Ale gdzie się podziały moje maniery... Proszę. - Wskazuje na sofę. - Proszę, siadajcie.

Łapię Mielli za ramię.

Zaproszenie? Strząsa moją dłoń.

Później.

Oortyska śpiewaczka z „Czerwonego jedwabnego szalika” zniknęła bez śladu, jej rysy znów są jak wykute w krzemieniu. Widząc, że nie jest w nastroju do kłótni, siadam obok niej. Nieznajomy przysiadła na skraju stołu.

- Nawiasem mówiąc, Jean, jestem zaskoczony. - Unosi brwi. - W dawnych czasach byłeś bardziej zdecydowany: zamiast czekać biernie na czyjąś śmierć, zwykłeś zostawiać za sobą ciała, gdy to było konieczne. Miękniesz.

- Jestem artystą - wyjaśniam. - A zwłoki psują sztukę. I jestem pewien, że to samo powiedziałbym panu nawet w dawnych czasach, panie... ?

- Najmocniej przepraszam, noszę cudze ciało. Ten młody

człowiek dziś rano wrócił z Wyciszenia. Przywłaszczyłem sobie jego ciało, ponieważ planując nasze spotkanie, chciałem uniknąć... kuszenia was. Żeby mnie nie skrzywdzili. - Wyjmuje z kieszeni świeże cygaro, oblizuje koniuszek i zaciąga się aromatem. - Poza tym miło jest od czasu do czasu przymierzyć coś nowego. Możesz mnie nazywać Robertem. Spotkaliśmy się już kiedyś, chociaż zdaję sobie sprawę, że możesz mnie nie pamiętać, zwłaszcza że od tamtej pory obaj zrobiliśmy karierę. Ja stałem się... jednym z oświeconych obywateli, których twoi przyjaciele cadykowie nazywają kryptarchami. Ty zaś najwyraźniej zostałeś więźniem.

Kryptarcha Robert zapala cygaro i pyka dymem. Czubek cygara się rozżarza.

- Aż się człowiek zaczyna zastanawiać, czym jest karma, prawda? Moim zdaniem należałoby koniecznie uwzględnić jej koncept w systemie wskrzeszeniowym nowej generacji.

- Czego chcesz? - pytam. Znów unosi brwi.

- Taaak... Twoja współpracownica przedstawiła nam bardzo interesującą propozycję. Może zechce ją powtórzyć na twój użytek.

Mielli spogląda mnie. Jej lekki makijaż wygląda dziwnie w ostrym świetle: upodabnia ją do trupa.

- Wy przestaniecie nam przeszkadzać w pracy, a wtedy my damy wam cadyków - mówi Mielli.

- Kuszące, prawda? - pyta Robert.

Gniew wzbiera mi w piersi; pali gorącą żółcią i siarką. Alkohol nie pomaga. Wciągam powietrze głęboko do płuc i ściskam je w sobie, tworzę w umyśle pięść, która je miażdży; przyda się na później.

Uśmiecham się do kryptarchy.

- Widzisz, Jean, obserwujemy cię, odkąd przyjechałeś. Za bardzo rzucasz się w oczy jak na zawodowca. A my ciągle pamiętamy poprzedni raz. Nie dorobiłeś się tu przyjaciół, a szkoda; łączy nas wspólna przeszłość. Chociaż oczywiście lojalność nigdy nie była twoją mocną stroną. Spójrz tylko, co się stało z Raymonde.

Powstrzymuję się od złapania przynęty.

- Po co w takim razie tak się cackaliście? Piraci gogolowi, listy do Unruha...

Widzę w jego oczach błysk, którego nie udaje mu się ukryć pośpieszną manipulacją gevulotem.

Nie wie o liście. Lekceważąco macha cygarem.

- To była taka nasza mała gra, żeby podkreślić atmosferę. Mamy swoje lata i łatwo się nudzimy. Ale do rzeczy, do rzeczy... Odrzuciliśmy waszą ofertę.

Mielli marszczy brwi.

- Dlaczego?

Wyłączam Roberta w odpowiedzi:

- Bo wiecie już, kim są cadykowie. Co najmniej jeden z nich jest wasz. Wszyscy mają za sobą Wyciszenie, a poza tym są przydatni. Utrzymują porządek na ulicach.

- Lubią się popisywać, bywają nieskuteczni i denerwujący, ale zgadzam się, że pomagają nam załatwiać drobne sprawy. Jednak nie w tym rzecz. Zawsze to w tobie lubiłem, Jean, że bardzo łatwo widzisz innych jako potwory, tymczasem my zgadzamy się z cadykami. Chcemy, żeby to miejsce było wyjątkowe, wolne, bezpieczne, żeby żyło się w nim przyjemnie, bez brzemienia dawno popełnionych grzechów. - Robert kręci głową. - To nie cadykowie są naszym problemem, lecz ci, którzy za nimi stoją. Chcielibyśmy podsunąć im trochę fałszywych informacji.

- Kolonia zoku - domyślam się.

- Miło, że interesujesz się naszą lokalną polityką. - Wyjmuje z kieszeni jakiś drobiazg, gładki jajowaty przedmiot, przypominający zokijski klejnot. Pokazuje go nam. - Jest do niego dołączone pewne wspomnienie, spreparowane na użytek waszych przyjaciół, cadyków, i bardzo dla nas użyteczne. Mogliście na nie natrafić podczas afery z panem Unruhem.

- To wszystko? - pyta Mielli.

- Oczywiście, że nie. - Kryptarcha uśmiecha się od ucha do ucha. Zęby ma poplamione sokiem z cygar, przez co wygląda jak młody człowiek z przyklepionym uśmiechem starca. - To nie wystarczy. Chcemy dostać obryw, Jean.

- Słucham?

- Przed laty pozwoliliśmy ci stąd wyjechać, ale miałeś wrócić i podzielić się z nami wszystkimi swoimi pozaświatowymi skarbami. Pamiętasz? Nie, oczywiście, że nie. - Robert kręci głową. - Nie trzeba było wracać, Jean. Mieliliśmy bardzo dużo czasu na wspomnianie dawnych złych czasów. - Wstaje. - Oto nasza propozycja. Po pierwsze, dostarczycie to cadykom, tylko musicie to zrobić przekonująco. Po drugie, jeżeli uda wam się wygarnąć z umysłu tego nieszczęsnego chłoptasia jakieś okrucieństwo informacji, podzielicie się z nami, a oryginał zniszczycie; później ustalimy szczegóły. I po trzecie, kiedy znajdziecie to, czego szukacie, odpalicie nam działkę. Z procentami. Nie bądź chciwy, Jean, twojego przesławnego skarbu z pewnością wystarczy dla nas wszystkich.

- Wiesz, co myślę? Otóż myślę, że blefujesz. Wątpię, żebyście byli choć w połowie tak potężni, jak to sugerujesz, i sądzę, że boicie się tego, co znaleźliśmy. I słusznie. Odpowiedź brzmi...

Mielli zamraża moje ciało. Mam ochotę rozłożyć ręce, krzyczeć, skakać, ale nie jestem w stanie zrzucić psychicznego nelsona, którego mi założyła. Mogę tylko bezradnie patrzeć, jak kryptarcha się jej kłania.

- Moja pracodawczyni uważa was za cennych sprzymierzeńców - mówi Mielli. - W geście dobrej woli podzielimy się z wami naszym... znaleziskiem. Ona zaś rozważy, w jaki sposób mogłaby wam pomóc z zoku.

- Cudownie - odpowiada Robert. - Cieszę się, że się rozumiemy. Miło robi się z tobą interesy. - Pochyla się, opiera dłoń na kolanie, drugą ręką klepie mnie po policzku. To boli. - Wygląda na to, że dama ma cię pod pantoflem, Jean. Ale co w tym dziwnego... Twoje układy z kobietami zawsze tak wyglądały, prawda?

Mielli odprowadza go do wyjścia, a ja stoję jak posąg, okładając się po głowie wyimaginowanymi pięściami gniewu.

- Nie mogę uwierzyć, że się zgodziłaś! - krzyczę na nią. - Chcesz z nimi współpracować? A gdzie twoje śluby? Gdzie honor koto? To cadykowie są dobrzy!

- Miał rację - odpowiada Mielli. - Nie my powinniśmy ich osądzać.

- Akurat! - Podchodzę do okna i przyciskam czoło do szyby, żeby ochłonić. - Poza tym, o czymś zapominasz: znają mnie, czyli z definicji są źli. Nie można im ufać.

- Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. Zanim cokolwiek zrobimy, musimy najpierw odzyskać twoje wspomnienia.

- A jeśli coś się nie uda? Jeśli cadykowie nam nie uwierzą? Jeśli Raymonde... - Gryzę się w język. - To poważny błąd.

- Nie tobie to oceniać. Mamy robotę, i to ja decyduję, jak najlepiej ją wykonać.

- A wiesz, że przez chwilę wydawało mi się, że tkwi w tobie jakaś resztką człowieczeństwa... - Próbuję powstrzymać dalsze słowa, ale wystrzeliwiają z moich ust jak kule z karabinu maszynowego: - 'Sbornost' cię dopadła. Zmieniła cię w robota. Twój śpiew... To była tylko melodyjka z szafy grającej. Nagranie. Gogol. - Zaciskam pięści. - Przesiedziałem wieczność w więzieniu, ale mnie nie złamali. Co ci zrobiła ta suka, której służysz?

Podnoszę kieliszek kryptarchy z pływającym w nim niedopalkiem.

- Proszę, tak to właśnie smakuje. - Pociągam łyk i wypluwam na podłogę. - Jak popiół.

Mielli wstaje i rusza do drzwi. Jej twarz ani drgnie.

- Mam dużo pracy - mówi. - Przejrzę dane od Unruha. Musimy się zabezpieczyć, gdyby wynikły jakieś kłopoty.

- Kłopot to ja już jeden mam: pusty kieliszek. A zamierzam się ubzdryngolić.

- Miłej zabawy - odpowiada chłodno. - Zorientuję się, jeśli spróbujesz się skontaktować z cadykiem. A wtedy źle się to dla ciebie skończy.

Suka.

Wszystko mi ciąży. Jestem w potrzasku. Po raz setny przeklinam starego siebie, że musiał do tego stopnia skomplikować sprawę, podczas gdy skarb można przecież ukryć na dziesiątki banalnie prostych sposobów - na przykład, zakopując go w dziurze w ziemi. Dureń.

Sam jesteś dureń, odpowiada głos w mojej głowie. Zawsze istnieje droga ucieczki. Jedynym więzieniem jest twój umysł.

- Zaczekaj - mówię.

Mielli patrzy na mnie takim samym wzrokiem jak pierwszego dnia na statku, po uwolnieniu mnie z więzienia. Jest zdegustowana.

- Daj mi z nim porozmawiać. To znaczy, z nią.

- Co takiego?

- Chcę rozmawiać z twoją pracodawczynią. Wiem, że jesteście w kontakcie. Załatwmy to raz na zawsze. Jeśli mamy działać po twojemu, chcę to usłyszeć od katarzyniarza, nie od jego małpki.

Jej oczy miotają błyskawice.

- Jak śmiesz...

- No, śmiało, odłącz mnie. Poślij znów do piekła; nie przeraża mnie to, już tam byłem. Chcę tylko wygłosić swoją kwestię. Potem będę grzeczny. - Przełykam ohydny, popielny trunek do końca. - Obiecuję.

Patrzę wściekłym wzrokiem w te jasnozielone oczy. Mielli nawet nie mrugnie, ale po chwili muska palcami bliznę na policzku.

- Dobrze - mówi. - Sam tego chciałeś.

Siada na sofie i przymyka oczy, a kiedy znów je otwiera, jest kimś innym.

Jakby zdjęła maskę. Wygląda starzej, jest spokojniejsza, przy czym nie jest to ascetyczne opanowanie wojowniczkę, lecz cierpliwość kogoś, kto przywykł do ludzkich spojrzeń i posiadania władzy. W jej uśmiechu czai się wąż.

- Jean, Jean, Jean... - Jej melodyjny głos brzmi niepokojąco znajomo. - Co my z tobą zrobimy, mój mały książę kwiatów?

Wstaje, obejmuje mnie za szyję i całuje w usta.

Mielli jest więźniem we własnym ciele. Chce zamknąć oczy, ale nie może; chce się odsunąć od złodzieja, ale również nie może. Czuje w jego oddechu odór alkoholu. Widzi, co się święci, i nagle nie dostrzega w tym nic zabawnego.

Pomóż mi, zwraca się z bezgłośną prośbą do *Perhonen*.
Wyciągnij mnie stąd.

Biedactwo... Proszę, masz.

Niespodziewanie otula ją chłodna, kojąca ciemność. Nie ma pojęcia, jak głęboko został zepchnięty jej umysł, ale wciąż ma kontakt ze statkiem.

Co ona robi?

Jest tajemnicza, odpowiada statek. Nic ci się nie stało?

Nie. Pozbawiona ciała i głosu Mielli ma ochotę się rozpłakać. On miał rację, a ja się myliłam, ale przecież nie miałam wyboru. Prawda?

Nie miałaś. Wola bogini jest święta i na razie nie ma na to rady. Ale nie przejmuj się, zasługują ze złodziejem na siebie nawzajem.

Głos statku brzmi spokojnie i uspokajająco.

Masz rację, zgadza się z nim Mielli. Poza tym my chyba mamy coś do zrobienia?

Owszem.

Nagle otaczająca ją czerń nie jest już pusta - znajduje się w rozległym i skomplikowanym infokrajobrazie, który szepcze do niej i sam się jej objaśnia: dwa rozłożyste, nakładające się drzewa złożone z linii i węzłów reprezentują dwie wersje zaszyfrowanego umysłu i pamięci Christiana Unruha.

Całowanie ciała Mielli przypomina całowanie starej przyjaciółki, do której zawsze czułem seksualną fascynację - z tą tylko różnicą, że pocałunek wygląda zupełnie inaczej niż go sobie wyobrażałem. Jest w nim tyle siły i zajadłości, że zapiera mi dech w piersi. Poza tym - co oczywiste - ona jest ode mnie znacznie silniejsza; muszę mocno obrócić głowę, żeby złapać dech.

- Kim jesteś? - udaje mi się wysapać.

Osuwa się na wyłożoną poduchami sofę i wybucha dziewczęcym śmiechem. Rozkłada ramiona na oparcie, krzyżuje nogi.

- Twoim dobroczyńcą. Twoją wyzwolicielką. Twoją boginią. Twoją matką.

Na widok mojej przerażonej miny śmieje się jeszcze głośniej.

- Żartowałam, kotku. Chociaż mógłbyś mnie nazwać swoją duchową matką. Dawno temu wiele cię nauczyłam. - Poklepuje poduszkę obok siebie. - Chodź, siadaj.

Z wahaniem robię, co mi każe.

Przesuwa palcami po moim policzku w dół, aż do rozpiętego kołnierzyka. Przenika mnie zimny dreszcz.

- Właściwie powinniśmy sprawdzić, co jeszcze pamiętasz.

Całuje mnie w szyję, mocno, przygryzając skórę, i nagle nie mogę się skoncentrować na złości, którą do niej czuję. Napinam wszystkie mięśnie.

- Rozluźnij się. Podoba ci się moje ciało, przecież wiem, ja zaś zadbałam o to, by twoje było... chłonne.

Zniża głos do szeptu. Pod wpływem jej gorącego tchnienia na mojej skórze moja złość zmienia się w coś innego.

- Kiedy żyjesz bardzo, bardzo długo, stajesz się koneserem w wielu sprawach, zwłaszcza tych, których rzadko masz okazję posmakować - mówi dalej. - Kiedyś, jak już będzie po wszystkim, pokażę ci, jak żyć. Te ciała są takie ciężkie i niezgrabne; w guberniach lepiej sobie z tym radzimy. Ale i tak zabawa jest przednia, nie uważasz? - Kąsa mnie mocno w ucho i wzdryga się. - Oj, znowu to durne biołacze. Biedna Mielli-paranoiczka. Wyłączę je. I tak nigdzie się nie wybierasz, prawda?

- Nie - dyszę. - Musimy porozmawiać.

- Rozmowa może poczekać, nieprawdaż? Och tak, jak mi Bóg miły. Tak.

Tylko pamiętaj, że ja tego nie rozumiem, zastrzega się Perhonen. Za to gogole matematyczne - owszem. To jeden z głównych węzłów drzewa jego gevulotu.

Złożone struktury danych przypominają Mielli niezrozumiałe wizje doznawane w *alinen*. Obserwuje je z punktu widzenia zawieszonoego nad przecięciem niezliczonych linii, w którym znajduje się sfera pełna symboli i trójwymiarowych przekrojów mózgu.

Zmiany nastąpiły tutaj, tu i tu.

Obiekty wewnątrz sfery zmieniają kolor. Mielli dotyka ich, wchłania informacje i przez chwilę je przetrawia.

To pamięć proceduralna, orzeka. Zapisane w niej wspomnienia w określonych warunkach zmusiłyby go do określonej reakcji. Na przykład, kazałyby zagłasować na Głos.

Zgadza się. Są jeszcze inne zmiany w paru miejscach, ale nic poważnego. Najciekawsze jednak jest to, że możemy wysledzić źródło tych modyfikacji.

Statek podświetla jedną z linii dochodzącą do oglądanego węzła. Jest do niej dołączona dodatkowa informacja - skomplikowany wzór matematyczny.

Gevulot działa w ten sposób, że generuje drzewo złożone z par kluczy: publicznego i prywatnego. Nowa para powstaje za każdym razem, gdy użytkownik chce określić prawo dostępu gevulotu do nowego wspomnienia, doświadczenia lub domeny. Klucze są szyfrowane w połączeniu z parą poprzedzającą je w hierarchii. Tylko właściciel gevulotu powinien mieć dostęp do korzeni drzewa.

Tylko że... - podpowiada Mielli.

Wygląda na to, że wszystkie korzenie są generowane z jeszcze innej pary kluczy, które można by nazwać „kluczami uniwersalnymi”. Ten, kto je ma, ma dostęp do wszystkich wspomnień w egzopamięci Kazamat i może nimi dowolnie manipulować; u ludzi po Wyciszeniu takiej zmianie ulega cały umysł. Kryptarchowie muszą dysponować jakimś automatem do modyfikowania wyciszonych.

Matko Ilmatar, szepcze Mielli. Czyli teoretycznie...

Gdyby chcieli, mogą obejrzeć i zmienić wspomnienia i myśli wszystkich tych, którzy mają za sobą przynajmniej jedno Wyciszenie. Oczywiście, takiej masy informacji żaden człowiek nie byłby w stanie ogarnąć w pojedynkę, dlatego domyślam się, że stosują jakieś zautomatyzowane wspomaganie. Biorąc pod uwagę to, jak drobnych zmian dokonali w umyśle Unruha, domyślam się, że mają ograniczone możliwości takiej manipulacji. Najważniejszy w tym wszystkim jest fakt, że Kazamaty nie są miejscem niepamięci ani rajem prywatności. To panoptikum.

Minęło bardzo dużo czasu, toteż z początku wszystko jest gorącą, rozmazaną plamą ciała, skóry, ust, dotknięć i ugryzień. Jest ode mnie silniejsza i nie boi się tego pokazywać. Przy okazji bawi się także udoskonaleniami ciała wprowadzonymi przez Mielli, drażni mnie gorącym kwantopunktem na czubku palca - i uśmiecha się przy tym jak kot.

Po trzecim razie odkrywamy, że jej skrzydła są niezwykle wrażliwe na dotyk i wtedy robi się naprawdę interesująco.

Co możemy zrobić?

Z dostępem do korzeni drzewa - nic. Ale gogole twierdzą, że dałoby się nałożyć na to wszystko dodatkową warstwę szyfrowania. Za pomocą pirackiego softu możemy tworzyć fałszywe tożsamości mieszkańców Kazamat. I na próbę zrobiliśmy kilka, z kluczami, które nie pochodzą z tutejszego generatora.

I co?

Możemy w ten sposób tworzyć ko-wspomnienia, do których kryptarchowie nigdy nie będą mieli dostępu. Wszyscy, którym je udostępnimy, będą odporni na wszelkie manipulacje kryptarchów, bez względu na to, kiedy przeszli lub przejdą Wyciszenie. Działa to jak wirus; możesz je przekazać tylu ludziom, ilu tylko zechcesz. Stworzyliśmy też inny wirus, po którym zapomina się wcześniej dokonane zmiany. Złodziej sugerował, żeby opublikować je w gazetach...

Zaraz, zaraz... - wtrąca Mielli. Złodziej sugerował?

No tak, już z nim o tym rozmawiałam. Kiedy ty śpiewałaś. Gogole matematyczne dość szybko rozgryzły problem.

Czyli on już o tym wie? I ma takie ko-wspomnienia?

Tak... Statek zawiesza głos. Wykorzystał mnie, prawda? Drań jeden.

Mielli czeka, aż do Perhonen dotrze, co naprawdę się stało.

Tak, mówi. Wykorzystał cię. I chyba nie ciebie jedną.

Dopiero nad ranem robimy sobie przerwę na odpoczynek. Gdzieś po drodze przenieśliśmy się do mojej sypialni. Leżę na poduszkach i patrzę na nią spod półprzymkniętych powiek: leży na drugiej połowie łóżka, naga, jeśli nie liczyć tymczasowego Zegarka, z na wpół rozłożonymi skrzydłami mieniącymi się światłem brzasku.

- Dobrze cię nauczyłam, czy nie?

- Bardzo dobrze. Byliśmy... no wiesz... sami?

- Martwisz się, że mogliśmy urazić uczucia biednej małej Mielli? To miło z twojej strony, że tak się do niej przywiązałeś. Przyznaję, że również darzę ją sentymentem, tak jakbym miała ulubiony długopis. Albo jakiś amulet. - Przeciąga się. Nawet blizna na jej twarzy wygląda inaczej, bardziej figlarnie. - Nic się nie bój, zagadała się ze statkiem. Jesteśmy zupełnie sami. Mam cię tylko dla siebie. Powinam była wcześniej po ciebie przyjść, ale sam rozumiesz, jest ograniczona liczba takich mnie.

- Trudno mi uwierzyć, że cię nie pamiętam - mówi. - Chociaż... Po wyjściu z więzienia miałem taki przebłysk sceny z innego więzienia, na Ziemi. Czytałem tam książkę...

- Wtedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Byłeś apaszem, oprychem w wielkim mieście, bosym, z piaskiem pustyni między palcami stóp. Byłeś taki szorstki. I taki odważny. A teraz? Jesteś diamentem. Albo wkrótce będziesz. A wtedy... - Uśmiecha się. - Będziesz mi mógł należycie podziękować.

- Słyszałaś, co powiedziałem Mielli? Nie podoba mi się wasza współpraca z kryptarchami.

Macha lekceważąco ręką.

- Bzdura. Ty nie masz pojęcia, co tu się naprawdę dzieje, Jean. Kryptarchowie dobrze się spisali; Kazamaty funkcjonują jak należy, a oni są w nich szczęśliwi. Nawet tobie się wydawało, że jesteś szczęśliwy, kiedy byłeś tu poprzednio. - Patrzy na mnie dziwnie jadowitym wzrokiem. - Coś mi się widzi, że twój idealizm ma mniej wspólnego z polityką niż z chęcią zaimponowania tej piegowatej zdzirze.

- Więzienie pozostaje więzieniem, nawet kiedy nie zdajesz

sobie z tego sprawy. - A ja mam uraz do więzień.

- Wiem. Biedactwo...

- A wiesz, do czego jeszcze mam uraz? Do łamania obietnic. - Przełykam ślinę. - Wiem, że jestem twoim dłużnikiem, i spłacę swój dług choćby się paliło i waliło. Ale nawet dla ciebie nie złamię danego słowa.

- Tak? A jak zamierzasz dotrzymać swojej obietnicy, moje ty kwiatowe książątko?

- Obiecałem, że będę grzecznym chłopcem, prawda? Więc na początek dam się aresztować.

- Że co?

- Słyszałaś o tym, że wyhodowałem sobie kwantopająka? Był mi potrzebny do tego przewał z kradzieżą czasu. Ale prawda jest taka, że wyhodowałem od razu dwa. - Spoglądam na zegarek. - Z Mielli ten numer by nie przeszedł; wygląda na to, że zna mnie o wiele lepiej niż ty. Ty zaś okazałaś się znacznie bardziej podatna na mój... urok. Żebyś widziała, jak ja się wczoraj przed nią starałem. Bez skutku. A ty? Twój czas zaraz się skończy.

Porusza się tak szybko, że moje oko za nią nie nadąża. Wgniała mi kolano w brzuch i zaciska dłonie na gardle. Jej twarz wykrzywia się w maskę wściekłości. Nie mogę oddychać. Widzę tarczę jej zegarka, na której wskazówka zbliża się do zera...

- Zaraz cię...! - krzyczy.

Kiedy z jej Zegarka dobiega ciche metaliczne *ting*, zmienia się w czarny, nieruchomy posąg. Różne rzeczy można powiedzieć o stosowanej w Kazamatach technologii, ale *gevulot*, który udostępniają turystom, jest całkiem przyzwoity, prawie jak wojskowa mgła użytkowa. Nie doprowadza człowieka do Wyciszenia, ale potrafi go skutecznie odciąć od reszty świata i wyłączyć wszystkie najważniejsze funkcje życiowe. Jej uścisk na moim gardle słabnie, a ona sama spada z łóżka - nieruchoma skrzydlata figura z czarnego marmuru.

Biorę prysznic i ubieram się, pogwizdując. W hotelowym holu kłaniam się urzędnikowi imigracyjnemu w białym mundurze i towarzyszącym mu dwóm ogromnym wyciszonym. Uwielbiam,

kiedy służba cywilna wywiązuje się ze swoich obowiązków.

Zapowiada się piękny dzień. Zakładam swoje niebieskie okulary i udaję się na poszukiwanie Raymonde.

ROZDZIAŁ 16

ZŁODZIEJ I PAMIĘĆ

Wysłałam jej ko-wspomnienie z prośbą o spotkanie w parku, w punkcie widokowym nieopodal Montgolfiersville. Szybko dostaję odpowiedź: przypominam sobie, że Raymonde tam będzie. Maskuję się gevulotem, zagłębiam w Labirynt i modłę, żeby dokonane przez *Perhonen* antykryptarchowe ko-wspomnienia spełniły pokładane w nich nadzieje.

Raymonde już na mnie czeka: siedzi na naszej ławce z kubkiem kawy w ręce i ogląda balony. Widząc, że przyszedłem sam, unosi ze zdumieniem brwi.

- A gdzie twoja oortyjska przyzwoitka? Jeśli sobie myślisz, że to będzie kolejna randka...

- Ciii.

Rzucam jej wirusowe ko-wspomnienie. Przyjmuje je, marszczy nos, a przez jej twarz przebiegają kolejno wyrazy niedowierzania, bólu, zaskoczenia. Udało się, myślę. Działa.

Jedynym efektem ubocznym, jaki zauważyłem, jest utrzymujący się dłuższą chwilę przykry zapach.

- Co to było, u licha? - Raymonde wytrzeszcza oczy. - Głowa mnie rozboleła. Używając słów i ko-wspomnień, streszczam jej przebieg operacji „Unruh”, wizytę kryptarchy i spotkanie z przełożoną Mielli, pomijając co bardziej pikantne szczegóły.

- Naprawdę to zrobiłeś? Nie pomyślałabym, że...

- Zrobisz z tymi informacjami, co zechcesz. Wywołaj rewolucję, przekaz je pozostałym cadykom jako broń... Mnie to obojętne. Mamy mało czasu. Gdy tylko Mielli znów uruchomi biołącze, natychmiast mnie odetnie. Jeżeli masz jakieś chody u wyciszonych urzędników imigracyjnych, poproś ich, żeby spowolnili procedurę. Muszę najpierw odkryć swoje tajemnice.

Spuszcza wzrok.

- Nie wiem, gdzie ich szukać.
- Aha...
- Blefowałam. Byłam zła. Chciałam ci pokazać... kim się stałam. Udowodnić, że się zmieniłam. I że mam wpływy.
- Rozumiem.
- Jesteś draniem, Jean, zawsze będziesz draniem, ale tym razem postąpiłeś słusznie. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.
- Pomóż mi przypomnieć sobie, jak to jest być draniem. Ze szczegółami.
- Bierze mnie za rękę.
- Dobrze.

To jej wspomnienia, nie moje, ale kiedy otwiera gevulot, coś odblokowuje mi się w głowie, jakby jakiś kwiat rozkwitał karmiony tym, co od niej dostaje. Kwiat rośnie, pięknieje, części mnie łączą się z częściami jej i tworzą nową jakość: ukrytą przed archontami wspólną tajemnicę.

Mars. Dwadzieścia lat temu. Jestem zmęczony. Cięży mi brzemień wielu lat i wielu przemian: człowiek, gogol, zoku, członek kopiorodziny; jedno ciało, wiele ciał, drobinki inteligentnego pyłu; kradzież klejnotów, umysłów, stanów kwantowych, światów zamkniętych w diamentowych mózgach. Jestem cieniem - bladym, cienkim, rozciągniętym.

Zrobione w Kazamatach ciało, które teraz noszę, upraszcza wiele spraw. Moje serce bije w rytmie tykającego Zegarka, nadając życiu cudowną skończoność. Idę Niezmienną Aleją i słucham ludzkich głosów. Znów wszystko wydaje mi się nowe.

Na ławce w parku siedzi dziewczyna; patrzy na światło tańczące wśród balonów Montgolfiersville. Jest młoda, na jej twarzy maluje się zadziwienie. Przywodzi mi na myśl moje odbicie. Uśmiecham się do niej, a ona, nie wiadomo dlaczego się do mnie uśmiecha.

Trudno mi zapomnieć kim jestem, nawet przy Raymonde. Jej kochanka, Gilbertine, posyła jej spojrzenie, które mam ochotę skraść. Raymonde się dowiaduje. Zostawia mnie i wraca do swojego wolnomiasta.

Podążam za nią do Nanedi City, gdzie białe domki pną się po zboczu doliny jak uśmiech. Proszę o wybaczenie. Błagam. Nie słucha.

Zdradzam jej więc tajemnice - nie wszystkie, tylko tyle, żeby doceniła brzemię. Mówię, że już ich nie chcę. Wtedy mi wybacza.

Ale to też nie wystarczy. Ciągłe odczuwam pokusę, żeby zmienić postać. Żeby uciec. Mój przyjaciel Isaac opowiada mi o pałacach pamięci i dziewięciu Godnościami Bożych.

Buduję własny pałac pamięci. Nie jest to zwykła przestrzeń do przechowywania zapamiętanych obrazów. Moje wspomnienia są na to zbyt ciężkie. Setki lat życia. Przedmioty wykradzione Sbornosti i zoku, umysły, kłamstwa, ciała i sztuczki.

Tworzę go z budynków, ludzkich istot i splątanych kubitów, z materii miasta, a nade wszystko - z moich przyjaciół. Są tacy ufni, tacy otwarci, tacy zgodni. Niczego nie podejrzewają, nawet kiedy dają im w prezencie robione na zamówienie Zegarki - moje dziewięć Godności. Napelniam ich egzopamięci rzeczami, które do mnie należą. We wszystkie dziewięć gmachów wbudowuję wykradzione Sbornosti pikotechnologiczne robomontery, żebym w razie potrzeby mógł je odtworzyć.

Zamykam pałac za sobą. Nie spodziewam się, żebym kiedyś jeszcze go odwiedził. Zamykam go dwukrotnie: kluczem i ceną.

Oddaję klucz Raymonde i przez jakiś czas jestem znowu lekki, wolny i młody. Układamy sobie razem życie. Projektuję budynki. Hoduję kwiaty. Jestem szczęśliwy. Jesteśmy szczęśliwi. Snujemy plany.

Do czasu pudełka.

Siadam. Dotykam twarzy. Jest jakaś dziwna, przypomina maskę - to dlatego, że pod nią znajduje się kolejna podobizna, kolejne życie. Przez chwilę mam ochotę drapać ją paznokciami, aż do zderzenia tej fałszywej warstwy.

Raymonde też wygląda inaczej - nie jest ani piegowatą dziewczyną z arkuszami nutowymi, ani Dzentelmenem. Otacza ją aureola wspomnień, duchy tysiąca chwil. Oraz świadomość, że nie jest już moja.

- Co się stało? - pytam. - Z tobą? Z nimi?

- A co się dzieje z ludźmi? Żyją. Rozwijają się. Poddają się Wyciszeniu. Wracają. Stają się kimś nowym.

- Nie pamiętam ich. Isaac. Bathilde. Gilbertine. Marcel. I cała reszta... Ciebie też nie pamiętałem. Zmusiłem się do zapomnienia cię, żeby nikt cię nie znalazł, kiedy mnie złapią.

- Lubię sobie wyobrażać, że właśnie dlatego to zrobiłeś, ale za dobrze cię znam. Nie oszukuj się. Uciekłeś. Zobaczyłeś coś, na czym zależało ci bardziej niż na nas. - Uśmiecha się smutno. - Czy byliśmy dla ciebie aż taką kulą u nogi, że musiałeś nas wszystkich odciąć?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Siada obok mnie.

- To pewnie niewiele dla ciebie znaczy, ale wierzę ci. - Patrzy na balonowe domy. - Po twoim odejściu było mi ciężko. Znalazłam sobie kogoś, na jakiś czas, ale nie pomogło. Uciekłam w przedwczesne Wyciszenie. Trochę pomogło, ale kiedy wróciłam, wciąż byłam wściekła. Cichy pokazał mi, że mogę moją wściekłość spożytkować na coś użytecznego. - Zasłania usta dłonią i przemyka oczy. - Nie interesuje mnie, co ta oortyjska kobieta chce, żebyś dla niej ukradł. Już i tak zrobiłeś najgorsze: ukradłeś to, co mogło być. Mnie i sobie. Nie da się tego odzyskać.

- Nie powiedziałaś, co się stało z...

- Przestań. Po prostu przestań.

Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu i patrzymy na balony. Przychodzi mi do głowy szalony pomysł, żeby przeciąć ich cumy; niech wzlecą w jasne marsjańskie niebo. Nie można

mieszkać w niebie.

- Mam twój klucz - mówi Raymonde. - Nadal go chcesz?

Parskam śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że już miałem go w rękach. - Zamykam oczy. - Czy go chcę? Nie wiem. Potrzebuję go. Mam dług do spłacenia.

Jest taka cząstka mnie, która niczego nie pragnie bardziej. Ale klucz ma swoją cenę. Życia na wpół zapomnianych obcych. Co oni mnie obchodzą?

- Dając mi go, powiedziałeś „Powiedz mi, żebym spotkał się z Isaakiem”. Więc ci mówię.

- Dziękuję. - Wstaję. - Zrobię to.

- Dobrze. Ja porozmawiam z Cichym i pozostałymi. Po spotkaniu z Isaakiem daj mi znać, co postanowiłeś. Jeżeli nadal będziesz go chciał, wystarczy, że poprosisz.

- Może jeszcze będziesz musiała napisać tę operę od nowa.

Całuje mnie w policzek.

- Do zobaczenia.

Isaac mieszka sam; ma małe mieszkanie w jednym z wieżowców Labiryntu. Wysłałam mu anonimowe wspomnienie z zapowiedzią wizyty; dostaję odpowiedź, że jest w domu. Na mój widok marszczy brwi, ale kiedy otwieram gevulot, rozpromienia się.

- Paul! - Miażdży mi żebra w niedźwiedzim uścisku, a potem łapie mnie za klapy marynarki i potrząsa mną solidnie. - Gdzie się podziewałeś? - dudni.

Czuję, jak od basowego głosu wibruje mu cała pierś. Wciąga mnie do środka i rzuca na kanapę jak szczura.

- I co tu w ogóle robisz? Myślałem, że jesteś wyciszony. Albo że cię pożarła ta przeklęta Sbornost'!

Podwija rękawy flanelowej koszuli, odsłaniając grube, włochate przedramiona. Na jednym nadgarstku ma gruby mosiężny zegarek. Wzdrygam się na jego widok, chociaż nie widzę grawerunku.

- Jeżeli znów zamierzasz mieszać w głowie Raymonde...

Unoszę ręce w geście kapitulacji.

- Jestem niewinny, przyjechałem... w interesach. Ale chciałem cię przy okazji zobaczyć.

- Hmfff... - prycha, zerkając na mnie podejrzliwie spod krzaczastych brwi. Powoli na jego twarz wypływa uśmiech. - No dobrze. Napijmy się.

Idzie do kuchni, potykając się o walające się na podłodze śmieci - książki, wykroje z plastomaterii, notatniki. Fabrykator zaczyna gulgotać, a ja rozglądam się po mieszkaniu: gitara na ścianie, animowana tapeta z postaciami z kreskówki, wysokie regały, biurko pokryte permanentną pierzynką e-papieru.

- Nic się u ciebie nie zmieniło - mówię. Isaac wraca z plastomaterijną butelką wódki.

- Żartujesz? To dopiero dwadzieścia lat, a wiosenne sprzątanie wypada raz na czterdzieści. - Pociąga łyk z butelki i nalewa nam obu do szklanek na grubość dwóch palców. - Tylko dwa razy byłem przez ten czas żonaty. Za kobiety! - Podnosi szklanczkę. - Nie mówmy o interesach, to kobiety cię tu sprowadziły.

Bez słowa stukamy się szklankami i pijemy. Ja kaszlę, on się śmieje - chrapliwie, basowo.

- To jak, mam ci skopać tyłek czy Raymonde już się tym zajęła?

- Od paru dni ustawia się kolejka chętnych do tej roboty.

- I słusznie. - Dolewa nam wódki szczodrym wodospadem, który nie oszczędza i podłogi. - Powinienem był się ciebie spodziewać po tym, jak znów zaczęły się sny.

- Jakie sny?

- O kocie w butach. O zamkach. Wszystkim nam się śniły, kiedy dołączyłeś do Towarzystwa. Zawsze podejrzewałem, że masz z nimi coś wspólnego. - Isaac zaplata ręce na piersi. - Mniejsza z tym. Wróciłeś, żeby szukać prawdziwego szczęścia u boku ukochanej?

- Nie.

- To dobrze, bo na to już za późno. Idiota... Muszę ci powiedzieć, że spodziewałem się tego. Zawsze byłeś niespokojny, nic cię nie mogło zadowolić. Nawet Raymonde. -

Mruży oczy. - Pewnie mi nie powiesz, gdzie byłeś?

- Nie.

- Nieważne. Miło cię widzieć. Bez ciebie ten świat zrobił się nudny. Znów szcękają szklanki.

- Isaacu...

- Chcesz mi powiedzieć coś ckliwego?

- Nie.

Wybucham śmiechem, nie mogę się powstrzymać. Czuję się tak, jakbym w ogóle nie wyjeżdżał. Wyobrażam sobie popołudnie upływające w strumieniu wódki: siedzielibyśmy tu, rozmawiali i pili, Isaac czytałby mi swoje wiersze, wyklócał się o kwestie teologiczne i bez końca gadał o kobietach, prowokując mnie, bym wszedł mu w słowo. Niczego bardziej nie pragnę.

I to, oczywiście, jest cena, jaką muszę zapłacić.

- Przepraszam. - Odstawiam szklankę. - Muszę lecieć, naprawdę.

- Wszystko w porządku? - Isaac patrzy na mnie pytająco. - Dziwnie wyglądasz.

- Nie, wszystko gra. Dzięki za drinka. Posiedziałbym dłużej, ale...

- Ha! Więc jednak chodzi o kobietę. Trudno, idź. Do czasu, aż znów wpadniesz, zdążę tu posprzątać.

- Przepraszam.

- Za co? Ja cię nie osądzam. Dookoła jest wystarczająco dużo chętnych do rzucania kamieniami. - Poklepuje mnie po ramieniu. - Idź. Następnym razem przywieź mi dziewczynę z innego świata. Najlepiej z zieloną skórą. Lubię zielony.

- A co na to Tora?

- Zaryzykuję. Szalom.

Jestem lekko wstawiony, kiedy docieram do mieszkania Raymonde.

- Nie spodziewałam się ciebie tak szybko - mówi, ale mnie wpuszcza.

Przeciskam się obok wyłączonych biobotów sprzątających.

Wszędzie wiszą kotary z plastomaterii, jak pajęczyny.

- Przepraszam za bałagan - dodaje. - Ale to twoja wina.

- Wiem.

- I co? - Spogląda na mnie z ukosa.

- Chcę go zobaczyć.

Siadam na świeżo wyfabrykowanym, delikatnym krześle i czekam. Raymonde przynosi mi owinięty w szmatkę przedmiot.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, jak właściwie działa - zaznacza. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Wyjmuję rewolwer z zawiniątka. Oglądam go. Wydaje mi się cięższy niż kiedy poprzednio miałem go w ręce, i brzydki - krótka lufa, pękaty bębenek z dziewięcioma nabojami. Dziewięcioma Godnościami Bożymi.

Chowam go do kieszeni.

- Pójdę już - mówię. - Muszę przemyśleć parę spraw. Gdybyśmy się już nie spotkali... Dziękuję ci.

Nie odpowiada. Odwraca wzrok.

Zamykam za sobą drzwi i zjeżdżam windą na poziom ulicy. Czuję dziwne mrowienie w gevulocie - i nagle ktoś idzie obok mnie Aleją: młody, ciemnowłosy, elegancko ubrany mężczyzna. Zrównuje się ze mną. Ma moją twarz, ale ten spokojny uśmiech nie należy do mnie. Pokazuję mu, żeby szedł przodem, i ruszam za nim.

INTERLUDIUM

CNOTA

Gilbertine znów śni o kocie w butach: pasiasty kocur chodzi na tylnych łapach, nosi zawadiacki kapelusz i botforty. Prowadzi ją marmurowymi, złożonymi korytarzami z rzędami drzwi po obu stronach. Jedne drzwi są otwarte.

- Co tam jest? - pyta Gilbertine kota, który patrzy na nią błyszczącymi ślepiami.

- Dowiesz się, kiedy pan wróci - wyjaśnia jej drżącym, piskliwym głosem.

Budzi się w swoim mieszkaniu w Montgolfiersville obok ciepłego, pochrapującego ciała najnowszego kochanka, którego imię już zaciera jej się w pamięci. Jej kontrakty gevulotowe są zawsze dopracowane, żeby wprowadzać jak najmniej zamieszania i pozostawiać tylko przyjemne wspomnienia, przebłyski ciała, gorące rumieńce emocji powiązane ze smakami i miejscami.

Ostatnio sny są częstsze, a własne wspomnienia wydają się jakby za luźne, niewygodne. Zastanawia się czy to starość - nie taka prawdziwa, staroświecka, lecz przypadłość nieśmiertelnych, o której opowiada Bathilde, dokuczająca tym, którzy zbyt wiele razy zostali wymazani i zapisani od nowa.

Są z kochankiem pod prysznicem, jego bezimienne palce mydlą jej plecy, kiedy Gilbertine odbiera ko-wspomnienie. Natarczywe i załężnione. Raymonde.

Znika spod palców mężczyzny, okrywa się gevulotem i wychodzi, po drodze zgarnawszy tylko leżący na nocnym stoliku Zegarek: nie cierpi mieć go na ręku, kiedy się z kimś kocha. Wygrawerowane na nim słowo *Virtus* zawsze jej zdaniem zakrawało na kiepski żart.

Raymonde czeka na nią w swoim mieszkaniu w Bebechach. Ma bladą, ściągniętą twarz, na której piegi rysują się wyraźniej niż zwykle.

- Co się stało? - pyta Gilbertine.

- Paul zniknął.

- Jak to?

- Nie ma go. Zniknął. Nie wiem gdzie jest. Nie wiem co robić.

Gilbertine przytula przyjaciółkę. Wzbiera w niej złość.

- Ciii, nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Czyżby? - pyta roztrzęsiona Raymonde. - Niby jak?

A tak, że go odzyskam, a wtedy mi zapłaci, myśli Gilbertine. Jej kontrakty gevulotowe zawsze są dopracowane, nawet te stare. I zawsze zawierają klauzule awaryjne.

Udaje jej się go zaskoczyć, co sprawia jej pewną satysfakcję. Znajduje go w Labiryncie, w dziwnym ogrodzie z robotami, siedzącego na małej kapsule bagażowej i z uśmiechem na twarzy wpatzonego w przestrzeń. Jest ubrany w gładki i lśniący granatowy kombinezon, w zokijskim stylu - utkany ni to z materii, ni ze światła. Obraca w rękach małe pudełko.

Kiedy Gilbertine mu się pokazuje, przez ułamek sekundy wygląda jak wystraszony chłopczyk, ale zaraz znów się uśmiecha.

- Przyszłaś - mówi Paul, choć wcale nie wygląda jak Paul, którego pamięta Gilbertine: niezbyt mądrego, egocentrycznego architekta beznadziejnie zakochanego w jej przyjaciółce. Oczy ma całkiem bez wyrazu, a uśmiech płasający mu po wargach jest lodowaty. - Zechcesz mi przypomnieć, jak masz na imię?

- Nie pamiętasz?

Rozkłada rękę.

- Kazałem sobie zapomnieć. Gilbertine bierze głęboki wdech.

- Jestem Gilbertine Shalbatana. Ty jesteś Paul Sernine. Pokochałeś moją przyjaciółkę Raymonde. Zraniłeś ją. Musisz wrócić, a jeśli nie, to miej chociaż tyle odwagi, żeby się pożegnać. Raz już ci wybaczyła.

Otwiera gevulot i rzuca w Paula wspomnieniem.

Raymonde poznała ich ze sobą - Raymonde, towarzyska

broni Gilbertine od czasu przybycia z Nanedi; dziewczyna z wolnomiasta, która przyjechała do Kazamat, żeby tworzyć muzykę. Gilbertine nienawidziła jej niewymuszonego wdzięku i tego, jak wszystko jej się w życiu układało, na pozór bez żadnych wysiłków z jej strony. Paul był jedną z takich właśnie rzeczy - nic więc dziwnego, że zapragnęła go mieć dla siebie. Jego też łatwo było przekonać, żeby pożądał tego, czego nie ma.

Nie trwało to jednak długo. Wrócił do Raymonde i z zadowoleniem zapomniał o Gilbertine. Ścigał Raymonde do Nanedi i z powrotem, a Gilbertine uznała to za naturalną kolej rzeczy. Jednakże z tym, co się teraz działo, nie zamierzała się pogodzić.

Paul przygląda jej się z roztargnieniem na twarzy.

- Dziękuję - mówi. - Wcześniej za mało od ciebie dostałem. Gilbertine z przerażeniem odkrywa, że coś przegryza się przez jej gevulot.

- Masz rację - ciągnie Paul. - Paul Sernine nie mógłby odejść. Dlatego zostanie tutaj, widzisz? W tobie i w innych. Ja zaś... Ja muszę się udać gdzie indziej. Muszę wykraść ogień bogom, być Prometeuszem i tak dalej.

- Nic mnie to nie obchodzi. Masz z nią dziecko!

Paul się wzdryga.

- Coś takiego na pewno bym pamiętał. To nie w porządku.

- Pewnie, że nie w porządku! - Gilbertine nasycy swój głos całym jadem, jaki udaje się jej wydobyć z zadawnionej rany.

- Nie, nie rozumiesz. Czegoś takiego na pewno bym nie zapomniał. - Paul kręci głową. - Ale to i tak nieważne. Nie spotkaliśmy się tutaj, żeby rozmawiać o mnie. Chodzi o ciebie.

Gilbertine wypręży pierś i sięga do egzopamięci.

- Jesteś nienormalny.

Czuje ciarki na skórze głowy - i nagle w miejscu, gdzie powinna znajdować się ta część jej jaźni, która jest połączona z całym światem, wyrasta ściana. Uczucie jest takie, jakby fantomowa kończyzna próbowała ją przekonać, że naprawdę istnieje.

Paul wstaje.

- Przeciąłem twoje połączenie z egzopamięcią - wyjaśnia. -

Nie bój się: za chwilę zostanie odtworzone.

Gilbertine cofa się przed nim.

- Kim ty jesteś? - syczy. - Wampirem?

- Skądże. Nie ruszaj się, to trochę zaboli.

Gilbertine rzuca się do ucieczki. Myślenie przychodzi jej z trudem, odkąd czuje ziejącą dziurę w głowie.

Zegarek. Nie wiem, co Paul ze mną robi, ale robi to za pośrednictwem Zegarka. Drapie nadgarstek paznokciami, usiłując zedrzyć Zegarek...

Nigdzie nie ucieka. To było tylko wspomnienie uciekania, bo w rzeczywistości nadal stoi przed Paulem, którego oczy do złudzenia przypominają ślepią kota w butach... Paul pokazuje jej pudełko.

- Widzisz? Dowiedziałem się o nim ze snów pewnego nieszczęśliwego chłopca, który został okaleczony podczas Impulsu. Ukradłem je zoku. Nie będą za nim tęsknić.

- Co to jest?

- Bóg w potrzasku. Muszę go gdzieś schować. Po to właśnie jesteś mi potrzebna. Pudełko zaczyna się jarzyć światłem, nagle znika z rąk Paula - i w tej samej chwili pojawia się w głowie Gilbertine.

Gilbertine przypomina sobie abstrakcyjne kształty, strukturę danych przywodzącą na myśl ogromny metaliczny płatek śniegu, którego ostre krawędzie wrzynają się w miękkie rejony jej umysłu. Egzopamięć zalewa powódź obcych wrażeń. Przez chwilę czuje się tak, jakby rozpalony do czerwoności pręt przebijał jej skronie, potem ból znika i zostaje tylko uczucie ciężkości.

- Co mi zrobiłeś?!

- To samo, co wam wszystkim. Schowałem coś w miejscu, w którym nikomu nie przyjdzie do głowy szukać: w waszych egzopamięciach, pod ochroną najlepszych systemów kryptograficznych. Chcąc to coś odzyskać, będę musiał zapłacić wysoką cenę. To pudełko było ostatnią rzeczą, jakiej chciałem się pozbyć. Przepraszam za niewygodę, mam nadzieję, że mi wybaczysz. - Nie-Paul wzdycha. - Nie wiem, czy to ci coś pomoże, ale twój Paul nie miał z tym nic wspólnego.

- Nie wierzę ci. Pamięć to nie wszystko. Jesteś po części Paulem, obojętne za kogo się uważasz i co zrobiłeś ze swoim mózgiem; jesteś nim, nawet jeśli był dla ciebie tylko maską. Mam nadzieję, że spłonie w piekle.

Najchętniej rozorałaby mu paznokciami twarz, ale mglista aureola otaczająca istotę, która przywdziała kształt Paula, sugeruje, że przemoc zda się na nic.

- Przykro mi, że tak to odbierasz - mówi Paul. - Oczywiście nie mogę pozwolić, żebyś coś z tego zapamiętała. Mam nadzieję, że uda ci się pocieszyć Raymonde.

- Zrób z moją pamięcią co zechcesz, ale ja dopilnuję, żeby Raymonde na wieki cię znienawidziła.

- Może na to właśnie zasługuję. Żegnaj.

Paul dotyka jej czoła i w umyśle Gilbertine rozpętuje się wichura...

Mruga, oślepiąca światłem Phobosa. Jest sama w ogrodzie robotów, zdezorientowana, dopiero po chwili przypomina sobie spotkanie z Raymonde. Co potem robiła? Mignięciem sprawdza ostatnie parę minut, ale egzopamięć jest pusta. Szlag by to trafił... To pewnie kolejna usterka spowodowana Impulsem.

Nie wiadomo dlaczego, przypomina sobie sen z ubiegłej nocy: kot w butach, zamknięte drzwi... Teraz też jej się coś śniło?

Przychodzi jej do głowy, żeby mignąć także sam sen, ale postanawia tego nie robić. I bez tego ma huk roboty na jawie.

ROZDZIAŁ 17

DETEKTYW I WĘZEL GORDYJSKI

Przez resztę dnia Isidore dochodzi do siebie. Wyciszeni lekarze nie chcą go wypuścić, dopóki nie naszpikują po uszy leczniczymi nanobotami. Ma mętlik w głowie, jego myśli pędzą we wszystkich kierunkach jednocześnie - ale kiedy wraca do domu, zmęczenie bierze górę i Isidore wali się półprzytomnie na łóżko. Budzi się późno, po długim śnie bez marzeń.

Jest sfrustrowany, bo odpoczynek nie przyniósł żadnych rozwiązań. Długo siedzi przy kuchennym stole, gapiąc się na świat za oknem i próbując sobie wszystko poukładać w głowie, znaleźć elementy i spoiny rzeczywistości: cadyk, złodziej, czas, pałace pamięci. Tapeta znów zmienia się w escherowską dżunglę, ohydnie krzykliwą w jasnym, mieszanym świetle dnia.

Z zadumy wyrывa go radosny komunikat geulotu.

- Dzień dobry - mówi Lin.

- Hmpfff... - chrząka Isidore.

Jego współlokatorka wystroiła się bardziej niż zwykle, ma nawet błyszczące kolczyki w uszach. Uśmiecha się do niego i programuje w fabrykatorze śniadanie: omlet po hiszpańsku.

- Kawa i coś do jedzenia? - pyta.

- Tak, proszę. - Isidore uświadamia sobie, że umiera z głodu.

Ciepłe jedzenie przywróci mu trochę sił. - Dziękuję.

- Nie ma za co. Kiepsko wyglądasz.

- A wiesz, że nadałem imię twojemu potworkowi? - odzywa się Isidore między jednym kęsem i drugim.

- Tak? Jakie?

- Sherlock.

Lin się śmieje.

- Ładne. Mogę zapytać, jak ci idzie praca detektywa? Znowu czytałam o tobie w „Heraldzie”. Imprezy, złodzieje, śmierć;

prowadzi pan ciekawe życie, panie Beautrelet.

- Cóż... - Isidore masuje skronie. - Ma to swoje dobre i złe strony. W tej chwili, na przykład, nie bardzo wiem, co właściwie robię. Wszystko mi się miesza. Nie wiem też, co robi złodziej. Nawet nie mam pewności, czy naprawdę jest złodziejem.

Lin ściska jego rękę.

- Rozgryziesz go. Jestem pewna.

- A co u ciebie? Coś się wydarzyło? Wyglądasz jakoś... inaczej.

- Widzisz... - Lin przesuwając palcem wzdłuż słoików na blacie stołu. - Poznałam kogoś.

- Aha. - O dziwo, Isidore czuje ukłucie rozczarowania. Postanawia je zignorować. - To super.

- Czy ja wiem... Zobaczymy, co z tego wyniknie. Właściwie to już trwa jakiś czas, po prostu... uznaliśmy, że najwyższy czas zrobić coś konkretnego. - Lin się uśmiecha. - Mam nadzieję, że potrwa to dostatecznie długo, żeby było warto urządzić imprezę. Mógłbyś przyprowadzić swoją dziewczynę, pogotowalibyśmy razem. Taki pomysł. Zaraz, a zoku to w ogóle coś jedzą?

- W tej chwili to trochę... skomplikowane. Nie jestem pewien, czy mogę ją nadal nazywać moją dziewczyną.

- Przykro mi to słyszeć. Ale to zabawne, że choćby nie wiadomo jaki człowiek był sprytny, te sprawy zawsze potrafi sobie skomplikować i prędzej czy później robi się z nich prawdziwy węzeł gordyjski. A taki węzeł wystarczy przeciąć: ciach! I koniec komplikacji.

Isidore unosi wzrok. Na chwilę przestaje przeżuwać.

- Ty wiesz co... Jesteś genialna!

Przełyka, jednym haustem dopija kawę i pędzi do pokoju po kurtkę. Poklepuje Sherlocka po głowce i biegnie do wyjścia.

- Co robisz?! - woła za nim Lin.

- Poszukam kogoś, kto ma miecz.

Tym razem zokijska kolonia wygląda dziwnie złowrogo. Kąty, szpice i wypukłości katedry wydają się bardzo ostre. Isidore

stoi przed bramą i zastanawia się, co dalej.

- Halo?! - woła, ale nic się nie dzieje. Jak to szło... Co mu powiedziała Pixil? Po prostu pomyśl.

Dotyka zimnych drzwi i wyobraża sobie twarz Pixil. Czuje mrowienie w palcach. Odpowiedź jest nagła, gwałtowna, okrutniejsza nawet niż gdyby miał pierścień splątaniowy na palcu.

Odejdź.

Towarzyszące temu słowu uczucie przypomina cios. Bolesny policzek.

- Pixil...

Nie chcę teraz z tobą rozmawiać.

- Możemy się spotkać? To ważne.

Wszystko co ważne ma określoną datę przydatności. Ja również. Jestem zajęta.

- Przepraszam, że się nie odzywałem. Miałem urwanie głowy. Możesz mnie wpuścić? Albo wyjść tu do mnie? Nie zajmę ci dużo czasu, obiecuję.

Za dwadzieścia minut wchodzę do gry. Dam ci dziesięć. A teraz się odsuń.

- Że co?

Odsuń się!

Coś dużego przechodzi przez drzwi. Ich powierzchnia mieni się i faluje. Pixil siedzi okrakiem na grzbiecie olbrzymiego czarnego stwora, który wygląda jak sześciorogi koń, ale jest większy od konia i okryty płytkami srebra i złota. Ma przekrwione oczy i białe ostre zęby. Pixil jest ubrana w ozdobną zbroję z szerokimi jak u samuraja naramiennikami. Maskę zsunęła na czoło. U pasa ma miecz.

Bestia parska i kłapie zębami i Isidore'a rozpaczliwie się przed nią cofa, aż plecami natrafia na kolumnę. Pixil zsiada i klepie potwora po szyi.

- Ciii, spokojnie - mówi. - Znacie się już z Cyndrą.

Epicki wierzchowiec wydaje z siebie ryk, który cuchnie gnijącym mięsem i rezonuje w uszach Isidore'a.

- Wiem, że się nam śpieszy - uspokaja go Pixil. - Ale nie musisz go zjadać. Poradzę sobie.

Cyndra odwraca się i znika za drzwiami.

- Przepraszam - mówi Pixil do Isidore'a. - Cyndra koniecznie chciała ze mną iść, żeby ci powiedzieć, co o tobie myśli.

- Ro-rozumiem... - jąka się Isidore.

Nogi się pod nim uginają, musi przysiąść na schodku. Pixil z chrzęstem zbroi przykuca obok.

- O co chodzi?

- Dużo myślałem...

- Serio?

Patrzy na nią z wyrzutem.

- Mam prawo się z tobą droczyć - wyjaśnia Pixil. - Tak to działa.

- No dobrze.

Isidore przetyka ślinę. Słowa nie chcą mu przejść przez gardło, wydają się kanciaste i niezgrabne, nie mieszczą mu się w ustach. Przypomina sobie, co czytał o Demostenesie, sławnym oratorze, który ćwiczył przemowy z kamykami w ustach. Zgryza swoje kamyki i mówi:

- To nie ma szans. Nie uda się nam.

Zawiesza na chwilę głos, ale Pixil milczy.

- Jestem z tobą, bo jesteś inna niż wszyscy. Nie mogłem cię przeczytać, nie mogłem zrozumieć. Przez jakiś czas było to nawet zabawne, ale to by się nigdy nie zmieniło. Nigdy nie stawiałem cię na pierwszym miejscu, zawsze byłaś... druga. Jak głos w myślach, który nie pozwala mi się skoncentrować. Nie chcę o tobie myśleć w taki sposób. Zaslugujesz na więcej.

Pixil robi zaciętą minę, ale Isidore orientuje się, że tylko udaje powagę.

- To właśnie chciałeś mi powiedzieć? Na to potrzebowałeś tyle czasu? Powiedz, sam to wykombinowałeś?

- Prawdę mówiąc... Sherlock mi pomógł - przyznaje Isidore, a widząc jej pytające spojrzenie, dodaje: - Nieważne, nie znasz.

Pixil siada obok niego, zapiera miecz o jeden ze stopni i opiera się na nim.

- Ja też sporo myślałam. I doszłam do wniosku, że najbardziej podoba mi się w tobie to, jak doprowadzasz naszą starszyznę do białej gorączki. Fajnie się to ogląda. Odpowiada mi również

to, że nie mamy żadnych wzajemnych zobowiązań. No i ciekawie jest być z kimś takim jak ty, takim... nierozgarniętym.

- Pokazuje Isadore'owi język i odgarnia mu kosmyk włosów z czoła. - Śliczny z ciebie chłopak, choć głupiutki.

Isidore wzdycha ciężko.

- Żartowałam z tą końcówką. Poniekąd.

Przez chwilę siedzą nieruchomo.

- Widzisz? To nie było takie trudne - odzywa się w końcu Pixil. - Powinniśmy byli to załatwić dawno temu. - Patrzy na Isidore'a. - Smutno ci?

Isidore kiwa głową.

- Trochę.

Pixil przytula go z całej siły; jej zbroja boleśnie wgniata mu się w pierś, ale Isidore odpowiada jej uściskiem.

- No dobrze. - Pixil wstaje z głośnym chrzęstem metalu. - Ja mam potwory do zabicia, a ty, podobno, złodzieja do złapania.

- No właśnie, skoro o tym mowa...

- Tak?

- Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że możesz mi zdradzić, kim jest Dzentelmen? Wtedy też żartowałaś?

Pixil dobywa miecza.

- Nigdy nie żartuję w kwestiach wojny i miłości.

Isidore zapuszcza się na skraj Kurzawy i wysyła cadykowi wspomnienie o treści „Wiem, kim jesteś”, a potem siada na leżaku na skwerku przy granicy kolonii, gdzie kamień przechodzi w diament.

Zamyka oczy i wsłuchując się w szmer wody, błądzi myślami - i nagle czuje, jak woda, przepływa ponad kamieniem, wyczuwa pod sobą kształt, który tak długo mu się wymykał i który teraz rozkwita mu w głowie niczym gigantyczny płatek śniegu. I budzi w nim gniew.

Czując podmuch wiatru, otwiera oczy. Dzentelmen wynurza się z kłębu rozedrganego powietrza. Przez ułamek sekundy w obłoku kropelek z fontanny widoczna jest otaczająca go aureola mgły. Maską lśni w słońcu.

- Oby to było coś ważnego - mówi. - Jestem zajęty.

Isidore się uśmiecha.

- Przepraszam, panno Raymonde, ale musimy porozmawiać.

Srebrna maska rozplywa się w piegowatą twarz rudowłosej kobiety, która natychmiast zawiera z Isidore'em ściśle ograniczony kontrakt gevulotowy. Wygląda na zmęczoną.

- W porządku - mówi, krzyżując ręce na piersi. Jej prawdziwy głos brzmi jak dźwięk dzwonu, jest głęboki i melodyjny. - Słucham. W jaki sposób...

- Poszedłem na skróty. Upomniałem się o przysługę.

- Pixil. Oczywiście. Ta dziewczyna nie umie trzymać języka za zębami. Liczyłam na to, że duma nie pozwoli ci zapytać.

- Są rzeczy ważniejsze niż duma. A ty, być może, nie znasz mnie aż tak dobrze, jak sądziłaś.

- Domyślałam się, że nie spotkaliśmy się po to, żeby wychwalać twoją przebiegłość. Ani po to, żeby wysłuchać podziękowań za ocalenie twojego umysłu. Nie ma za co, nawiasem mówiąc.

Nie patrzy mu w oczy. Jej głos jest lodowaty.

- Nie. Spotkaliśmy się, żeby rozwikłać zagadkę. Do tego potrzebuję twojej pomocy.

- Zaczekaj.

Raymonde wysłała mu ko-wspomnienie. Isidore je przyjmuje, otwiera i nagle przypomina sobie gryzący odór, przywodzący mu na myśl gnijące jedzenie, które ojciec zostawił kiedyś u niego w mieszkaniu.

- Co to było?

- Coś, czego wkrótce będzie pełno w całych Kazamatach - wyjaśnia Raymonde. - Mów dalej.

- Słowo „kryptarcha” nie daje mi spokoju, odkąd pierwszy raz je od ciebie usłyszałem. Kryptarchowie manipulują egzopamięcią, prawda?

- Tak. Teraz już wiemy, jak to się odbywa: mają jakiś klucz uniwersalny, który pozwala im przeczytać każdego, kto przeszedł Wyciszenie.

- A wy z nimi walczyście.

- Zgadza się.

- I współpracujecie z tym złodziejem, Jeanem le Flambeurem,

kimkolwiek naprawdę jest.

Raymonde jest zaskoczona, ale kiwa głową.

- Tak, ale...

- Dojdziemy do tego. Numer z Unruhem pozwolił mu zdobyć dowody. Mam rację? Porównał jego umysł przed wskrzeszeniem i po, żeby sprawdzić, czy ktoś wprowadził w nim zmiany. Wyręczyliście się nim w brudnej robocie. Wykorzystaliście pozaświatowego kryminalistę.

Raymonde zasłania usta dłonią.

- Tak, zrobiliśmy to, ale ty nie rozumiesz...

- To pomóż mi zrozumieć. Wiem, czego on chce, i mogę dopilnować, żeby nigdy tego nie dostał. Mogę rozpowiedzieć wszystkim, co zrobiliście. To będzie koniec zaufania do cadyków.

- Zaufanie... Tu już nie chodzi o zaufanie, lecz o sprawiedliwość. Możemy ich pokonać. Nareszcie mamy w rękach skuteczną broń. Wszystkie te zagwozдки, nad którymi się głowiliśmy, piraci gogolowi, technika pozaświatowa... To wszystko ich robota. Zresztą robili jeszcze inne rzeczy, gorsze, o których nawet nie wiemy. Stoją za każdą decyzją Głosu. Rewolucyjny sen się nie ziścił. Nadal jesteśmy niewolnikami. - Raymonde podchodzi bliżej i staje nad Isidore'em. - A dla ciebie to ciągle tylko gra. Nic dziwnego, że tak dobrze dogadujesz się z zokijską dziewczyną. Obudź się. Zgoda, wygrałeś. Pokonałeś mnie. Rozgryłeś mój sekret. Ale wszyscy mamy ważniejsze zadanie: nie jakieś pojedyncze sprawy, tylko sprawiedliwość dla wszystkich. - Jej oczy miotają błyskawice. - Nigdy nie musiałeś walczyć. Zawsze byłeś chroniony. Zaczęłam z tobą współpracować, żeby ci pokazać, że...

Przygryza wargę.

- Że co? Co chciałaś mi pokazać, matko?

Nadal jest mu zupełnie obca. Wspomnienia, których mu odmówiła, wciąż są dla niego niedostępne.

- Chciałam ci pokazać, że są na świecie źli ludzie - wyjaśnia. - I upewnić się, że nie skończysz jak... - Głos jej się łamie. - Ale nie mogłam znieść myśli, że miałyby ci się stać krzywda, więc wszystko odwołam.

- Moim zdaniem, ludzie, którzy ukrywają prawdę przed innymi, nie są wcale lepsi od kryptarchów. - Isidore uśmiecha się z goryczą. - Ty też wszystkiego o nich nie wiesz. Nie manipulują tylko Głosem, lecz wszystkim. Dosłownie wszystkim. Całą historią. Mówiłaś coś o rewolucji? Wydaje mi się, że ją zmyślili. I Unruh się o tym dowiedział. Jak się temu z bliska przyjrzeć, to wszystko jest sfingowane. Unruh zebrał dość faktów, żeby to zrozumieć. Jeśli ktoś pamięta rewolucję... To tylko dzięki egzopamięci. A jej nie można ufać. - Isidore zaczerpuje tchu. - Widziałem Królestwo. Długo trwało, zanim to do mnie dotarło, ale Królestwo jest zamknięte w pudełku w kolonii zoku. Stamtąd pochodzą wszystkie związane z nim wspomnienia. Budynki, wytwory rzemiosła z epoki... To tylko ozdobniki. Tak to wygląda. Wy pracujecie dla zoku, a oni dla kryptarchów. Cokolwiek planujecie, idźcie im na rękę. - Patrząc na Raymonde, przypomina sobie rząd wyrzeźbionych przez ojca twarzy na murze. - Wybacz więc, jeśli z rezerwą traktuję wszystko, co mówisz o przeszłości. O przyszłości zresztą również.

- Ja tylko...

- Co, chroniłaś mnie? - prycha Isidore. - W to właśnie chce wierzyć ojciec. Przed czym mnie chroniłaś?

- Przed ojcem. Twoim prawdziwym ojcem. - Raymonde zaciska powieki. - Powiedziałaś, że wiesz, czego chce złodziej. Czego?

- Nie wiesz?

- Powiedz mi.

- W Labiryntycie jest dziewięć wyjątkowych budynków. To on je zaprojektował, jako Paul Sernine. Są w jakiś sposób połączone z Atlasami; istnieje mechanizm, który je do siebie zbliża. Złodziej zamówił też dziewięć Zegarków, które muszą mieć z tym coś wspólnego. Tak samo jak to, co zrobił w podziemnym świecie, kiedy sprowokował wyciszonych. Te dziewięć budowli to elementy jakiejś maszyny. Nie wiem, co ona robi, ale na pewno ma coś wspólnego z egzopamięcią...

- Dziewięć budowli, o Boże... - Raymonde łapie Isidore'a za ramiona. - Kiedy się tego domyśliłeś?

- Tuż przed atakiem piratów gogolowych...

- Czyli kryptarchowie też już wiedzą. Wydarzy się coś strasznego. Czas na mnie. Wrócimy do tej rozmowy przy innej okazji. Ukryj się gdzieś, kolonia zoku to najbezpieczniejsze miejsce. Zostań tam, trzymaj się Pixil. Tutaj będzie gorąco.

- Ale...

- Bez dyskusji. Albo natychmiast tam pójdziesz, albo ja cię tam zabiorę.

Raymonde zmienia się w Dzentelmena i wzbija w powietrze, nim Isidore zdąży zareagować.

Odprowadza ją wzrokiem i wraca na leżak. Jest przyzwyczajony do delikatnego kołysania miasta - grunt nieustannie porusza mu się pod nogami - lecz w tej chwili ma wrażenie, jakby balansował na skraju głębokiej przepaści, która niespodziewanie się przed nim otworzyła. Rozpaczliwie czepia się utrwalonego w umyśle kształtu rzeczywistości, ale serce bije mu tak szybko, że nie może się skupić...

Ziemia drży. Rozlega się przerażający zgrzyt. Bruk na skwerku się wybrzusza. Isidore upada na ziemię, osłaniając głowę rękoma. Dudnią gigantyczne podziemne maszyny; przez chwilę można by pomyśleć, że miasto jest tylko cieniutką warstewką życia na grubej skórze jakiejś olbrzymiej bestii, która - boleśnie użądłona przez pszczołę - próbuje strząsnąć dokuczliwego insekta. A potem wszystko cichnie, równie nagle jak się zaczęło.

To machina złodzieja.

Roztrzęsiony Isidore wstaje. Mruga, żeby pozbyć się czerwonej mgły sprzed oczu, a potem zaczyna biec w stronę Labiryntu.

Przez miasto przechodzi wstrząs wtórny. Większość zniszczeń jest prawie niezauważalna (szkielety budynków są wykonane z intelmaterii), ale miasto znieruchomiało. Niezmienna Aleja wypełnia się hałaśliwym tłumem. W powietrzu niesie się niespokojny pomruk tysięcy ludzkich głosów. Coś stało się w Labiryncie: chmura kurzu nad dachami sięga nieba, a za nią

wznosi się całkiem nowa budowla - wysoka na setki metrów czarna iglica.

Isidore przepycha się przez tłum. W zamieszaniu ludzie pozostawiali otwarte geveloty, wszędzie widać wytrzeszczone oczy, słycać śmiech, czuć lekki strach.

- Następnny cholerny projekt artystyczny - mówi mężczyzna o topornych rysach, w pajęczej masce na twarzy. Opiera się o stojącą obok pająkotaksówkę. - Mówię wam: dzieło sztuki.

- Może mnie pan tam zawieźć? - pyta go Isidore.

- Nie da rady. Cadykowie nas uziemili. Blokują ruch, proszę spojrzeć.

Isidore podąża za jego spojrzeniem i widzi szybującą nad Labiryntem grupę cadyków. Otacza ich rozedrgane powietrze. Próbują stworzyć jakąś tarczę.

- Powariowali - mówi taksówkarz. - Widział pan, co wcześniej zrobili? Mam ich ko-wspomnienie. Paskudztwo. O, jeszcze jeden.

Jeden z cadyków - Kuroliszka - unosi się w powietrzu nad pobliską agorą. Jej słowa dobiegają ze wszystkich stron na raz, jakby całe powietrze nim tętniło.

- Nie wierzcie Głowski! - mówi. - Okłamano nas!

Mówi o kryptarchach, o tym, jak manipulują Głosem, o szarych eminencjach. Wszystkim chętnym oferuje ko-wspomnienie, które chroni przed wpływami kryptarchów. Opowiada o piratach gogolowych, o dowodach na manipulację umysłami, o danych znalezionych w mózgu Unruha. W imieniu wszystkich cadyków obiecuje, że będą strzec egzopamięci, znajdą kryptarchów i wymierzą im sprawiedliwość.

Z tłumu dobiegają gniewne pomruki.

Isidore sprawdza publiczny przekaz egzopamięciowy z Alei: Kuroliszki wcale tam nie ma; tłum wpatruje się w przestrzeń i słucha głosu dobiegającego z pustki.

- Kurczę... - mruczy pod nosem. Blokują przekaz!

Niespodziewane wspomnienie Głosu uderza z potężną siłą i prawie powala go na kolana. Isidore przypomina sobie, że cadykowie „rozgłaszają kłamstwa” i „są agentami zoku”, a zoku „chcą zniszczyć przyjęty przez mieszkańców Kazamat model

życia". Wcześniej Głos był zawsze tylko sugestią, brzmiał cichutko w głębi czaszki, jak namolne przypomnienie listy spraw do załatwienia, ale teraz... teraz jest bezpośredni, gwałtowny, jak wspomnienie trwale wypalone w umyśle, którego nie da się zignorować. Isidore przypomina sobie, że „powinien iść do domu i nastawić gevolut na maksymalną prywatność, dopóki sprawy się nie unormują” oraz że „obecne usterki w maszynerii miasta wynikają z niezbyt poważnego ataku phobosów, przeciw któremu podjęto już stosowne środki zapobiegawcze”.

Kręci głową. Wspomnienia są pełne poczucia winy; próbuje się z nich otrząsnąć, ale oblepiają go i wciągają jak ruchome piaski.

- To nieprawda... - Taksówkarz rozmasowuje skronie. - Nieprawda! Przecież słyszałem, co powiedziała!

Słychać krzyki. Na skraju agory wybucha bójka: grupa mężczyzn i kobiet w rewolucyjnych uniformach poszturčuje młodego mężczyznę w zokijskim stroju.

- Sługus Kurzawy! - pokrzykują. - Kwantowa dziwka!

Złość i gwałtowne nastroje rozchodzą się po tłumie jak fale po stawie. Ludzie zaczynają powoli iść w tym samym kierunku, bez słowa, w całkowitym milczeniu. Para w średnim wieku wymija Isidore'a. Oboje mają dziwnie szklisty wzrok.

Miała rację, myśli Isidore. To nie gra.

Potrząsa taksówkarzem.

- Zapłacę megasekundę, jeżeli zawiezie mnie pan do Kurzawy.

- Zwariował pan? Oni wszyscy właśnie tam idą. Rozedrą Kurzawę na strzępy.

- No to niech się pan pośpieszy.

Taksówkarz spogląda na niego, mrużąc oczy.

- Ejże, pan jest, zdaje się, tym pomagierem cadyka, prawda? Wie pan, co tu się wyrabia?

Isidore bierze głęboki wdech.

- Międzyplanetarny złodziej buduje maszynę pikotechnologiczną, używając do tego elementów miasta - wyjaśnia. - Kryptarchowie przejmują kontrolę nad umysłami mieszkańców, żeby zniszczyć kolonię zoku i pokonać cadyków,

którzy chcą im odebrać władzę. A ja chcę powstrzymać i złodzieja, i kryptarchów. - Zawiesza głos. - W dodatku podejrzewam, że ten złodziej jest moim ojcem.

Taksówkarz wybałusza oczy.

- No to jedziemy! - wykrzykuje. - Wsiadaj pan!

Pająkotaksówka mknie jak obłąkany insekt: pędem oddala się od Alei, przecina na skróty kawałek Labiryntu, wariackimi skokami pokonuje ulice. Czarna iglica góruje nad Labiryntem; wokół nadal kołuje kilku cadyków. Sam Labirynt dostał się w czyjeś olbrzymie dłonie, które poprzestawiały jego elementy jak klocki dziecinnej układanki; wszędzie widać ruiny domów i potrzaskane ulice. Żółci wyciszeni - lekarze i ratownicy - są wszędzie, ale ich działania są chaotyczne i nieskoordynowane. W egzopamięci rozchodzą się dziwne zmarszczki, jak fale *deja vu*.

Kurzawa przypomina szklaną kulę, w której szaleje śnieżycą. Otacza ją deformująca obraz bańka kwantopunktowa, która zniekształca zokijskie budynki i nadaje im surrealistyczny wygląd. Wszystko wewnątrz bańki porusza się, zapada, zmienia kształt.

Ulicami maszeruje tłum, wygląda jednak na to, że jego wysiłki pójdą na marne.

Kryptarchowie na pewno inaczej to zaplanowali, myśli Isidore. Zdają sobie sprawę, że tłuszczka nie wystarczy...

- No to jesteśmy... - oznajmia taksówkarz. - Mam zawrócić? Nie przebijemy się przez to.

- Proszę mnie wysadzić gdzie blisko.

Siadają w zaułku przy granicy kwantopunktowego bąbla: przypomina niewiarygodnie olbrzymią bańkę mydlaną, która strzela pod niebo jak opalizujący pionowy horyzont.

- Powodzenia - mówi kierowca. - Mam nadzieję, że pan wie, co robi.

Taksówka wzbija się skokiem w powietrze, jej odnóża aż krzeszą skry z nawierzchni ulicy.

Isidore dotyka ściany bąbla. Jest śliska i wydaje się

niematerialna, ale im mocniej ją naciska, tym mocniej ona go odpycha. Każde pchnięcie kończy się tym, że dłoń ześlizguje mu się po powierzchni.

Wyobraża sobie Pixil.

Wpuść mnie, prosi w myślach.

Nikt nie odpowiada.

- Chcę rozmawiać z Najstarszą - mówi. - Znam prawdę o Królestwie.

Jeszcze przez chwilę nic się nie dzieje, a potem bąbel przepuszcza jego dłoń i Isidore prawie się przewraca. Przechodzi przez bańkę na wylot, a ona przesuwa mu się po skórze dokładnie tak samo jak bańka mydlana, wilgotna i laskocząca.

W kolonii zoku wszystko jest w ruchu. Diamentowe budynki składają się, kurczą, zmieniają kształty jak zamki z papieru, które ktoś rozkłada na części i chowa do pudełek.

Wszędzie kręcą się zokijskie stwory o najdziwniejszych formach - od twarzy unoszących się w chmurach mgły, po zielone bestie, które za pomocą gestów manipulują materią.

Kwantopunktowa sfera wielkości dorosłego człowieka pojawia się przed nim znikąd, jakby oglądał puszczonej od tyłu proces pęknięcia bańki mydlanej, i ze środka wychodzi Pixil - w zbroi i z mieczem.

- Co tam się dzieje? - pyta z zawziętą miną. - Odwołali nam rajd, całe zoku szykuje się do wyjazdu! Powiedziałabym ci wcześniej, ale... - Bezradnym gestem dotyka zokijskiego klejnotu na szyi.

- Wiem, wiem, optymalizacja zasobów... Cóż, na mój gust zanoszą się na rewolucję. Muszę porozmawiać z Najstarszą.

- Super. Może tym razem naprawdę ją wkurzysz.

Bańka transportowa przenosi Isidore'a i Pixil do skarbcza, który również tętni gorączkową aktywnością. Czarne sześciiany unoszą się w powietrze i znikają pod srebrnymi portalami. Najstarsza stoi w środku tego zamętu - olbrzymia, świetlista kobieca postać, której spokojną twarz okalają krążące w

powietrzu klejnoty.

- Młodzieńcze... - odzywa się. - Zawsze jesteś mile widzianym gościem, ale muszę przyznać, że tym razem wybrałaś wyjątkowo złą porę na odwiedzin.

Mówi ciepłym i dźwięcznym głosem jasnowłosej kobiety, którą Isidore miał okazję poznać osobiście. Patrząc na nią, gromadzi w sobie całą złość i przekorę, na jaką stać go w obliczu postczłowieka.

- Dlaczego to zrobiliście? - pyta. - Dlaczego pomagacie kryptarchom?

Pixil wytrzeszcza oczy.

- Isidore, co ty wygadujesz?

- Słyszałaś o kryptarchach? Cadykowie dziś o nich mówili. Pamiętasz tamten kawałek Krainy, który, jak powiedziałas, zmajstrował Drathdor? To było prawdziwe Królestwo. To stamtąd pochodzą wszystkie wspomnienia mieszkańców Kazamat z czasów rewolucji i wcześniejszych. To wasze zoku to umożliwiło.

- To nieprawda! - Pixil wpatruje się w niego płonącymi oczami. - To bez sensu. - Odwraca się do Najstarszej. - Powiedz mu!

Ale Najstarsza milczy.

- To jakiś żart?

- Nie mieliśmy wyboru - odpowiada Najstarsza. - Wojna Protokołu nas złamała; potrzebowaliśmy kryjówek, w której bezpieczni przed Sbornością moglibyśmy wrócić do pełni sił. Dobiliśmy targu z kryptarchami. Wtedy się wydawało, że to drobiazg, przecież i tak nieustannie zmieniamy naszą przeszłość i pamięć o niej. Daliśmy im to, czego chcieli.

Pixil bierze Isidore'a za rękę.

- Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałam.

- Upodobniliśmy cię do nich, żebyś mogła wśród nich żyć - wyjaśnia Najstarsza. - Nie mogłaś wiedzieć więcej od nich.

- I tak po prostu pozwoliliście im robić, co chcieli? - pyta Isidore.

- To nie takie proste. Kiedy zobaczyliśmy, co się dzieje, mieliśmy pewne... wątpliwości. Dlatego stworzyliśmy cadyków:

wyposażyliśmy młodych idealistów z Kazamat w zdobycze naszej techniki i zapewnił im naszą pomoc. Mieliśmy nadzieję, że staną się przeciwwagą dla kryptarchów. Pomyliliśmy się. A ten złodziej do reszty wszystko zepsuł.

- Powiedz mi jedno - prosi Isidore. - Co tu wcześniej było?

Najstarsza nie odpowiada od razu. Po jej spokojnej twarzy przemyka cień smutku.

- Myślałam, że to oczywiste - mówi. - Kazamaty były więzieniem.

ROZDZIAŁ 18

ZŁODZIEJ I KRÓL

Stoimy w ogrodzie robotów we dwóch z moim młodszym ja. Ważę broń w dłoni. On też ma rewolwer - albo przynajmniej jego senne odbicie. To dziwne, jak wszystko zawsze sprowadza się do dwóch facetów z bronią, prawdziwą lub wyobrażoną. Wokół nas trwa spowolniona wojna wiekowych maszyn.

- Cieszę się, że tu dotarłeś - mówi on. - Nie wiem, gdzie byłeś ani dokąd się udajesz, ale wiem, że znalazłeś się tutaj, żeby dokonać wyboru. Pociągnij za spust, a staniesz się tym, kim my byliśmy. Albo nie rób nic, a wówczas... Cóż, będziesz żył tak samo jak dotychczas, robił mniejsze rzeczy i śnił mniejsze sny. Ale możesz znów słuchać muzyki sfer i dźwięku towarzyszącego łamaniu rządzących nimi praw. Wiem, co ja bym zrobił na twoim miejscu.

Otwieram rewolwer i oglądam dziewięć nabojów. Na każdym jest wypisane jedno imię; każdy zawiera stan kwantowy splątany z czasem zamkniętym w Zegarku właściciela: Isaaca, Marcela, Gilbertine i pozostałych. Jeżeli dziewięć razy pociągnę za spust, ich czas dobiegnie końca. Machina ruszy. Dziewięcioro ludzi przejdzie w stan Wyciszenia i stanie się harującymi pod miastem Atlasami. Zbudują mój pałac pamięci. Nigdy więcej ich nie zobaczę.

Wsuwam bębenek na miejsce i zakręcam nim jak w rosyjskiej ruletce. Młodszy ja szczyrzy zęby w uśmiechu.

- No dalej - mówi. - Na co czekasz?

Odrzucam rewolwer, który łąduje w krzakach róż. Patrzą w pustkę, w której jeszcze przed chwilą stał młodszy ja.

- Ty draniu - mówię. - Wiedziałeś, że tego nie zrobię.

- Rzeczywiście - słyszę czyjś głos. - Ale ja to zrobię.

Ogrodnik odrzuca gevulot. W ręce trzyma rewolwer. Ma siwe włosy i artystycznie postarzoną twarz, w której jest coś okrutnie znajomego. Cofam się o krok. Błyszczące jajowate urządzenie - zokijski karabin kwantopunktowy - unosi się nad jego prawym ramieniem i obserwuje mnie kwantowym okiem.

- Na twoim miejscu bym się nie ruszał - ostrzega mnie ogrodnik. - To małeństwo zmasakruje nawet takie fajne ciało jak twoje.

Powoli unoszę ręce.

- Le Roi, jak mniemam? - upewniam się.

Uśmiecha się. Ten sam uśmiech widziałem u kryptarchy w hotelu.

- Jesteś tu królem, tak? - pytam dalej.

Próbuję oszacować, jakie miałbym szanse, gdybym się na niego rzucił. Niewielkie. Dopóki moje ciało jest zablokowane w ludzkim wariacie, dzielące nas pięć metrów równie dobrze mogłoby być rokiem świetlnym.

- Wolę się uważać po prostu za ogrodnika - odpowiada. - Pamiętasz więzienie Sante na Ziemi? Pamiętasz, co powiedziałeś swojemu kompanowi z celi? Że tak naprawdę chciałbyś ukraść dla siebie własne Królestwo. Tylko że rządzenie nim byłoby zbyt kłopotliwe, wolałbyś nająć do tego jakiegoś figuranta, a potem z oddali patrzeć, jak mieszkańcy bogacą się i żyją szczęśliwie, podczas gdy ty pielesz ogród i rozdajesz dziewczętom kwiaty. I tylko od czasu do czasu wpływałbyś dyskretnie na ich losy. - Wolną ręką zatacza szeroki łuk, obejmujący ogród i otaczające nas miasto. - Ja ten sen urzeczywistniłem. - Wzdycha. - A teraz dzieje się z nim to samo, co ze wszystkimi snami: starzeje się.

- To prawda - przytakuję. - Cadykowie za chwilę położą mu kres i przebudzą mieszkańców. - Marszczę brwi. - Siedzieliśmy w jednej celi?

Parska śmiechem.

- W pewnym sensie. Możesz do mnie mówić le Roi, jeśli chcesz. Jean le Roi, tak mnie nazywano, ale dzisiaj nie przepadam już za tym imieniem.

Wybałuszam z niedowierzaniem oczy. Teraz, kiedy widzę go bez gevolutu, podobieństwo jest oczywiste.

- Co się stało? - pytam.

- Przed Upadkiem byliśmy tacy beztroscy... Właściwie czemu nie? Współpracowaliśmy z Założycielami. Łamaliśmy zabezpieczenia softu do sterowania prawami kognitywnymi szybciej niż Chitragupta wypuszczał nowe wersje. Było nas dużo, niektórzy zostali złapani. Wśród nich ja.

- Jak tu trafiłeś? - pytam i nagle prawda wali mnie jak obuchem przez łeb. - Nigdy nie było tu żadnego Królestwa. Tylko więzienie.

- To miała być taka druga Australia. Idea typowa dla czasów przed Upadkiem: wsadzić przestępców do maszyn terraformujących, niech spłacają dług wobec społeczeństwa. Harowaliśmy jak woły, możesz mi wierzyć. Przetwarzaliśmy regolit, rozpaliliśmy Phobosa, atomówkami stopiliśmy czapę lodową. Wszystko po to, żeby znów choć na chwilę stać się ludźmi. Tamci oczywiście dopilnowali, żebyśmy tu byli bezpiecznie odcięci od reszty kosmosu; sama myśl o opuszczeniu Marsa sprawia mi piekielny ból. Potem jednak zdarzył się Upadek i wariaci przejęli władzę w wariatkowie. Włamaliśmy się do panoptikum, zrobiliśmy z niego egzopamięć i wykorzystaliśmy ją do przejęcia władzy. - Kręci głową. - A innym postanowiliśmy przedstawić bardziej sympatyczną wersję wydarzeń. Impuls był błogosławieństwem, wymazał wszystkie pozostawione przez nas ślady. Oczywiście, dopiero przybycie zoku pozwoliło nam do końca zrealizować naszą wizję, chociaż z perspektywy czasu widzę, że nie należało ich tu wpuszczać. Wtedy jednak potrzebowaliśmy wsparcia, żeby Sbornost' dała nam spokój. No, nie najlepiej na tym wyszliśmy, ale zoku przynajmniej dali nam narzędzia do tworzenia pięknych snów.

- Wam? O kim jeszcze mówisz?

- O nikim. Już o nikim. Dawno zająłem się pozostałymi. Ogrodowi wystarczy jeden ogrodnik. - Le Roi dotyka łożyski kwiatu. - Przez pewien czas było mi tu dobrze. - Krzywi się. - Dopóki ty się nie zjawiałeś. O ile lepiej ci się powiodło: taka

władza, taka wolność... A ty postanowiłeś zostać tubylcem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie to wkurzyło.

Śmieje się.

- Znasz to uczucie nie gorzej ode mnie: kiedy pragniesz czegoś, co ma ktoś inny - ciągnie. - Wyobrażasz więc sobie, jak rozpaczliwie pragnąłem tego, co stało się twoim udziałem. Dlatego kiedy zniknąłeś, zagarnąłem wszystko, co tylko się dało. Na przykład, twoją kobietę. Nigdy już nie będzie twoja; jest przekonana, że porzuciłeś ją, zrobiwszy jej dziecko, i przepadłeś bez śladu. Nigdy nie rozumiałem, co w niej widziałeś. Chociaż trzeba przyznać, że świetnie zatarłeś ślady w tym waszym wspólnym wspomnieniu. Na przykład to... - Pokazuje mi rewolwer z dziewięcioma nabojami. - Nie miałem pojęcia, co to jest. To było cwane, poukrywać swoje skarby w egzopamięci przyjaciół. Przyznaję, zmyliłeś mnie. Wiedziałem jednak, że wrócisz, więc podrzuciłem ci trop; obrazy w geulocie pochodziły ode mnie. A i tak skończyło się na tym, że to ten detektyw wszystko mi poukładał. Bardzo stosownie. - Celuje we mnie. - Dałem ci nawet szansę, żeby zakończyć tę sprawę; uznałem, że tak będzie uczciwie. Ale nie chciałeś. Teraz moja kolej.

Rzucam się na niego z rykiem czerwonej furii na ustach. Karabin kwantopunktowy wypala. Padam na ziemię, z impetem uderzam twarzą o marmur. Zrobione przez Sbornost' ciało przez chwilę wyje, zanim litościwie wprowadzi do krwiobiegu środek znieczulający. Ból słabnie. Odwracam się na wznak i usiłuję wstać. W tej samej chwili uświadamiam sobie, że zamiast prawego podudzia mam już tylko szerniały kikut.

Le Roi uśmiecha się do mnie, podnosi rewolwer i zaczyna strzelać. Kiedy próbuję drapać go po nogach, kopie mnie w twarz. Usiłuję liczyć strzały, ale tracę rachubę.

Ziemia drży. Pod miastem budzą się Atlasy, które w przeszłości były moimi przyjaciółmi. Mają nowe umysły i nowy cel w życiu. Pałace pamięci są ich częścią; chcą się znów połączyć i z siłą kataklizmu dążą do zespolenia. Wybuchają kamienny sztorm. Budowle okalające ogród robotów wałają się w gruzy. Pałace wyrastają nad nimi niczym czarne żagle,

rozdzierając wszystko po drodze. Zewsząd na nas napierają.

Zamykają się nad nami jak dwie czarne dłonie o regularnych kształtach, zetknięte czubkami palców. Zapada ciemność. Szpile i igły rozdzierają mnie i Króla na strzępy.

ROZDZIAŁ 19

DETEKTYW I PIERŚCIEN

Mielli odczuwa mrowienie skóry wywołane blokadą gevulotu, ale czuje się przy tym znów lekka, nieważka, a kabina *Perhonen* jest dla niej najlepszą namiastką dawno porzuconego domu. Kojące poczucie bezpieczeństwa prawie zagłusza rozbrzmiewający jej pod czaszką gniewny głos pellegrini.

Cieszę się, że wróciłaś, mówi Perhonen. Motyle awatary statku fruwią wokół głowy Mielli. Bez ciebie czułam się tak, jakby brakowało mi kawałka mnie samej.

- Ja też. - Mielli rozkoszuje się znajomym łaskotaniem skrzydełek na skórze. - Bardzo.

- Kiedy możesz tam wrócić? - dopomina się pellegrini.

Bogini towarzyszy Mielli nieustannie, odkąd wyciszeni urzędnicy imigracyjni odstawili ją na statek i obudzili. Usta ma zaciśnięte w wąską czerwoną krechę.

- To nie do przyjęcia - piekli się. - Musi zostać ukarany. Ukarany! - Smakuje to słowo na języku. - Tak, ukarany.

- Mamy kłopot z biołączem - mówi Mielli. Dokucza jej ta cisza w eterze.

Czy to możliwe, żebym za nim tęskniła? Jakże łatwo uzależniamy się od trucizny...

No, śmiało, zachęca ją Perhonen. Po prostu przyznaj, że się o niego martwisz. Zresztą powiem ci coś, tylko nikomu tego nie mów: ja też się martwię.

- Ostatni odebrany przekaz sugerował poważne uszkodzenia. Zresztą i tak nie możemy wrócić przez najbliższe trzydzieści dni, w każdym razie nie legalnie.

- Co on tam w ogóle robi? - mruczy pod nosem pellegrini.

Kontrola lotów orbitalnych w Kazamatach każe nam wziąć kurs na Autostradę, wtrąca Perhonen. Nie dopuszczają

turystów do stacji pnączokolei. Coś się dzieje w mieście.

- Widać coś? - pyta Mielli.

Awatary statku kreślą w powietrzu przed nią cały wachlarz obrazów rejestrowanych na różnych długościach fal. Widać na nich miasto - ciemną soczewkowatą plamę w pomarańczowym zagłębieniu Hellas Planitia, rozmytą pod osłoną geulotu.

Dzieje się coś bardzo złego, mówi znowu Perhonen. Miasto się nie porusza.

Na obrazach widać coś jeszcze: czarną rozmazaną masę, która przelewa się od zewnątrz przez krawędzie krateru i pełnie w stronę miasta.

Perhonen podbija powiększenie i Mielli zagląda do piekła. To phobosy, wyjaśnia statek.

- Co robimy? - pyta Mielli.

- Nic - mówi pellegrini. - Czekamy. Jean miał ochotę na jakieś swoje gierki, to niech sobie teraz pogra. A my poczekamy, aż skończy.

- Z całym szacunkiem, ale to by oznaczało niewypełnienie misji. Nie mamy na planecie żadnych agentów, których moglibyśmy wykorzystać? Żadnych piratów?

- Ośmielasz się mi rozkazywać?

Mielli się wzdryga.

- Moja odpowiedź brzmi: nie - ciągnie bogini. - Nie mogę zostawić żadnych śladów. Musimy pomyśleć o ograniczeniu strat.

- Chcesz go porzucić?

- Szkoda mi go, oczywiście. Mam do niego pewien sentyment; znajomość z nim była sympatycznym doświadczeniem, a jego zdrada tylko dodała jej pieprzyku, ale nie ma ludzi niezastąpionych. Jeżeli kryptarcha wygra, może łatwiej będzie z nim dobić targu. - Pellegrini uśmiecha się tęsknie. - Choć pewnie nie będzie to takie przyjemne.

Nie wiem dokładnie, jakie problemy trapią miasto, ale chyba się rozprzestrzeniają, melduje Perhonen. Flota wyciszonych pogrąża się w chaosie. Jeżeli to cię interesuje, za

trzydzieści minut phobosy dotrą do murów.

- Pani... - odzywa się Mielli. - Odrzuciłam wszystko, żeby ci służyć: ciało, umysł, w znacznej mierze także honor. Tyle że przez ostatnie tygodnie złodziej, poniekąd wbrew mojej woli, stał mi się bliski jak brat w koto. Jeżeli go porzucę, nie będę mogła stanąć przed moimi przodkami z podniesionym czołem. Pozwól mi.

Pellegrini unosi brwi.

- Widzę, że w końcu cię jednak zauroczył... Ale nie, nie zgadzam się. Jesteś zbyt cenna, żeby tak ryzykować. Poczekamy.

Mielli milczy. Ogląda obrazy nieruchomego miasta. Nie jest tego wart, myśli. To złodziej. Kłamca.

Ale to dzięki niemu znów zaczęłam śpiewać. Nawet jeśli zmusił mnie do tego podstępem.

- Pani, spełnij moją prośbę, a ja zgodzę się zmienić warunki naszej umowy. Zostawię ci swojego gogola; jeśli nie wrócę, po prostu mnie wskrzesisz.

Nie rób tego, Mielli, ostrzega ją statek. Nie będziesz mogła się z tego wycofać.

To jedyna rzecz, która mi została poza honorem. A honor cenię sobie wyżej. Pellegrini mruży oczy.

- To rzeczywiście ciekawa propozycja... Wszystko ze względu na niego?

Mielli kiwa głową.

- Dobrze - zgadza się bogini. - Przyjmuję twoją ofertę. Pod jednym warunkiem: jeżeli coś pójdzie nie po mojej myśli, *Perhonen* zrzuci na miasto bombę dziwnocząstkową. Nosisz mnie w sobie, a ja nie mogę dopuścić do tego, żeby mnie znaleziono. - Uśmiecha się. - A teraz zamknij oczy i módl się do mnie.

Wyminięcie zdezorganizowanej floty wyciszonych zajmuje dosłownie kilka minut. Mielli nie ma ochoty na subtelności i ostro eksploatuje zasilane antymaterią silniki. Statek jak smukła diamentowa strzała tnie troposferę i nurkuje w

kierunku Hellas Planitia.

Pokaż mi phobosy.

Przez równinę pędzą istoty rodem z koszmarów. Są ich miliony, w nieskończonych odmianach, zbite w masę, która porusza się jak jeden spójny organizm. Roje przezroczystych insektów łączą się w niezgrabne, kroczące sylwetki; grona napełnionych chemikaliami pękających worków pulsują i przelewają się naprzód; człękokształtne istoty o ciałach jak ze szkła mają niepokojąco realistyczne twarze - najwyraźniej ich przodkowie odkryli, że ludzkie rysy o ułamek sekundy spowalniają reakcję wyciszonych wojowników.

Phobosy to hybrydowa broń biorobotyczna. Rozmnażają się i ewoluują samodzielnie przez miliardy wirtualnych pokoleń, modyfikując swój wygląd i funkcje. Kazamaty od wieków toczą z nimi wojnę. Kiedy miasto nieruchomieje, phobosy wietrzą krew.

Mielli analizuje ich uzbrojenie. Gogole kontrofensywne, które ma w zanadrzu, przygotowywała z myślą o zoku i jest mało prawdopodobne, żeby okazały się skuteczną bronią wobec wroga wyposażonego w proste chemiczne mózgi. Dlatego bardziej realistycznie zapowiada się wykorzystanie brutalnej siły: kwantopunkty, antymateria, lasery oraz, w razie konieczności, ostatnia bomba dziwnocząstkowa - chociaż w jej wypadku Mielli obawia się trochę o skutki wybuchu dla całego Marsa.

Dobra, plan jest prosty, mówi. Ty je spowalniasz, ja schodzę po złodzieja, ty nas wyciągasz. Dokładnie tak jak to robiłyśmy poprzednio.

Rozumiem. Uważaj na siebie.

Powtarzasz to za każdym razem. Nawet kiedy za chwilę rzucisz mnie nad umierającym miastem.

I za każdym razem jestem w tym szczerą.

Statek otula Mielli kwantopunktowym bąblem, chwyta go w pole EM i wystrzeliwuje na Marsa.

Mielli - z w pełni aktywną metakorą - steruje skrzydłami, kierując się na jedną z agor przy Niezmiennej Alei. Ostrzeliwuje miasto nanopociskami pędzącymi z całkiem konkretnym ułamkiem prędkości światła. Tym razem ma pancierz i zewnętrzną broń - wielozadaniowe działko Sbornosti, lśniący cylinder zniszczenia. Pociski, zanim zamieniają się w parę, przesyłają poszatkiowane obrazy; gevulot działa zbyt wolno, żeby zablokować transmisję. Metakora mózgu Mielli składa z nich spójny obraz miasta.

Zakrwawione twarze. Czerwone plamy na białych mundurach. Piraci gogolowi z rozpuszczonymi mackami transferowymi, atakujący wszystko, co się rusza. Starzy i młodzi Marsjanie walczący improwizowaną bronią. Wyciszeni żołnierze odcinający kordonami kolejne ulice. Cadykowie w zwarciu z wyciszonymi i ludźmi, blokujący strzały tarczami z mgły użytkowej. Zokijaska kolonia osłonięta kwantopunktową bańką, przy której toczą się szczególnie ciężkie walki. W samym środku Labiryntu - czarna iglica, której wcześniej tam nie było. A pod nią...

W Miejscu Straconego Czasu Dzentelmen stawia opór gromadzie bojowych wyciszonych. Jego mgła użytkowa kruszy się pod ciężkim ostrzałem.

Mielli eliminuje wyciszonych autonomicznymi pociskami z ładunkiem plazmy kwarkowo-gluonowej. Omiata pół placu ogniem jasnym jak wybuch supernowej, który na moment podświetla kłębiące się we mgle kształty. Wyglądają jak wyrastające z ciała Dzentelmena egzotyczne korale.

Raport o phobosach, żąda Mielli.

Perhonen udostępnia go ze swoich zmysłów: tańczy nad kipiącą czarną masą phobosów, obrzucając je mikrotonowymi głowicami z antimaterią. Niebo nad miastem rozbłyskuje w rytmie ich eksplozji, jak przecinane nienaturalnie jasnymi błyskawicami. Grzmot przewala się chwilę później.

Nie jest dobrze, melduje statek. Przydałaby się jakaś broń wirusowa. Spowalnim ich natarcie, ale lada chwila i tak uderzą na miasto z drugiej strony.

Mielli hamuje skrzydłami, ale i tak z dużym impetem uderza

o ziemię; kamień pęka pod jej opancerzonymi stopami. Gramoląc się ze swojego małego krateru, widzi Raymonde otoczoną wieńcem gotowych do uderzenia ostrzy z mgły.

- Kim jesteś? - pyta Raymonde. - Mielli czy tą drugą?

- Tą, którą ci mówi, że za chwilę będziecie mieli poważny problem z phobosami.

- Psiakrew...

Mielli rozgląda się po zrujnowanej dzielnicy. W Alei słychać strzelaninę, gdzieś daleko coś eksploduje.

- To ma być rewolucja?

- Wszystko się popieprzyło przed godziną - wyjaśnia Raymonde. - Ludzie sterowani przez kryptarchów zaczęli mordować wszystkich zainfekowanych naszym wspomnieniem. W dodatku dostali wsparcie wyciszonych żołnierzy, którzy powinni pilnować muru. Próbuje uzbierać tych, którzy przeżyli. Dopóki system wskrzeszeniowy działa, możemy jeszcze wszystkich ożywić, ale fakty są takie, że w tej chwili przegrywamy. A naszym prawdziwym problemem jest to.

Wskazuje iglicę nad Labiryntem.

- Co to jest?

- Dzieło Jeana. On jest w środku, z kryptarchą.

- Nadciągają phobosy. Albo coś z tym zrobimy, albo niedługo wszyscy się przekonacie, co to jest prawdziwa śmierć. Musicie wprawić miasto w ruch. Rozumiem, że zoku nic nie robią?

- Nie. Nawet nie mam z nimi kontaktu.

- Typowe... Trudno. Wejź tam do środka, wyprowadź kryptarchę i każ mu powstrzymać walki, żebyśmy mogli wszyscy stawić czoło phobosom. Ja zamierzam wyciągnąć złodzieja. Wygląda na to, że lecimy w tę samą stronę.

Mielli rozkłada skrzydła, cadyk wznosi się w powietrze obok niej i razem lecą nad płonącym miastem w kierunku czarnej iglicy.

- To wy zburzyliście ład - mówi Isidore. - Dlatego musicie nam teraz pomóc. Jeżeli nie powstrzymamy kryptarchy,

wybuchnie wojna domowa. Sami nie dadzą rady.

- Nie - mówi Najstarsza. - Musimy być lojalni przede wszystkim wobec siebie. Zaleczyliśmy rany. Znów jesteśmy silni. Czas odejść.

Skarbiec jest już pusty, zostały tylko srebrne portale.

- To ucieczka.

- To optymalizacja zasobów. Możesz do nas dołączyć. Licz się jednak z tym, że twoja obecna postać nie jest najlepszą z możliwych.

- Zostaję. Tu jest mój dom.

Z cząstki okalającego Najstarszą blasku formuje się nieruchome miniaturowe miasto. Na ulicach tłoczą się małe ludziki. Widać płomienie i rozbłyski światła. Isidore widzi walki między sługami kryptarchów i zaszczepionymi kowspomnieniem ludźmi cadyków. Czuje smak krwi i odkrywa, że przygryzł sobie język. Czarne fale roztrzaskują się o mury obronne i liżą nogi miasta. Phobosy.

- Możesz jeszcze zmienić swoją decyzję - mówi Najstarsza.

Isidore zamyka oczy. Pod powiekami rysuje mu się kształt inny niż tajemnica, zmienny, ruchomy, nie statyczny jak płatek śniegu, który można do woli oglądać pod różnymi kątami, aż się go zrozumie.

- Kryptarchowie - mówi w końcu. - Kryptarchowie mogą położyć temu kres. Mogą wprawić miasto w ruch i zakończyć walki. Raymonde spodziewała się, że zbiorą się tutaj. - Wskazuje górującą nad minimiastem iglicę; sterczy jak strzała wbita w jego serce. - Będą chcieli się spotkać ze złodziejem... Pierścień. Złodziej ukradł mi pierścień splątaniowy! Pixil? Ta twoja sztuczka z duchem... Czy w środku tego czegoś też by zadziałała?

- To zależy, czym to coś jest. Będzie nam potrzebna brama do Krainy, żeby to sprawdzić.

Pixil rusza w stronę najbliższego srebrnego portalu.

- Zoku się na to nie zgodzi - ostrzega Najstarsza.

- Dajcie mi tylko przejść - mówi Isidore. - O nic więcej nie proszę. Nie mogę po prostu stać tutaj i patrzeć.

Pixil dotyka zokijskiego klejnotu na szyi i mocno zaciska

powieki. Krzywi się z bólu i klejnot oddziela się od jej ciała jak nowo narodzona mała istota. Pixil trzyma go w zakrwawionych palcach.

- Zawsze zostawała nam wolność wyboru - mówi. - Zatem wybieram. Zostaję. Tu się urodziłam. - Bierze Isidore'a za rękę.
- Chodźmy.

- Co ty robisz? - dziwi się Najstarsza.

Pixil dotyka bramy i ze środka wylewa się miodowe światło.

- To, co słuszne - odpowiada i przechodzi na drugą stronę, pociągając Isidore'a za sobą.

ROZDZIAŁ 20

DWAJ ZŁODZIEJE I DETEKTYW

Ciemność nas odtwarza. Przez chwilę czuję się tak, jakby ktoś szkicował mnie piórkiem; czuję, jak odzyskuję ciało, skórę i kończyny, jedną po drugiej. A potem znowu widzę.

Patrzy na mnie kot. Stoi na tylnych łapach, ubrany w wysokie buty, kapelusz i szeroki pas, do którego ma przypasany maciupęńki mieczyk. Oczy ma szkliste, jak martwe... Nie, one naprawdę są ze szkła. Połyskują złościście. Zdejmuje kapelusz (jego ruchy są szarpane, nie płynne, jakby się zacinał) i kłania mi się mechanicznie.

- Dobry wieczór, panie - terkocze piskliwie. - Witaj w domu.

Jesteśmy w pałacowej galerii. Na połączonych ścianach wiszą obrazy, kryształowe kandelabry skrzą się pod sufitem. Szerokie okna wychodzą na wyłożony mozaiką taras. Wpadające przez nie złote popołudniowe promienie słońca nadają wszystkiemu bursztynową poświatę. Kucam na podłodze, zrównując się z kotem. Nadal mam kikut zamiast nogi, ale przynajmniej już nie boli. Tak samo jak le Roi, jestem ubrany w strój dworzanina sprzed wieków - frak, mosiężne guziki, nedorzecznie ciasne rajtuzy, koszula z żabotem - lecz to jemu kłania się kot, nie mnie. I to on nadal trzyma rewolwer.

Spinam się do skoku, ale jest szybszy: uderza mnie na odlew w twarz ręką broni. To dziwne, ale ból wydaje mi się prawdziwszy tutaj niż w prawdziwym świecie. Czuję, jak metal wgryza mi się w ciało i kość policzkową, krew zalewa mi usta. Niewiele brakuje, żebym zemdłał.

Le Roi szturcha mnie nogą.

- Zabierzcie stąd to bydlę - mówi. - I znajdźcie mi coś do ubrania.

Kot znowu kłania się i klaszcze w łapki: odgłos jest ledwie

słyszalny, lecz i tak słycać w odpowiedzi odległe kroki i odgłos otwieranych drzwi.

Z wysiłkiem siadam i pluję krwią na podłogę u stóp le Roi.

- Ty draniu - mówię. - Byłem na to przygotowany. Nie znasz wszystkich pułapek. Przekonasz się.

- Daj spokój, to żalosne skomlenie nie przystoi ani tobie, ani mnie. Ciesz się, że wydałeś mi się zabawny i postanowiłem zatrzymać cię przy sobie... w odległych wspomnieniach.

Na dany przez niego rewolwerem znak czyjeś silne ręce podnoszą mnie z posadzki i zaczynają dokąds wlec. Figury woskowe: wąsaty mężczyzna w garniturze z początków XX wieku i nieznana mi kobieta w stroju pokojówki. Oboje mają szklane oczy i żółte, nieporadnie wyrzeźbione w wosku twarze. Szarpię się, ale nie potrafię sprostać ich mechanicznej sile.

- Puśćcie mnie! - krzyczę. - To nie on jest waszym panem, tylko ja!

Niestety, wygląda na to, że broń daje mu większą władzę niż moja.

- Ty łotrze! - wołam. - Wracaj tu! Walcz!

Woskowe stwory wloką mnie korytarzem, od którego odchodzą otwarte drzwi. Są ich setki. Za nimi inne woskowe figury odtwarzają w zwolnionym tempie różne sceny. Znajome obrazy: młody mężczyzna w więziennej celi czyta książkę; ciemny namiot, w kącie siedzi jakaś kobieta, nuci pod nosem i pichci coś na żałośnie skąpym ogniu; naga Raymonde o woskowej twarzy gra na fortepianie - powoli, nieporadnie. Wszyscy są martwi i poruszają się jak automaty. Nagle dociera do mnie, co le Roi mógł mieć na myśli mówiąc o „odległych wspomnieniach”.

Dopiero w pracowni - wśród form do odlewów, kadzi z gorącym woskiem i ostrych narzędzi - zaczynam krzyżeć.

Następuje chwila nieciągłości, po której Isidore nadal trzyma Pixil za rękę. Mruga. Powietrze pachnie kurzem i woskiem. Znajdują się w pomieszczeniu przypominającym izbę tortur, tyle że zaopatrzonym w wysokie, ozdobne okna, przez które

widać ogród. Złodziej leży przypięty pasami do dużego stołu, nad którym pochylają się postaci jak z bajek: wilk w kobiecym przebraniu oraz wąsacz i pokojówka w strojach z zamierchłej historii Ziemi. W łapach i woskowych dłoniach trzymają ostre, zakrzywione noże.

Pixil rzuca się na nich. Jej miecz z głośnym *zing!* wysuwa się z pochwy i tnie na prawo i lewo, przecina wosk i mosiądz. Kudłaty łeb leci w kąt; ze strzaskanej czaszki sypią się zębaki i kawałki metalu. Woskowe figury w kawałkach padają na ziemię.

Pixil ostrożnie przystawia złodziejowi czubek miecza do szyi.

- Nie ruszaj się. To miecz z Krainy. Jak widzisz, całkiem nieźle zaadaptował się do tutejszego środowiska.

- Właśnie miałem ci podziękować - rzeźbi złodziej i uśmiecha się do Isidore'a. - Pan Beautrelet, ogromnie się cieszę, że pana widzę... Znamy się już: Jean le Flambeur, do usług. Chociaż nie w tej chwili, bo na razie pańska towarzyszka ma nade mną sporą przewagę.

- Co tam się dzieje? - pyta Isidore.

- Przykro mi to mówić, ale tu rządzi kryptarcha. Le Roi. - Złodziej marszczy brwi. - Jak się tu dostaliście? Ach tak, mam pański pierścień splątaniowy! To zdumiewające, jaka kleptomania potrafi być czasem użyteczna... Uwaga!

Isidore się odwraca. Kątem oka dostrzega pędzącego po podłodze futrzastego stwora.

- Łapcie go! - krzyczy złodziej. - Zabrał pierścień!

Atakują, informuje ją *Perhonen*. *Dłużej ich nie powstrzymam.*

Mielli czuje zderzenia latających phobosów z kadłubem statku; wysysają energię z jej pancerza.

- Uciekaj - rozkazuje.

Statek się wznosi i fala phobosów niczym kosa ścina zdezorientowanych wyciszonych i przelewa się po nich. Mielli wyłącza obraz z punktu widzenia statku i koncentruje się na ostrzeliwaniu kontrolowanych przez kryptarchę wyciszonych żołnierzy. Żółty wyciszony budowlaniec zmusił ją do

lądownia, wzbijając w powietrze tumany specjalnie wyfabrykowanego kurzu, które przejściowo pozatykały jej wyloty mikrowirników w skrzydłach. Wróg uparcie napiera na nią i Raymonde i powoli, lecz nieustannie przybliża się do iglicy.

- Phobosy zaraz się przedrą! - woła Mielli do cadyka.

Mimo chmury kurzu i srebrnej maski widzi malującą się na jego twarzy desperację.

Mielli! Coś się dzieje!

Spowalnia czas i znów podłącza się do zmysłów *Perhonen*.

Kwantopunktowa bańka wokół kolonii zoku znika i ze środka wyjeżdża chmara skowyczących duchów o ciałach z diamentów, klejnotów i rozedrganego powietrza. Zalewają hordę phobosów powodzią koherentnego światła i wrzynają się w nią jak w masło; pędzą tak szybko, że ludzkie oko za nimi nie nadąża, a ich śladem podążają pożary (skutek użycia samoreplikującej się broni nanotechnologicznej). W skłębionej masie phobosów rozprzestrzeniają się ogniste kręgi.

Co się stało, że zmienili zdanie? - zastanawia się Mielli, ale nie ma czasu na długie dywagacje.

- Szybciej! - woła do Raymonde. - Zdążymy!

Zaciska zęby, wysuwa umocowany do działka bagnet i rzuca się na tłuszczę wyciszonych.

Zokijska dziewczyna mnie uwalnia. Detektyw już goni za kotem, ja puszczam się biegiem za nimi oboma. Kota już nie widać, pędzę więc na oślep w kierunku, w którym wydaje mi się, że zniknął. Po drodze mijam automaty pamięciowe tańczące swoje bezgłośne tańce.

I nagle jest: mała galeria, ciemny drewniany stół na jednej nodze, a na nim czarny, pozbawiony ozdób przedmiot, w sam raz na pierścionek zaręczynowy. Pudełko Schrödingera. Pokusa jest tak samo silna jak przed dwudziestu laty, kiedy odkryłem, że znajduje się w zokijskiej kolonii. Nie potrafię się jej oprzeć. Ostrożnie wchodzę do galerii i porywam pudełko ze stołu. Spodziewam się pułapki, lecz nic się nie dzieje. Ściskając

pudełko w dłoni, wracam na korytarz.

Detektyw i jego zokijska przyjaciółka właśnie wracają.

- Nic z tego - mówi detektyw. - Uciekł.

- Tego szukacie? - pyta Jean le Roi.

Wygląda inaczej, młodziej, jest znacznie bardziej do mnie podobny niż przedtem. Ma twarz pozbawioną zmarszczek, czarne włosy i cieniutki, jakby narysowany ołówkiem wąsik. Jest ubrany w smoking, białe rękawiczki i pelerynę, jakby wybierał się wieczorem do opery. W ręce trzyma laskę. Dookoła jego głowy krążą zokijskie klejnoty mieniące się odcieniami zieleni i błękitu. Tylko złośliwy uśmiech jest ten sam co przedtem.

Le Roi pokazuje nam pierścień: srebrną obrączkę z niebieskim kamieniem.

- Nie martwcie się, nie będzie wam już potrzebny. - Wykonuje gest godny iluzjonisty i pierścień znika w błysku światła i kłębie dymu. - Możecie tu zostać. Będziecie moimi gośćmi. - Strzepuje niewidzialny pyłek z kłapy. - Znalazłem ciało, które zamierzam jakiś czas ponosić. Czas zakończyć ten spór.

Zokijka wydaje z siebie nieludzki krzyk i zanim zdążam ją powstrzymać, wymierza le Roi zamaszyste cięcie mieczem. Le Roi szybkim jak błyskawica ruchem przekręca główkę laski i wysuniętym z jej drugiego końca ostrzem paruje cios, a potem robi unik, wypad - i ostrze laski wychodzi plecami dziewczyny, jakby zakwitł na nich ostry, złowieszczy kwiat. Le Roi płynnym ruchem wyciąga klingę z rany. Dziewczyna osuwa się na kolana. Detektyw doskakuje do niej, żeby ją podtrzymać, ale ja widzę, że nie ma już dla niej nadziei.

Le Roi szturcha miecz laską.

- Ładna zabawka - przyznaje. - Ale ja mam ładniejsze.

Chyba dopiero w tej chwili zauważa detektywa, bo nagle wytrzeszcza oczy.

- Nie powinno cię tu być - mówi półgłosem. - Co tu robisz?

Detektyw podnosi na niego zrozpaczony wzrok. Łzy spływają mu po policzkach, lecz jego oczy palają gniewem.

- Panie le Roi... - zaczyna spokojnie. - Jest pan aresztowany za przestępstwa przeciwko Kazamatom. W imieniu rewolucji

rozkazuję panu bezzwłocznie oddać mi klucz do pańskiej egzopamięci...

- Nie, nie, nie. - Le Roi klęka obok niego. - Źle mnie zrozumiałeś. Myślałem, że jesteście wspomnieniem, które on podburzył przeciwko mnie. Nie chciałem, żeby tak się to skończyło. - Spogląda na dziewczynę. - Jeśli chcesz, możemy ją wskrzесиć. - Wypuszcza z ręki laskę i sięga do kieszeni. - Masz. Proszę. - Wcisną coś detektywowi w dłoń. - Weź. Odeślę cię z powrotem. Królewicz dziedziczy królestwo, tak powinno być...

Detektyw uderza go w twarz. Le Roi zrywa się na równe nogi i wymierza w niego laskę. Kręci głową.

- Dość tego.

Wykonuje lekki ruch bronią i detektyw znika w rozbłysku światła.

- Psujesz wszystkie swoje zabawki - zauważam, podnosząc zokijski miecz. - Mnie też chcesz zepsuć?

Miecz do mnie mówi, odkrywa przede mną strukturę wszystkiego dookoła. Znajduję się w małej kopii Krainy, wirtualnym świecie będącym interfejsem otaczającej nas zewsząd pikotechnologicznej maszyny. Jestem tworem software'owym zawierającym wszystkie informacje na temat mojego ciała, które pałac rozłożył na czynniki pierwsze. W brzuchu tkwi mi coś niebieskiego, jakby duch...

Le Roi mruży oczy.

- Ten chłopiec wcale się nie popsuł - mówi. - Wypadł doskonale. Przechytrzył cię. Za sto lat wrócę tu i go odwiedzę.

- To nie twoja zasługa. A w dodatku ma rację: musisz zapłacić za to, co zrobiłeś.

Uśmiecha się szyderczo i salutuje mi laską.

- Wobec tego wykonaj wyrok, jeśli potrafisz. Skończmy to.

Przyjmuję pozycję szermierczą. Jego oczy są lustrzanym odbiciem moich.

Oburącz podnoszę miecz i wbijam go sobie w brzuch. Ból jest oślepiający. Miecz przerywa software'owy konstrukt, który jest mną.

I uwalnia archonta.

Wydostaje się na zewnątrz w potopie krwi i bebechów,

wylewa się strumieniem danych, rozlewa się po ścianach i podłogach pałacu, które zmieniają się w szkło. Między mną i le Roi wyrasta ściana celi. Rodzę więzienie Dylemat i wybucham śmiechem.

Niewiele brakuje, żeby Mielli zastrzeliła detektywa, kiedy iglica go wypłuwa: kawałek chropowatej czarnej ściany zmienia się w nagie ciało młodego mężczyzny, które upada na ziemię. Raymonde już przy nim jest, pomaga mu wstać.

- Załatwił Pixil - mamrocze detektyw.

Dosłownie przed paroma minutami dotarli do podstawy iglicy. Materiał, z którego ją zbudowano, przypomina pseudomaterię, jaką Mielli oglądała dotąd tylko w zgłiszczach po Impulsie; składa się nie z atomów i cząsteczek, lecz z czegoś o wiele delikatniejszego - z tworzywa kwarków albo piany czasoprzestrzennej.

Mielli? - odzywa się Perhonen. To chyba nie jest bezpieczna okolica. W środku cały czas coś się dzieje. Promieniowanie gamma, cząstki WIMP, prawdziwa fontanna...

Iglicę przechodzi dreszcz i nagle jej ściany upodabniają się do przydymionego szkła - są ciemne, zimne, gęste.

To wygląda jak więzienie, myśli Mielli. Złodziej uwolnił archonta.

Opuszcza broń i dotyka ściany iglicy, która otwiera się przed nią i przyjmuje ją jak kochankę.

Archont jest szczęśliwy. Nowi złodzieje, nowe rzeczy do stworzenia, nowe gry do opracowania - a wszystko w żyznej glebie, w której jego umysł tysiąckrotnie się rozrasta. Ktoś go dotyka. To ta oortyjska kobieta, uciekinierka, wraca w jego ramiona. Wpuszcza ją.

Smakuje cynamonem.

Isidore cierpi. Dla jego nowego, świeżego ciała śmierć Pixil jest jak ogień. Nie ma jednak czasu, żeby za dużo o tym myśleć, bo nagle wie wszystko.

Egzopamięć jest morzem, które otacza go ze wszystkich stron, przejryste jak tropikalny ocean. Wyciszeni, Szlachetni, cadykowie; wszystkie myśli, wszystkie wspomnienia - wszystko należy do niego. To najpiękniejszy i zarazem najstraszliwszy kształt, jaki kiedykolwiek widział albo wyczuwał pod dotykiem. Historia. Teraźniejszość: gniew, krew, ogień. Atlasy popadające w obłęd i mozolące się, żeby utrzymać miasto w bezruchu. Ludzie walczący jak marionetki; przełączniki, dźwignie i zegary, które jego ojciec umieścił w ich głowach, ustawione na „obłęd”.

Przemawia do nich Głosem i przypomina im, kim są. Wyciszeni wracają bronić murów przeciwphobosowych. Walki ustają.

Miasto pomału rusza z miejsca.

Znów tu wylądowaliśmy. Kolejna odsiadka.

Jestem nagi. Nie otwieram oczu. Przede mną na podłodze leży rewolwer. Za chwilę wezmę go do ręki i podejmę decyzję: strzelić czy nie.

Trzask rozbijanego szkła brzmi jak muzyka. Albo jak łamanie prawa. W celi zrywa się wiatr niosący maleńkie odłamki. Otwieram oczy i widzę Mielli. Z rozpostartymi skrzydłami wygląda jak poblížniony czarny anioł.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz.

- Czy to jest ten moment, w którym mi tłumaczysz, że ty jesteś Jean le Flambeur i wyjdiesz stąd dopiero kiedy zechcesz?

- Nie. To nie jest ten moment.

Biorę ją za rękę. Ona mnie obejmuje, macha skrzydłami i razem wzlatujemy w powietrze. Przebijamy szklane niebo, oddalając się od broni, wspomnień i królów.

ROZDZIAŁ 21

ZŁODZIEJ I UKRADZONE POŻEGNANIE

Żegnam się z detektywem - Isidore'em - u niego w kuchni, dzień po tym, jak zoku wskrzesili Pixil.

- Zmieniła się - mówi mi. - Nie wiem dlaczego, ale jest jakaś inna.

Siedzimy przy stole kuchennym. Staram się nie patrzeć na ponurą tapetę w odcieniu przybrudzonego brązu.

- Czasem wystarczy parę chwil, żeby zupełnie zmienić człowieka - mówię. - A czasem trzeba na to wieków. - Próbuję strząsnąć walęsającego się po stole zielonego stwora. Chyba uznał mnie za swojego naturalnego wroga, bo ciągle ogryza mi rękaw. - Ale oczywiście nie powinieneś mnie słuchać. Zwłaszcza kiedy mówię o kobietach.

Spoglądam na niego. Kościsty nos, wydatne kości policzkowe. Widzę podobieństwo - w zarysie ust, w linii szczęki, w oczach. Zastanawiam się, co Raymonde i le Roi mogli pozostawić przypadkowi. Mam nadzieję, że więcej w nim jest jej niż mnie.

- Ty też się bardzo zmieniłeś - kontynuuję. - Isidore Beautrelet, kryptarcha Kazamat. Chociaż może „król” to byłoby lepsze słowo? Co teraz zamierzasz?

- Nie wiem. Nie mogę podejmować wszystkich decyzji. Muszę zwrócić Głos ludziom. Na pewno istnieje jakiś lepszy sposób rządów; ja chcę się zrzec władzy przy pierwszej okazji. Muszę się tylko zastanowić, czy... czy chcę, żeby wszyscy pamiętali, skąd wzięły się Kazamaty.

- Każda rewolucja to piękny sen - zauważam. - A wy mieliście tu rewolucję na jawie. Cokolwiek zrobisz, bądź ostrożny. Sbornost' nie popuści, rzuci się wam do gardła. Możecie chyba liczyć na pomoc zoku, ale i tak nie będzie łatwo. - Uśmiecham się. - Za to będzie emocjonująco. Wielkie zamieszanie.

Prawdziwa opera, tak mi to ktoś kiedyś powiedział.

Detektyw wygląda przez okno. Miasto liże rany, widok na pewno jest inny niż dawniej. Widać stąd nawet więzienie - diamentową iglicę ponad dachami Labiryntu.

- A co z tobą? - pyta. - Masz jakieś... kryminalne plany?

- Prawie na pewno. Nadal mam dług do spłacenia. - Szczerzę zęby w uśmiechu. - Możesz próbować mnie złapać, jeśli potrafisz, zapraszam, ale przypuszczam, że będziesz miał inne sprawy na głowie. - Patrzę spode łba na zielonego stwora, który pakuje mi się na kolana. - Oczywiście, nie wszyscy mają takie problemy. - Wstaję. - Czas na mnie. Mielli już od paru dni nikogo nie zabiła, a to zawsze wprawia ją w fatalny nastrój. Podajemy sobie ręce.

- Nie jestem twoim ojcem - mówię. - Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie i tego się trzymaj. Gdyby jednak kiedyś skusiła cię mroczna ścieżka, daj znać.

O dziwo, detektyw obejmuje mnie i ściska z całej siły.

- Nie, dziękuję - mówi. - Do zobaczenia.

Nie mogłybyśmy już lecieć? - niecierpliwi się Perhonen. Naprawdę musimy na niego czekać?

Statek wylądował na śladzie miasta, nieopodal sfatygowanego i osmalonego muru. Mielli włożyła szybkombinezon i wyszła na zewnątrz, żeby rozchodzić dręczący ją niepokój. Płaskorzeźby na murze - krajobrazy i długie rzędy pozbawionych wyrazu twarzy - przypominają jej Oort. Kiedy ich dotyka, słyszy w głowie wrzeźbioną w nie cichą pieśń.

- Cześć - mówi Raymonde.

Ma przy sobie ekwipunek Dzentelmena, nie włożyła jednak maski, a zamiast garnituru okrywa ją aureola mgły. Na widok rzeźb na jej twarzy malują się wyrzuty sumienia i smutek.

- Wszystko w porządku? - niepokoi się Mielli.

- Tak, po prostu przypomniałam sobie, że mam się z kimś spotkać. - Raymonde spogląda na *Perhonen*. - Piękny statek.

Dziękuję, odpowiada Perhonen. Ale jest we mnie coś więcej niż tylko ładna buzia. Raymonde się jej kłania.

- Tobie również jesteśmy wdzięczni. Nie musiałaś robić tego, co zrobiłaś. Szafirowa powłoka statku lśni.

Nie widzisz tego, ale cała się rumienię.

- Jeszcze nie przyszedł? - Raymonde się rozgląda. - To właściwie żadne zaskoczenie. - Całuje Mielli w policzki. - Powodzenia. Leć bezpiecznie. I dziękuję. - Zawiesza głos. - Kiedy otworzyłaś gevulot, ujawniłaś nam swoje myśli i zrozumiałam, dlaczego to robisz. Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale mam nadzieję, że ją znajdziesz.

- To nie jest kwestia nadziei, lecz woli.

- Dobra odpowiedź. I jeszcze jedno... Nie bądź dla niego zbyt okrutna. Surowa, jak najbardziej, ale bez przesady. Taką już ma naturę. I tak nie jest jeszcze najgorzej.

- O mnie mówicie? - pyta złodziej, wychodząc z zokijskiego bąbla transportowego. - Wiedziałem, że będziecie mnie obgadywać.

- Zaczekam na statku - mówi Mielli. - Odlatujemy za pięć minut.

Okazuje się, że jednak nie wiem co jej powiedzieć. Stoimy więc w milczeniu na czerwonym piasku. Otacza nas rozmigotany cień miasta, trzepoczące skrzydła światła i cienia.

Całuję ją w rękę. Jeżeli oczy zachodzą jej łzami, to cień doskonale to maskuje. Całuje mnie w usta, lekko, a potem odprowadza wzrokiem, gdy podchodzę do statku. Odwracam się jeszcze i przesyłam jej pocałunek.

Znalazłszy się na pokładzie, ważę pudełko w dłoni.

- Otworzysz to czy nie? - niecierpliwi się Mielli. - Chciałabym wiedzieć, dokąd lecimy.

Ja już wiem.

- Na Ziemię - odpowiadam. - Ale niech się *Perhonen* nie śpieszy. Chciałabym popodziwiać widoki.

Ku mojemu zdziwieniu, Mielli przystaje na moją prośbę. *Perhonen* wznosi się powoli i zatacza krąg nad Ruchomym Miastem, nad arterią Niezmiennej Alei, zieloną połącią Żółwiowego Parku, delikatnymi jak z papieru zamkami

Kurzawy. Miasto ma inną twarz, ale ja i tak się do niego uśmiecham.

 Nie zwraca na mnie uwagi. Po prostu idzie dalej.

 Dopiero w połowie drogi na Autostradę zauważam, że detektyw ukradł mi Zegarek.

INTERLUDIUM

ŁOWCZYNI

W Fabryce nastala wiosna. Inzynier Dusz jest szczesliwy.

Wirtualny krajobraz jego guberni jest ogrodem maszyn, rozleglym i kwitnacy. Ziarna, ktore posial podczas dlugiej dysonowskiej zimy, kiedy gubernia zwolnila obroty, pozbywajac sie odpadow cieplnych, zakielkowaly i rozkwitly i teraz wszedzie kroluje roznorodnosc.

Gogole garną się do jego rąk tłumnie jak stado białych ptaków, kiedy sonduje glebę ogrodu. Zanurza miliard dłoni w czarną ziemię, w której każda cząsteczka jest jak trybik idealnie zazębiony z sąsiadami, i wyszukuje mające wkrótce wejść ziarna nowych złożonych umysłów. Inżynier-Pierwszy jest wszędzie naraz, kieruje przycinaniem drzewa memetycznego i patrzy, jak zrodzona w procesie rozgałęzienia gromada algorytmów genetycznych wzbija się w powietrze w nowej przestrzeni parametrycznej.

Z bezbrzezną ostrożnością wyciąga z ziemi świeży pęd nowego gogola cierpiącego na rzadką przypadłość, która każe mu myśleć, że ma szklane, kruche ciało; Inżynier obawiał się, że już bezpowrotnie utracił takie gogole. Tymczasem w połączeniu z cudowną, niespotykaną gdzie indziej schizofrenią zrodzi się z niego umysł zdolny do woli dzielić się, przyswajając nowe wspomnienia i odtwarzać się w dawnej postaci. Wojmózgi Matjeka byłyby nim zachwycone.

Wydziela gogola, któremu każe zająć się przyziemnymi aspektami pracy ogrodnika, a sam koncentruje się na szerszej perspektywie. Inżynier-Pierwszy wzbija się pod niebo; biały kitel laboratoryjny powiewa na wietrze. O tak, z tamtego poletka będzie piękny plon smokomówców. A tam, w tym rozległym labiryncie, rodzą się już zdeterminowani tropiciele -

wkrótce będą gotowi badać przestrzenie parametryczne rozleglejsze od planet, jak matematyczne mrówki przeczesujące ogromny gódelowski wszechświat w poszukiwaniu twierdzeń, które czekają na udowodnienie.

Łapie się na myśli, że nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy; szybkie przejrzanie biblioteki gogoli potwierdza to podejrzenie. Żaden Inżynier przed nim nie był tak zadowolony. Nie czuł czegoś podobnego od najdawniejszych czasów, kiedy studiował na uniwersytecie w Mińsku... Tylko jedna chwila, spędzona w towarzystwie najbliższej osoby, mogłaby się od biedy równać z tym uczuciem. Ten fakt jest wart zamrożenia w czasie: Inżynier wydziela gogola i zapisuje go w bibliotece. Oczywiście, to co dobre nie trwa wiecznie.

Drzenie przebiega cały wirtualny krajobraz, gdy bez uprzedzenia zjawia się aż dwóch innych Założycieli: fale religijnej grozy rozchodzą się wśród pomniejszych gogoli-ogrodników, którzy padają plackiem na ziemię wśród rosnących maszyn. Świeżo wykluty wojmózg - metaliczny pająk, ucieleśnienie kontrolowanej jadowitej agresji - wymyka się zaaferowanym opiekunom i niszczy obiecującą grządkę marzycieli. Sam Inżynier musi sięgnąć po niego jedną z miliarda rąk i go odczytać. Szkoda.

Obojętni na wywołane ich pojawieniem się zniszczenia, dwaj intruzi kierują się w stronę głównego deptaka. Jeden z nich jest drobnym, niepozornym, siwawym Chińczykiem w surowych mnisich szatach. Matjek Chen, najpotężniejszy Założyciel w całej Sbornosti, ma dość przyzwoitości, żeby nie obnosić się ze swoją prawdziwą założycielską postacią.

Drugim przybyszem jest wysoka kobieta w białej letniej sukience, z delikatną parasolką, którą przysłania twarz...

Inżynier pośpiesznie usiłuje zamknąć gości w wirtualnym subświecie - nie byle jakie to zadanie, biorąc pod uwagę ich moc, która z łatwością może rozedrzyć takie iluzje na strzępy - i wysłała do nich Inżyniera-Pierwszego.

Ogród staje się prawdziwym ogrodem, z kwitnącymi drzewkami wiśniowymi. W fiodorowskiej fontannie kamienny heros i towarzysząca mu kobieta wznoszą puchar, z którego leje

się woda. Pomniejsze gogle podają napoje. Inżynier-Pierwszy wychodzi na spotkanie gości.

- Witajcie - mówi, gładząc się po brodzie w królewskim, jak mu się wydaje, geście. Kłania się lekko. Chen odpowiada ledwo zauważalnym skinieniem głowy. Inżynier próbuje oszacować starszeństwo gogola, którego ma przed sobą - z pewnością nie jest to Pierwszy, ale otaczająca go aura Założyciela daje mu prawdziwą moc.

Kobieta składa parasol i uśmiecha się do niego. Na jej łabędziej szyi skrzą się brylanty.

- Witaj, Sasza.

Podsuwa jej krzesło.

- Witaj, Josephine.

Kobieta siada z wdziękiem i krzyżuje nogi, delikatnie wsparta na złożonym parasolu.

- Masz tu śliczny ogród, Sasza. Nic dziwnego, że ostatnio w ogóle cię nie widzujemy. Gdybym mieszkała w takim miejscu jak to, też nie chciałoby mi się z niego ruszać.

- Zapomnienie o realiach szerokiego świata bywa kuszące - przyznaje Chen. - Niestety, nie wszyscy możemy sobie pozwolić na taki luksus.

Inżynier posyła mu oschły uśmiech.

- Praca, którą tu wykonuję, przynosi pożytek całej Sbornosti, a także Wielkiemu Wspólnemu Dziełu.

- Naturalnie - zgadza się z nim Chen. - Ty zaś masz do niej wyjątkowe kwalifikacje. Dlatego tu jesteśmy. - Przysiada na obramowaniu fontanny i macza rękę w wodzie. - Nie uważasz, że to lekka przesada?

Inżynier przypomina sobie, że królestwa Chena są zwykle abstrakcyjne, spartańskie, z uproszczoną fizyką i niezbędną odrobiną detali, które ledwo, ledwo wyróżniają je ze świata osobliwości.

- Matjek, proszę cię... - wtrąca się Josephine. - Straszny z ciebie nudziarz. Tu jest pięknie. Poza tym Sasza jest zajęty, nie widzisz? Zawsze skubie brodę, kiedy chciałby wrócić do pracy, ale jest zbyt uprzejmy, żeby powiedzieć to wprost.

- Ma mnóstwo gogoli, które go wyręczą, ale niech wam będzie

- mówi Chen. Zaplata ręce na piersi i opiera łokcie na stole. - Bracie, mamy kłopot z jednym z twoich dzieł. Mury więzienia Dylemat zostały sforsowane.

- To niemożliwe.

- Sam zobacz.

Wirtualny krajobraz rozmywa się na chwilę, gdy Chen przekazuje Inżynierowi wspomnienie. Przez ułamek sekundy Inżynier widzi jego prawdziwe oblicze. Głos trylionu Chenów sięga najdalszych guberni, obłasti i rajonów Sbornosti; właściwie bardziej niż człowieka Chen przypomina jego rozpostarte kończyny. A potem Inżynier trzyma w rękach zamrożonego gogola, w którym od razu rozpoznaje swoje dzieło - mały eksperyment z dziedziny gier i obsesji, o którym dawno zdążył zapomnieć. Nazwał go archontem. Archont miał zatrzymać obłąkanych i nikczemnych obywateli Sbornosti z dala od cywilizacji.

Obiera go ze skórki jak pomarańczę i wchłania jego wspomnienia.

- Dziwne...

Patrzy, jak więzienie wypluwa trzy umysły i umieszcza je w kruchej materialnej powłoce. Czuje ukłucie podziwu dla zamkniętego w oortyjskim statku maleństwa, które zdołało przechytryć jego własny twór. Notuje w pamięci, że następna generacja archontów powinna mieć zdolność rozpoznawania różnych warstw rzeczywistości.

- Niczego byśmy nie zauważyli, gdyby nie popełnili błędu - wyjaśnia Chen. - Stało się inaczej: mieli zabrać tylko dwa gogole, zabrali trzy. Jak widzisz, ten trzeci jest najbardziej interesujący.

- W rzeczy samej... - Inżynier jest dumny z archonta, jak dziadek z bystrego wnuka. - Zdrajca. Fascynujące.

- Mieli kody Założyciela. Ktoś otworzył więzienie, używając do tego kodów Założyciela! - Chen uderza pięścią w blat. - Musimy się dowiedzieć, po co to zrobił. Trwa wojna. Otaczają nas wrogowie, czasem występujemy nawet sami przeciw sobie, ale niektórych rzeczy zgodziliśmy się nie robić.

- Może ty, Matjek, się zgodziłeś - wtrąca Josephine, wodząc

palcem po krawędzi szklanki z wodą. - Najwyraźniej nie wszystkich obowiązuje ta sama umowa.

- Musimy odzyskać te gogle. Musimy... Ja muszę się dowiedzieć, co wiedzą.

- Masz chyba mnóstwo gogoli, które cię w tym wyręcą, nieprawdaż? - Inżynier z satysfakcją wytrzymuje spojrzenie starszego Założyciela. - Są ważniejsze dzieła, które czekają na rozpoczęcie i zakończenie.

Czuje, jak pod spokojną powierzchownością gogola Chena narasta gniew. Jakby elektryzowało się powietrze.

- Sasza, nie jesteśmy dziećmi - odzywa się znów Josephine. - Nie przyslibyśmy prosić cię o pomoc, gdybyśmy naprawdę jej nie potrzebowali. Ja na pewno bym nie przyszła.

Dotyka jego ręki i się uśmiecha. Nawet po trzech stuleciach i miliardach rozgałęzień Inżynier nie może nie odpowiedzieć uśmiechem.

- Matjek? - Josephine zwraca się do Chena. - Chciałabym porozmawiać z Saszą na osobności.

Dłuższą chwilę patrzą sobie w oczy i ku zdumieniu Inżyniera to Chen pierwszy spuszcza wzrok.

- Dobrze. Może jedno dziecko przemówi drugiemu do rozsądku. Niedługo wrócę. Znika z wirtualnego krajobrazu bez cienia gracji: jego awatar wyrywa dziurę w przestrzeni tak gwałtownie, że Inżynier musi się nieźle postarać, żeby ją zamaskować. Josephine kręci głową.

- I my mówimy o zmianach... A niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. - Spogląda na Inżyniera z błyskiem w oku. - Za to ty się zmieniłeś. Uwielbiam wszystkie twoje dzieła. Są niewiarygodne. I tak się zastanawiam... Zawsze to w tobie tkwiło? Wtedy też? Czy po prostu dorosłeś?

- Josephine... Powiedz mi po prostu, czego chcecie.

Josephine wygina usta w podkówkę.

- Nie jestem pewna, czy ten nowy Sasza mi się podoba. Nawet się nie zarumieniłeś.

- Proszę cię...

- Dobrze. - Josephine patrzy mu w oczy i bierze głęboki wdech. - Próbują mnie zabić. Pozostali. Podczas twojej

ostatniej zimy dużo się zmieniło. Anton i Hsien są teraz razem. Chitragupta jest... no, jest sobą. Za to ja... Nigdy mnie nie lubili. A teraz w dodatku jestem słaba, słabsza niżbyś pomyślał.

Inżynier patrzy na nią z niedowierzaniem.

- Gogolobójstwo? Do tego już doszło?

- Jeszcze nie, ale takie mają plany. Matjek jest moją jedyną nadzieją; wie, że mnie wysłuchasz. Widzisz, wcale nie chodzi o więzienie, on po prostu potrzebuje broni, której mógłby użyć przeciw tamtym. No i twojego poparcia.

- Mógłbym... - Inżynier się waha. - Mógłbym cię ochronić.

- Milutki jesteś, ale oboje wiemy, że to niemożliwe. Podarowali ci to miejsce, bo jesteś użyteczny; jeżeli twoja użyteczność się skończy, ogród zniknie. Pomóż Matjekowi, a on pomoże nam obojgu. Wyhoduj coś, co pozwoli złapać tych małych zbiegów. Dla ciebie to drobiazg, ale udowodnisz, że mnie posłuchałeś, i tym sposobem ja również stanę się dla niego cenna.

Inżynier zamyka oczy. Czuje cały swój ogród, żywy, rosnący, zanurza miliardy rąk w jego glebie - a wszystko to we wnętrzu potężnego mózgu guberni, chłonnego energię i materię wprost ze słońca: diamentowej kuli wielkości starej Ziemi, zawierającej trylion jego gogoli i smoki na dodatek. Mimo to, czuje się mały.

- Dobrze - zgadza się. - Ten jeden raz. Przez wzgląd na stare czasy.

- Dziękuję. - Josephine całuje go w policzek. - Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Uważaj, żeby nie przedobrzyć.

- Znam Matjeka, na ile to w ogóle możliwe, i na razie dam sobie z nim radę. Mam jeszcze inne... opcje, ale są bardziej czasochłonne. Dlatego dziękuję ci za twój dar.

- Nie ma za co. - Inżynier się uśmiecha. - Będziesz łowczynią. Chcesz popatrzeć?

- Uwielbiam obserwować cię przy pracy.

Inżynier rozprasza otaczający ich ogrodowy wirt. W swojej prawdziwej postaci Założycielki Josephine jest równie piękna jak przedtem - istota utkana ze srebrnej przędzy mnóstwa

gogoli. Prowadzi ją przez Fabrykę do Sadu, gdzie rosną jego ulubione twory. Napawając się w duchu jej zdumieniem, zatracą się w pracy. To już jest zadanie w zupełnie nowej skali, nie proste nadzorowanie pracy innych, lecz prawdziwe tworzenie. Moduły poznawcze okalają ich jak olbrzymie atlasy, rozbrzmiewają symfonią połączeń neuronowych i myśli.

Pewną przyjemność sprawia mu wkomponowanie w ten nowy projekt najnowszych odkryć. Ta łączyni nie będzie jednością, lecz wielością; będzie umiała rozdzielić się na wiele kawałków i znów scalić. Daje jej determinację oortyjskiego rzeźbiarza i koordynację ruchów pianisty koncertowego, i przyprawia całość bardziej prymitywnymi formami zwierzęcymi ze starszych bibliotek - szczyptą rekina i kota. Daje jej dość uprawnień kognitywnych, żeby była inteligentna, ale nie aż tyle, żeby dokuczała jej latencja, i przydziela zaczerpnięty z guberni fragment intelmaterii. Będzie gotowa na rozkazy swojej nowej pani.

Gotowy twór nie mówi. Patrzy na nich w milczeniu, obserwuje, czeka na wskazanie celu. Jest piękny w taki sam sposób, jak piękna bywa broń; to ten sam rodzaj urody, który każe człowiekowi dotknąć noża, chociaż wie on, że pokaleczy się o jego ostrze.

- Jest twoja - mówi Inżynier. - Nie Matjeka, tylko twoja. Powiedz jej, czego ma szukać.

Josephine Pellegrini uśmiecha się i szepcze imię do ucha łączyni.

Wydawnictwo
MAG